

IZABELA
JANISZEWSKA

NIE
WYBĄ
CZALNE!

Wystarczy jedno kłamstwo,
by zważyć we wszystkie prawdy



**NIE
WYBA
CZALNE**

IZABELA
JANISZEWSKA

**NIE
WYBA
CZALNE**



Copyright © Izabela Janiszewska, 2021
Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2021

Redaktor prowadzący: Adrian Tomczyk
Marketing i promocja: Greta Sznycer
Redakcja: Karolina Borowiec-Pieniak
Korekta: Joanna Pawłowska, Ewelina Sikora-Chodakowska
Projekt typograficzny, skład i łamanie: Stanisław Tuchołka / panbook.pl
Projekt okładki i stron tytułowych: © Mariusz Banachowicz
Fotografia na okładce: © Aleksey Dushutin / Shutterstock
Zdjęcie autorki: © Zuza Krajewska / Warsaw Creatives
Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

eISBN 978-83-66981-07-2

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.
ul. Fredry 8, 61-701 Poznań
tel.: 61 853-99-10
redakcja@czwartastrona.pl
www.czwartastrona.pl

Prawda nie zabija, lecz uwalnia.

Alice Miller

Tamta noc

*

Biegła tak, jakby od tego zależało jej życie. Ostre kamienie i szyszki raniły jej stopy, ślizgające się na mokrej ściółce. Wyglądała na przerażoną, nerwowo oglądała się za siebie, usiłując sprawdzić, czy ktoś jej nie ściga. Z rozciętych ust kobiety z każdym niespokojnym oddechem wydobywały się obłoczki gęstej białej pary. Rzęsisty deszcz przenikał jej sukienkę i sklejał włosy w cienkie wilgotne strąki przypominające stado wijących się robaków, drzewa w lesie zdawały się zaś wyciągać po nią swoje powykrzywiane, drapiące skórę ramiona.

W zapadającym zmroku rzeczy traciły kontury, wszystko nabierało złowieszczego kształtu. Każde trzaśnięcie pękającego pod nogami patyka, dźwięk spadającej nieopodal gałązki czy pohukiwanie sowy przyprawiały o gęsią skórkę. W powietrzu unosił się wilgotny zapach mchu nasączonego ulewą, tak przyjemny i orzeźwiający, że ulegając mu, mogłaby stracić czujność, a tego jednego nie wolno jej było zrobić.

W którymś momencie potknęła się o wystający konar i runęła na ziemię. Jej nagie, chude kolano, wystające spod zadartej sukienki, boleśnie uderzyło o pień drzewa. Syknęła, zaciskając zęby z nadzieją, że uczucie prądu przeszywającego nogę zaraz minie, a mroczki, które pojawiły się przed oczami, znikną. Teraz jeszcze

wyraźniej słyszała swój ciężki, nierówny oddech – przypominał sapanie psa w gorący dzień. Chwilę później z kanonady dźwięków wyłowiła narastające rżenie silnika samochodu oraz odgłos zbliżających się w szybkim tempie kroków.

W panice natychmiast dźwignęła obolałe ciało i ruszyła w stronę obwodnicy, utykając na jedną nogę. Musiała dotrzeć do miejsca, gdzie będą inni ludzie, którzy ochronią ją przed tym, czego bała się najbardziej. Białka jej oczu błysnęły w mroku, gdy wbiegła na piaskową ścieżkę. Do mokrych, nagich łydek kobiety przyklejały się liście, żdźbła trawy i brudny czarny piach, a z rozcięcia na kolanie płynęła krew. Jeszcze tylko chwila, powtarzała w myślach, modląc się o to, by starczyło jej sił. Nogi poruszały się jednak coraz wolniej, w ustach czuła wzbierającą suchość, a wychudzone ciało paraliżował strach, tym silniejszy, im bliżej znajdował się nadjeżdżający samochód.

Wreszcie kobieta przebrnęła przez las. Dysząc, gorączkowo szukała najlepszego kierunku ucieczki, ale kiedy długie światła jadącego za nią pojazdu musnęły jej plecy, wybrała najprostszą z dróg, tę przed siebie. Najszybciej, jak potrafiła, gnała wiaduktem wybudowanym nad drogą ekspresową biegnącą poniżej, choć z każdą chwilą coraz mocniej czuła, że nie ma żadnych szans uciec przed ścigającym ją samochodem. W uszach szumiało jej od pędu aut przejeżdżających w dole i od narastającego ciśnienia krwi pompowanej przez przerażone serce, które dudniło tak, jakby miało zaraz pęknąć z wysiłku.

Po drugiej stronie wiaduktu zamajaczyła stacja benzynowa, co dało kobiecie nadzieję, że zaraz będzie bezpieczna. Jednak jej radość nie trwała długo, bo w zaroślach naprzeciwko dostrzegła zbliżające się niebieskie światła błyskowe radiowozu policyjnego. Poczuli się osaczona. To koniec, pomyślała, gdy deszcz bezlitośnie siekł jej pomarszczoną skórę. Drżąc od przenikającej jej ubranie wilgoci i zimna, z sukienką przyklejającą się do ciała, podeszła do barierki. Auto, które dotychczas jechało za nią, zatrzymało się,

chwytając kobietę w kleszcze świateł reflektorów. Jego kierowca otworzył drzwi i usiłując przekrzyczeć szum ulewy, wołał coś do uciekającej. Chciała spojrzeć w twarz tej osoby, pokazać, że się nie boi, tak jak to robiła przez ostatnie dwadzieścia pięć lat, ale tym razem byłoby to kłamstwo.

Oparła dłonie na metalowej barierce. Jej palce dotknęły chłodnej i śliskiej powierzchni. Kobieta przełożyła przez nią najpierw jedną, potem drugą nogę, z coraz większym trudem łapiąc każdy kolejny oddech. Kiedy znalazła się po drugiej stronie, dostrzegła postać biegnącą w jej kierunku.

Zamknęła oczy, szepcząc „idę do ciebie, kochanie”, i puściła poręcz.

I choć niektórzy wierzą, że najgorsze trwa tylko chwilę, w jej przypadku ciągnęło się całą wieczność.

Zuzanna, 2015

*

Mój ojciec zawsze powtarzał, że prawda daje nam szansę, a kłamstwo nie zostawia nam wyboru. Przez całe życie wierzyłam w te słowa. Do dnia, w którym okazało się, że mnie oszukał.

Zdajemy sobie sprawę, że w końcu przyjdzie chwila, gdy otrzymamy tę wiadomość, a jednak prawie nigdy nie jesteśmy na nią gotowi. Zwykle pojawia się nie w porę, najczęściej za wcześnie. Ktoś niespodziewanie dzwoni albo puka do drzwi. Czasami znamy tę osobę, innym razem jest to ktoś zupełnie obcy, kogo rysy wkrótce zbledną w naszej pamięci jak nadruk na starym paragonie sklepowym. Właściwie nie musiałyby nawet wypowiadać tych słów, bo często tuż przed tym, nim padną, my już wiemy. Przeczujemy to, co za moment nastąpi. Być może wyczytujemy to z tembru głosu, krótkiego zawahania, niezręcznych pauz albo przesadnej delikatności. Dostrzegamy w płochliwym wzroku, uciekającym spojrzeniu, zaciśniętych dłoniach czy sztywnej sylwetce.

To może zdarzyć się w środku nocy, choć równie dobrze o świcie lub w przyjemne popołudnie. Te rozmowy zazwyczaj zaczynają się podobnymi zwrotami. „Bardzo mi przykro”, „mam dla pani smutną wiadomość”, „musimy z panią porozmawiać”. Jednak bez względu na to, jak informacja zostanie wyrażona i kiedy nas spotka, zawsze chcielibyśmy poprosić o odroczenie. Powiedzieć do słuchawki, że to

pomyłka, i umówić się na telefon za dziesięć albo dwadzieścia lat. Zamknąć drzwi, by niczym małe dziecko bawiące się w chowanego zakryć oczy i udawać, że nas nie ma. Jakby ten prosty gest położenia dłoni na oczach czynił nas niewidzialnymi, a przez to poza zasięgiem okrutnych wiadomości.

Informacja o śmierci mojego ojca przyszła jak nieproszony gość. Zastała mnie we wczorajszym ubraniu, z rozmazanym makijażem i bałaganem na podłodze ciasnej kawalerki. Najpierw ostry dźwięk dzwonka przerwał i tak niespokojny, płytki sen, a kiedy wreszcie zdołałam dźwignąć z poduszki głowę ciężką od zbyt wielu kieliszków czerwonego wina wypitego poprzedniego wieczoru, z na wpół przymkniętymi powiekami powlekłam się w stronę drzwi.

W rybim oku wizjera dostrzegłam parę policjantów. Nie potrafiłabym opisać, jak dokładnie wyglądali, jednak doskonale pamiętam uczucie lodowatej dłoni zaciskającej się na sercu na widok mundurów. Gdy otworzyłam, potwierdzili moją tożsamość, po czym spytali, czy mogą wejść do środka. Działalam jak automat. „Tak”, „proszę bardzo, zapraszam”, „może się państwo czegoś napiją”, „tam jest kanapa” i „proszę nie zdejmować butów”. Wypluwałam z siebie te wszystkie banalne zwroty jak maszyna. Jakbym wypełniała szablon albo realizowała z góry określony scenariusz. Bo przecież tak należało się zachować.

Droga od drzwi do pokoju połączonego z kuchnią nigdy jeszcze nie trwała tak długo. Sekundy w mojej świadomości zamieniały się w godziny. Z jakiegoś powodu zaczynało brakować mi powietrza, dlatego otworzyłam pośpiesznie okno, wpuszczając do środka gwar bawiących się na dole dzieci i śmiech ich matek. Policjanci usiedli na brzegu narożnika z wytartej skóry, który zaskrzypiał pod ich ciężarem. Udawali, że nie widzą, jak z rumieńcem wstydu sięgam pod ławę po opróżnioną butelkę kadarki, a później drżącą ręką odstawiam ją za kanapę. W to samo miejsce, gdzie wcześniej wrzuciłam ubrania zalegające na oparciu mebla. Nerwowa pantomima wygładzania i uprzątnięcia trwała jeszcze jakiś czas, aż

wreszcie moje ciało poddało się i opadło na prostokątny puf. Jakbym zrozumiała, iż odwlekanie tego, z czym przyszli, nie spowoduje, że sprawy ułożą się inaczej. Wzięłam więc głęboki wdech i zanim zdążyłam zapytać, jeden z nich otworzył usta.

– Mam do przekazania przykrą wiadomość – oznajmił. – Zdarzył się wypadek.

Pamiętam, że wtedy pożałowałam wcześniejszego przyznania się do swojego nazwiska. Mogłam przecież wyprzeć się siebie, udać, że to nie ja, i mieć nadzieję na inną, mniej nieznośną kolej zdarzeń. Zyskać kilka godzin życia w niewiedzy, bez tej guli w gardle, pisku w uszach i gorączkowych myśli „tylko nie to, tylko nie to” oblażących mój umysł niczym robaki.

Z całej siły wbijałam zęby w wewnętrzną część policzka, niezdolna do tego, by zadać jakiegokolwiek pytanie ani nawet się poruszyć.

– Pani ojciec nie żyje – dokończył funkcjonariusz.

Zrobił to sprawnie i szybko, jak wykonuje się nacięcie chirurgiczne. Zdecydowanym ruchem, bez wahania, owijania w bawełnę czy nadgorliwego tłumaczenia. Podobno tego uczą ich na szkoleniach. Przekazywana wiadomość ma być konkretna, nie pozostawiać niedomówień ani nie otwierać furtki do dyskusji lub pseudonegociacji o życie bliskiej osoby. Kilka lat wcześniej pisałam na ten temat artykuł. Słyszałam wtedy, że w podobnych sytuacjach ludzie nie są w stanie przyjąć rozbudowanego komunikatu, ponieważ już pierwsze uderzenie jest tak silnym ciosem, że rzuca odbiorcę wiadomości na deski, pozostawiając go całkowicie otumanionym.

Wiadomość, że chodzi o ojca, zdruzgotała mnie. Odkąd zobaczyłam ich poważne miny, myślałam tylko o Ignasiu, moim synu. W duchu błagałam, by nic mu się nie stało. Jego dołeczkom w policzkach, skórze pachnącej budyniem waniliowym i drobnym, miękkim jak poduszcзки dłoniom. A teraz czułam się winna, jakby to stało się przeze mnie, bo rzucając nieopatrzne zaklęcia i chcąc ocalić syna, zabiłam ojca.

– Czy ma pani kogoś, kto mógłby wesprzeć panią przez najbliższe dni? – odezwał się policjant, który dotychczas milczał.

– Tak. Nie. Nie wiem – wyrzuciłam z siebie na jednym tchu, a potem utkwiałam wzrok w dziecięcym dywaniku z nadrukiem ulic i budynków. – To skomplikowane – wyszeptałam.

Nie miałam sił ani ochoty tłumaczyć, że jestem rozwódką, która wychowuje czteroletniego syna w systemie opieki naprzemiennej, dzieląc się obowiązkami z jego ojcem. Dupkiem i bogatym prawnikiem, co nie bez przyczyny wymieniam w tej kolejności. Moja matka zmarła, gdy byłam dzieckiem, nowa kobieta ojca zawsze traktowała mnie oschle, a dawni przyjaciele z pracy przestali odbierać telefony po tym, jak popełniłam karygodny błąd, który kosztował mnie nie tylko karierę, ale też wiarę we własne możliwości. Pocieszenie odnajdywałam jedynie w winie i krótkich chwilach z Ignasiem.

Wspomnienie dziecka wywołało ostry skurcz żołądka. Zgięłam się wpół, moje wargi wykrzywił grymas bólu, a pod powiekami wyczułam znajome szczypanie zwiastujące napływające łzy. Obezwładniające uczucie samotności niemal dusiło, jakby ktoś wepchnął mi do gardła kilka kulek waty. Jeden z policjantów pobladł. Być może był to jego pierwszy raz. Wielka premiera przekazywania informacji o śmierci bliskiego, którą mężczyzna zapamięta na długo. Niczym z odsieczą ruszył do kuchni po szklankę wody, po czym nieśmiało postawił ją na ławie tuż obok mnie.

Piłam łączywie i choć wiedziałam, że nie zabija się posłańca za to, że przynosi złe wieści, zaczęła mnie ogarniać coraz większa niechęć do funkcjonariuszy. Tym bardziej intensywna, im więcej szczegółów podawali. O tym, że doszło do zatrzymania akcji serca, przez co ojciec stracił panowanie nad pojazdem i uderzył w drzewo. O sanitariuszach próbujących go reanimować. W którymś momencie wyłączyłam fonię, nie mieściło się we mnie więcej troski czy współczucia policjantów. Od tej pory obserwowałam tylko ruchy ich ust, czekając, aż wyleją się z nich wszystkie rady i wskazówki.

Pomyślałam wtedy, że mogliby to robić jakoś radośniej. Bez tych udręczonych min ociekających litością, które jedynie pogarszały sytuację. Drażniły swoją sztucznością i udawanym zrozumieniem. W końcu to ja miałam od teraz cierpieć, nie oni. Kusiło mnie, by krzyżeć, że przecież nic nie wiedzą o moim ojcu ani o mnie. Czy nie mogliby po prostu przynosić kwiatów i czekoladek, a może nawet wina, na osłodę trudnego momentu? Zostawiać krewnemu zmarłego zestawu ratunkowego lub – jak kto woli – pakietu zapomnienia?

Odpywałam w wewnętrzny dialog, obejmując ramionami swoje odrętwiałe z bólu ciało, a kiedy wreszcie ich wargi przestały się poruszać, odkaszlnęłam i podziękowałam cicho, jak przystało na osobę pogrążoną w żałobie. Policjanci podnieśli się z ulgą wypisaną na twarzach. Jeden z nich położył na ławie kilka ulotek o radzeniu sobie z żalem i kartkę z najważniejszymi numerami telefonów.

Nie wstałam, nie odprowadziłam ich do drzwi i nie rzuciłam zakrawającego w tej sytuacji na ironię „do widzenia”. Bo przecież nigdy więcej nie zamierzałam ich oglądać. Zamiast tego, gdy tylko drzwi zamknęły się ze szczękiem, włączyłam telewizor i podkręciłam głośność. Tak bardzo chciałam mistyfikować normalność, udawać, że przecież nic wielkiego się nie stało, a życie toczy się dalej.

Na ekranie młoda, nieco zbyt chuda kobieta w połyskującej sukni brała właśnie zamach, by zakręcić wielkim kołem z wypisanymi nagrodami, a zgromadzona w studiu publiczność wybijała rytm, coraz szybciej klaszcząc w dłonie. Ich oczy lśniły z podniecenia, na policzki wypełzały rumieńce ekscytacji, z gardeł wyrwały się pojedyncze okrzyki i kiedy wreszcie koło zatrzymało się ze znacznikiem szyderczo wskazującym pole BANKRUT, po sali przetoczył się jęk zawodu. Gracz stojący za pulpitem potrzebował chwili, by zrozumieć, że właśnie stracił wszystko, co do tej pory udało mu się zdobyć. Zapłacił podatek od naiwności, od infantylnej wiary w to, że w życiu można dostać coś za darmo. Krew odplynęła z jego twarzy, głos zaczął mu się łamać, a on sam jakby zgarbił się i skarłał.

Przestało mnie to bawić. Niczym w transie skakałam po kanałach, byle tylko uciec przed ostrymi zębiskami rzeczywistości. Zagłuszyć rodzące się we mnie uczucia. Przykryć je niepokojącymi wiadomościami o zbrojeniach na Bliskim Wschodzie, zastąpić cynicznym komentarzem na temat kusego stroju wokalistki wijącej się w teledysku na MTV albo zakrzyczeć ekstatyczną prezentacją cudownego noża, który zawsze będzie ostry niczym brzytwa. Tyle że im bardziej starałam się wypierać prawdę, tym mocniej ona mnie kęsała.

W końcu wyłączyłam gadające pudło, jak zwykła je nazywać moja babcia. Pokój zalała cisza zakłócana jedynie nienachalnymi dźwiękami otoczenia. Zdawało mi się, że teraz usłyszę przytłumione kroki skradającego się smutku. Wyobrażałam sobie, jak podpełza niemal bezszelestnie, oplata moje ciało niczym bluszcz, by powoli wrosnąć korzeniami w każdy fragment skóry. Ból jednak rzucił się na mnie jak drapieżnik. Zaatakował gwałtownie, chwytając za gardło i rozszarpując mnie na kawałki. Bez litości, bez sentymentów czy taryfy ulgowej. Targał mną jak bezwonną szmacianą lalką, a potem zostawił zniszczoną i pokonaną.

Przełykając gorzkie łyzy, myślałam o wszystkich słowach, których nie zdążyłam powiedzieć ojcu, i o tych, których już nie dało się cofnąć. O tym, jak daleko od siebie byliśmy, choć wydawało się, że dużo bliżej. Nagle zapragnęłam obejrzeć nasze wspólne zdjęcia z mojego dzieciństwa. Gładzić opuszką palca tę naznaczoną zmarszczkami twarz, na której zapisała się historia jego życia. Przypomnieć sobie wielką dłoń dotykającą na fotografii włosów małej dziewczynki w sukience w kwiatki. Nie chciałam jednak jechać do kostnicy szpitalnej. Tam była tylko śmierć, a ja pragnęłam zapamiętać go takim, jakim był, gdy jeszcze tętniło w nim życie. Przywołać jego uśmiech, dumę i siłę.

W pośpiechu zebrałam splątane blond włosy w kucyk, na plecy narzuciłam znoszoną puchówkę, z której zaczynały wychodzić białe kłęбки wypełnienia, i odnalazłam klucz do mieszkania ojca. Wisiał

w korytarzu, na breloku z rzemienia zaczepionego o haczyk. Przed oczyma natychmiast stanął mi wieczór sprzed lat, gdy ojciec zaplatał go, siedząc na drewnianym taborecie w kuchni. Uśmiechnęłam się do tego widoku, ściskając w dłoni klucze.

A więc tak to będzie teraz wyglądać, pomyślałam. Przedmioty będą przenosić mnie w czasie, dopóki obrazy w pamięci się nie zetrą. Nie wiedziałam jeszcze tylko, że wiele z moich wspomnień zostało starannie zbudowanych na kłamstwie. A to, co nazywałam pamięcią, było jedynie iluzją.

Siedząc w taksówce, próbowałam przypomnieć sobie barwę jego głosu, a kiedy nie zdołałam, zrobiło mi się wstyd. Cholerne poczucie winy znów podchodziło do gardła, karcąc mnie za wszystkie niewykonane telefony i brak czasu. A może brak odwagi? Ale kto mógł przewidzieć taki koniec? Ojciec niedawno przekroczył sześćdziesiątkę, wiedziałam, iż nie będzie żył wiecznie, ale wmawiałam sobie, że gdy przyjdzie pora, będę gotowa, przecież taka jest kolej rzeczy. Najwyraźniej jednak okłamywałam samą siebie. Bo czy można być przygotowanym na trzęsienie ziemi, tsunami albo inne kataklizmy? Przejść je łagodnie, wierząc w naturalny porządek świata? Nie byłam tego pewna.

Wyskoczyłam z taksówki i pognałam do budynku, by jak najszybciej ukryć się przed światem. Rozpaść się już w samotności, a nie pod ostrzałem czujnych spojrzeń przechodniów. Winda w bloku ojca jak na złość nie chciała przyjechać. Wduszałam raz po raz okrągły przycisk, mocniej i mocniej, jakby to miało w czymś pomóc, ale ona tylko kpiła sobie ze mnie. Wściekła ruszyłam w stronę schodów, przeskakiwałam po kilka stopni, a gdy znalazłam się na szóstym piętrze i dysząc z wysiłku, otworzyłam drzwi, powitał mnie znajomy zapach płynu do podłóg.

Ojciec w przeciwieństwie do mnie był pedantem. Praktykował ten styl życia, zanim stał się modny, przed erą Perfekcyjnej Pani Domu. Wszystko w jego świecie miało swoje miejsce, odpowiednią

szufladkę. Na półkach książki ustawione w porządku alfabetycznym dumnie prężyły swoje grzbiety, ubrania w szafkach wydawały się ułożone od linijki, a puste blaty lśniły czystością. Żadnych bibelotów, zbieraczy kurzu ani fotografii oprawionych w tandetne ramki.

Przekopywałam się przez ten krajobraz, z niedowierzaniem kręcąc głową. Nigdzie jednak nie mogłam znaleźć starej drewnianej skrzynki ze zdjęciami. Nie było jej na regale ani w biurku, a przecież ojciec zawsze trzymał pamiątki w gabinecie. Dla pewności sprawdziłam jeszcze sypialnię, ale i tu czekało mnie rozczarowanie. Kasetka jakby wyparowała.

Nowy wybuch irytacji spowodował, że zaczęłam wyciągać szuflady na oślep i grzebać w nich zachłannie, jak ludzie w koszykach na wyprzedazach. Musiałam znaleźć te cholerne zdjęcia. Teraz to już nie była zachcianka, tylko konieczność. Moje być albo nie być, ostatni bastion, którego zamierzałam zawzięcie bronić. Wściekle trzaskałam drzwiczkami szafek. Wreszcie mogłam wyżyć się na ojcu za to, że mnie zostawił tak nagle i bez żadnego ostrzeżenia. Z satysfakcją patrzyłam, jak równe prostokąty ubrań lądują na podłodze, zmieniając się w nieforemną stertę. Na widok papierów i długopisów rozrzuconych wokół biurka odczuwałam niemal zadowolenie. A kiedy wreszcie chwyciłam buteleczkę z atramentem marki Waterman i zamierzałam rozlać go na kremowym dywanie, by dopełnić dzieła zniszczenia, targnął mną niespodziewany szloch.

Nie byłam zła na ojca, tylko na samą siebie. Powoli, ocierając łzy, odkładałam rzeczy na miejsca. Ten krótki akt wandalizmu stanowił jedynie kolejną próbę ucieczki przed prawdą o tym, że jego już nie ma i nie będzie. Oblizyłam spierzchnięte wargi, a następnie schyliłam się po szufladę, którą wcześniej wyrwałam z biurka. Była pusta jak ja teraz. Uniosłam ją i planowałam na powrót umieścić w ziejącej czernią przestrzeni mebla, gdy zauważyłam, że jest dziwnie płytka. Wewnętrzne dno sięgało mniej więcej do połowy frontu, ale gdy odwróciłam szufladę spodem do góry, okazało się, że

drewniana sklejka na dole dociera niemal do jego końca. Podwójne dno, stwierdziłam. Czyżby ojciec coś ukrywał?

Zmarszczyłam brwi w zamyśleniu, nie mogąc uwierzyć, że ktoś taki jak on mógł mieć tajemnice. A może tkwiłam w błędzie, może wszyscy je mamy, nawet ludzie tak bardzo hołdujący prawdomówności jak Dariusz Lenart. O ile oczywiście to nie one mają nas.

Rozejrzałam się w poszukiwaniu narzędzia, które pozwoliłoby mi dostać się do skrytki. Wokół leżały jedynie eleganckie długopisy, klipsy do papieru i pudełko zszywek. Wreszcie mój wzrok wyłowił z morza przedmiotów uchwyt metalowych nożyczek. Podniosłam je z bijącym coraz szybciej sercem i policzkami płonącymi ciekawością. Końcówka ostrza bez trudu wślizgnęła się między zewnętrzne dno a front szuflady. Cienka sklejka drgnęła, co wywołało we mnie zawahanie. Dłonie zawisły w powietrzu, niepewne tego, co powinny teraz zrobić. Każdy szmer dochodzący z klatki schodowej potęgował niepokój. A jeśli dowiem się o ojcu czegoś, co zburzy jego dotychczasowy wizerunek? To droga bez powrotu – gdy już raz zajrzę do schowka, nie będę mogła go przecież zamknąć i udawać, że nigdy nie widziałam jego zawartości. Ta tajemnica może wpłynąć nie tylko na moją przyszłość, ale też na pamięć o dziadku we wspomnieniach Ignasia. Czy naprawdę jest mi to potrzebne? – pytałam samą siebie, tocząc wewnętrzną walkę. Westchnęłam ciężko, a potem ostrożnie, niczym saper rozbijający bombę, kciukami wysunęłam dno szuflady.

Kiedy moim oczom ukazały się dziesiątki listów w pożółkłych kopertach, zamarłam. Dopiero po chwili zdołałam chwycić je w dłonie. Na każdej z nich drobnymi literami zapisane było moje imię i panięskie nazwisko. Zuzanna Lenart. Listy przychodziły najpierw na adres w bloku z wielkiej płyty, a następnie tutaj. Jakby ktoś dokładnie wiedział, gdzie mnie szukać. Daty na stemplach pocztowych świadczyły, że nadawano je co roku od dwudziestu czterech lat. Zawsze piętnastego czerwca. W dzień moich urodzin.

To wszystko wydawało się tak nierealne, że aż zakręciło mi się w głowie. Pokój zatańczył, świat stracił ostrość i gdybym nie przytrzymała się oparcia krzesła, z pewnością bym upadła.

Przymknęłam powieki, wypuszczając ze świstem nagromadzone w płucach powietrze. Oddech stopniowo się uspokajał, ręce nie drżały już tak bardzo. Obróciłam więc kopertę w palcach i otworzyłam oczy, gotowa zmierzyć się z tym do końca.

Nadawcą tego listu, jak i kolejnych dwudziestu czterech, była Małgorzata Lenart.

Moja nieżyjąca matka.

Problem w tym, że według słów ojca ona umarła krótko po tym, jak skończyłam pięć lat. A zmarli, o ile mi wiadomo, nie wysyłają listów.

Patrzyłam niemo w okno, za którym wiatr targał gałęziami drzew podobnie jak mną wątpliwości. Czy te listy naprawdę zostały napisane przez moją matkę? Dlaczego ojciec je ukrył? I czy to możliwe, że przez tyle lat mnie okłamywał?

Istniał tylko jeden sposób, by się o tym przekonać. Musiałam je otworzyć.

1990

*

Granatowy T-shirt przyklejał się do pleców mężczyzny, a krople potu lśniły na ogorzałej od słońca skórze. Powietrze gęste niczym zawieszona zupa raz po raz przecinała ją jakaś leniwa mucha, która w czerwcowej spiekocie szukała schronienia. Romek Babicz jadący na swoim pomarańczowym jubilate pedałowal tak szybko, że z wysiłku poczerwieniał na twarzy. Podskakujący na wybojach metalowy dzwonek roweru wydawał z siebie niekontrolowane brzęknięcia. Za składakiem na nieutwardzonej piaskowej drodze unosiły się tumany kurzu, w promieniach słońca przypominające kłęby dymu. Mężczyzna odkaslnął zbierający się w gardle pył i z ulgą skręcił w asfaltową drogę. Powietrze nad nią wydawało się rozedrgane, przez co wyglądało jak mgła. Odległe kontury domostw migotały, a na jezdni rysowały się kształty nieistniejących kałuż, będących jedynie złudzeniem optycznym. Babicz otarł przedramieniem zroszone czoło. Staral się kryć w cieniach nielicznych drzew, ale słońce i tak bezlitośnie lizało jego kark.

Kiedy dotarł do ogrodzenia z metalowej siatki, zeskoczył z roweru i pchnął skrzypiącą furtkę, ozdobioną żółtym banerem z napisem MECHANIK oraz obrazkiem dwóch skrzyżowanych ze sobą kluczy płaskich. W przezroczystej reklamówce na kierownicy jubilata kołysało się podłużne tekturowe pudełko, które mężczyzna odebrał

ze sklepu motoryzacyjnego. Części zapasowe potrzebne dla klienta mającego zjawić się lada chwila. Opakowanie stuknęło teraz o koło, wydając przy tym głuchy odgłos, a z posesji sąsiada dobiegały dźwięki nowego hitu *It Must Have Been Love* zespołu Roxette.

Romek oparł składaka o ścianę warsztatu, zabrał zakupy, a następnie wkroczył do swojego królestwa pełnego narzędzi, olei i kabli. Jego ciało musnął przyjemny chłód, a w nozdrza uderzył go znajomy zapach smaru i benzyny. Ze ściany zerknęła skąpo ubrana modelka w kostiumie kąpielowym w panterkę, zmysłowo wyginająca ciało na plaży. Babicz szukał w jej spojrzeniu pocieszenia, ale nawet dziewczyna czerwca nie była w stanie go uspokoić.

Na dobrą sprawę zakład należał do ojca Romka, Jerzego Babicza, o którym w okolicy mówiono, że od narodzin skazany był na życie wśród samochodów. Senior rodu przyszedł na świat na tylnej kanapie FSO warszawy będącej własnością zamożnego sąsiada z końca ulicy, który zgodził się odwieźć samotną ciężarną kobietę do szpitala. Na zewnątrz szalała wtedy sroga zima, auto brnęło przez zaśnieżone drogi, aż w końcu utknęło na odcinku między polami, gdzie gwiżdżący wiatr nawiewał kopce białego puchu. To właśnie tam, wśród krzyków i ku przerażeniu uczynnego znajomego, narodził się mały chłopiec o fioletowej, pomarszczonej skórze. Gdyby z zasy nie wyciągnął ich wtedy przejeżdżający traktor, słaby Jureczek zmarłby na rękach swojej matki, a Romek nigdy nie pojawiłby się na świecie. Los zdecydował jednak inaczej, okazał rodzinie Babiczów łaskawą twarz.

Tyle że fortuna bywa przewrotna i skoro opatrzność długo ich obdarzała, to nieuniknionym było, że któregoś dnia będzie musiała zacząć odbierać.

Romek był tego pewien jak nikt inny.

Dwudziestoczterolatek zdjął mokry T-shirt, odsłaniając umięśnione plecy, na które pospiesznie narzucił flanelową koszulę w czerwono-czarną kratę, swój najwygodniejszy strój roboczy. Podwinął rękawy, zmienił spodnie, ochlapał twarz lodowatą wodą z kranu,

a pokaleczone dłonie trzykrotnie wyszorował mydłem, bo cały czas wydawały mu się brudne. Zamierzał właśnie obudzić ojca z poobiedniej drzemki, ale na szafce narzędziowej, obok butelki po oranżadzie Płyś, dostrzegł paczkę czerwonych marlboro Jerzego. Wprawdzie sam rzucił palenie niecałe trzy lata wcześniej, gdy urodził mu się syn, jednak tego dnia dopadła go niepoohamowana potrzeba wypełnienia płuc nikotyną.

Z papierosem w jednej i zapalniczką w drugiej dłoni wyszedł przed zakład. Żar lał się z nieba od wielu dni, sprawiając, że mizerny przydomowy trawnik żółkł coraz bardziej. Pograżony w myślach Babicz zaciągnął się smolistym dymem. Ten jednak nie smakował jak dawniej ani nie przynosił znajomej ulgi. Był ciężki i gorzki jak to popołudnie, które mężczyzna miał zapamiętać do końca życia.

Na podjazd wtoczył się lśniący w słońcu czarny mercedes. Zza kierownicy srogo spoglądał Staszek Górka, stały klient Babiczów i miejscowy biznesmen, który handlował sprowadzonym z Zachodu sprzętem AGD. Znany był ze skąpstwa, mrukliwości oraz wiecznie niezadowolonej miny. Skinął na Romka z oddali, lecz zanim zdążył wysiąść z samochodu, z domu Babiczów wybiegł Jerzy.

Otyły mężczyzna z potarganą fryzurą, czerwoną twarzą i dłonią odcisniętą na policzku bez wątpienia przed momentem się obudził. Nerwowość w jego ruchach kazała sądzić, że wydarzyło się coś złego. Sapiąc, obuty jedynie w kapcie wsunięte na gołe stopy, z rozchełstaną koszulą gnał w stronę syna, który na widok ojca w popłochu rzucił papierosa na betonową wylewkę i przydepnął go butem, jakby nadal był wąsatym podrostkiem przyłapanym na gorącym uczynku, a nie dorosłym facetem.

– Leć na policję, Romek! – zawołał Jerzy, ściskając syna za ramię. Pachniał piwem, miał mętny wzrok i ledwie mógł złapać oddech. – Twoja Ela już tam jest. Podobno Kubuś zaginął, musisz złożyć zeznania.

Młody Babicz otworzył szeroko usta, po czym spod zmrużonych powiek posłał ojcu spojrzenie pełne niedowierzania.

– O czym ty mówisz? Przecież mały pojechał z Elą do teściowej. Jakim cudem miałyby zaginąć?

– Nie wiem, kurwa, nie wiem! Tłumaczę ci tylko, że dzwoniли z komendy, żebyś się u nich jak najszybciej stawiał.

– Ale co dokładnie powiedzieli?

– Że szukają go wszędzie już od kilku godzin, i nic.

– I dopiero teraz się odezwali?

Jerzy przecząco pokręcił głową.

– Chwilę temu znalazłem wiadomość na sekretarce. Musieli ją zostawić wcześniej, ale nie słyszałem telefonu. Ten cholerny upał mnie wykończył i spałem jak zabity.

Żeby tylko upał, pomyślał zgryźliwie Romek, po czym zachwiał się, a następnie pobladał, jakby sens słów ojca niespodziewanie do niego dotarł. Początkowo mężczyzna cofnął się do warsztatu, mamrocząc coś pod nosem, ale nie potrafił sobie przypomnieć, po co w ogóle tam poszedł. Przez dłuższy czas patrzył na nasmarowane olejkami ciało dziewczyny czerwca, jednocześnie wsłuchując się w miarowe tykanie ściennego zegara, a w końcu złapał saszetkę z dokumentami i wyskoczył na zewnątrz.

Jego policzki zapadły się, wzrok błędził, czerwień odpłynęła z pełnych warg. Z pobliskiej posesji dobiegł dziecięcy śmiech, przywołujący obraz roześmianego trzyletniego Kubusia o błękitnych oczach i skręconych jak sprężynki, jasnych włosach. Mężczyźni spojrzeli po sobie z nadzieją, ich ciała napięły się, gotowe, by ruszyć w stronę dźwięku, ale wówczas dziecko zawołało mamę i zrozumieli, że to dziewczynka. Stary Babicz zacisnął zęby, rzucając pod nosem przekleństwo.

– Nie martw się, tato, dam ci znać, jak tylko się czegoś dowiem – zapewnił Romek, chwytając kierownicę roweru. – To na pewno tylko jakaś pomyłka.

Jerzy pokiwał uspokajająco głową, choć wyraz jego twarzy nie potwierdzał, że miał w sobie równie dużo nadziei co syn. Pionowa zmarszczka na czole, opadające kąciki ust i zaszklone oczy

zdradzały smutek. A jednak pozwalał Romkowi karmić się złudzeniami słodkimi jak landrynki. Bo nawet gdyby miały mu zaszkodzić, w tej krótkiej chwili łagodziły gorycz niepewności.

– Niech pan się nie wygłupia z tym rowerem! – zawołał Staszek Górka, który od jakiegoś czasu przysłuchiwał się rozmowie mechaników. – Proszę wsiadać, podwiozę pana na komendę. Robota przecież może poczekać.

Młody Babicz podziękował cicho, a kiedy ruszyli, utkwiał wzrok w srebrnej klamce na drzwiach, jakby zamierzał je otworzyć i wyskoczyć na jezdnię. Radio samochodowe nadawało właśnie wiadomości, w których mówiono o protestach rolników i narastającym konflikcie między liderem Solidarności Lechem Wałęsą a rządem Tadeusza Mazowieckiego. Mechanik rejestrował jednak tylko pojedyncze słowa, niemo, niczym zahipnotyzowany skubał skórki wokół paznokci, sprawiając, że na palcach pojawiały się drobne krople krwi. Po informacjach o mistrzostwach świata w piłce nożnej, w których po raz pierwszy od dwudziestu lat zabrakło polskiej reprezentacji, poirytowany wyłączył radio. Korzenny zapach wody kolońskiej w samochodzie Górki drażnił go, podobnie jak słowa otuchy padające z ust kierowcy. Sam nie podejmował dialogu w obawie, że jeśli to zrobi i choćby uchyli wargi, z emocji zwymiotuje na skórzaną tapicerkę. Godnie zniósł wyrazy współczucia, rozważania o tym, jakie to musi być straszne stracić swoje dziecko z oczu nawet na kilka chwil, i komplementy pod adresem Kubusia. Przestał się kontrolować dopiero przy słowach „wszystko będzie dobrze”.

– Zamknij się! – warknął, uderzając pięścią w podłokietnik.

Bo niby skąd ktoś mógł wiedzieć, czy cokolwiek jeszcze będzie dobrze? To brzmiało jak naiwne zaklęcie, które z reguły prowadziło donikąd. Poza tym Romek nie znosił częściej gadaniny, wołał rozsądnie milczeć niż paplać bez sensu.

Staszek Górka musiał poczuć się dotknięty wybuchem pasażera, bo skóra na jego policzkach napięła się, a dłonie ścisnęły kierownicę

tak mocno, że aż pobiełały mu kostki. Od tej chwili żaden z nich nie wypowiedział już ani jednego słowa. Zatopieni w szumie chłodzącej wentylacji oddawali się własnym rozmyślaniom.

Był jeszcze jeden powód, dla którego Babicz zareagował tak ostro na próbę pokrzepienia. Czuł całym sobą, że nigdy już nie będzie dobrze i że coś zmieniło się bezpowrotnie.

Gutek miał odstające uszy, ogromne, wiecznie zdziwione oczy i nadłamaną górną jedynekę. Szesnastolatek z powodu swojej kościstej budowy oraz pokaźnego wzrostu w szkole zyskał przezwisko „Długi”. Wprawdzie był typem łobuza, ale zdecydowanie z gatunku tych słodkich, którym dużo się wybacza, bo ich największe przewinienia to parodiowanie nauczycieli, wypite nielegalnie piwo czy sporadyczne podglądanie koleżanek przebierających się po zajęciach z wychowania fizycznego.

W dniu, w którym zaginął Kuba Babicz, Gutek był od rana mocno podekscytowany. Biegał niespokojnie po mieszkaniu, pogwizdując pod nosem skoczną melodię. Za kieszonkowe z emerytury babci i pieniądze, które dostał dzień wcześniej w skupie za butelki po browarach ojca, planował kupić używanego discmana. Oczyma wyobraźni już widział siebie leżącego na jednym ze stogów siana w polu niedaleko starej żwirowni, ze źdźbłem trawy w ustach i słuchawkami na uszach, nucącego przeboje Jona Bon Joviego. Na samą myśl o tym błyszcząły mu oczy, a stopy wystukiwały skoczny rytm.

Pierwsze trzy lekcje stanowiły udrękę. Chłopak nie potrafił się skupić, rysował w zeszycie emblematy ulubionych zespołów i prawie w ogóle nie słyszał, co mówili do niego nauczyciele. Z niecierpliwością wyglądał przez okno, wypatrując rudego dzieciaka, od którego miał kupić odtwarzacz płyt. I kiedy w końcu go zobaczył, skłamał, że musi natychmiast wyjść do toalety, po czym jak na skrzydłach pognał na dziedziniec, ściskając w spoczonej dłoni banknoty.

– Masz kasę? – zapytał stojący za bramą zawodówki chłopak w wieku Gutka, o ognistej czuprynie.

– No jasne, trzymaj. – Oddając z trudem uciulane pieniądze, nie żałował ani grosza, jego wzrok śledził przezroczystą siatkę z przenośnym odtwarzaczem Sony w środku i tylko to miało dla niego znaczenie. Ta bliskość upragnionego przedmiotu, symbolu wolności.

Sprzedający przeliczył kwotę, po czym cmoknął z niezadowoleniem.

– Dobra, niech ci będzie. Na pamiątkę starych dobrych czasów. – Wręczył mu reklamówkę. – Jest twój – dodał z dziwnym uśmiechem wyższości.

Rudzik niegdyś mieszkał w tym samym bloku co Gutek, chłopcy chodzili razem do podstawówki i spędzali ze sobą sporo czasu, bawiąc się na podwórku w chowanego, wojnę i podchody. Być może zostaliby przyjaciółmi, takimi na dobre i na złe, którzy później świadkują sobie na ślubach albo wybierają się wzajemnie na rodziców chrzestnych swoich dzieci, ale ojciec Rudzika zaczął wyjeżdżać do Stanów. Zarabiał tam grube zwitki dolarów, za które rodzina Rudzkich mogła robić zakupy w Pewexie i stawać się coraz bardziej wytworna, a zarazem obca. Wkrótce wyprowadzili się na obrzeże miasta do trzypiętrowego domu, przed którym zaparkowali poloneza o błyszczącej karoserii, raz na zawsze zrywając relacje z Gutkowskimi. Kiedy jeden z chłopców poszedł do lokalnego ogólniaka, drugi zaś trafił do zawodówki, zniknęły ostatnie preteksty do podtrzymywania znajomości i dziecięca przyjaźń uschła jak długo niepodlewana roślina.

Pewnego popołudnia Rudzik przyjechał odwiedzić babcię na dawnym osiedlu. Wpadli na siebie na klatce schodowej i od słowa do słowa Gutek wyznał, że marzy o discmanie, a Rudzki zaoferował mu transakcję.

Teraz Gutek uśmiechał się szeroko, bez wstydu prezentując swoją uszkodzoną jedynkę. Kiedy rozrywał foliową siatkę, jego palce

dygotały. Ze środka wyciągnął słuchawki na metalowej opasce z czarnymi gąbkami chroniącymi głośniki. Natychmiast założył je na szyję, a po chwili wydobył kartonowe pudełko z odtwarzaczem. Rudzik obserwował rumieńce na policzkach chłopaka, gdy je otwierał, oraz wyraz zawodu w jego oczach, kiedy jedynym, co znalazł w środku, okazały się pogniecione strony starych gazet.

– To jakiś żart? Gdzie discman? – dopytywał Gutek, który nie mógł zdecydować, czy jest bardziej smutny, czy zły.

Rudzik prychnął.

– Jak sobie zarobisz i będzie cię stać, to se kupisz, naiwniaku – drwił. – Na razie wystarczyło ci tylko na słuchawki, ale nie byle jakie, amerykańskie. – Zachichotał.

– Gnojek z ciebie.

– Lepszy gnojek niż frajer. Wracaj do tej swojej zawodajki i zakuwaj, to może kiedyś do czegoś dojdiesz. – Rudzik pokazał mu środkowy palec, a następnie włożył ręce do kieszeni i ruszył w dół ulicy, śmiejąc się szyderczo.

Gutek był tak wściekły, że zerwał z szyi słuchawki, rzucił je na ziemię i skakał po nich, aż plastikowe części popękały z trzaskiem. Wtedy zrozumiał swój błąd. Dysząc, kucnął na chodniku i w popłochu usiłował poskładać wszystkie elementy, jakoś je naprawić, a kiedy pojął, że to niemożliwe, potwornie się rozplakał.

Nie wrócił już na lekcje. Poszedł na pola, z palącym ogniem w trzewiach. Jeszcze do niedawna wydawało mu się, że świat nie zawsze jest do końca sprawiedliwy i nie zawsze wynagradza uczciwość, a teraz był o tym przekonany. Rzeczywistość składała się z ofiar i drapieżników. Jedni nieustająco wygrywali, drudzy musieli się pogodzić ze swoim marnym losem.

Tamtego dnia, gdy czara goryczy się przelała, Gutek zdecydował, że on także stanie się drapieżnikiem.

Najlepszym, jakiego kiedykolwiek sam widział.

Wyskoczywszy z mercedesa, mechanik pognał na komendę, nie oglądając się za siebie. Czuł, jakby biegł w jednym z tych koszmarów sennych, gdy nogi grzęzną w gęstej melasie, uniemożliwiając ucieczkę przed czymś przerażającym. Łomot pchniętych z impetem drzwi wejściowych uderzających o ścianę przyciągnął spojrzenia funkcjonariuszy, a dotychczasowy gwar przeistoczył się w pełną napięcia ciszę.

– Nazywam się Roman Babicz. Dostałem wiadomość, że mój syn zaginął. Powiedzcie, że go odnaleźliście, błagam – prosił łamiącym się głosem, ściskając w dłoniach zdjętą z głowy czapkę z daszkiem.

Jeden z policjantów odłożył słuchawkę na widełki telefonu i podszedł do niego. Już sam zatroskany wyraz twarzy mężczyzny zirytował mechanika do głębi.

– Bardzo mi przykro, proszę pana, ale nadal szukamy pańskiego syna – wyjaśnił policjant. – Proszę pójść za mną, sprowadzę kogoś, kto z panem porozmawia i wszystko wytłumaczy.

Funkcjonariusz położył dłoń na ramieniu Babicza, ale ten natychmiast ją strząsnął.

– Zabieraj łapska! Chcę wiedzieć, gdzie są moja żona i mój syn!

– Doskonale pana rozumiem – kontynuował policjant głosem miękim jak przyjemny koc. – Żona składa zeznania, niedługo będą się mogli państwo zobaczyć. Pójdziemy teraz do drugiego pokoju i tam dowie się pan wszystkiego.

Mężczyzna patrzył na Romka wyczekująco. Musiał mieć doświadczenie w takich rozmowach, nie ponaglał go, nie wywierał presji i nie próbował więcej przekraczać fizycznej bariery. Być może zrozumiał, że dotyk w podobnych sytuacjach przypomina wkładanie palców do niezagojonej rany. Rozsierdza i pali.

Babicz zwilżył językiem wargi, po czym ledwie zauważalnie kiwnął głową i powlókł się za funkcjonariuszem. Gdy zniknęli za załomem korytarza, za ich plecami przetoczyło się westchnienie ulgi i szept wymienianych komentarzy. Wszystko działo się niczym w zwolnionym tempie. Roman położył dłoń na ścianie i podążał

dalej, wodząc palcami po jej chropowatej powierzchni. Szedł zgarbiony, ze spuszczoną głową i nieobecnym wzrokiem; sportowe buty na jego stopach głucho dudniły o poprzecieraną wykładzinę.

– Proszę tu poczekać. – Funkcjonariusz wskazał wewnątrz niewielkiego pokoju, wyposażonego jedynie w stół i cztery krzesła.

– Na co mam niby czekać?! Ma pan pojęcie, że każdą minutę, którą tu przez was marnuję, mógłbym wykorzystać na szukanie mojego syna? Na litość boską, on nie ma jeszcze nawet trzech lat, a wy mi nadal nic nie mówicie!

Policjant drgnął, ale nie cofnął się przed wściekłością zrozpaczonego ojca. Po drugiej stronie korytarza skrzypnęły drzwi, zza których wyszedł komendant Leszek Suski w towarzystwie swojego syna Bernarda o stopniu aspiranta. Dwóch postawnych mężczyzn o blond włosach, szerokich barkach i mocno zarysowanych szczękach, wyglądem przypominających agentów z amerykańskich filmów sensacyjnych, które mechanik czasami oglądał. Ich kroki odbijały się echem w ciasnym przejściu. Obaj mieli poważne miny: usta zwarte w wąskie kreski i ciemne, nabiegłe gniewem spojrzenia. W Romku na ten widok coś jakby pękło, jego ramiona opadły, twarz poszarzała, a kąciki warg wykrzywiły się ku dołowi. Przypominał teraz człowieka, z którego niczym z dziurawego balonika uszło całe powietrze, a wraz z nim wola życia.

– Dzięki, stary, biegnij jeszcze podzwonić – zwrócił się komendant do policjanta, który przyprowadził Babicza. – Sprawdź też, czy w Kryształce mieli jakąś kamerę, dobrze? – Kiedy mundurowy kiwnął głową i się oddalił, Suski otworzył szerzej drzwi pokoju przesłuchań. – Niech pan wejdzie – rzucił do mechanika.

Babicz nie wiedział, jak do tego doszło, ale po chwili siedział już na trzeszczącym krześle przy stoliku z pobrudzonym blatem. Naprzeciw niego znajdował się komendant, a nieco z boku aspirant pochylony nad stosem kartek. Niewiele starszy od Romana Bernard z zapalem skręcał długopis, który chwilę wcześniej rozpadł się w jego rękach.

Umieścił w plastikowej obudowie wkład i kilka razy pstryknął nim, chcąc zyskać pewność, że wszystko zadziała jak należy.

Ojciec Kubusia obserwował go wnikliwie. Znali się od kilku lat, wypili razem niejedną butelkę w warsztacie, gdy do późna rozmawiali o zyskach, jakie mógłby im przynieść wspólny biznes – sprowadzanie uszkodzonych samochodów z Zachodu, remontowanie ich u Babiczów i wreszcie sprzedaż. Szkopuł tkwił jednak w tym, że z dziesiątek obietnic, które składał Bernard Suski, większość pozostawała bez pokrycia. Zawsze po drodze wydarzało się coś ważniejszego, angażująca praca w policji, kłopoty z narzeczoną, a w szczególności imprezy i dziewczyny. Pewnego dnia Romek zrozumiał, że nigdy nie zrealizują żadnej z kuszących fantazji snutych wieczorami na brudnej podłodze zakładu, i rozczarowany odsunął się od Bernarda.

Teraz Babicz zwarł palce ze sobą, przełknął nadmiar śliny, a gdy zrobiło mu się nieswojo, wcisnął dłonie pod pachy.

– Musimy zadać panu kilka pytań, to nam pomoże w poszukiwaniu dziecka – oznajmił komendant. – Zaczniemy od tego, kiedy ostatnio widział pan swojego syna.

Twarz przesłuchiwanego wykrzywił skurcz.

– Chciałbym najpierw usłyszeć...

– Za chwilę – uciął ostro komendant. – Teraz proszę odpowiedzieć na pytanie.

Mechanik potarł czoło i westchnął.

– Rano. Kubuś przybiegł do naszego pokoju i jak zawsze wskoczył do łóżka. Łaskotaliśmy się jakiś czas, a później Ela zawołała nas na śniadanie.

– Co stało się potem?

– Nic niezwykłego. – Roman wzruszył ramionami. – Poszedłem do pracy, bo w zakładzie czekał już na mnie ojciec, a Ela wzięła samochód i pojechała z małym do swojej matki. Mieli wrócić wieczorem na kolację.

– Jakieś kłótnie, problemy w małżeństwie, coś, co mogło przstraszyć dziecko, skłonić je do ucieczki?

– Nie, nic tych rzeczy.

– Czy w ciągu dnia kontaktował się pan z żoną albo widział syna?

– drążył Leszek Suski.

Roman pokręcił głową, nieufnie mrużąc oczy, jakby docierało do niego, że policjant weryfikuje właśnie, czy to nie sam przesłuchiwany stoi za zniknięciem dziecka. I choć była to standardowa procedura, w której śledczy musieli wykluczyć z grona podejrzanych najbliższą rodzinę, to kłuła jak kolce dzikiej róży.

– Chce pan powiedzieć, że cały dzień spędził w warsztacie samochodowym ojca i nie zbliżał się pan w okolice domu towarowego Kryształ? – doprecyzował komendant.

– Nie było mnie tam, dlaczego to was tak interesuje? Niech mi ktoś, do licha, w końcu wyjaśni, co się wydarzyło!

– Proszę odpowiedzieć do końca.

– To są jakieś żarty? – oburzył się Babicz. – Mój syn błąka się gdzieś sam, przerażony i głodny, a wy zadajecie jakieś idiotyczne pytania. Oczywiście, że siedziałem cały dzień w robocie, gdzie niby miałbym być? Wyskoczyłem tylko na chwilę odebrać zamówienie ze sklepu motoryzacyjnego. Zadowolony? Mogę już iść szukać dziecka czy dalej będziemy tracić czas?

Aspirant Suski, który dotychczas skupiony był na notowaniu, podsunął mechanikowi nietkniętą szklankę z gorącą i czarną jak smoła kawą po turecku.

– Uspokój się, Romek, nikt ci niczego nie zarzuca, musimy po prostu zebrać wszystkie informacje – odezwał się pojednawczo. – Wiesz, co twoja żona mogła robić w Kryształu?

– Nie mam pojęcia. Mówiłem już, że wyjechała z Kubą rano. Nie wiedziałem nawet, że wybierają się na zakupy, mieli spędzić dzień u babci, jak zwykle. Nie mogę uwierzyć, że to się w ogóle dzieje... Czy to tam zaginął? – Gdy Bernard potwierdził, oczy mechanika

zaszklili się, pociągnął nosem, po czym ukrył twarz w dłoniach. – Przepraszam – wymamrotał i zaczął płakać.

Plecy mężczyzny drgały, targane niemożliwym do dalszego tłumienia smutkiem. Cała jego hardość uleciała, przez co sprawiał wrażenie tak kruchego, że gdyby mocniej tknąć go palcem, rozpadłby się na kawałki.

– Czy twój ojciec mógłby podjechać do nas i potwierdzić, że cały czas przebywałeś na posesji? – zapytał ostrożnie Bernard Suski. – Oczywiście poza tym momentem, gdy wyskoczyłeś do sklepu.

Babicz uniósł mokrą od łez, czerwoną twarz. Prychnął, a następnie zrezygnowany kiwnął głową.

– Coś jeszcze czy mogę już porozmawiać z żoną?

Aspirant spojrzał na komendanta, który podniósł ciężkie ciało zza stołu i bez słowa wyszedł na korytarz. Romek zacisnął drżące dłonie w pięści, wbijając spojrzenie w Bernarda.

– To koniec, nie wytrzymam tego – wyszeptał, nachylając się w stronę kolegi.

– Dasz radę, stary – rzucił tamten i nim zdążył coś dodać, do pokoju weszła Elżbieta Babicz, odprowadzana przez policjantkę.

Twarz miała napuchniętą od płaczu, a na niebieskiej bluzce rysowały się wilgotne plamy od łez. Wytarła czerwony nos w pomiętą chusteczkę, po czym z lękiem zbliżyła się do męża i przywarła do niego całym ciałem. Początkowo trwali niemo w objęciach, niczym rozbitkowie na dryfującej tratwie, zdani tylko na siebie. On zanurzył twarz w jej włosach, ona zdołała wziąć pierwszy od kilku godzin głębszy wdech. Wreszcie z jej gardła doleciał dziwny pisk, dźwięk zbyt długo połykanego bólu, który po chwili zmienił się w lament.

– Przepraszam, kochanie. To wszystko moja wina – wyrzucała z siebie między kolejnymi falami szlochu.

– Ciii... – wyszeptał jak do małego, przestraszonego dziecka, całując jej policzki i obejmując ramiona. – Powiedz mi, proszę, co się stało? Nic z tego wszystkiego nie rozumiem.

– Gdybyśmy zostali u mamy, nic by się nie wydarzyło, ale przyjechała moja siostra z Zosią i wyciągnęła nas na zakupy – chlipała. – Dzieciaki były przeszczęśliwe, dostały lody, Kubuś mógł polatać helikopterem, wiesz, takim na monety, ze światłami i głośną syreną... – Westchnęła ciężko. – A potem zaczęły się ganiać i coraz trudniej było nam je opanować. Obie stwierdziłyśmy, że pora wracać do domu. Weszłam jeszcze tylko po mięso na obiad. Kuba stał obok mnie, trzymał rączką za rąbek sukienki, a potem podszedł do drzwi obejrzeć automat z gumami balonowymi. Był tam przez cały czas, przysięgam, zerkiałam na niego, ale kiedy sięgnęłam po portfel, na moment spuściłam go z oczu, i to wystarczyło. – Kobieta zalała się łzami. – W jednej chwili tam był, a w następnej zniknął. Ktoś powiedział, że wyszedł na zewnątrz. Spanikowałam. Wybiegłam ze sklepu, wołałam go, ale przepadł, nie mogłam go nigdzie znaleźć. – Bezradnie pokręciła głową. – Tak bardzo cię przepraszam, Romek.

Babicz tulił do piersi swoją żonę, ale choć kochał ją nade wszystko, w jego trzewiach zaczął tlić się żal o to, że nie upilnowała dziecka. Podstępna złość kusila, by ścisnął kobietę z całych sił, pozbawiając ją tchu, ale czy to przyniosłoby mu ukojenie i przywróciło Kubę? Super w żołądku mężczyzny zaciskał się coraz bardziej, a mdłości wróciły. Słowa Elżbiety docierały do niego jak z zaświatów. Ciche, mętne i dziwne, jakby wypowiedane w obcym języku, którego nie rozumiał.

Dowiedział się, że po zniknięciu dziecka Ela postawiła na nogi ochronę domu towarowego Kryształ i w jej asyście przemierzyła każdy centymetr budynku. Dwa piętra, ponad czterdzieści sklepów i ogromny parking. Przez głośniki w domu handlowym zostały nadane komunikaty o zaginięciu malca. Każdego, kto mógłby w jakikolwiek sposób pomóc, proszono o natychmiastowy kontakt z biurem ochrony. Elżbieta zaczepiała nieznajomych, pytała, czy ktoś nie widział niespełna trzyletniego chłopca o błękitnych oczach, aż do zdartego gardła wykrzykiwała jego imię. Bliska obłądu biegała od sklepu do sklepu, w dłoni ściskając fotografię Kubusia wyjętą

z portfela. Mógł się przecież ukryć gdzieś pod wieszakami na ubrania albo w jakiejś szafce i zasnąć nieświadomy, jakie to wywoła poruszenie. Zaalarmowała również kierowców taksówek, czatujących przed budynkiem na obładowanych zakupami klientów.

W końcu Elżbieta Babicz zatrzymała się pod szklaną kopułą na środku Kryształu. Sufit wirował coraz szybciej i gdy zaczęła szukać ławki, o którą mogłaby się oprzeć, zemdląca. Ocknęła się jakiś czas później z nadzieją, że to wszystko okaże się jedynie złym snem. Mirażem, który przegoni jak papierosowy dym. Ale tak się nie stało.

Jej syn rozpląnął się w powietrzu i nikt nie potrafił pomóc.

Zuzanna, 2015

*

Pierwszy list, nadany w czerwcu tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego roku, wyjęłam z koperty nieśmiało, jakbym obawiała się, że zbyt gwałtowne ruchy spłoszą jego treść i w dłoniach zostanie mi jedynie pusta kartka. Usiadłam na krześle ojca przy jego biurku, nieświadomie wstrzymując oddech. Kiedy rozprostowywałam pożątkły, złożony na czworo papier, drżały mi ręce. Za chwilę to wszystko mogło okazać się wielką pomyłką albo kiepskim żartem, co właściwie nie byłoby takie złe. Do mieszkania wpadliby filmowcy z kamerami na ramionach, ktoś krzyknąłby „Mamy cię!”, na co ja zrobiłabym idiotyczną, zaskoczoną minę, koniecznie z szeroko otwartymi oczami i rozdziawionymi ustami, a wreszcie wybuchłabym niekontrolowanym śmiechem, uwalniającym napięcie minionych godzin. Wszystko wróciłoby do normy, śmierć ojca nigdy by się nie wydarzyła, a listy od matki wyparowałyby jak kamfora. Tyle że były to jedynie pobożne życzenia. Nie dało się cofnąć taśmy życia, szpula cały czas się kręciła, nie pozwalając na powrót do tego, co minione.

Rozłożyłam przed sobą kartkę. Moje oczy przebiegały po nierównych, zdeformowanych literach, jakby pisało je dziecko, a nie dorosła kobieta. Ledwie kilka słów, prostych zdań, obok tłusta plama

i dwa zamazane wyrazy na końcu, których nie dało się odczytać. Zaschło mi w gardle.

Dziś Twoje urodziny, córeczko. Pamiętam. On też by pamiętał. Będą Ci mówić o mnie różne rzeczy, ale nie wierz im. Wszyscy kłamią. Wszyscy.

Czy to naprawdę mogła być ona? W domu mieliśmy jedno czarno-białe zdjęcie, na którym długowłosa blondynka trzymała w ramionach pyzate niemowlę. Od ciągłego dotyku dziecięcych dłoni pogięło się, zaplamilo i przedarło. Zniknęło niepostrzeżenie, jak goście wychodzący po angielsku, a ostatni wizerunek mamy z czasem zatarł się w mej pamięci.

Ojciec wspominał, że była chora i umarła na raka. Nie lubił o niej rozmawiać, za każdym razem, gdy pytałam, robił się spięty, odwracał wzrok, a jego zdania rwały się niczym cienkie nitki. Po kilku próbach uznałam, że swoją dociekliwością sprawiam mu ból, nie pozwalałam zagoić się dawnym ranom i zapomnieć. Wraz ze zrozumieniem skończyły się pytania. Coraz mniej myślałam o zaginionym zdjęciu oraz o kobiecie w sukience długiej do ziemi. Dorastałam jako pólsierota pod okiem ojca, który robił wszystko, by wystarczyć mi za oboje rodziców. Do dzisiaj byłam przekonana, że całkiem nieźle sobie z tym poradził.

Dotknęłam palcem dwóch zamazanych długopisem wyrazów na końcu listu, po czym uniosłam kartkę, by przyjrzeć się im pod światło. Niewiele to zmieniło. Ktoś postarał się, by nabazgrać na nich dziesiątki kresek uniemożliwiających odczytanie słów. Wcisnął długopis w papier z taką siłą, że niemal zrobił w nim dziurę. Co mogło się kryć pod gryzmołami? Czy narysowała je mama, bo wymknęło się jej coś, co nie powinno trafić do sześciolatki? A może ojciec, który w ten sposób cenzurował treść wiadomości, których i tak nigdy mi nie pokazał?

Od liczby pytań szumiało mi w głowie. Oparłam skronie na dłoniach i zacisnęłam powieki tak mocno, że pod nimi zaczęły wirować świetliste plamy. Z sąsiedniego mieszkania dobiegały

dźwięki najnowszego hitu Adele, *Hello*, który kojarzyłam z radia. Wokalistka jak na ironię śpiewała o czasie niezdolnym do uzdrawiania niektórych ran. Parsknęłam śmiechem, jednocześnie otwierając oczy. Organizm w ten sposób radził sobie ze wszystkim, co od rana bez zaproszenia wdarło się w moje życie.

Rozmasowałam zeszywniały kark, a moje palce niespokojnie drgały, gotowe, by sięgnąć po następny list i wszystkie kolejne. Wewnątrz kopert czekały te same rozchwiane litery, które składały się na krótkie życzenia urodzinowe, ostrzeżenia i niejasne zdania o jakiejś tajemniczej osobie. Łapczywie pożerałam słowa, żarłocznie się nimi napychałam, choć brzmiały obco, jak w nieznanym dialekcie. Matka pisała: *On do mnie mówi, wiesz? Przychodzi w snach albo Wiem, kto mu to zrobił.* Wtrącała też dziwne, paranoiczne ostrzeżenia i teorie spiskowe: *Wszyscy są w to zamieszani. Obserwują mnie; Pod żadnym pozorem nie możesz powiedzieć im, kim jesteś lub Nie ufaj nikomu, nawet...* – tu zdanie się urywało, bo dwa ostatnie wyrazy zostały zamazane długopisem.

Powoli dochodziłam do wniosku, że moja matka straciła rozum. Może dlatego ojciec ukrywał ją przede mną, nie chciał, bym musiała się z tym mierzyć. Z jednej strony zabrał mi nadzieję, z drugiej jednak podarował szansę na życie nieobarczone rysą niepoczytalnej matki. Nie potrafiłam zdecydować, co w związku z tym czuję. Złość, smutek i tęsknota mieszały się we mnie niczym składniki wybuchowego koktajlu. Czy gdybym ją знаła i mogła odwiedzać, coś by to zmieniło? Czasami niewiedza bywa błogosławieństwem. Gdy nie wiesz, boli mniej. A może tylko inaczej?

Założyłam za uszy pojedyncze pasma jasnych włosów, które wysunęły się z kucyka, po czym zerknęłam na stemple pocztowe na znaczkach. Wszystkie listy zostały wysłane z tej samej miejscowości, której nazwa absolutnie nic mi nie mówiła. Od czego była jednak stara dobra wyszukiwarka Google? Znalezienie tego miejsca i wskazanie go na mapie zajęło ledwie kilka sekund. Kto by pomyślał, że jeszcze nieco ponad dziesięć lat temu ludzie korzystali

głównie z papierowych map? Dziś już mało kto trzymał je w domu. Świat był teraz na wyciągnięcie ręki, wręcz dosłownie, bo do zwiedzania go wystarczył smartfon z internetem.

Mapa na ekranie telefonu zaprowadziła mnie na północny wschód, do średniej wielkości miasteczka otoczonego przez pola i lasy, które niczym wąż przecinała ciemnozielona wstęga wijącej się rzeki. Czerwone, szare oraz czarne prostokąty dachów widzianych z lotu ptaka nie różniły się niczym od setek innych domów, jakie oglądałam w życiu. Miasto przypominało tysiące podobnych miejscin. Niewielkie działki w większości upstrzone były krzewami, a na tych bardziej okazałych zdołałam wypatrzyć bujniejszą roślinność i kilka ogrodowych basenów z błękitną wodą. Obserwowałam osiedla domów jednorodzinnych poukładanych równo wzdłuż starannie nakreślonych ulic i domki szeregowe sklezione ze sobą jak bracia syjamscy, zastygłe w ciasnych objęciach. Gdzieś w tych zatrzymanych na zdjęciach satelitarnych kadrach mogła być moja matka albo ludzie, których się obawiała. Z tej odległości jednak w oczy rzucały się tylko zielone plamy parków, wyniosłe sylwetki nielicznych bloków i krzyże kościołów. Moją uwagę zwrócił też wielki teren żwirowni i piękne zakole rzeki nieopodal.

Gdzie na tle tego sielskiego pejzażu mogła przebywać matka? Przez ułamek sekundy zapomniałam, że ojciec nie żyje. Tak bardzo potrzebowałam odpowiedzi. Odnalazłam jego numer w wykazie ostatnich połączeń i kiedy już kciuk miał dotknąć ekranu, wszystko wróciło. Cierpki smak w ustach i uczucie dotkliwej pustki. Przypominało uderzenie ciężarówki i rodziło pytania: Czy teraz tak już będzie? Czy za każdym razem będę rozpadała się na kawałki? Tak trudno było zaakceptować fakt, że już nigdy nie odbierze ode mnie telefonu, a ja nie usłyszę jego głosu. Cholera jasna.

Łzy napłynęły mi do oczu, zamrugałam więc, by je przegonić. Dłonie ścisnęły bezwiednie jeden z listów, gniotąc go przy tym.

I nagle mnie olśniło. Jeśli matka straciła rozum i zniknęła na dwadzieścia pięć lat, musiała być zamknięta w jakimś szpitalu albo

ośrodka dla osób umysłowo chorych.

Przemierzałam wzrokiem mapę w poszukiwaniu podobnych miejsc, a później zaczęłam sprawdzać w wyszukiwarce. W samym miasteczku nie było szpitala o takim profilu, ale już w okolicznych miejscowościach tak. Dokładnie dwa. Ze względu na bliskie pokrewieństwo moje i matki placówki powinny zgodzić się na udzielenie informacji o tym, czy Małgorzata Lenart przebywa na jednym z ich oddziałów. Tyle że przez telefon raczej trudno będzie mi udowodnić pokrewieństwo. Mimo to postanowiłam spróbować.

W pierwszym szpitalu słuchawkę podniosła jakaś miła kobieta z lekkim zaśpiewem w głosie.

– Dzień dobry, nazywam się Zuzanna Hansen, to znaczy Lenart – poprawiłam się. – Hansen to nazwisko po mężu. Poszukuję mojej matki, Małgorzaty Lenart. Czy ktoś o takim imieniu i nazwisku przebywa w państwa ośrodku? – Zastygłam w oczekiwaniu.

Kobieta po drugiej stronie cmoknęła, a ja byłam pewna, że właśnie przewraca oczami.

– Nie możemy przekazywać takich informacji telefonicznie – odparła po chwili. – Musiałaby pani przyjechać, okazać stosowne dokumenty i wtedy dyrekcja mogłaby udzielić pani odpowiedzi.

– Ale ja mieszkam jakieś cztery godziny drogi od państwa – jęknęłam. – Nie dałoby się tego załatwić inaczej? Nie wiem, może wyślę skan dowodu osobistego?

Tym razem wydało mi się, że słyszałam stęknienie.

– Nie praktykujemy takich metod. Może pani co najwyżej napisać podanie, które trzeba wysłać do nas pocztą. Musi w nim pani zawrzeć PESEL, numer dowodu osobistego, adres zamieszkania i wszystkie niezbędne informacje. Dyrekcja zapozna się z dokumentami i odpowie pani na piśmie.

– Kiedy odpowie?

– Dopiero wtedy, gdy zweryfikuje podanie. Myślę, że za miesiąc powinna dostać pani od nas oficjalne pismo, może półtora miesiąca.

– W dupę sobie wsadźcie to wasze pismo! – bąknęłam wściekła, rozłączając się.

Co za durny babsztyl, pomyślałam. Zęby nerwowo zaciskały mi się na wargach, a ja usiłowałam odzyskać spokój. Gotowało się we mnie tak, że musiałam wstać od biurka i otworzyć okno. Haust zimnego powietrza jednak nie pomógł, cel nie został przecież osiągnięty i nadal tkwiłam w miejscu. Po chwili niecierpliwego przechadzania się po pokoju uznałam, że muszę zmienić strategię. Brać ich na litość, błagać, proponować łapówki, cokolwiek, byleby zadziało.

Tym razem zaczęłam już od pierwszego zdania.

– Dzień dobry, nazywam się Zuzanna Lenart, mój ojciec Dariusz Lenart miał dziś rano bardzo poważny wypadek samochodowy i niestety... – Chciałam skłamać, że zanim odszedł, na łożu śmierci wyznał mi prawdę o matce, ale usłyszałam, jak osoba po drugiej stronie bierze gwałtowny wdech.

– Co takiego? – Głos kobiety drżał. – Przecież był u nas raptem wczoraj w związku z tą całą sprawą.

– Bardzo mi przykro. Tata nie przeżył wypadku. Doszło do zatrzymania akcji serca, ratownicy medyczni nie mogli już nic zrobić – powtarzałam niczym echo słowa funkcjonariuszy, którzy odwiedzili mnie rano.

– Boże – westchnęła tamta kobieta. – Taki dobry człowiek. Serdecznie współczuję. To musi być straszne: stracić oboje rodziców w tak krótkim czasie. Nawet sobie nie wyobrażam, co pani czuje.

– Słucham? Jak to oboje rodziców? Moja matka też nie żyje?! – zareagowałam odruchowo, nie spodziewawszy się takich wiadomości.

Kobieta po drugiej stronie zamilkła.

– Przepraszam... ja... Nie powinnam. Byłam pewna, że on panią poinformował – dukała, wyraźnie zmieszana.

– Nie miałam o niczym pojęcia – wyznałam. Zapas sił się wyczerpał i było mnie stać już wyłącznie na szczerość. – Właściwie jeszcze kilka godzin temu żyłam w przekonaniu, że moja matka

zmarła, gdy miałam pięć lat. Gdybym nie odnalazła listów, które do mnie wysyłała i które ojciec przede mną ukrywał, nigdy nawet nie wpadłabym na pomysł, by jej szukać.

Odsunęłam telefon od ucha, z wysiłkiem powstrzymując dławiącą falę smutku. Moje życie rozsypało się jak zamek z piasku. Nie dało się już pozbierać poszczególnych ziaren i zbudować tej samej konstrukcji od nowa.

Oparłam czoło o zimną betonową ścianę i przymknęłam powieki. Chłód dawał ukojenie, odciągał uwagę od piekącego darcia w trzewiach. Pracownica szpitala, najwyraźniej zaniepokojona moim nagłym zamilknięciem, wołała do słuchawki: „Halo, jest tam pani? Pani Zuzanno!” Nie potrafiłam jednak się odezwać, jakby ponowne otwarcie ust mogło wydobyć ze mnie to, co tak bardzo usiłowałam zatrzymać w środku. Lewa dłoń zaciśnięta w pięść twardą niczym kamień uderzyła o ścianę, sprawiając, że przedramię przeszył prąd. Syknęłam, a później z trudem uniosłam słuchawkę.

– Jak umarła? – wyszeptałam.

– Ja... Nie mogę o tym mówić, pani Zuzanno. I tak już będę miała kłopoty. – Głośno przełknęła ślinę.

Zamierzałam negocjować, może nawet błagać, ale usłyszałam za sobą czyjeś kroki i odwróciłam się gwałtownie. Przy biurku ojca stała Iwona, jego partnerka. Nie dziewczyna, bo to było dobre dla młodych, ani kochanka, bo to słowo budzi niezdrowe skojarzenia. Nawet nie kobieta jego życia, raczej towarzyszka w codzienności.

Poznali się kilka lat temu przez awarię pralki. Ojciec zalał jej mieszkanie i w ramach zadośćuczynienia zaprosił sąsiadkę na kawę. Pech chciał, że Iwona okazała się podobna do niego, łączyło ich umiłowanie do przesadnego porządku i potrzeba pielęgnowania własnej niezależności. Z tej przyczyny nigdy nie wprowadzili się do siebie. Co kilka dni jedno nocowało u drugiego, pożyczali sobie książki, chadzali na długie spacery i do kina. Jadali w restauracjach, ogrzewali twarze w słońcu, siedząc na ławce w parku, a kiedyś nawet spędzili ze sobą urlop, choć był to pierwszy i ostatni raz.

Widocznie przebywanie ze sobą bez ustanku nie smakowało tak dobrze, jak ciągłe rozstania i powroty.

Miałam na ten temat własną teorię. Uważałam, że Iwona, w przeciwieństwie do wielu ludzi, przy bliższym poznaniu raczej traci, niż zyskuje. Ojciec musiał więc odpoczywać od niej, by podtrzymać iluzję. Być może okłamywał samego siebie z równą gracją, jak kantował innych. Był w tym przecież dobry, stwierdziłam gorzko.

– Popęłniła samobójstwo – powiedziała sucho Iwona z kościstymi ramionami skrzyżowanymi na piersi, omiatając wnętrza gabinetu zimnym jak stal spojrzeniem.

Zajęło mi kilka sekund, nim zrozumiałam, że mówi o mojej matce. Skąd wiedziała? Czy ojciec podzielił się z nią tym, do czego mnie nie dopuścił? Pałaca wściekłość podpełzła do gardła, sprawiając, że miałam ochotę krzyknąć. Niepostrzeżenie zawładnęła mną zazdrość o tę sztywną kobietę w szarym golfie.

– Jak śmiesz?! – syknęłam.

– Nie mieszaj mnie w to. – Uniosła dłoń z wyciągniętym palcem wskazującym i pomachała nim, jakby groziła dziecku. – Według mnie już dawno powinien był ci o niej powiedzieć. Gdyby nie te wszystkie sekrety, nadal by żył, a tak zabiły go wasze pieprzone tajemnice.

– O czym ty, do cholery, mówisz? I w ogóle kto ci powiedział, że ojciec nie żyje?

– Policja. Jechał moim samochodem, gdy to się stało.

– Pięknie – kpiłam. – Chciałabyś coś jeszcze dodać czy wystarczy udawania, że się lubimy?

Strzał okazał się celny. Iwona spuściła wzrok, pokręciła głową z niedowierzaniem, a jej usta złożone w ciup zacisnęły się jeszcze bardziej. Natychmiast pożałowałam swojej bezczelności, w końcu ona też kogoś straciła. Cierpienie nie dawało mi przecież mandatu do bezkarnego wyżywiania się na innych.

– Nic nie rozumiesz – wyszeptała zduszonym głosem.

Zawstydzona swoją arogancją nie potrafiłam znaleźć odpowiednich słów, zamiast tego obserwowałam, jak partnerka mojego ojca przeszukuje teczki, w których starannie układał dokumenty. Wszystkie miały ten sam rozmiar i granatowe okładki. Ojciec ustawiał je w równych rzędkach, jak przykładowych uczniów na apelu w szkole. Iwona wyciągała jedną po drugiej, zaglądała do środka i pomrukując, umieszczała je na coraz wyższym stosie. W którymś momencie jej ręce zatrzymały się, a mięśnie napięły. Teczka, którą trzymała w dłoniach, nie pasowała do tych ojca, była nieco mniejsza i czarna, co można było stwierdzić dopiero po bliższym przyjrzeniu się jej okładce.

Iwona zerknęła na mnie z wahaniem, po czym podała mi teczkę.

– Powinnaś usiąść – zasugerowała.

Uniosłam brwi, ale mimo powątpiewania posłusznie zajęłam miejsce przy biurku. Nie tylko dlatego, że na blacie zdecydowanie wygodniej było oglądać zawartość aktówki, lecz głównie z powodu dziwnej, alarmującej nuty w głosie kobiety.

Kiedy odgięłam okładkę, moim oczom ukazały się czarno-białe, nieco wyblakłe wycinki prasowe z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego roku. Tego, w którym – jak dotychczas myślałam – zmarła moja matka. Wewnętrzne części dłoni zaswędziały, jakbym dotykała nie papieru, ale żarzących się węgla. Rozedrgana i niepewna, czy powinnam zagłębiać się w przeszłość, pytającym wzrokiem spojrzałam na Iwonę.

– Czytaj, to twoja historia – powiedziała.

Z zapartym tchem przebiegałam wzrokiem po liniijkach kolejnych artykułów. Łakomie wpatrywałam się w zdjęcia, pozwalając, by gęsia skórka obejmowała powoli całe moje ciało. Czas jakby się zatrzymał. Nie dobiegały mnie już żadne dźwięki, zapomniałam o Iwonie, która z zagadkowym wyrazem twarzy rejestrowała każdą moją reakcję, a ból po stracie taty chwilowo się rozpułnął.

Kiedy skończyłam, zastygłam w bezruchu, wpatrzona w jakiś nieistniejący punkt przed sobą. Na moim czole rysowały się głębokie

poziome zmarszczki, tak nieprzystające do urody trzydziestolatki.

– Czy... – zaczęłam i urwałam, ponieważ mój głos brzmiał, jakby wydobywał się z odległej piwnicy. Odchrząknęłam, by podjąć jeszcze jedną próbę. – Czy on był moim... – Tylko tyle zdołałam z siebie wydusić, nim głos ponownie uwiązał mi w gardle.

– Tak – potwierdziła Iwona.

– Ale dlaczego go nie pamiętam?

– Twój ojciec bardzo się o to postarał. Psycholog powiedział mu, że po latach zostaną ci tylko nieustrukturyzowane wspomnienia. Pojedyncze kadry, jakieś niewyraźne obrazki, które trudno będzie do czegośkolwiek dopasować.

Wbiłam paznokcie w wewnętrzną część dłoni, w myślach obrzucając ojca ohydnyimi epitetami. Byłam zła, tak koszmarnie wściekła, że miałam ochotę gniesć i wrzeszczeć. Z szuflady, którą wcześniej odłożyłam na miejsce, wyjęłam najdroższe pióro w eleganckim pudełeczku. Wręcz wyszarpałam je z etui, a potem dziko zaczęłam uderzać stalówką w blat biurka. Dźgałam mebel tak długo, aż pióro się złamało.

Iwona w przestkach skuliła się przy ścianie. Mój akt furii mieścił w sobie gniew, smutek i rozczarowanie. Był odpowiedzią na śmierć ojca, na świadomość tego, że ukrywał przede mną matkę, na to, że nie zdążyłam jej tak naprawdę poznać, ale najbardziej stanowił reakcję na tajemnice, które zawierała czarna teczka, kapsuła z przeszłości.

W końcu moja ręka opadła na blat, pióro wyslizgnęło się z palców, a ja zaczęłam płakać. Myślałam, że Iwona podejdzie bliżej, będzie siliła się na nędzne i rzadko skuteczne słowa pocieszenia, może nawet spróbuje mnie przytulić, ale ona czekała. Kiedy skończyły mi się łzy, spojrzałam na nią z wyrzutem.

– Do kogo należała ta teczka? – chciałam wiedzieć.

– Do twojej matki. Nigdy nie uwierzyła w oficjalną wersję śledztwa i dlatego prowadziła własne.

Nagle coś mnie olśniło. Przesuwałam palcami wycinki, by znaleźć jeden konkretny.

– A to? – Dotknęłam palcem artykułu, gdy udało mi się go odszukać. – Dlaczego też jest w teczce? Nie pasuje do pozostałych.

– Ten wycinek włożył do środka twój ojciec. – Spuściła wzrok. – To artykuł o niej.

Zadrżałam, nagle zdając sobie sprawę, jak skończyło się życie mojej matki. Iwona międkła w patykowatych palcach rąbek golfu.

– Dlaczego to robisz? Pokazujesz mi te wycinki? – zapytałam. – Przecież nie musiałaś.

– Nie zamierzałam, ale gdy zobaczyłam pootwierane listy, uznałam, że mleko i tak już się rozlało. – Nerwowo potarła skroń. – Poza tym jesteś dziennikarką...

– Byłam – przerwałam jej wściekle. – I doskonale wiesz, dlaczego nigdy więcej nie napiszę żadnego artykułu.

Iwona drgnęła. Przez moment wydawało mi się, że na dnie jej oczu dostrzegłam współczucie.

– Nie twierdzą, że masz pisać o tej historii sprzed lat albo o tym, jak zginęła twoja matka – broniła się. – Po prostu wiem, że umiesz docierać do trudno dostępnych informacji. To pomoże nie tylko tobie, ale pozwoli też raz na zawsze skończyć z sekretami, które pielęgnował Darek.

– I co, nagle po tylu latach postanowiłaś zagrać dobrą macochę i zafundować mi szansę na odkupienie? To jakbyś mówiła: *Hej, Zuzanno, wprowadzie przegrałaś swoje życie, spieprzyłaś małżeństwo, spartoliłaś karierę i zawiodłaś jako matka, ale teraz masz w końcu szansę czegoś nie zjebać* – wyrzucałam poirytowana.

– O to ci chodzi?

– Nie.

– To dlaczego włączysz z butami w moje życie?

– Bo dawno temu to ja poradziłam twojemu ojcu, by zataił przed tobą prawdę. To ja byłam tym psychologiem, który pozbawił cię przeszłości, bo wydawało mi się, że bez jej ciężaru będzie ci się żyło

lżej. Dopiero teraz rozumiałam, jak dużo cierpienia sprowadziło na waszą rodzinę udawanie, że tej tragedii sprzed lat nigdy nie było, i dlatego chcę ci pomóc. Uchronić cię przed losem twoich rodziców, których zabiły sekrety. – Wzięła głęboki wdech. – Może gdy to wszystko zrozumiesz, przeszłość przestanie się tak dopominać uwagi.

– Ale... przecież ojciec mówił...

– Kłamał – ucięła. – Niemal w każdej sprawie.

Nie mogłam uwierzyć w to, co się działo. Za każdym razem, gdy zakładałam, że najgorsze już za mną, pojawiał się coś nowego.

– Jeśli trzymasz w zanadrzu coś jeszcze, lepiej wyrzucić to z siebie teraz – zażądałam.

– To wszystko – wyjaśniła cicho, odwracając wzrok.

I choć włożyła w te słowa sporo wysiłku, starając się, by brzmiały jak najbardziej wiarygodnie, całą sobą czułam, że Iwona nadal nie odkryła przede mną wszystkich tajemnic.

1990

*

Tego wieczoru Romek Babicz zawarł z Bogiem wiele paktów. W najskrytszych myślach obiecywał, błagał i przysięgał. Ludziom często wydaje się, że najtrudniej jest udźwignąć złe wieści, ale to nieprawda, najgorsza jest niepewność. Gdy brakuje informacji, w człowieku zaczyna kiełkować paraliżująca bezradność, a tuż za nią zjawiają się czarne i duszne fantazje na temat tego, co mogło się wydarzyć. To jakby niespodziewanie zostać wypchniętym z lecącego samolotu, bez spadochronu na plecach. Umysł szaleje, adrenalina osiąga zawrotny poziom, traci się kontrolę nad czymkolwiek. Panika szumi w uszach, gorączkowo pompując krew. Istna tortura.

Miejscowi dawno nie widzieli tylu radiowozów naraz na ulicach miasta. Niebo zdawało się błyszczeć od błękitnej poświaty. Funkcjonariusze jeździli wokół domu towarowego, ale także po sąsiednich dzielnicach, nadając przez megafony komunikaty o zaginionym chłopcu. Prosilili w nich, by każdy, kto zauważył blondwłosego malucha, niezwłocznie zgłosił się na komendę. Wiadomość tak poruszyła lokalną społeczność, że pod otwartymi z powodu upału oknami domów wrzało jak w ulu. Patrole składające się z dziesiątek policjantów oraz strażaków przeczesywały okoliczne lasy i tereny wzdłuż rzeki. I choć wielu śmiazków włączyło się do

pomocy, to w głębi duszy większość z nich modliła się, by nie być tym, kto odnajdzie chłopca.

Oparty o budkę telefoniczną Romek Babicz spojrział w czerwcowe niebo upstrzone gwiazdami. Przez głowę przeszła mu niestosowna myśl, że to właściwie mogłaby być piękna noc. Ciepła, pachnąca soczystą zielenią koszonych wieczorem trawników i rozbrzmiewająca cykaniem świerszczy. A jednak straszne rzeczy dzieją się nawet w najpiękniejsze dni. Nieobecność Kubusia doprowadzała go do obłądu. Przed momentem z wymiotował na pobliski trawnik i choć nadal kręciło mu się w głowie, nie zamierzał rezygnować z dalszych poszukiwań. Otarł przedramieniem brudne usta, czując na plecach wzrok policjantów i kilku ochotników, którzy ściskali w dłoniach latarki. Żaden z mężczyzn nie skomentował stanu Babicza, wszyscy rozumieli – a przynajmniej tak im się wydawało, bo skąd mogli wiedzieć, jakie to uczucie, gdy twoje dziecko ginie.

Wyobrażać sobie a przeżyć coś straszego to dwie zupełnie inne rzeczy. Większość ludzi przez całe życie zamartwia się kwestiami, które naprawdę ich nie dotyczą. Snują czarne wizje przyszłych spraw, jakby to miało dać złudzenie nikłej kontroli nad rzeczywistością. Tylko że gdy dostajesz obuchem w głowę, nigdy nie jesteś na to przygotowany, a los bardzo dba o to, by uderzać w najmniej oczekiwanym momencie.

Romek był tego najdoskonalszym przykładem. Młody, przystojny mężczyzna, zawsze optymistycznie nastawiony do życia. Dorastał przy ojcu, znanym i lubianym mechaniku samochodowym. Kiedy tylko nie był w szkole, podawał klucze, przynosił smary i uzupełniał oleje. Jego przyszłość była więc przesądzona i gdy zaczął pracować z tatą, jasne stało się, że pewnego dnia przejmie zakład, kontynuując rodzinną tradycję. Właściwie większość spraw w dwudziestoczteroletnim życiu młodego Babicza układała się pomyślnie. Został mężem Eli z wielkiej, szalonej miłości, krótko potem doczekał się syna, którego ubóstwiał, warsztat nieźle

prosperował, a on powoli zaskarbiał sobie szacunek klientów. Jego życie wydawało się bajką i nikt nie przewidziałby tego, co nadeszło.

– Dobra, panowie, już mi lepiej, idziemy dalej – rzucił po tym, jak dołączył do grupy mężczyzn. – Może teraz sprawdzimy te łąki nad rzeką?

– Tam jest już inna grupa – wyjaśnił aspirant Bernard Suski. – Rozsądnie będzie, jak dokończymy tutaj. Ktoś z tych ludzi mógł coś widzieć.

– Według mnie to strata czasu – nie ustępował Babicz. – Łazimy tak bez sensu już jakieś dwie godziny i nikt nic nie wie. Jak, kurwa, w jakiejś wiosce głuchych i ślepych ludzi.

– Wyluzuj, stary, musimy sprawdzić każdego. Może pójdziesz do domu, co? Lepiej, żebyś tam zaczekał na informacje. Ela na pewno potrzebuje twojego wsparcia.

Mężczyźni, którzy obserwowali wymianę zdań między policjantem a zdesperowanym ojcem, wstrzymywali oddech w oczekiwaniu na finał tej dyskusji. Powietrze nagle stało się gęstsze i jakby naelektryzowane. Romek zacisnął mocno szczęki, a w jego oczach błysnął gniew.

– Nigdy więcej nie będziesz mi mówił, co mam robić, jasne? – wycedził wściekle przez zęby.

Aspirant uniósł dłonie w geście wycofania i skinął głową.

– Ruszajmy, musimy odwiedzić jeszcze sporo domów – stwierdził.

– Działamy dwójkami, jak poprzednio. Jeśli czegoś się dowiecie, przybiegacie do mnie najszybciej, jak to możliwe, rozumiano?

– No pewnie. Jasna sprawa – rozległ się chórek głosów.

Mężczyźni pogrupowali się w dwuosobowe zespoły i pospieszyli do kolejnych rodzin zamieszkujących sąsiednie ulice. Bernard miał wrażenie, że na odchodnym ktoś szeptem nazwał go „miękką pałą”, ale zdołał jedynie dostrzec oddalające się sylwetki i niewiele mógł już z tym zrobić. Odpuścił, bo to przecież strach, który wykiełkował w ludziach, mieszał im w głowach. Każdy, kto miał dziecko,

dziękował teraz Opatrzności, że to nie jego syn lub córka przepadli bez wieści.

Suski kiwnął na mechanika, a sam zaczął już wchodzić po schodkach domu o numerze pięć. Na granatowej koszulce funkcjonariusza pod pachami rysowały się mokre od potu koła, a policyjna czapka, którą wcisnął na głowę, by wzbudzać respekt, piła go w czoło. Babicz dogonił mężczyznę po chwili.

– Trzymasz się jakoś? – usłyszał nieśmiałe pytanie Bernarda, gdy oczekiwali, aż ktoś z lokatorów zareaguje na pukanie do drzwi.

– Chcę, żeby to się już skończyło. Niech ktoś go znajdzie, do cholery, bo zwariuję. – Roman nerwowo wyłamywał sobie palce. – Po tym wszystkim nie potrafię spojrzeć Eli w oczy. Nie wiem, czy kiedykolwiek będę jeszcze umiał.

Suski otworzył usta, jakby zamierzał coś powiedzieć, ale zawahał się i stracił swoją szansę, bo w drzwiach stanęła starsza kobieta z zatroskanym wyrazem twarzy. Nie trzeba było specjalnych zdolności, by domyślić się, że słyszała już o zaginionym dziecku. Ciekawsko zerknęła na ojca Kubusia, ale co kilka sekund onieśmielona uciekała wzrokiem do policjanta.

– Dobry wieczór – przywitał się mundurowy. – Aspirant Bernard Suski. Czy nie widziała pani tego chłopca w okolicy? – Podał jej wydrukowane zdjęcie, na którym zaginiony przypominał słodkiego cherubinka.

– Wiem, o kogo chodzi – wyjaśniła, przyglądając się wizerunkowi Kuby. – Przykro mi, panie Babicz, to musi być straszne dla waszej rodziny.

Romek zacisnął usta i odwrócił głowę. Wszyscy powtarzali te same słowa, jakby brali je z jakiejś tandetnej książki z kondolencjami na każdą okazję. Początkowo dziękował z udawaną uprzejmością, teraz miał ochotę odpowiadać im, by się wypchali. Dlatego na wszelki wypadek wolał milczeć.

– Byłam dzisiaj w Krysztale – kontynuowała. – W tym samym sklepie mięsnym, co pana żona i synek. Akurat kiedy się pojawili,

płaciłam za zakupy, a potem wyszłam z siatkami. Aż trudno uwierzyć, że chwilę później...

– Widziała pani, by kręcił się tam ktoś podejrzany? Może jakiś obcy człowiek? – drążył policjant. – Czy coś zwróciło pani uwagę albo panią zaniepokoiło?

– Raczej nie. Wszystko wyglądało normalnie. – Zmrużyła oczy, jakby sięgała w głąb pamięci. – Przepędziłam dwóch takich urwisów, którzy podkradali słodycze z kiosku mojego męża. Zagroziłam, że jak następnym razem przyłapię ich na wagarach, to pójdę na skargę do ich matek. Porozmawiałam z kilkoma sąsiadkami i kupiłam rzeczy na obiad. Byłam już prawie przy wyjściu, kiedy usłyszałam krzyk pani Eli. Biegała w kółko cała zapłakana, zaczepiała ludzi. – Sapnęła. – To się po prostu nie mieści w głowie.

Aspirant zanotował coś w niewielkim czarnym kajeciku, poprosił kobietę, by się przedstawiła, po czym drobnymi literami dopisał jej dane i adres.

– Panowie! – usłyszeli nagle za sobą skrzeczący z podniecenia głos jednego z mężczyzn, który także rozmawiał z mieszkańcami dzielnicy. – Chodźcie szybko!

Stojący na chodniku chłopak o zaróżowionych policzkach i błyszczących oczach przywoływał ich dłonią. Jego stopy niecierpliwie dreptały w miejscu, a palce ścisnęły latarkę.

Babicz z Suskim spojrzeli po sobie, a następnie niczym na hejnał rzucili się w dół schodów. Zaintrygowana lokatorka piątki wyciągnęła szyję i wyjrzała za mężczyznami, upodabniając się do nasłuchującej surykatki.

– Znaleźli Kubusia? – W głosie mechanika pobrzmiwała nadzieja, ale chłopak zaprzeczył ruchem głowy.

– Tu niedaleko mieszka jedna kobieta – wyjaśniał rozemocjonowany. – Musicie posłuchać tego, co ma do powiedzenia – rzucił, ruszając przed siebie.

Policjant z Romkiem podążyli za nim i dopiero gdy na horyzoncie pojawił się dom, pod którym stał inny funkcjonariusz rozmawiający

z żywo gestykującą kobietą o natapirowanych włosach i w obszernym, wyciągniętym swetrze, Bernard mocno złapał mechanika za ramię.

– Bez względu na to, czego się dowiesz, bądź dzielny. Nie możesz teraz pęknać, rozumiesz?

Babicz jednak miał już dość dobrych rad. Wyswobodził się z uścisku i poszedł przodem, zostawiając aspiranta na ścieżce. Ten jednak nie ustępował, doścignął go już przed płotem, obok którego toczyła się dyskusja.

– Przecież mówię panu, że mój syn nie wrócił dziś po szkole do domu i że jego też powinniście szukać – tłumaczyła matka.

Aspirant Suski drgnął na te słowa. Jego wzrok badawczo ślizgał się po dziurawych getrach, plastikowych klapkach w landrynkowym kolorze, nasuniętych na skarpetki w paski, i swetrze, który sięgał kobiecie do kolan. Jej zamglone spojrzenie sugerowało, że była co najmniej podchmielona.

Kojarzył ją, pobierała od ośrodka pomocy społecznej wszystkie możliwe zasiłki, by związać koniec z końcem i wychować ośmiu chłopaków, z których dwóch najstarszych miało problemy z prawem. Jak brzmiało jej nazwisko? Nie potrafił sobie przypomnieć. Z ich rodziną zawsze były kłopoty. Kłótlivi, głośni i zaczepni, tacy byli jej synowie. Podkradali drobne przedmioty ze sklepów, często wdawali się w bójki, a w szkole mieli opinie znęcających się nad innymi dziećmi. Większość z nich powtarzała klasę i nie znała swoich ojców, a tych chłopcy mieli różnych, bo Jolanta Zielińska – Bernarda nagle olśniło – zdecydowanie nie należała do osób stałych w uczuciach.

– Ale to teraz się pani zorientowała, że dzieciaka nie ma? – zapytał sceptycznie. – Szkoła chyba już dawno się skończyła?

– Myślałam, że jest u mojej siostry, często tam łązi. Zresztą wcześniej rozmawialiśmy przez telefon i widziała go przez okno, jak się bawił z jej dziećmi. Dopiero potem, jak zaczęli szukać tego małego, co to zaginał, to jakiś taki strach mnie ogarnął. Zadzwoiłam

jeszcze raz upewnić się, czy nadal jest u niej, a siostra mi powiedziała, że to jednak nie był on, tylko sąsiad.

– Kiedy to było?

– Nasza rozmowa? Jakąś godzinę temu. Zajął się kolacją dla tej hałastry. – Kiwnęła brodą w stronę okna, w którym stało trzech chłopaków o różnym wzroście i wieku, w tym jeden z maluchem na rękach. – A potem wy przyszliście i pomyślałam, że Piotrek już trochę za długo nie wraca. To łązęga, nie powiem, ale na jedzenie zawsze przychodzi.

Romek Babicz posłał funkcjonariuszom przerażone spojrzenie. Na jakiś czas między zebranymi zapanowała ciężka, pełna domysłów cisza, po której jeden z policjantów zaszeleścił kartkami notatnika.

– Trzeba będzie przyjąć zgłoszenie – oznajmił ni to Jolancie Zielińskiej, ni to Suskiemu, który oddychał coraz szybciej, a jego klatka piersiowa unosiła się i opadała. – Ile lat ma pani syn?

– Dziesięć. Piotr, to przedostatni. Tylko Franio jest od niego młodszy.

– I na pewno nie ma możliwości, by zasiedział się u jakiegoś kolegi? – wtrącił Bernard z nadzieją.

– Nie pozwalałam mu chodzić do chłopców ze szkoły. Niektórzy z nich mają na niego zły wpływ.

Aspirant prychnął, jakby zepsucie dziecka z tak skażonego przemocą i alkoholizmem domu było niemożliwe.

– A ojciec biologiczny Piotrka?

– Jest na robocie w Anglii.

Suski zmarszczył nos, wpatrując się tępo w szarość chodnikowej płyty.

– W takim razie mamy nie jednego zaginionego chłopca, ale dwóch – podsumował.

I gdy uwaga wszystkich skupiła się na Bernardzie oraz sensie jego słów, nikt nie zauważył, że w międzyczasie krew z twarzy stojącego nieopodal Romka Babicza odpłynęła. Mężczyzna najpierw

zesztywniał, a potem nogi się pod nim ugięły, jakby były z plasteliny, i runął jak długi, zawadzając czołem o przęsto ogrodzenia.

Szedł wzdłuż rzeki, wrzucając do niej drobne kamienie ukradzione ze żwirowiska. Ręce nadal mu się trzęsły, a po skaleczonym przedramieniu ciekła krew. Gutek otarł ją fragmentem czerwonej koszulki, która od razu zabarwiła się na bordowo. Wysoka trawa łaskotała nogi chłopaka, gdy ten, nucąc melodię piosenki *Mniej niż zero* zespołu Lady Pank, w krótkich spodenkach z dżinsu przedzierał się przez zarośla i myślał o tym, kim mógłby być, gdyby nie zmarnował tylu lat na wiarę w słowa matki, że uczciwość i dobro popłacają.

Wściekle cisnął garścią kamieni w stojące nieopodal drzewo, a później ruszył dalej. Przepęłniała go gorycz. Bo przecież robił wszystko jak należy, a jego mama i tak odeszła, dawny przyjaciel stał się wrogiem, dziewczyna, którą kochał, wyśmiała go, a ojciec udawał zadowolonego, gdy tak naprawdę zamykał się w łazience i wciskając twarz w ręcznik, by nikt go nie słyszał, płakał jak dziecko. Gutek czuł, że skończyła mu się wyrozumiałość dla wyroków losu. Dlaczego sam nie miałby sięgnąć po to, czego pragnął, zamiast pokornie czekać na dary opatrności? Jeśli grzeczni chłopcy szli do nieba, a niegrzeczni tam, gdzie chcieli, to wybór stawał się oczywisty.

Jego stopy obute w wiązane trampki z satysfakcją deptały napotkane mrowiska i żuki o twardych, lśniących zielenią pancerzach, które z trzaskiem pękały pod podszewkami. Złość, którą chłopak tak długo tłumił, wylewała się z niego wszystkimi porami, jakby nie mogła już pomieścić się w środku i musiała wykipieć. Nad jego głową szumiały liście wysokich brzoź, poruszane delikatnym letnim wiatrem, słońce przypiekało skórę na karku i odstających uszach, jakby i ono musiało go dręczyć. Znalazł się właśnie na piaskowej dróżce, na której każdy krok wzniecał obłoki kurzu, gdy w oddali dostrzegł ją.

Lidka Grabowska z włosami związanymi w wysoką kitkę z dużą liczbą kolorowych frotek, określaną jako fryzura na cebulę, w kolorowej, powiewającej lambadówce sprawiała wrażenie zamyślanej. Na widok młodszej o rok koleżanki serce Gutka wpadło w niespokojny rytm, a jego i tak czerwone od upału policzki jeszcze bardziej pociemniały. To za nią wodził maślanym wzrokiem na szkolnych korytarzach, jej imię szeptał podczas snów, o których później wstydział się nawet myśleć, i ją niekiedy śledził, by obserwować krągłe biodra dziewczyny. W dzieciństwie często bawili się razem, ale kiedy zaczęli dorastać, wszystko się skomplikowało. Lidka widziała w nim jedynie kolegę, a nie mężczyznę, którym chciał dla niej być. Kiedy w końcu zdobył się na wyznanie swoich uczuć, roześmiała się, a później powiedziała, by przyszedł za kilka lat, gdy dorośnie, bo nie interesują jej dzieci. Ciągnęło ją do sporo starszych chłopaków, którzy emanowali pewnością siebie i robili to, na co przyszła im ochota.

Stojąc na ścieżce wśród łąk, Gutek po raz pierwszy pomyślał, że wydarzenia tego dnia odmieniły go. Już się nie bał, wiedział dokładnie, czego pragnie, i tym razem nie zamierzał ulec lękowi. Jakby stary on umarł, a narodził się nowy, silny, gniewny oraz zawzięty. Skoro los nie chciał go obdarować tym, o co prosił, chłopak postanowił sam to losowi wydrzeć. Przełknął ślinę, wysunął jedną nogę do przodu, a dłonie oparł na biodrach, uśmiechając się przy tym tajemniczo. Wyobrażał sobie, że jest pewny siebie jak ten amerykański aktor, Patrick Swayze z *Wirującego seksu*, który oglądał na kasecie VHS. Kiedy Lidka podeszła bliżej, zwilżył językiem wargi i wziął głęboki wdech. Złoto należy do zuchwałych, pomyślał, by dodać sobie animuszu. Dziewczyna również go zauważyła, ale zamiast radości na jej twarzy pojawiło się zmieszanie.

– Mateusz? Co ty tu robisz? Znowu za mną łazisz? – zapytała, rozglądając się niepewnie, jakby nie czuła się komfortowo w jego towarzystwie.

– Daj spokój, po prostu spacerowałem po okolicy. Zresztą dlaczego miałbym się uganiać za kimś, kto mnie potraktował jak śmiecia? Mam dużo ciekawsze rzeczy do roboty.

Lidka z zakłopotaniem przygryzła wargę. Gutek nigdy wcześniej nie odzywał się do niej w ten sposób, zawsze był miły, nadskakujący i uprzejmy tak, że aż ją mdliło.

– Słuchaj, to, co powiedziałam wtedy... Dopiero później babcia przekazała mi, że twoja mama umarła. Było mi strasznie głupio, bo potraktowałam cię okropnie. Chyba jestem ci winna przeprosiny.

– Chyba?

– No dobra. – Skrzywiła się zażenowana. – Wybaczysz mi?

Chłopak zrobił minę, jakby zastanawiał się nad jej propozycją, złożył usta w dzióbek, a głową pokiwał na boki.

– Nie wiem, nie wiem – droczył się.

– Ej, no weź! – Zaczepnie uderzyła go dłonią w pierś, a on chwycił ją za nadgarstek i przytrzymał. Tym razem się nie bronila. – To co mam zrobić, żebyś zapomniał o tamtym?

– Możesz mnie na przykład pocałować.

Gdy to mówił, głos drżał mu z podniecenia i strachu. Lidka prychnęła śmiechem, ale dostrzegając poważne, wyczekujące spojrzenie Gutka, zrozumiała, że nie żartował.

– Głuptas – rzuciła i pocałowała go w policzek.

– Nie tak.

– A jak? Chyba nie myślisz, że będę... – Nie zdołała dokończyć, bo zamknął jej usta drapieżnym pocałunkiem, dłońmi obejmując plecy i pośladki dziewczyny.

Powoli zaczął unosić jej spódnicę, ale wtedy go powstrzymała.

– Zaczekaj, tutaj ktoś nas może zobaczyć. – Rozejrzała się z niepokojem dookoła.

– Niech patrzą.

Lidka przyglądała mu się z ciekawością, jakby spotkali się po raz pierwszy. Zerknęła raz jeszcze za siebie, ściągając brwi, jak gdyby

coś ją trapiło, ale po chwili namysłu na powrót wbiła spojrzenie w chłopaka.

– Podoba mi się to twoje nowe, zadziorne oblicze. – Zachichotała.

– Jest koszmarnie gorąco, może najpierw popływamy w zakolu rzeki? Znam jedno bardzo miłe miejsce, w którym będziemy mogli spędzić trochę czasu sami. – Dotknęła palcem jego ust. – Co ty na to?

– A tam wolno się kąpać? Podobno w zeszłym roku ktoś tam utonął z powodu silnych prądów.

– Od kiedy przejmujesz się tym, co wolno? Nie słyszałeś, że zakazy są po to, by je łamać? – Położyła dłoń na kroczu chłopaka, patrząc mu wyzywająco w oczy.

Gutek poczuł przyjemne mrowienie w całym ciele, drobne włoski na jego karku stanęły na baczność. Usta same ułożyły się w kształt banana, oczy zabłyśły, a klatka piersiowa falowała od przyspieszonego oddechu i odurzającej woni słodkich kwiatów, którymi pachniała skóra Lidki.

– Chodźmy – odparł, chwytając dziewczynę za rękę, która zdawała się idealnie pasować do jego dużej dłoni, jakby były stworzone dla siebie.

Kiedy szli w stronę żwirowni, Lidka zwróciła uwagę na zadrapania na szyi i przedramionach Gutka. Szczególnie niepokojąca wydawała się rana na prawej ręce.

– Krwawisz – stwierdziła. – Co ci się stało? Biłeś się z kimś?

– Może tak, może nie – odparł tajemniczo.

– No proszę, nie wiedziałam, że z ciebie taki bohater.

– Największy – oznajmił z udawaną dumą, a potem klepnął ją w pośladek, krzycząc: – Jeśli dotrę do kąpieliska przed tobą, będziemy pływać na golasa! – I ruszył przed siebie, byle tylko nie pokazać dziewczynie swojej twarzy, na której zamiast odwagi znalazłaby jedynie strach.

Zuzanna, 2015

*

Ludzie przybywają do takich miejsc, by zapomnieć o tym, co było, i rozpocząć nowe życie. Ja przyjechałam tu, by wydobyć przeszłość z zapomnienia. Zrozumieć ją i przemówić w imieniu tych, którzy zamilkli na zawsze.

Przede mną rozpościerała się ściana deszczu, wycieraczki ledwie nadały ze zbieraniem wody, a silnik starej corsy niepokojąco rzeźił przy dodawaniu gazu. No dalej, mały, do hotelu zostało jeszcze tylko kilka przecznic, błagałam go w myślach. Za oknem przesuwały się posępne fasady domów szeregowych. Większość z nich miała wyblakłe elewacje, dawne pastele przybrały sinoszary kolor, a budynki wzniesione z czerwonej cegły pokryły się czarnym nalotem z kurzu, sadzy i spalin.

Sięgnęłam po gąbkę, by przetrzeć coraz bardziej zaparowaną szybę. W tym rżęchu, kupionym pospiesznie od faceta z komisju, siadło już niemal wszystko. Ogrzewanie nie działało, z nawiewu wydobywał się zapach pleśni, a kontrolka informująca o niskim poziomie paliwa nieustająco się świeciła, mimo iż zatankowałam niedawno. Mój wzrok przesuwał się po wypłowiałych szyldach warzywniaków, zakładów bukmacherskich i kiosków z gazetami. I choć szarość zapadającego zmierzchu stopniowo zacierała kontury, nieopodal dostrzegłam kobietę, której podmuch wiatru

wywrócił parasolkę na drugą stronę, oraz kulejącego psa z łapą owiniętą bandażem. Rynsztokami płynęły strugi wody, by po chwili z pluskiem zniknąć w kratkach ściekowych.

Oderwałam się na moment od pejzaży za oknem i zerknęłam na gazetę leżącą na fotelu pasażera. Z okładki krzyczał nagłówek wytłoczony tłustym drukiem – DRASTYCZNA ŚMIERĆ – a tuż pod nim znajdowało się zdjęcie fragmentu jezdni, na której czerwony policyjny parawan osłaniał obrazy zbyt trudne do oglądania. To tam musiała upaść moja matka po tym, jak skoczyła z wiaduktu wprost pod nadjeżdżający samochód. Nieopodal parawanu znajdował się blondwłosy policjant o surowym wyrazie twarzy, z ramionami skrzyżowanymi na piersi. Wyglądał na kogoś, z kim niewielu śmiałoby zadzierać, miał duże dłonie, mocno zarysowaną szczękę, a jego muskularne ramiona ciasno opinał mundur.

Gdy myślałam o artykule i o pochowanym rano ojcu, nagle na skrzyżowaniu zmieniło się światło. Biała skoda jadąca przede mną niespodziewanie stanęła przed przejściem dla pieszych, po którym przebiegała kobieta z połamanym parasolem. Zauważyłam ją jednak tylko kątem oka, ponieważ cała moja uwaga skupiona była na tym, by uniknąć zderzenia z coraz bardziej wyraźnym i zbliżającym się w zastraszającym tempie bagażnikiem skody. Wcisnęłam pedał hamulca z całej siły, ale na mokrej nawierzchni auto ślizgało się jak na sankach. Zupełnie straciłam panowanie nad samochodem. Wydawało mi się, że słyszę pisk opon trących o asfalt. W ostatniej chwili jakimś cudem odbiłam w prawo, przez co o włos minęłam skodę i zatrzymałam się częściowo na chodniku, lekko zawadzając karoserią o przydrożny słupek.

Moje ciało zalała fala gorąca, a dłonie nadal kurczowo ścisnęły kierownicę. Oddychaj, nakazałam sobie, gdy dotarło do mnie, że od dłuższego czasu wstrzymywałam w ustach porcję powietrza. Powoli je wypuściłam, po czym z niedowierzaniem zauważyłam, jak blisko było do tragedii. Miarowy oddech obniżał napięcie, zaczynałam się rozluźniać i wtedy dostrzegłam, że kierowca w sąsiednim

samochodzie opuścił szybę po stronie pasażera. Nasze drzwi dzieliło teraz zaledwie kilkanaście centymetrów, staliśmy równolegle do siebie, więc gdybym również otworzyła okno, moglibyśmy się zobaczyć i porozmawiać. Tylko co, jeśli trafiłam na jakiegoś furiata? Kogoś, kto zacznie wrzeszczeć albo mnie wyzywać? Przez moment walczyłam ze sobą, a później niechętnie nacisnęłam guzik sterowania szybą. Klęłam pod nosem, gdy ta, zamiast zatrzymać się w połowie, jak planowałam, zjechała aż na sam dół, odsłaniając mnie całkowicie.

Zacinający jesienny deszcz wpadał do wnętrza samochodu. Czułam jego orzeźwiający zapach i wilgoć, kiedy krople roztrzaskiwały się na moim policzku. Mężczyzna w czapce z daszkiem i o smutnym spojrzeniu przyglądał mi się wnikliwie. Wokół jego oczu rysowała się siatka drobnych zmarszczek, a szczękę pokrywał kilkudniowy zarost.

– Pani nie jest stąd, prawda? – Bardziej stwierdził, niż zapytał.

– Niezupełnie, ja...

– Tak myślałem – przerwał mi. – Nie wygląda pani na tutejszą.

– To aż tak rzuca się w oczy?

– Zamiejscowa tablica rejestracyjna, aktywna nawigacja, termos i pudełka po tych ohydnych trójkątnych kanapkach ze stacji benzynowej. – Wychylił się, wskazując kciukiem tylną kanapę corsy, a ja poczułam, że policzki zaczynają mi płonąć. – Poza tym u nas wszyscy wiedzą, że przed tymi światłami trzeba zwolnić. Szczególnie jeśli leje tak jak dzisiaj, bo wtedy w koleinach na drodze zbiera się woda, opony tracą przyczepność, a samochód zaczyna płynąć. Kierowca nie ma nad nim już żadnej kontroli. – Wymachiwał dłonią, jakby była autem w poślizgu.

Kusiło mnie, by odpowiedzieć, że to podobnie jak ja nad swoim życiem, odkąd okazało się, że naczelna zasada mojego ojca, powtarzane przez niego niczym mantra słowa „najgorsza prawda jest lepsza od najlepszego kłamstwa”, była jedynie pustym sloganem. Wydmuszką, która pewnego dnia pękła i rozkruszyła się

na drobne kawałki. Zamiast wyznania potarłam z zakłopotaniem podbródek, przełknęłam gorzką ślinę i zdobyłam się na krótkie:

– Zapamiętam to sobie. Dziękuję.

– Gdyby potrzebowała pani pomocy, proszę się odezwać. – Podał mi prostokątny kartonik z adresem serwisu samochodowego. – Na moje ucho ten opel długo nie pociągnie. Słyszysz pani, jak silnik rzezi? Idę o zakład, że to problem z dwumasą i sprzęgłem.

– To coś poważnego?

– Na tyle, by została pani u nas dużo dłużej niż tylko przejazdem. – Uśmiechnął się, po czym uprzejmie kiwnął głową i już zamierzał odjechać, gdy spojrzał na mnie raz jeszcze, dziwnie mrużąc oczy. – Mogę zapytać, co sprowadza panią w te strony?

– Właściwie już pan to zrobił. Ciekawość, nic więcej. – Wzruszyłam ramionami.

– Podobno ciekawość to pierwszy stopień do piekła, nie słyszała pani?

– Niektórzy twierdzą, że raczej do wiedzy.

Mężczyzna nie odpowiedział, lustrował mnie za to badawczym wzrokiem, po czym jego twarz się rozpogodziła, a on pokręcił głową z uśmiechem.

– Szerokiej drogi – rzucił, zanim na powrót zamknął okno i zniknął za kotarą z deszczu.

Odprowadzałam go wzrokiem aż do chwili, gdy czerwone punkciki świateł pozycyjnych skurczyły się i rozmyły. Przez chwilę obracałam w palcach błyszczącą wizytówkę ozdobioną zdjęciem samochodu wyścigowego. ROMAN BABICZ. WULKANIZACJA, WYMIANA OPON, MECHANIKA POJAZDOWA, HAMULCE I ZAWIESZENIA, czytałam. Ręka zaczęła mi drżeć, zwinęłam więc dłoń w pięść, a następnie mocno zacisnęłam na niej zęby aż do chwili, gdy dygot ustał.

– Babicz – wyszeptałam.

Doskonale znałam to nazwisko, wiedziałam, kim jest mężczyzna, który je nosił, oraz co spotkało jego rodzinę dwadzieścia pięć lat

temu. To z myślą o nim kupiłam zdezelowaną corsę. Musiałam zadbać o pretekst, który pozwoliłby mi się do niego zbliżyć. Wprawdzie nie przypuszczałam, że wpadniemy na siebie tak szybko, ale najwyraźniej to miasto było mniejsze, niż zakładałam.

Ponaglona trąbieniem przejeżdżającego dostawczaka, uniosłam przepaszająco dłoń, a następnie włączyłam się do ruchu. Tym razem jechałam wolniej. Przemierzałam wzrokiem wyludnione ulice, zaglądałam w puste okna z poszarzałymi firankami, za którymi ledwie tliło się światło. Szukałam w nich twarzy, może zarysów sylwetek, ale wokół panował wszechogarniający bezruch. Ten pozorny spokój przyprawiał mnie o dreszcze. Czułam, jakby coś złowrogiego wisiało w powietrzu i miało niebawem wyłonić się z ukrycia.

Dla dodania sobie otuchy przekręciłam gałkę radia, chcąc złapać jakąś stację, by przyćmić niepokój, ale z głośników dobiegały jedynie trzaski i szumy. Wreszcie natrafiłam na lokalne wiadomości. Tuż po charakterystycznym dżinglu spiker piskliwym z ekscytacji głosem opowiedział o niedawnym samobójczym skoku uciekiniarki ze szpitala psychiatrycznego. Bez trudu można było się zorientować, że niewiele jeszcze wie, właściwie powtarzał treść artykułów, które od kilku dni opisywały tajemniczą śmierć mojej matki. Na moment odbiegłam gdzieś myślami, gdy do rozmowy włączył się młodszy inspektor Bernard Suski, komendant powiatowy policji w miasteczku. Wyostrzyłam słuch, śledząc, jak zręcznie lawiruje i unika odpowiedzi na większość pytań dziennikarza.

– Sprawa została wyjaśniona, nie mamy wątpliwości, iż była pacjentka ośrodka neuropsychiatrii bez jakiegokolwiek pomocnictwa targnęła się na własne życie. Ten fakt potwierdzają świadkowie i zapisy z kamer zlokalizowanych na tamtym wiadukcie – recytował głosem wyzutym z emocji, zapewne mając nadzieję, że rozmowa lada chwila się skończy, dziennikarz ustąpi, a on będzie mógł spokojnie wrócić do swojego zagraconego biurka i kawy z ekspresu.

Tyle że prowadzący audycję nie zamierzał skapitulować.

– Czy to prawda, że na nadgarstkach kobiety znaleziono otarcia po więzach? – zaatakował, a ja znieruchomiałam, czując prąd przeszywający moje ciało.

– Bzdura. Kto panu to powiedział?

Policjant starał się nad sobą panować, ale w brzmieniu jego głosu można było wyczuć drobną zmianę. Jakiś zbyt wysoki ton, jedną fałszywą nutę, a może nieadekwatną intonację, która sprawiła, że wypowiedź mężczyzny przypominała bardziej rozkaz niż pytanie. Reporter także wychwycił to wahnięcie i nie tracąc czasu, wymierzył kolejny cios. Podkreściłam głośność.

– Według informacji, do których dotarłem, kobieta miała na plecach wycięty ostrym narzędziem napis. Czy może to pan potwierdzić?

– Zalecam powstrzymanie się od podobnych wymysłów. Nie wnoszą one do życia naszej społeczności nic poza budzeniem niezdrowej sensacji i niepokoju. Tak jak już wspominałem, sprawa została wyjaśniona. Proszę pamiętać, że ofiara była pacjentką szpitala psychiatrycznego i wykazywała poważne zaburzenia – tłumaczył, po czym zwrócił się do słuchaczy: – Gdyby jednak ktoś z państwa czuł potrzebę, by podzielić się jakimikolwiek informacjami związanymi z tym wydarzeniem, zawsze może udać się na najbliższy komisariat. Dziękuję.

Miałam nadzieję, że reporter nie podda się tak łatwo. Wprawdzie na horyzoncie majaczył już symbol rozłożystego drzewa, znak rozpoznawczy hotelu Trzy Dęby, ale celowo zwolniłam, by nie uronić ani słowa z tej wymiany zdań. W oczekiwaniu na reakcję dziennikarza nieświadomie pochyliłam lekko tułów w stronę głośnika, a kiedy prowadzący audycję zaprzestał walki i zwinnie przeskoczył do prezentacji prognozy pogody, jęknęłam z zawodu. Rozmówcę trzeba trzymać na uwięzi niczym rybę na haczyku. Kontrolować jego ruchy, ograniczać szamotaninę zdobyczy, pozwalać jej wierzyć, że ma szansę się wywinąć, ale tak naprawdę cały czas metodycznie wybierać żyłkę. I kiedy wreszcie ofiara osłabnie, zdecydowanym

ruchem wyciągnąć ją na powierzchnię, całkowicie pozbawiając złudzeń.

Dokładnie w taki sposób, w jaki zamierzałam postąpić z mieszkańcami tego miasta.

1990

*

Komendant Leszek Suski drapał do krwi pogryzioną przez komary szyję. Wmawiał sobie, że powinien być zostać na posterunku, by odbierać ważne telefony, ale jednocześnie chciał pokazać lokalnej społeczności, jak bardzo obchodzi go los zaginionego chłopca. Ludzie musieli widzieć jego zaangażowanie, to było najważniejsze. W takich sprawach liczyło się działanie, jakiegokolwiek ruchy mieszkańcy postrzegali lepiej od bezczynności i biernego czekania. Dlatego zakasał rękawy białej koszuli, zdjął krawat i z grupą strażaków, ochotników oraz policjantów z psami wyruszył zbadać tereny wzdłuż rzeki.

Penetrowali zarośla już od dobrych kilku godzin. Bezskutecznie. O ile w pierwszej fazie sporo jeszcze dyskutowali, napędzani adrenaliną, o tyle teraz zmęczenie i topniejąca nadzieja odbierały im chęć rozmowy. Ze spuszczoneymi głowami, widoczni z oddali dzięki światłu latarek, które tworzyło wokół nich jasne kręgi, metodycznie kroczyli w stronę starej żwirowni i złomowiska. Każde szczeknięcie psa albo czyjś nieopatrzny głośniejszy okrzyk były jak światełko w bardzo ciemnym tunelu, natychmiast przyciągały wzrok i skupiały na sobie uwagę, karmiąc poszukujących fałszywą obietnicą.

Wkrótce dotarli do prowizorycznego ogrodzenia z blachy falistej, nad którym piętrzyły się góry ze sprasowanych samochodów,

wzniesienia z pogiętych metalowych beczek, starych żeliwnych wanien, kawałków sprzętu AGD i opon. Szrot pęczniał od składowanych na nim staroci, aż żelastwo w niektórych miejscach przesypywało się za płot.

– Jezu, ktoś tego w ogóle pilnuje? – zapytał komendant jednego z młodszych policjantów.

– Jest tam taki cieć, co za kołnierz nie wylewa. – Funkcjonariusz znacząco uderzył dłonią w szyję. – W sumie to powinno być zamknięte o tej porze, ale przejdźmy się wokół, bo dzieciaki czasem przeskakują przez siatkę po tamtej stronie – wyjaśnił. – Wie pan, dla nich to same rarytasy.

Leszek Suski ściągnął brwi. Nie podobało mu się, że jest tak cicho, w takim miejscu powinny być psy, najlepiej duże i wyglądające na groźne, by odstraszać małych wpadających na głupie pomysły. Ruszyli w prawo, gdy niespodziewanie dwa policyjne owczarki niemieckie zaczęły ujadać kawałek na południe od nich.

– Co jest? Macie coś? – zawołał przełożony.

– Nie, szefie, to szefa syn biegnie z tym Babiczem i chyba jego żoną! – odkrzyknął któryś z policjantów wyposażony w lornetkę.

Suski zaklął siarczyście.

– Jeszcze ich tu brakowało – warknął, pocierając palcami skórę u nasady nosa. – Dobra, lećcie tam, Bernarda przepuście, a tym ludziom każcie iść do domu – polecił.

Komendant oparł dłonie na biodrach, zwrócony w stronę, z której dochodziły odgłosy rozmów i jakiegoś narastającego poruszenia, wypatrywał syna. Kiedy go dostrzegł, nawet w świetle latarki mógł stwierdzić, że twarz aspiranta przybrała kredowo biały odcień. Bernard odruchowo uniósł rękę do oczu, by ochronić się przed oślepiającym blaskiem.

– Znaleźliście chłopca? – zawołał do ojca, z trudem łapiąc oddech.

– Nie. Myślałem, że to wy go macie. Gnałeś, jakby się paliło, a minę masz co najmniej taką, jakbyś wyszedł z prosektorium.

Aspirant zgięty wpół, z rękami na udach dyszał z wysiłkiem.

– Zaginęło jeszcze jedno dziecko – wyrzucił z siebie. – Dziesięcioletni Piotr, syn tej Zielińskiej, co nam czasem burdy na komendzie urządza.

– Akurat nią bym się nie przejmował. – Komendant machnął ręką.
– Smarkacz pewnie gdzieś polazł i wróci niedługo. Wiesz, jak tam u nich jest, matka ma co chwilę innego faceta, wiecznie czuć od niej piwem, a dzieciaki chodzą samopas.

– Ona mówi, że obdzwoniła wszystkie miejsca, dokąd mógłby pójść. Kolegów, rodzinę. I nigdzie go nie znalazła. Podobno nawet z lekcji, co akurat jej nie zdziwiło, ale zwykle nie szwendał się nigdzie sam po zmroku. Twierdzi, że zawsze wracał na noc do domu.

– Psia jego mać! Trzeba będzie przyjąć zgłoszenie.

– Chłopaki na komendzie już się tym zajmują.

Leszek Suski poklepał syna po ramieniu.

– Jak się ten Babicz trzyma?

– A jak ma się trzymać? Gównianie.

Komendant mlasnął ze zrozumieniem. Samo wyobrażenie sobie Kuby ginącego w tłumie sprawiało, że oblewały go zimne poty. Maleńka twarz, z początku jeszcze radosna, niczego nieświadoma, a później coraz bardziej przerażona, niknąca wśród potężnych sylwetek, ludzkich fal. Lata pracy w policji nauczyły Suskiego, że jeśli dziecko nie odnajdzie się w ciągu czterdziestu ośmiu godzin, to z dużym prawdopodobieństwem nie zobaczą go już nigdy więcej. Chyba że martwe.

– Panowie! Tutaj! Znalazłem coś! – usłyszeli młody, niemal dziecięcy głos dochodzący z nad złomowiska.

Wszyscy rzucili się w tamtym kierunku, wokół zapanowało ożywienie. Ktoś kogoś popędzał, światło latarek dźgało czerwcową noc w poszukiwaniu chłopca, a psy wyczuwające rozgorączkowanie zaczęły niespokojnie piszczeć i szczekać. Leszek Suski zarejestrował kątem oka, że jego syn się zatrzymał. Musiał się bać

tego, co może zobaczyć. Tylko głupcy nie czuli strachu w takich momentach, gdy słodki zapach śmierci drażnił nozdrza.

Komendant spojrzął na Bernarda, dając mu znak, że rozumie, po czym ruszył przez łąkę w stronę niewielkiego zagajnika.

Dotarł na miejsce jako trzeci i podobnie jak pozostali był tak wstrząśnięty tym, co zobaczył, że nie wypowiedział nawet słowa. Zastygł w bezruchu, niezdolny ogarnąć umysłem bestialstwa, którego stał się świadkiem. Spodziewał się, że ujrzy ciało zaginionego dziecka, ale nigdy nie przypuszczał, że znajdą zwłoki trzech chłopców.

Ten widok go sparaliżował. Nawet gdyby teraz zamknął oczy albo odwrócił wzrok, nic już nie byłoby w stanie usunąć tego obrazu z kliszy pamięci – ani alkohol, ani czas, ani inne brutalne zbrodnie.

Czuł się, jakby w jego trzewiach ktoś wyrwał wielką dziurę. W lasku zapadła wymowna cisza, tak dotkliwa, że aż piszcząco od niej w uszach. Narastała jak wielki balon pompowany do granic wytrzymałości. Nikt nie chciał go przekłuć. Nie padły żadne przekleństwa, z niczyich ust nie wydobyło się nawet jedno „o mój Boże”, bo potworność, na którą patrzyli, mogła się wydarzyć jedynie w miejscu opuszczonym przez Boga, nie było sensu wzywać go na pomoc.

Leszek Suski położył dłoń na czole, zachwiał się i byłby upadł, gdyby nie jego syn, który dołączył do grupy. Bernard podtrzymał wiotkie i lepkie od zimnego potu ciało ojca, po czym spojrzął mu głęboko w oczy, jakby błagał, by przerwał tę ogłuszającą ciszę. Komendant nabrał tchu. W głowie miał pustkę, a zarazem świadomość, że wszyscy patrzą na niego z oczekiwaniem.

– Panowie – zaczął mówić zduszonym głosem – dopilnujcie, by nikt nie wchodził na miejsce zdarzenia. Ludzie nie mogą tego zobaczyć. Trzeba ogrodzić teren i zabezpieczyć ślady. Bernard, zajmiesz się wszystkim. – Wskazał palcem syna. – Sprowadźcie lekarza, który potwierdzi zgony, a ja, jak tylko ustalimy tożsamość wszystkich ofiar, spotkam się z ich rodzinami. Do czasu, gdy nie

wyrażę na to zgody, absolutnie z nikim nie rozmawiajcie o tym, co tutaj zastaliśmy.

Kilku funkcjonariuszy mruknęło potwierdzająco, a Leszek Suski zbeształ się w myślach za ten oficjalny, bezduszny ton. Schował się za nim, by przetrwać. Zdusił szalejące w nim emocje, bo tego oczekiwano od osób na jego stanowisku. Miał zachowywać zimną krew, a jeśli nie potrafił, to musiał udawać. Powiódł wzrokiem po leżących w trawie ciałach chłopców. Nie byli ofiarami, jak ich nazwał, byli dziećmi. Kruchymi, niewinnymi i martwymi.

Najmłodszy miał zdjęte spodenki. Leżał na plecach z szeroko otwartymi oczami w pokrytej zakrzepłą krwią, zmiażdżonej twarzy. Lepka posoka zachlapała również ubranie dziecka i jego nagie nogi. Komendant zauważył, że w pulchnej dziecięcej rączce chłopiec coś ścisnął. Nachylił się bliżej i rozpoznał stokrotkę o różowych płatkach. Zwykły kwiatek, a jednak na jego widok Suski poczuł, jak wszystko w nim pęka. Przygryzł fragment ust i odwrócił się w stronę ciał starszych dzieci. Jedno z nich miało naderwane ubranie, a na jego szyi widoczne były sine plamy. Drugi chłopiec leżał kawałek dalej, z twarzą zwróconą ku ziemi. Jego włosy zlepiła gęsta brunatna maź, a obok tułowia znajdowała się gruba metalowa rura poplamiona krwią. Nieopodal między kamieniami tkwiły puszka po farbie malarskiej i trampki dziecka, który mógł spaść w trakcie szamotaniny albo próby ucieczki. Te proste przedmioty, choć nieme, zdawały się krzyczeć. Były jak świadkowie niewyobrażalnej zbrodni.

Policjanci zaczęli powoli rozchodzić się do swoich zadań, ktoś rozmawiał z nastolatkiem, który jako pierwszy zauważył ciała, funkcjonariusze zabezpieczali teren taśmą, a komendant zachodził w głowę, kim może być trzeci chłopiec. W znalezionym przy ciele plecaku nie było dokumentów potwierdzających jego tożsamość. Suski nie miał wątpliwości, że najmłodsze dziecko to zaginiony Jakub Babicz. W twarzy drugiej z ofiar rozpoznał syna Jolanty Zielińskiej, tak podobnego do swoich starszych braci, którzy nieraz

przewijali się przez komendę. Tylko ostatnie dziecko stanowiło zagadkę. Czy ktoś już go szukał? I dlaczego nic o tym nie wiedzieli?

Jego rozważania przerwał krzyk dochodzący od strony żwirowni, gdzie policjanci zatrzymali Babiczów i kilku innych gapiów, którzy pod pretekstem wspierania poszukiwań tak naprawdę polowali jedynie na sensację. Skierowawszy na nich światło latarki, Leszek Suski dostrzegł, że ktoś się z kimś szarpie, dobiegały go coraz głośniejsze dźwięki awantury, a po chwili jakaś postać rzuciła się pędem przez łąki w kierunku zagajnika. Za nią ruszyły następne, przecinając powietrze desperackim wołaniem.

Dopiero gdy znaleźli się bliżej, Suski poznał znajomą twarz Elżbiety Babicz. Jednak teraz nie było w niej smutku i poczucia winy, które obserwował w trakcie przesłuchania, ale żelazna determinacja.

Potargane włosy kobiety sterczały na wszystkie strony, gdy wyrwała się mężowi. Z impetem pchnęła ramieniem jednego z funkcjonariuszy próbującego ją zatrzymać i nim ktokolwiek zdążył zareagować, dopadła ciała syna, chwytając je w ramiona i tuląc do siebie.

– Zabierzcie ją stąd! – wrzasnął Suski.

Dwóch policjantów z trudem oderwało szlochającą matkę od dziecka. Ścisłała je tak mocno, że wydawało się, iż stanowią jedność, jakby byli ze sobą trwale złączeni. Niewyobrażalne, jaka siła potrafi obudzić się w człowieku w sytuacjach granicznych. Elżbieta Babicz wierzgała i kopała policjantów, którzy odciągali ją od zagajnika. W tamtej chwili nie przypominała człowieka, raczej zwierzę w potrzasku, przerażone i gotowe walczyć do końca, ze spienioną śliną w kącikach ust, pierwotnym rykiem wydobywającym się z gardła i dzikim wzrokiem. Jej furia zelżała nieco dopiero wtedy, gdy mąż otoczył ją ciasną obręczą silnych ramion.

– Wiem, wiem – powtarzał, niemal zgniatając szarpiącą się żonę.

W którymś momencie Elżbieta jakby oprzytomniała. Przestała stawiać opór, a jej ciało poddało się dotykowi męża. Spojrzała mu w oczy, po czym odszukała wzrokiem komendanta Suskiego.

– Ten, kto to zrobił, zasługuje na śmierć – rzuciła wściekle.

Nikt z obecnych nie zakwestionował jej słów. Policjanci po raz pierwszy nie odwracali wzroku od twarzy kobiety. Jakby w głębi duszy wszyscy myśleli podobnie. Jakby jedyną słuszną karą za odebranie życia dziecku było pozbawienie go kogoś innego.

– Co za bydlak mógł to zrobić? – Lekarz, który potwierdził zgony chłopców, drżącą ręką odpałał kolejnego papierosa. – Wiele rzeczy w życiu widziałem, ale coś takiego?

Teren wokół ciał dzieci policjanci zdążyli już ogrodzić taśmą, która miała chronić ofiary przed wścibskim wzrokiem nadjeżdżających od strony zabudowań gapiów. Ciekawscy obserwatorzy na razie tworzyli niewielkie zbiegowisko jakieś dwieście metrów od miejsca zdarzenia. Odprawieni już wcześniej przez komendanta, chwilowo nie znajdowali śmiałości, by ponownie wypytywać o to, co zaszło. Niektórzy porzucili samochody przy przebiegającej nieopodal drodze, po czym pieszo dołączyli do grupy, inni dotarli w okolice złomowiska na rowerach. Na razie wiadomości roznosiły się z ust do ust. Ludzie szeptali między sobą, ktoś biegł powiedzieć żonie albo zadzwonić do sąsiadki. Wystarczyło rzucone nieopatrzenie przez jednego z funkcjonariuszy: „Niech pan tam nie idzie, tam są martwe dzieci”, by rozgrzać do czerwoności całą okolicę, która zamiast iść spać, wrzała od emocji i domysłów.

– Cholera, skąd ci wszyscy ludzie? – irytował się komendant Leszek Suski. – Każcie im iść do domu, bo jak tam pójde, to nie ręczę za siebie.

– A jak nie będą chcieli? – zapytał lękliwie jakiś młody policjant o wyglądzie licealisty.

– To ich postraszymy więzieniem – wtrącił syn komendanta. – Za czynny udział w zbiegowisku grozi nawet do trzech lat. Powinno im to przemówić do rozsądku, co nie? Chodźmy.

Leszek Suski odprowadził wzrokiem Bernarda, po czym zwrócił się do lekarza:

– Jak pan ocenia przybliżony czas i przyczyny zgonów?

– Zginęli jakieś sześć do dziesięciu godzin temu. Zwłoki są ochłodzone, widoczne plamy opadowe i wyraźne stężenie pośmiertne. W przypadku tych starszych ofiar wygląda to na uduszenie u jednej i uraz głowy spowodowany tępym narzędziem u drugiej. A jeśli chodzi o to małe dziecko... – Medyk wypuścił ze świstem powietrze z płuc, jego oczy się zaszklily. – On ma tyle obrażeń, przede wszystkim głowy i klatki piersiowej, że nie jestem pewien, czy nawet po sekcji będzie można ocenić, które z nich ostatecznie okazało się śmiertelne. Choć pewnie to i tak nie jest najważniejsze ze wszystkich pytań, które sobie teraz zadajecie.

Lekarz patrzył jeszcze przez dłuższy czas na swoje buty, po czym machnął policjantowi ręką na pożegnanie, a następnie na miękkich nogach ruszył w stronę karetki, o której karoserię oparł się ramieniem, i wyciągnął z paczki popularnych ostatniego papierosa.

Komendant nie miał wątpliwości, że tej nocy mężczyzna, jak i oni wszyscy, wypije dużo wyborowej albo żytniej. Może dzięki alkoholowi świadomość tego, co się wydarzyło, choć na moment stanie się odrobinę mniej przygniatająca, ale na razie Leszek Suski czuł jedynie, jakby ktoś położył mu na piersi betonowy blok, uniemożliwiający oddychanie. Nie chciał, a zarazem musiał patrzeć na dzieci. I to nie tylko z powodu śledztwa, które był zobowiązany przeprowadzić, ale także dlatego, że odniósł irracjonalne wrażenie, jakby zmarli usiłovali mu coś powiedzieć. Drobne ciała leżące w trawie zdawały się poszeptywać jakąś sekretną wiadomość, tylko on jeszcze nie rozumiał jej znaczenia. A może tamtej nocy zaczął tracić zmysły? Może właśnie w ten sposób obłąd chwyta ludzi w objęcia, rzucając im wyzwania, których żaden człowiek nie mógł unieść?

Nad ciałami błyskała lampa aparatu. Technik kryminalistyki pieczołowicie dokumentował każdy przedmiot znaleziony na miejscu zdarzenia. Zazwyczaj nad zwłokami funkcjonariusze pozwalali sobie na niewybredne żarty albo ironiczne komentarze – to był ich sposób

odreagowywania napięcia, zupełnie niezrozumiały, a niekiedy nawet oburzający dla ludzi spoza środowiska policyjnego. Jednak nie gdy chodziło o śmierć dzieci. Tamtej nocy żaden z policjantów nie próbował się choćby uśmiechnąć. To był jeden z tych momentów, gdy nawet najtwardsi gliniarze kruszeli, niektórym zdarzało się uronić łzę, ocieraną ukradkiem, a najbardziej rozdęte ego karłało wobec powagi sytuacji.

Prokurator Maja Miksa przyjechała spóźniona. Komendant zauważył, jak zbliżała się, utykając na prawą nogę. Brodzenie przez wysokie trawy musiało sprawiać kobiecie trudność – przez wrodzoną dysplazję stawu biodrowego od lat wspierała się na kuli, a ta zdecydowanie lepiej sprawdzała się na płaskim i równym terenie. Suski dostrzegł plamy potu na jasnej koszuli Miksy i błyszczące krople nad jej brwiami; górny guzik bluzki odpadł, przez co dekolt kobiety stał się zdecydowanie głębszy niż zazwyczaj, a do garniturowych spodni poprzyklejały się suche źdźbła traw.

– Przyjechałam prosto od wisielca, wybaczcie, że musieliście czekać – wysapała, wkładając gumowe rękawiczki.

Nie podeszła jednak do ciał dzieci. Zatrzymała się za rozciągniętą taśmą policyjną i tylko jej oczy lustrowały każdy fragment sceny, którą miała przed sobą. Trampki na nogach starszego chłopca pochłapane krwią, ślady żółtej farby olejnej na ubraniach dzieci, obnażone od pasa w dół ciało najmłodszej ofiary i pojedyncze rozdeptane maliny leżące w trawie. W takich sytuacjach prokurator potrafiła zapanować nad sobą, żadnych łez, niepotrzebnych przekleństw ani dramatycznych stwierdzeń. Trzymała się sztywno faktów, jakby najdrobniejsze odstępstwo od nich mogło sprawić, że straci równowagę. Niczym w pędzącym autobusie: jeśli puścisz się tego, co stabilne, upadniesz. Jedynie przedwcześnie posiwiące włosy i poprzecinane głębokimi poziomymi zmarszczkami czoło czterdziestolatki świadczyły o tym, że zbrodnie, które oglądała, nie pozostawiały jej obojętną. Bruzdy nie znikwały już nawet w lepsze,

wolne od pracy dni, które najczęściej spędzała w łóżku z młodszymi i często o wiele odważniejszymi od siebie kobietami.

– Kto ich znalazł? – chciała wiedzieć.

– Jakiś nastolatek, który zgłosił się na ochotnika do grupy poszukiwawczej – wyjaśnił Suski. – Dziś w okolicy południa trzyletni Jakub Babicz zaginął podczas zakupów z matką w domu handlowym Kryształ. Zorganizowaliśmy patrole składające się z funkcjonariuszy, strażaków i wolontariuszy. Nikt nie przypuszczał, że odkryjemy coś takiego.

– Ustaliliście już tożsamość pozostałych ofiar?

– Jedna z nich to najprawdopodobniej Piotr Zieliński, ten w środku – wskazał dłonią – dziesięciolatek, uczeń lokalnej podstawówki. Matka zgłosiła zaginięcie dopiero wieczorem, gdy zorientowała się, że dzieciak nie bawi się u jej siostry, ale zdjęcie, które nam przekazała, zdaje się potwierdzać jego tożsamość.

– A ten trzeci?

– Na razie nie wiemy, dotychczas nikt więcej nie sygnalizował zniknięcia jeszcze jednego dziecka.

Prokurator Maja Miksa uniosła taśmę, po czym podeszła bliżej ciał. Ściągnięte brwi nadawały jej twarzy wyraz poważnego namysłu. Wodziła wzrokiem po zwłokach ofiar, jakby usiłowała zrozumieć, w jaki sposób zginęły. W końcu przykucnęła przy jednym ze starszych chłopców i obejrzała jego nadgarstki. Nagle znieruchomiała, po czym ostrożnie wyjęła z zaciśniętej dłoni dziesięciolatek cienki złoty łańcuszek.

– Spakujcie to do dowodów. – Skinęła na jednego z policjantów, następnie wróciła do badania rąk, ramion i odsłoniętych części ciał ofiar.

Leszek Suski, który obserwował poczynania kobiety, domyślał się, czego szukała. Jego również frapowało to, jakim cudem jeden sprawca zdołał zapanować nad trójką dzieci. Brał pod uwagę, że mógł to być ktoś, komu dzieci ufały, za kim poszłyby bez lęku,

przynajmniej dopóki nie dotarło do nich, iż intencje dorosłego są dalekie od niewinnych. Oczywiście o ile sprawców nie było kilku.

– Myślisz, że im groził? – wtrącił komendant. – Mógł mieć broń albo potraktować któregoś jako zakładnika i szantażem wymusić na nich posłuszeństwo. To tłumaczyłoby, dlaczego nie uciekli, gdy skrzywdził pierwszego z nich. Może wmówił tym dzieciom, że jeśli będą go słuchać, nikomu nie stanie się nic złego.

– Nie wydaje mi się. Dzieci działają instynktownie, nie kalkulują jak dorośli – odparła z przekonaniem. – Jeśli którekolwiek z nich musiałyby patrzeć na śmierć kolegi, na pewno próbowałyby uciec. Chyba że sprawców było więcej i współnik mordercy zatrzymał pozostałe ofiary. Na przedramionach starszych chłopców znalazłam nieliczne zadrapnięcia. To i poszarpane ubrania wskazują, że usiłowali wyrywać się komuś, kto zatrzymał ich siłą.

– Niekoniecznie, ręce mogli pokaleczyć, zrywając maliny. – Wskazał kilka dzikich krzaków w zagajniku. – Może dwaj starsi przyłapali sprawcę na gorącym uczynku, a on, zaskoczony, spanikował. Uderzył jednego w głowę, a później dopadł drugiego, który w szoku nie potrafił zdobyć się na ucieczkę. To wygląda, jakby oni wszyscy zginęli właśnie tutaj. Nie ma śladów ciągnięcia ofiar po podłożu.

– To dzieci, są lekkie, ktoś mógł je przenieść.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Tylko tyle, że jak zwykle wiemy, że nic nie wiemy. Klasyka gatunku. – Prokurator Maja Miksa spuściła wzrok, dostrzegając brak górnego guzika koszuli i wystający fragment koronki białego stanika. Nie zrobiło to na niej żadnego wrażenia, machnęła ręką, po czym schyliła się, jakby szukała czegoś w trawie.

Leszek Suski znał ją od prawie dziesięciu lat. Nie lubił, gdy koledzy z komendy w żartach określali Miksę babochłopem z powodu jej niskiego głosu, męskich ubrań i twardego sposobu bycia. Dla niego była przede wszystkim niezwykle spostrzegawczą ekspertką.

Podziwiał, że w sytuacjach, które rozkładały na łopatki największych twardzieli, ona nie traciła rezonu, jakby wznosiła się ponad to.

Czasami myślał, że była od nich lepsza, a może silniejsza, rozumiała świat mężczyzn, ale nie walczyła o miejsce w nim. Zastanawiało go, że nigdy nie piła alkoholu. Nadrabiała to, paląc niezliczone ilości papierosów, które umieszczała w długiej lufce, a później zmysłowo wymachując dłonią, opowiadała anegdoty z życia prokuratury. Zazdrościł jej umiejętności trzymania się poza układami i tego, że jedynym, co wywindowało ją tak wysoko, był profesjonalizm. On nie miał tak czystej kartoteki, jego droga do objęcia funkcji komendanta naznaczona była fałszywymi sojuszami, przekazywanymi pod stołem pieniędzmi i donosami na kolegów.

Kiedy obserwował, jak opierając się na kuli, prokurator Miksa przemierza ogrodzony teren, pomyślał, że to jej wolność i niezależność tak go fascynują. Ludzie mający coś na sumieniu stawali się zakładnikami swoich grzechów. W obawie przed tym, że mogłyby wyjść na jaw, owijali je w nowe kłamstwa, coraz bardziej tonąc w gęstym, czarnym bagnie, z którego po przekroczeniu pewnej granicy nie było już możliwości ucieczki.

– Chyba coś mam! – zawołała Maja, rozgarniając kulą trawę.

Komendant ruszył w jej stronę, po czym nachylił się nad miejscem, które wskazywał snop światła latarki. Na niewielkim fragmencie ziemi dostrzegł odbity bieżnik opony rowerowej.

– Wygląda na świeży – stwierdził.

– Zgadza się. Oczywiście mógł go zostawić jakiś przypadkowy przejeżdżający tędy rowerzysta albo jeden z tych gapiów, ale uważam, że nie zaszkodzi sprawdzić. – Z wysiłkiem dźwignęła się do góry i rozglądając się wokół, głośno myślała: – Zobacz, tutaj można dojść tylko pieszo albo dojechać rowerem, większość samochodów ma za niskie podwozia, by poradzić sobie w okolicznych chaszczach, a wóz terenowy zostawiłby dziury w ziemi, które już dawno byśmy znaleźli.

– Nie jeśli zaparkowałyby przy złomowisku. Sprawca mógł zostawić tam samochód i podejść do zagajnika.

– W takim razie przesłuchajmy faceta, który stróżuje na szrocie. Powinien coś zauważyć albo chociaż usłyszeć.

– Nasi zabrali go na komendę. Miał ponad dwa promile alkoholu w wydychanym powietrzu. Kazałem im go otrzeźwić, więc pewnie będzie się już nadawał do rozmowy.

Maja Miksa rozejrzała się wokół.

– Przychodził do pracy pieszo? – zapytała.

Komendant pomyślał o starym Kąkolu, który w brązowym kaszkiecie często przejeżdżał przez miasto na skrzypiącym, rozklekotanym rowerze, i z przestachem spojrzał na prokurator. Kobieta w ułamku sekundy pojęła wymowę paniki w oczach Suskiego. Nie czekając na dalsze wyjaśnienia, skierowała się w stronę wysypiska złomu. Policjant zamierzał podążyć za nią, ale gdy postąpił naprzód, coś chrupnęło pod jego butem. Schylił się zatem, odsunął palcami wierzchnią warstwę ziemi i spostrzegł przedmiot, na którego widok zamarł. Upewniwszy się, że nikt go nie obserwuje, drżącą dłonią pospiesznie podniósł znalezisko, po czym ukrył je w kieszeni spodni. Kiedy to zrobił, zyskał pewność, że właśnie przekroczył granicę, zza której nie będzie już powrotu.

Pięciolatka w przybrudzonej czerwonej sukience uchyliła drzwiczki klatki, w której mieszkały cztery kolorowe papużki faliste, i włożyła do niej rękę. Chciała pogłaskać tę o barwie nieba, nazwaną przez starszego brata dziewczynki Błękitkiem. W tym celu wdrapała się na szafkę ze szklaną witryną i choć mama kategorycznie zabraniała skakania po meblach, małą przepelniała ekscytacja. Ptaki zaskrzeczały, a podmuch powietrza wywołany ruchem ich skrzydeł sprawił, że łupinki po zjedzonych ziarnach rozsypały się wokół jak konfetti, brudząc i tak już wątpliwej czystości dywan. Dziewczynka mimowolnie wysunęła z ust język, a na jej zaróżowionej twarzy malowało się skupienie pomieszane z fascynacją. Ostrożnie zbliżyła

dłoń do niebieskich piór, ale zwierzę uciekło, przeskakując na huśtawkę z patyka. To przestraszyło pięciolatkę, więc gwałtownie zabrała rękę.

– No chodź – powiedziała łagodnie i podjęła jeszcze jedną próbę dotknięcia papugi.

Drobne palce przysunęły się do Błękitka, który początkowo z zaciekawieniem odwrócił nakrapiany łepiek, poruszył czarnymi ślepiami, a potem niespodziewanie uszczypnął dziewczynkę w dłoń.

– Au! – zawołała, odsuwając się od klatki.

Przez zbyt nagłą reakcję dziewczynka straciła równowagę, zachwiała się i uderzyła kolanem o szybę w witrynie. Ta zadzwoniła ostrzegawczo i gdy pewnym stało się, że lada moment mała spadnie z szafki, robiąc przy tym potworny hałas, który zaalarmuje śpiącą matkę, chwyciła się tego, co miała pod ręką. Prętów metalowej klatki dla ptaków. Razem z nią z hukiem runęła na dywan.

Pierwszym, o czym pomyślała, było to, że będzie miała kłopoty. Kuweta znajdująca się na dnie klatki pękła i odpadła, a cała drucziana konstrukcja leżała na boku, otwierając papugom drogę do wolności. Dziewczynka z przestachem wciągnęła powietrze. Przeczuciwała, że mama zaraz wygrzebie się spod koca, nakrzyczy na nią i wytarłosi ją za ucho, tak jak to zwykle robiła Emilowi, gdy wracała ze szkolnych wywiadówek. Jednak poza skrzeczeniem ptaków fruujących po całym pokoju nie usłyszała niczego. Pomyślała, że to przez tę chorobę, z której powodu mama była cały czas smutna, przestała jeść i nie wychodziła z łóżka, szczególnie gdy zapomniała przyjąć swoje okrągłe zielone tabletki.

Pięciolatka ze stęknieniem podniosła się z podłogi. Rozmasowując łokieć, dyskretnie zajrzała do salonu, gdzie na kanapie pod grubym akrylowym pledem kryło się zwinięte w kulkę ciało matki. Dziewczynka odetchnęła z ulgą, słysząc miarowe pochrapywanie kobiety. To dało jej nadzieję, że jeszcze zdoła wszystko naprawić.

Pobiegła do pokoju, który dzieliła z wiecznie nieobecny bratem, i spanikowana zatrzymała się w progu. Nigdzie nie było widać

papug, a falująca w otwartym na oścież oknie firanka przywodziła na myśl najgorszy scenariusz.

– Nie, nie, nie – powtarzała niczym zaklęcie, które miałyby przywołać ptaki.

W popłochu zajrzała pod biurko, sprawdziła też za łózkami i pod szafką, ale zwierzęta bez wątpienia wyfrunęły, korzystając z nadarżającej się okazji. Mała usiadła na wykładzinie, a po jej pyzaty, z każdą chwilą coraz bardziej czerwonych policzkach zaczęły płynąć łzy.

– Jestem głupia! Głupia, głupia, głupia! – mamrotała, uderżając się pięściami w głowę i szarpiąc za włosy.

Kwilenie dziecka przeszło w spazmy, małe ciałko drgało z żalu i złości, gdy dziewczynka tłuła zaciśniętymi dłońmi w podłogę. Dopiero kiedy zrobiła przerwę na oddech, dobiegł ją znany dźwięk. Ówierkanie, które tyle razy budziło ich o świcie. Uniosła głowę i zauważyła, że firanka w jednym miejscu była zawinięta, a do tego dziwnie się poruszała.

– Błękitek! – wykrzyknęła, gdy dotarło do niej, że to niebieska papuga zaplątała się w cienki materiał.

Uśmiech na twarzy dziewczynki dawno nie był tak promienny i szeroki. Mała wskoczyła na biurko, przy którym niekiedy wieczorami Emil udawał, że odrabia lekcje, a w rzeczywistości czytał magazyn przemycony do pokoju. Nosił tytuł „Detektyw”, a na okładkach znajdowały się strasne czerwono-czarne obrazki, które wracały do dziewczynki w snach, sprawiając, że budziła się z krzykiem. Nie pojmowała, dlaczego jej brata tak to fascynowało, właściwie w ogóle go nie rozumiała, jakby był kimś obcym, a nie członkiem rodziny. Bez powodu wpadał w złość, miał swoje sekrety i prawie zawsze milczał. Niepokoił ją. Zwłaszcza gdy nocą skradał się do jej łóżka, by opowiedzieć jej o lalecżce Chucky albo o robotniku zamurowanym w ścianie, których widział w nocnych filmach oglądanych przez mamę. Na szczęście teraz Emil był

daleko. Pewnie włączył się gdzieś z kolegami, dzięki czemu ona mogła bez obaw chodzić po jego biurku.

Z blatu przeskoczyła na parapet. Powietrze wpadające z zewnątrz musnęło jej gołe stopy, co wywoływało na dziecięcych łydkach gęsią skórkę. Za oknem powoli zapadała ciemność. Ktoś wynosił kosz do śmietnika, jakaś kobieta wracała do mieszkania z grubym jamnikiem na smyczy, nikt jednak nie patrzył w górę, na czwarte piętro, gdzie za cienkim woalem poszarzałej firanki, w otwartym oknie stała dziewczynka. Pięciolatka właśnie wspinała się na palce, chcąc dosięgnąć uwięzionej papużki.

– Zaraz cię uwolnię – obiecywała.

Palce jednej dłoni zacisnęła na firance, drugą zaś wyciągała w górę tak mocno, że prawie już dotykała ptaka. Z wysiłku zakręciło się jej w głowie, ale nie ustawała w próbach oswobodzenia Błękitka. Mocno szarpnęła materiałem i wtedy wilgotna od potu stopa dziewczynki omsknęła się z parapetu, a jej wzrok zatrzymał się na metalowym trzepaku pod oknem. W ułamku sekundy zalała ją fala gorąca. Panicznie wczepiła się w woal, obserwując, jak żabki przy karniszu jedna po drugiej z trzaskiem puszczają firankę. Chciała zawołać mamę, ale nie potrafiła. Wiedziona irracjonalnym impulsem zamknęła oczy i nagle poczuła bolesne szarpnięcie, a chwilę później przeszywający ból w kręgosłupie. Była przekonana, że spadła, ale gdy uniosła powieki, przekonała się, że znajduje się na podłodze w swoim pokoju, a nad nią wisi zaspana, wykrzywiona w dzikim grymasie twarz matki. Jej rozczochrane włosy groźnie sterczały wokół twarzy, w kącikach ust zgromadziła się zaschnięta ślina.

– Zgłupiałaś?! – krzyczała kobieta, szarpiąc córkę. – Dziewczyno, masz już pięć lat! O czym ty myślałaś?

– Chciałam tylko...

– Nie obchodzi mnie, co chciałaś. Ile razy mówiłam, że masz nie łązić po meblach? Jak nie potrafisz zapamiętać, to może trzeba ci będzie częściej przypominać. – Kobieta sięgnęła po cienki skórzany

pasek zawieszony na gwoźdźniku wbitym po wewnętrznej stronie drzwi.

– Nie, mamó...

Mała skuliła się na wykładzinie.

– Co: nie? Emilowi to zwykle pomaga. Kto nie słucha matki, ten posłucha psiej skóry – groziła kobieta z nabiegłym furją spojrzeniem, wymachując paskiem. Nagle zaczęła nerwowo rozglądać się po pokoju. Dopiero teraz zwróciła uwagę na zniszczoną, pustą klatkę dla ptaków i rozsypane ziarna. – To jego sprawka? Gdzie on w ogóle jest?

Dziewczynka wzruszyła ramionami.

– Jak to nie wiesz? Już prawie dziewięć, powinien dawno wrócić ze szkoły. Nie było go tu?

– Nie, może zapomniał, że dziś moje urodziny. – Ułożyła usta w podkówkę.

Kobieta pokręciła głową, opierając dłonie na biodrach.

– Pewnego dnia przez was oszaleję. No już dobrze, nie martw się, za rok będą następne. – Poklepała dziewczynkę po głowie gestem, którym uspokaja się psa. – Musimy wyjść poszukać twojego brata. Ubieraj się, Zuzanno.

Dziewczynka przytaknęła, ale w duchu błagała, by nigdy go nie odnaleźli. Miała nadzieję, że kiedy zabraknie Emila, przez którego mamę ciągle bolała głowa, jej choroba odejdzie, rozpuści się jak topniejący na wiosnę śnieg, a wtedy tata wróci do nich i znów będą szczęśliwą rodziną. Jednak nie bez powodu ludzie mawiają, że trzeba uważać na to, o co się prosi, gdyż w rzeczywistości mało kto jest gotowy, by to otrzymać. W szczególności pięcioletnia dziewczynka, która o świecie nie wie jeszcze nic.

Zuzanna, 2015

*

Zatrzymałam się pod bramą wjazdową na parking hotelu. Była zamknięta, dlatego czekałam. Przywykłam do tego. Niekiedy miewałam wrażenie, że całe moje życie składa się z czekania. Na swoją kolej, lepszy moment, właściwą chwilę i drugą szansę. Na wakacje z synkiem, za którym tak bardzo tęskniłam, gdy był z tatą, na wynik postępowania w sprawie podziału majątku między mną a moim byłym mężem, na to, aż coś się zacznie albo skończy, a może po prostu zmieni.

Zza piętrowego budynku w kolorze wyblakłej zieleni wybiegł człowiek skryty pod obszernym kapturem płaszcza przeciwdeszczowego. Wymachiwał dłonią, w której trzymał pęk kluczy.

– Zacięła się! – Męski głos usiłował przekrzyczeć ulewę, ale dalsza część wypowiedzi zniknęła w szumie nawałnicy.

Widziałam, jak wyłuskiwał z kilkunastu kluczy ten właściwy, po czym odblokował mechanizm bramy, a następnie ręcznie odciągnął jej skrzydło, tak bym mogła wjechać na posesję. Opel grzęzł w lepkim żwirze alejki, ale po chwili złapał twardsze podłoże i już bez trudu pozwolił mi dotrzeć prawie pod same drzwi budynku.

Kiedy spojrzałam na fikuśne zdobienia wokół okien, skrzywiłam się z niesmakiem. Nad daszkiem wspartym na kolumnach

i osłaniającym drogę do wejścia wisiały trzy gwiazdki oraz podświetlane czerwone litery, które układały się w słowo „hotel”. Pierwsza z nich zgasła, przez co żarzył się tylko „otel”. Po dachu z falistej blachy kaskadami spływała deszczówka. Z chlupotem wpadała do rynien, pędziła metalowymi tunelami i spieniona wylewała się na dole.

W podobnym miejscu kilka lat temu odbywało się moje wesele. Tam też na podjeździe z szarej kostki brukowej dumnie prezentowała się fontanna otoczona tujami niezdarnie uformowanymi w kule. Na zewnątrz stały ogrodowe ławki z drewna i metalu, tuż obok stoliki ze szklanymi popielnicami, a nad nimi rozpościerały się pożółkłe parasole z logotypem jednej ze znanych marek piwa. Trzy Dęby wyłamywały się z tego schematu jedynie bardziej wyszukaną nazwą, cała reszta przypominała prowincjonalną salę bankietową.

Westchnęłam ciężko i przeciągnęłam się, celowo odwlekając moment, w którym wysiądę z samochodu. Na samą myśl o przeszywającym jesiennym chłodzie i wilgoci gęsia skórka wpełzała na moje przedramiona. Choć tak naprawdę najbardziej obawiałam się zmierzyć nie z paskudną pogodą, ale z upiorną przeszłością. Jakby moment, w którym otworzę drzwi corsy i postawię stopy na ziemi, miał uchylić wrota do tego, co minione.

Skarciłam się w duchu za tę nedorzeczną myśl, a później naciągnęłam kaptur kurtki na głowę i wyskoczyłam na zewnątrz.

Brązowe sztyblety z pluskiem wylądowały w płytkiej kałuży, rozchlapując ją wokół. Zauważyłam ciemne plamy na skórze obuwia zostawione przez krople wody. Deszcz zacinał teraz pod kątem, mokre smagnięcia uderzały o moje szczupłe uda i łydki, sprawiając, że zaczynałam drżeć, a jasny džins spodni zamieniał się w ciemny granat.

– Przeziębi się pani na tym deszczu! – zawołał starszy mężczyzna w gumowym sztormiaku i z latarką w dłoni. – Pomóc z czymś? – zapytał, obrzucając nieufnym wzrokiem rejestrację opla.

– Nie, dziękuję. Poradzę sobie, mam tylko jedną torbę. – Sięgnęłam do bagażnika po swoje rzeczy, pewna, że ten człowiek nieustannie mnie obserwuje. W końcu ostentacyjnie odwróciłam się ze sportową torbą podróżną zawieszoną na jednym i laptopem na drugim ramieniu, by pokazać, że obejdę się bez wsparcia.

– Przyjechała pani w interesach? – badał, a kiedy zignorowałam jego zaczepkę, udając, że jestem pochłonięta zamykaniem samochodu, dodał: – Mało kto się tu zapuszcza o tej porze roku. Wesel teraz nie ma, wie pani, miesiąc bez literki „r” w nazwie, do tego pogoda pod psemy, no i raczej trudno o jakieś atrakcje w okolicy. Latem to budują te labirynty w kukurydzy, urządzają festyny dla dzieci, czasem nawet jakaś lepsza kapela przyjedzie, ale w listopadzie hotel świeci pustkami. Ledwie kilku gości się zameldowało.

– To dobrze, lubię ciszę i spokój – rzuciłam na odczepnego, kierując się w stronę wejścia, ale postać w jaskrawożółtym ubraniu człapała za mną.

Słyszałam szuranie kaloszy mężczyzny, a chwilę później dopadło mnie kolejne pytanie:

– Długo zamierza pani zostać?

Zacisnęłam zęby w irytacji, byłam jednak zbyt zmęczona, by wdawać się w pyskówki z miejscowym stróżem.

– Tyle, ile będzie trzeba. Tydzień, może dwa – wyjaśniłam, po czym nacisnęłam klamkę. Gdy planowałam wejść do hotelu, mężczyzna niespodziewanie zaszedł mi drogę, a nogą zablokował drzwi. – Co pan wyprawia?

Nachylił się lekko w moją stronę, tak że czułam na twarzy jego oddech przesiąknięty alkoholem.

– Gdyby jednak nie przyjechała pani w interesach, tylko na przykład w sprawie śmierci tej kobiety, która rzuciła się z wiaduktu, to za drobną opłatą mógłbym zdradzić kilka ciekawych szczegółów.

Dostrzegłam błysk w mętnych oczach mężczyzny. Przez ułamek sekundy rozważałam nawet jego propozycję, ale szybko doszłam do

wniosku, że facet z pewnością zwietrzył okazję na wyciągnięcie paru groszy od obcej kobiety. Zarzucił przynętę, żeby mnie sprawdzić, i tylko czekał, aż połknę haczyk.

– Nie wiem, o czym pan mówi.

– To ciekawe, bo w samochodzie miała pani gazetę z artykułem o tej sprawie. Widziałem, jak ją pani chowała do torby.

– Musiało się coś panu pomylić. Może to przez alkohol, podobno zaburza jasność umysłu – wbiłam mu szpilę, ale na starej twarzy rysował się tylko pobłażliwy uśmiech.

– Albo wyostrza, jak u tych chirurgów, którzy muszą chlapnąć setkę przed operacją, żeby im ręce nie latały – zarechotał. – Gdyby zmieniła pani zdanie, będę się kręcił w pobliżu – zadeklarował, po czym zabrał nogę, a ja mogłam spokojnie udać się do recepcji.

Za lakierowanym kontuarem z drewna wysoki, szczupły mężczyzna w białej koszuli intensywnie wpatrywał się w monitor komputera. Okulary zjechały mu aż na czubek zmarszczonego nosa, a wzrok gorączkowo przebiegał po treści jakiegoś artykułu, który śledził na ekranie. Dostrzegł mnie dopiero wtedy, gdy odchrząknęłam, chcąc zwrócić na siebie uwagę. Zaskoczony kliknął pośpiesznie przycisk myszy komputerowej i zminimalizował okno przeglądarki, jakby chciał ukryć to, co jeszcze przed momentem tak go absorbowało. Jego lekko odstające uszy poruszyły się, a wzrok sprawiał wrażenie zdziwionego. Nie mógł wiedzieć, że zdołałam zauważyć, czym był wcześniej pochłonięty.

Czytał o mnie, a właściwie o kobiecie, którą niegdyś byłam, zanim nie złamałam zasad etyki dziennikarskiej i z hukiem nie wyleciałam z roboty. Choć właściwszym byłoby określenie: „zanim nie postanowiłam wycofać się z życia, ukryć się przed całym światem w domu z butelką wina i pielęgnować wyrzuty sumienia”. Moja internetowa biografia prezentowała się naprawdę imponująco. Swego czasu napisałam kilka docenionych artykułów, a później ten jeden fatalny w skutkach, który spowodował, że z wybitnej

dziennikarki stałam się dziewczyną piszącą recenzje kremów i balsamów do ciała, bo tylko to ktokolwiek chciał mi jeszcze zlecać.

Przed wyjazdem tutaj odbyłam poważną rozmowę z dawnym redaktorem naczelnym. Najuczciwiej, jak potrafiłam, opowiedziałam mu o listach od matki, jej samobójczej śmierci i zagadce sprzed lat. Słuchał uważnie, co było dobrym znakiem. A kiedy zapytał, czego oczekuję, z trudem ubłagałam go, by dał mi ostatnią szansę albo chociaż lipną legitymację prasową, która mogłaby otworzyć kilkoro drzwi.

Ostatecznie kosztowało mnie to znacznie więcej, niż byłam gotowa zapłacić. I choć często z lekkością mówi się o tym, że cel uświęca środki, to w praktyce nigdy nie jest tak różowo. Czasami droga do celu wymaga składania bolesnych obietnic, takich jak zobowiązanie, które zaciągnęłam u dawnego szefa. W zamian otrzymałam legitymację prasową wystawioną na moje nazwisko. Zuzanna Hansen została dopisana małym druczkiem na długiej liście współpracowników. Od teraz na zlecenie tego magazynu przygotowywałam artykuł o niepokojącym samobójstwie kobiety z dramatyczną przeszłością.

A przynajmniej takie było moje alibi.

– Dobry wieczór – przywitał się recepcjonista, przybierając wystudiowany uśmiech, który kłócił się z pobladłą skórą jego twarzy.

– Dobry wieczór – odparłam.

Doświadczenie nauczyło mnie, że ludzie zazwyczaj dzielą się na takich, którzy nie znoszą dziennikarzy za to, że nieustannie węszą i wążą z butami w cudze życie, na tych, którzy, przynajmniej powierzchownie, uwielbiają reporterów, bo dzięki ich artykułom mogą stać się sławni albo coś załatwić, oraz na tych, którzy mają to wszystko gdzieś. W zasadzie jeśli dobrze się temu przyjrzeć, współcześni dziennikarze nie cieszą się jakąś szczególną estymą. Nazywa się ich pismakami, hienami, wierzy, że dążą po trupach do celu, przeinaczają fakty i robią wszystko dla kariery. Patrząc na mężczyznę za ladą, zastanawiałam się, do której frakcji on należy.

– Ma pani u nas rezerwację, prawda?

– Tak, Zuzanna Hansen – przedstawiłam się.

– Jestem właścicielem tego hotelu, Mateusz Gutkowski. – Wyciągnął do mnie dłoń. – Poszukam jakiegoś ładnego pokoju dla pani. Nie mamy teraz wielu gości, więc mogę zaproponować apartament na drugim piętrze z widokiem na las. W tej samej cenie oczywiście. Na jak długo zamierza się pani u nas zatrzymać?

– Najpóźniej do przyszłego piątku, chyba że uporam się ze swoimi sprawami wcześniej.

– Dobrze, sprawdzę tylko, jak długo pokój na górze będzie dostępny. – Uderzył palcami w klawiaturę, po czym energicznie kliknął myszką. Swoją przesadną uprzejmością upewniał mnie w tym, że należy do osób, które kochają dziennikarzy, albo tych, które widzą w nich szansę na załatwienie własnych interesów. – Tak, nie mamy żadnych rezerwacji na apartament do końca listopada, więc jeśli tylko pani odpowiada, to mogę w nim panią ulokować.

– To miłe, dziękuję.

Podałam mu legitymację prasową, by mógł udawać, że właśnie dowiedział się, kim jestem. Mężczyzna przyjrzał się plastikowemu prostokątowi z pozorowanym zaskoczeniem. Kiedy wstukiwiał dane do systemu, po jego twarzy błąkał się tajemniczy uśmiech, a oczy błyszcząły mu z ciekawości.

– Pewnie przyjechała pani w związku z tym samobójstwem – bardziej stwierdził, niż zapytał. – Proszę się nie gniewać, ale dziennikarze ze stolicy raczej nie wpadają do nas na urlop. Może latem, ale jesienią nie dzieje się tu naprawdę nic ciekawego.

Teraz to moje kącki ust się uniosły. Przybrałam niewinną minę, jakbym została przyłapana na gorącym uczynku. Nie potwierdziłam ani nie zaprzeczyłam, natomiast dałam mu do zrozumienia, że dzielimy wspólną tajemnicę. Wszak informacje poufne z reguły roznoszą się dużo szybciej niż te oficjalne, szczególnie w niewielkich miasteczkach.

– Wszyscy tutaj nadal nie możemy uwierzyć w to, co się stało. Ta kobieta tyle przeszła, ta cała sprawa sprzed lat, potem choroba i w końcu coś takiego. To bardzo smutne. – Westchnął ciężko.

– Słyszał pan o tych śladach na rękach? Podobno ktoś ją wcześniej więził?

– To mało prawdopodobne. Wie pani, jak to jest w takich małych miejscowościach, im mniej informacji, tym więcej plotek.

– Jakich na przykład?

– Ach, szkoda gadać. Same brednie. – Machnął ręką. – Czasami lepiej nie wymyślać czarnych scenariuszy, bo jeszcze okażą się prawdziwe.

Mruknęłam potwierdzająco, mając nadzieję, że moje milczenie skłoni mężczyznę do dalszych zwierzeń. Cisza zazwyczaj krępowała rozmówców, którzy chcąc pozbyć się uczucia niezręczności, wypełniali ją potokiem niezbyt bacznie pilnowanych słów. W tym przypadku Mateusz Gutkowski nie podjął wątku. Właściwie było w nim coś nieprzeniknionego, jakby bawił się tą rozmową i tylko pozwalał mi wierzyć, że to ja ją kontroluję.

W tle cichutko pobrzękiwało radio, a szum deszczu za oknami przypominał o trwającej ulewie.

– To będzie pokój numer czterdzieści – powiedział. – Na drugim piętrze, w końcu korytarza. Trafi pani?

– Z pewnością.

– Śniadania serwujemy w jadalni na dole między siódmą a dziesiątą, a gdyby chciała się pani rozerwać, polecam pub w centrum przy skwerze. – Uśmiechnął się. – Życzę miłego pobytu i proszę się nie zrażać, gdyby miejscowi początkowo podchodzili do pani nieufnie. Taka specyfika małych społeczności.

Podziękowałam mu, a moje ciało powoli zaczynało wypełniać uczucie ulgi. Dotyk ciężkiego metalowego klucza w dłoni zapowiadał, że już niebawem będę mogła zatrzaskać za sobą drzwi pokoju i wyjść z roli. Nie miałam wyrzutów sumienia. W pewnym sensie wszyscy nosimy przed innymi maski, które zdejmujemy dopiero, gdy

jesteśmy sami. Poza ludźmi tak często korzystającymi z kamuflażu, że zaczęli uważać go za swoje najprawdziwsze ja.

Odwracając się w stronę schodów, dostrzegłam za oknem białego SUV-a, który swoim kolorem kontrastował z grafitem nieba. Samochód podjechał do bramy, a ta jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki się otworzyła.

– Widzę, że awaria już zażegnana – rzuciłam w stronę recepcji.

Właściciel hotelu obrzucił mnie nierozumiejącym wzrokiem. Jego oczy zwęziły się do wąskich szparek przypominających te, do których wrzuca się monety w kasach parkingowych. Konsternacja odmalowana na twarzy mężczyzny była prawdziwa, w przeciwieństwie do jego wcześniejszego uśmiechu.

– Awaria bramy – uściśliłam. – Kiedy przyjechałam, zacięła się.

– To niemożliwe. Wymieniliśmy ją niecały miesiąc temu. Pewnie za daleko pani stanęła i fotokomórka nie zarejestrowała samochodu.

Teraz to moja twarz musiała wyglądać co najmniej dziwnie. Otwarte usta, ściągnięte brwi i to niedające się ukryć zagubienie. Zamierzałam opowiedzieć o mężczyźnie w żółtym płaszczu przeciwdeszczowym, ale narastające łupanie w czaszce nakazywało mi jak najszybciej ruszyć na górę, schować się pod kołdrą ze zbawienną dwusetką z minibaru i pozwolić alkoholowi przyćmić niepewność oraz wyrzuty sumienia, które nocami wyłaziły z mrocznych zakątków niczym karaluchy.

– Ma pan rację, na pewno tak było – stwierdziłam, udając, że wszystko jest w porządku.

Niekiedy myślałam, że my kobiety jesteśmy w tym mistrzyniami. Jakbyśmy przychodziły na świat z wbudowaną funkcją zachowywania pozorów i robienia dobrej miny do złej gry.

Zaraz po przyjemnym zgrzytnięciu klucza w zamku drzwi ustąpiły. Wewnątrz rozciągał się krajobraz typowy dla hoteli z lat dziewięćdziesiątych. Długa do ziemi, wzorzysta kapa na łóżku, bordowa wykładzina i ciężkie meble z drewna. Do tego dziwny zapach wilgoci oraz pleśni, a przy tym uderzający chłód.

Po odkręceniu grzejników z westchnieniem ulgi położyłam się na plecach, otulając ciało rąbkami narzuty. Sprężyny pode mną zatrzeszczały, jakby były równie wykończone jak ja. W dawnych czasach wystarczyłoby, że zamknęłabym oczy, a sen przyszedłby niepostrzeżenie. Teraz moją nieodłączną towarzyszką była bezsenność. Od roku jedynym, co pozwalało mi wyrwać się ze spirali natrętnych myśli i koszmarnych obrazów, był alkohol. Początkowo wystarczała lampka wina, przynosiła rozluźnienie. Dzięki niej rzeczywistość traciła swoją ostrość, przestawała skrzeczeć. Z biegiem czasu potrzebowałam coraz mocniejszych trunków, dlatego w końcu zaczęłam sięgać po wódkę. Palącą w gardle trucizną o smaku tak okropnym, że trzeba było ją jak najszybciej przełykać. Wlewać w siebie tak, by nie dotknęła języka i podniebienia.

Nie byłam uzależniona. Piłam tylko wtedy, gdy zostawałam sama, nigdy podczas nocy, które spędzał u mnie Ignaś. Wtedy kołysała mnie zapach jego dziecięcej główki, szmer oddechu i cichutkie, niesamowicie szybkie uderzenia maleńkiego serca. Przez dwa tygodnie w każdym miesiącu udowadniałam sobie, że nie mam problemu z alkoholem, a jednocześnie nieustająco towarzyszyła mi świadomość, iż żyjąc dalej w taki sposób, w końcu dostanę się w szpony nałogu. Z nadzieją, że to nie zdarzy się jeszcze tej nocy, podeszłam do minibaru.

Dwusetka wyborowej spoglądała w moją stronę jak stara dobra znajoma, która widywała mnie już w różnych stanach i potrafiła zrozumieć wszystko. Po chwili srebrna nakrętka wylądowała na podłodze, a gwint butelki zniknął w moich ustach. Piłam duszkiem, głośno przełykając. Nienasycone „gul, gul” wypełniło pokój, gorzki smak rozszedł się po języku. Przymknęłam powieki, pewna, że zaraz opadnie mnie ta przyjemna miękkość, w głowie zaszumi, oczy staną się mętne.

I wtedy usłyszałam szmer – ale nie jakiś przypadkowy odgłos z pokoju obok, tylko szuranie tuż za moimi drzwiami. Co jest? –

pomyślałam, wyraźnie rejestrując, że ktoś znajduje się po ich drugiej stronie. Nie zdążyłam jednak szarpnąć za klamkę i zidentyfikować intruza, ponieważ moją uwagę zwróciła złożona na pół biała karteczka, którą wsunięto pod drzwi.

W pierwszej chwili pomyślałam, że to właściciel hotelu zapomniał mi o czymś powiedzieć i nie chcąc przeszkadzać, dyskretnie zostawił wiadomość.

O tym, jak bardzo byłam w błędzie, przekonałam się, gdy rozłożyłam papier i przeczytałam jedno zdanie nagryzmołone drukowanymi literami.

WYJEDŹ STĄD.

1990

*

Zmęczone stopy małej dziewczynki potykały się na chodniku, gdy matka ciągnęła ją za sobą, boleśnie ściskając drobną dłoń. Z rany na kolanie pięciolatki ciekła krew, ale jej opiekunka zdawała się tego nie zauważać. Pochłonięta czarnymi myślami, potęgowanymi przez syreny przejeżdżających radiowozów, Małgorzata Lenart wypatrywała jedynie syna, z każdym krokiem zyskując coraz większą pewność, że stało mu się coś złego. Czuła to przez skórę, może za sprawą powietrza, które miało w sobie coś dławiącego, a może jej niepokój podsyczał dzwon na wieży, bijący jakby na alarm, choć zwykle sygnalizował tylko pełne godziny. Zapytana, z pewnością nie potrafiłaby powiedzieć skąd, ale w pewien sposób już wiedziała. Mówi się, że matki przeczuwają takie rzeczy, zanim zostaną o nich poinformowane, jakby łączyła je z dziećmi niewidzialna nić albo pamięć o tym, że kiedyś byli jednym.

Telefony na komendzie niemal wrzeszczały, wokół unosił się ostry zapach potu, a policjanci poruszali się nienaturalnie żwawo, jak na filmie odtwarzanym w przyspieszonym tempie. Wszyscy szeptali o zaginionym Kubie Babiczu oraz o świadkach jakiegoś strasznego wydarzenia na łąkach.

Mała Zuzanna instynktownie objęła udo matki i przylgnęła do niego całym ciałem. Przestała już płakać i tylko czasem schylała się, by

dotknąć piekącego kolana, na którym krew zdążyła zakrzepnąć w bordowy strup.

– Już dobrze. – Kobieta założyła niesforne kosmyki za uszy córki.
– Zapytamy tamtą panią o Emila. – Wskazała funkcjonariuszkę, która właśnie odłożyła słuchawkę telefonu. Starła się, by jej głos brzmiał pogodnie, nie potrafiła jednak zapanować nad emocjami, przez co zabrzmiała, jakby odgrywała rolę w kiepskim przedstawieniu.

Kiedy zbliżyły się do policjantki, kobieta obdarzyła je przelotnym spojrzeniem, po czym uniosła dłoń, dając im znak, by zaczekały, a następnie na obrotowej tarczy wybrała nowy numer, ściskając słuchawkę między uchem a ramieniem.

– Dobry wieczór, nazywam się Małgorzata Lenart, nigdzie nie mogę znaleźć mojego syna Emila – tłumaczyła niezrażona matka dziewczynki, korzystając z faktu, że funkcjonariuszka najwyraźniej czekała jeszcze na połączenie. – On ma tylko dziesięć lat, zawsze wracał na noc do domu, a dzisiaj się nie pojawił. Ja wiem, że macie...

– Proszę tu poczekać – przerwała jej policjantka, która niespodziewanie wyszła ze swojego boksu i pobięła dokądś korytarzem.

Dziewczynka potarła zmęczone oczy i ziewnęła. Wędrownka po domach sąsiadów z coraz bardziej nerwową matką wyczerpała ją. Pragnęła tylko przytulić się do pluszowego misia, którego nazywała Józkiem, zamknąć oczy i zasnąć, a kolejnego dnia obudzić się w swoim niewygodnym łóżku w rogu ciasnego pokoju ozdobionego tapetą w dinozaury, z rozczochranym bratem na pościeli obok. Zapomnieć o papugach, które uciekły przez okno, i gniewie matki. Chciała jedynie, by było jak dawniej, nawet wtedy gdy mama przesypiała całe dni, brat gdzieś się włóczył, a ona z głodu pochłaniała suchy chleb z drobinkami pleśni i wyjadała łyżką dżem ze słoików, za co później srogo jej się obrywało. Znów po prostu gapić się na „Teleranek” albo „5-10-15”, wydobywając poślinionym

palcem musujący vibovit z papierowej saszetki. Tęskniła za normalną codziennością, którą znała i uważała za bezpieczną, nie mając pojęcia, jak bardzo ta powszedniość była wynaturzona. Z tego żalu w końcu się rozplakała, ale wtedy policjantka wróciła i mama znów zbyt mocno zacisnęła swoje kościste palce na jej drobnej dłoni.

– Pewnie nie ma jej teraz pani z kim zostawić? – zapytała funkcjonariuszka, patrząc dziwnie na dziewczynkę, a gdy Małgorzata Lenart zaprzeczyła, kobieta zaoferowała pomoc: – To nic, zajmę się małą, żeby mogła pani spokojnie porozmawiać z moimi kolegami. Czekają w salce na końcu korytarza po prawej. Chodźmy.

Matka Zuzanny posłusznie wykonywała polecenia, podobnie jak dzieci, które wierzyły, że jeśli będą postępować według zasad, ustrzeże je to przed czymś nieprzyjemnym. Jednak w życiu można było postępować jak najbardziej właściwie, a ono i tak potrafiło obejść się z nami wyjątkowo potwornie. Z lekko zgarbionymi plecami, ubrana w bawełnianą letnią sukienkę w kolorowe paski, kroczyła za policjantką, rozglądając się z niepokojem. Dziewczynka chciała coś powiedzieć, w jakiś sposób rozweselić mamę, która nagle pobladła i jakby zmaląła, ale wszystkie wesole historyjki jak na złość się rozpierzchły. Dlatego gdy dotarli do pokoju z otwartymi drzwiami, za którymi czekali mężczyzna i kobieta o ponurych twarzach, Zuzanna owinęła cienkie ramiona wokół nóg matki niczym bluszcz porastający drzewo.

– Ja naprawdę nie chciałam, żeby papużki uciekły, mamo.

– Już dobrze. Idź z tą panią, a ja niedługo wrócę – zapewniła Małgorzata zduszonym głosem, całując córkę w czoło. Choć tak naprawdę nigdy nie miała już wrócić, a przynajmniej nie jako osoba, którą Zuzanna znała, tylko jako ktoś na zawsze odmieniony.

Kobieta pomachała do oddalającej się dziewczynki, a gdy ta zniknęła za załomem korytarza, Lenart na miękkich nogach weszła do pokoju i właściwie nie musiała już o nic pytać. Wysoki, barczysty mężczyzna przedstawił się jej jako komendant Leszek Suski. Miał na sobie pomiętoloną, brudną koszulę z podwiniętymi rękawami,

a w jego przekrwionych oczach i w bruzdach zmęczonej twarzy czaił się strach. Zerkał to na nią, to na kobietę w męskich garniturowych spodniach, wspierającą się na kuli, wreszcie odkaszlnął i zaproponował, by Małgorzata usiadła.

– To prokurator Maja Miksa. – Wskazał swoją towarzyszkę, która skinęła głową. – Słyszeliśmy, że chciała pani zgłosić zaginięcie syna. Czy moglibyśmy zobaczyć jego zdjęcie?

– Tak, oczywiście.

Matka Zuzanny wyłuskała z torebki różowy portfel z doczepionym do niego brelokiem w kształcie koniczyny i wydobyła ze środka prostokątną fotografię wykonaną do legitymacji szkolnej. Na obrazku widniała pokryta piegami, uśmiechnięta twarz nieco młodszego Emila, z tą samą fryzurą na pazia, którą nosił do dziś. Śledczy ponownie wymienili między sobą porozumiewawcze spojrzenia, a Lenart, czując się coraz bardziej nieswojo, jeszcze mocniej przytuliła torebkę do brzucha, jakby chciała osłonić się nią przed nadchodzącym uderzeniem.

– Czy pamięta pani, jak syn był ubrany dzisiaj rano? – zapytała prokurator.

To pytanie zaskoczyło Małgorzatę. Odkąd przestała regularnie przyjmować leki na depresję, wszystko zaczęło tracić kontury i kształty. Dni i godziny wydawały się do siebie podobne. Zwykłe zakupy czy wizyta na poczcie przypominały wyzwanie o randze wyprawy na Kilimandżaro. Potrafiła spać godzinami, po czym budziła się zdezorientowana, z pulsującą bólem głową, przerażona jak zwierzę zapędzone w kozi róg, z szyderczym głosem w myślach, który powtarzał jej, że jest nikim. W takich chwilach łykała kilka tabletek więcej, wierząc, że dzięki nim stanie na nogi, ale one nigdy nie pomagały w sposób, którego oczekiwała. Mąż, który ją zostawił, nie wracał. Nie cofnął też tych podłych słów, które wykrzyczał, zanim odszedł.

Lenart poczuła na sobie wyczekujący wzrok komendanta i zdała sobie sprawę, że jej milczenie trwa zbyt długo. Potarła palcami

skronie, jakby to miało pomóc w przypomnieniu sobie stroju Emila, ale w rzeczywistości na niewiele się to zdało.

– Niestety nie wiem – odparła z zażenowaniem. – Syn wybiegł do szkoły, kiedy jeszcze spałam, ale może włożył jedną z tych sportowych koszulek, które dostał od ojca. Czasem nosi je kilka dni z rzędu, bardzo je lubi.

Prokurator wyciągnęła z brązowej teczki zdjęcie czarnego sznurowanego trampka z białym nosem, na którym ktoś niebieskim długopisem dorysował szachownicę, i pokazała je Małgorzacie.

– Czy ten but należy do pani syna? Rozmiar trzydzieści sześć.

Resztki nadziei w sercu Lenart zaczęły topnieć. Patrząc na fotografię, uświadomiła sobie, że niekiedy można czegoś bardzo chcieć, a jednocześnie potwornie się tego bać. W tamtej chwili nie pragnęła niczego więcej, jak tylko dowiedzieć się, gdzie przybywa jej syn, lecz gdy podeszła bliżej tej prawdy, była gotowa zrobić wiele, by jej nie usłyszeć.

Czarny trampek leżący w trawie kłuł ją jak wyrzut sumienia. Jakiś tydzień temu kłócili się z Emilem o to, że zniszczył nowe buty, bazgrząc po nich. Ona wyrzucała mu bezmyślność i brak szacunku dla jej pracy, choć tak naprawdę utrzymywali się głównie z alimentów, on tymczasem przekonywał ją, że teraz wszyscy ozdabiają buty w sposób, który pozwala im się wyróżnić.

Na wspomnienie wymiany zdań z synem ogarnęła ją złość, bo czy nie mógł być taki jak inne dzieci w podobnym wieku, wracać do domu na czas, oglądać kreskówki, przegryzając przy tym kanapki z masłem i cukrem, zamiast wiecznie znikać, a potem pojawiać się niespodziewanie w podartym ubraniu, dziwnie podekscytowanym nastroju i patrzeć na straszne filmy dla dorosłych, których bała się nawet ona?

Raz jeszcze rzuciła okiem na zdjęcie, rozważając, ile dzieci mogło popisać trampki dokładnie w ten sam sposób, ale miała świadomość, że oszukuje samą siebie.

– Wygląda jak ten Emila – odparła smutno. – Rozmiar się zgadza.

– To też należało do niego? – Policjant pokazał jej rozerwany złoty łańcuszek w foliowej torebce, ale zaprzeczyła ruchem głowy. – Czy może nam pani powiedzieć, kiedy ostatnio widzieliście się z synem?

– Wczoraj po południu. Emil po szkole miał kupić pieczywo do domu, ale zamiast na chleb wydał pieniądze na słodczyce i „Detektywa”, tę gazetę. W jego kieszeniach znalazłam pełno papierków po gumach balonowych, chociaż próbował mi wmówić, że zgubił pieniądze po drodze. – Pokręciła głową z dezaprobatą. – Czasami sama już nie wiem, co z nim robić. Odkąd jego ojciec nas zostawił, Emil zupełnie przestał mnie słuchać. Zaczęły się bójki, ucieczki ze szkoły, no i te kłamstwa.

Małgorzata ze skrępowaniem opuściła głowę, czując się odpowiedzialna za zachowanie syna. Matki tak już miały, że nawet gdy dzieci stawały się dorosłe, one nie potrafiły przestać wstydzić się za niektóre ich decyzje i działania. Wystarczyło posłuchać wiadomości; zawsze gdy dochodziło do tragedii, ludzie pytali „gdzie była wtedy jego matka?” albo: „jaka matka wychowała takiego potwora?”. Nikt nie skupiał się przesadnie na ojcach, bo przecież oczywiste było, że ci musieli pracować na rodziny, podczas gdy wychowaniem dzieci zajmowały się matki. I to na nie spadała wina, gdy coś poszło nie tak, jak powinno.

– Jeszcze jedno. – Prokurator Miksa wyrwała ją z zamyślenia. – Co robiła pani dzisiaj od południa aż do teraz?

– Byłam w domu z Zuzanną. Zjadłyśmy krupnik, a potem ona poszła się bawić do pokoju, a ja oglądałam telewizję i usnęłam na kanapie. – W zakłopotaniu potarła nadgarstek. – Leki na depresję zwykle mnie usypiają – dodała, unikając wzroku śledczych. – Obudziłam się dopiero wieczorem i od razu zaczęłyśmy szukać Emila.

– Ktoś może to potwierdzić?

– Pewnie ta Olędzka z naprzeciwka; tylko coś szcęknie na klatce, to od razu przy wizjerze stoi. Zawsze wie, kiedy ktoś od nas wychodzi.

Kobieta w garniturze zanotowała nazwisko, odchrząkując.

– Czy pani syn znał Piotra Zielińskiego?

– Macie na myśli tego chłopaka z wielodzietnej rodziny? Tak, są razem w klasie. Prosiłam, żeby się z nim nie zadawał. Ten dzieciak namawiał go do różnych złych rzeczy. Kilka razy poszli we dwójkę na wagary, zaczepiali jakieś starsze osoby, a nauczycielka twierdziła, że podobno dręczyli wspólnie chłopca z młodszej klasy. – Prychnęła. – Według mnie to wszystko bzdury, dzieciaki, jak to dzieciaki, po prostu się pobili.

– Słyszała pani o trzyletnim Jakubie Babiczu? – wtrącił Leszek Suski.

– Straszna historia. Sąsiedzi mi powiedzieli o jego zaginięciu, ale podobno już się odnalazł, prawda? Ludzie gadali coś o policji i radiowozach na łąkach. Mam nadzieję, że nic mu nie jest.

Komendant przymknął powieki, westchnął ciężko, po czym szepnął coś do towarzyszącej mu prokurator, a kiedy potwierdziła mruknięciem, odezwał się do Małgorzaty:

– Obawiam się, że mam dla pani złe wieści. Wszystko wskazuje na to, że dzisiaj wieczorem znaleźliśmy ciało pani syna.

– To niemożliwe, pan się pomylił – przerwała mu gwałtownie. – Emil po prostu gdzieś poszedł. Znajdzie się, na pewno.

– Bardzo mi przykro, on nie żyje – odparł ze współczuciem. – Chcielibyśmy prosić, by udała się pani do prosektorium, trzeba zidentyfikować zwłoki. Najlepiej jak najszybciej. – Zamilkł na moment, dziwnie przyglądając się kobiecie. – Pani Lenart, wszystko w porządku? Dobrze się pani czuje?

Małgorzata jednak nie odpowiedziała. Po słowie „zwłoki” jej twarz zastygła, jakby była z wosku, oddech stał się płytki, sylwetka stopniowo zaczęła osuwać się w dół. Cios, który na nią spadł, odebrał jej mowę, łupanie w czaszce narastało, a piekące darcie w płucach sprawiało, że czuła, jakby płonęła żywcem.

Tak naprawdę ludzie nie obawiali się tego, że spotka ich coś złego, w rzeczywistości umierali ze strachu przed tym, co będą czuli, gdy

najgorsze już się wydarzy. Przed tym cierpieniem, paniką, uczuciem rozpadania się na kawałki i duszącej bezradności, które stały się udziałem Lenart.

Wiotkie ciało kobiety niespodziewanie przechyliło się na bok i spadło z krzesła na wykładzinę, po drodze wypuszczając z objęć damską torebkę, z której wyleciały szminka, plastikowy grzebień oraz kilka luźnych monet. Leszek Suski rzucił się na pomoc zemdlonej Lenart, uniósł jej głowę i zdecydowanie mocniej, niż było to konieczne, poklepał jej kredowo białe policzki.

– Pani Małgorzato! – wołał, szarpiąc ramiona chude jak u dziecka.

Zamierzał poprosić Miksę, by wezwała karetkę, ale zanim to zrobił, prokurator chlusnęła w twarz kobiety wodą ze szklanki, z której wcześniej popijała. Prychanie i kaszel Lenart natychmiast wypełniły ciasny pokój przesłuchań. Małgorzata zamrugła, zaczęła się niespokojnie poruszać, a następnie powiodła wzrokiem po ścianach pomieszczenia, na nowo uświadamiając sobie tę łamiącą serce prawdę, że policja znalazła jej syna.

Usta kobiety mamrotały coś niewyraźnie, kiedy chwiejąc się, wstawała z podłogi wsparta na ramieniu komendanta. Z zamglonym wzrokiem i wyraźną trudnością z utrzymaniem się na własnych nogach, przypominała kogoś, kto wypił o kilka drinków za dużo.

– Tam jest moja córka – stwierdziła nagle nad wyraz przytomnie, jakby dopiero teraz przypominała sobie o jej istnieniu. – Na pewno się martwi, pójdę już. Powinnyśmy być w domu, gdy Emil wróci.

– Pani Lenart – Leszek Suski usiłował dotrzeć do niej, ale kobieta jakby go nie słyszała.

Schylając się, w popłochu zbierała z podłogi rozsypane przedmioty, które później bezładnie upychała w torebce. Bez wątplenia była w szoku. Jej chude palce z krótkimi, obgryzionymi paznokciami podniosły spod krzesła jakiś błyszczący w świetle jarzeniówek przedmiot. Komendant na jego widok sięgnął do kieszeni, a gdy nie znalazł tam tego, czego szukał, zaklął w myślach.

Małgorzata obracała w dłoni złoty krzyżyk, zawieszkę podobną do tych, które dzieci zwykle dostawały razem z łańcuszkiem w prezencie na komunię. Ta jednak wydawała się za duża i zbyt masywna, by należeć do dziecka, przypominała raczej ozdoby noszone przez mężczyzn. Drobna figurka Jezusa rozciągniętego na krzyżu dla kogoś wierzącego stałaby się znakiem od Stwórcy, przyniosłaby otuchę i nadzieję, ale w oczach Lenart pochylona głowa Chrystusa była jedynie kolejnym dowodem na to, że czasami Bóg wstydzi się tego, do czego dopuścił, i odwraca wzrok. Tak jak to zrobił, gdy zostawił ją mąż i teraz, gdy umierała ze strachu o syna.

– To nie moje – stwierdziła, strzepując ziemię z krzyżyka.

– Należy do mnie. – Leszek Suski zabrał przedmiot z jej dłoni i mocno wcisnął go do kieszeni spodni. – Musiał wypaść, kiedy pani pomagałem – dodał, mając nadzieję, że prokurator Miksa nie zwróciła uwagi na jego zmieniony głos.

Mieczysław Kąkol nie potrafił zrozumieć, dlaczego policjanci wywlekli go z kanciapy na złomowisku, gdzie przysypiał w fotelu przed niewielkim telewizorem, głośno przy tym chrapiąc. Obudził go ryk funkcjonariuszy, zadawane ostrym tonem pytania i nieprzyjemne szarpanie za ramię.

W pierwszej chwili pomyślał, że to właściciel interesu nastął na niego gliny, bo miał dość wiecznego pijaństwa i lenistwa pracownika, ale po chwili zdał sobie sprawę, że ktoś musiał odkryć, co zrobił z psem, który do niedawna pilnował składowiska. Stary Kąkol nienawidził bydlaka, bo ten bez powodu warczał na niego, szczerząc kły, szczekał i doprowadzał stróża do stanu przedzawałowego. Szef jednak nie traktował jego skarg poważnie, a gdy dozorca opowiadał o lęku przed zwierzęciem, przełożony kpił z niego, przekonując, że w końcu się dotrą. Mieczysław miał na ten temat zgoła odmienne zdanie. Doberman od początku reagował na mężczyznę agresywnie. Być może nie polubił jego wiecznie czerwonej, napuchniętej twarzy z nosem przypominającym kartofel na środku albo błyszczącej

w słońcu łysiny czy zatęchłego zapachu rzadko pranych ubrań. A może – tak jak wielu ludzi w tym mieście – zwyczajnie mu nie ufał, bo na kilometr wyczuwał kanciarza i mitomana.

Pomysł, jak rozprawić się z psem, przyszedł, gdy Kąkol rozrzucił wokół swojego garażu trutkę na szczury. Różowe granulki natchnęły go do zakończenia codziennej gehenny, od której tracił ostatnie siwe włosy. Wystarczyło naszprycować trucizną serdelki, a później tylko czekać, aż łakome bydle pożre je chciwie, nieświadome konsekwencji. Pisk umierającego zwierzęcia do dziś niekiedy prześladował mężczyznę, który po wszystkim zakopał dobermana w lesie, a właścicielowi skłamał, że jego pupil uciekł. W miasteczku na drzewach i słupach zawisły ogłoszenia z wizerunkiem psa o czarnej, błyszczącej maści i rozpaczliwym apelem o kontakt, gdyby ktokolwiek miał jakieś informacje na jego temat. Nikt oczywiście się nie zgłosił, a osoba, która знаła prawdę, robiła wszystko, by wymazać ją z pamięci. W kanciapie Mieczysława zaczęło pojawiać się coraz więcej pustych butelek po wódce oraz szemranych towarzyszy do picia. Ich rubaszny śmiech i opowiadane pod wpływem procentów anegdoty miały zagłuszyć ten cichy głosik, który przypominał stróżowi o tym, co zrobił, a gdy się rozzuchwalał, namawiał mężczyznę także do innych, jeszcze bardziej nieludzkich czynów.

Wepchnięty pod zimny prysznic Kąkol nadal nie rozumiał, z jakiego powodu znalazł się na komendzie, ale wracająca stopniowo jasność umysłu nakazywała mu wyznać wszystko, zanim będzie za późno. Siedząc nago na chłodnych kafelkach, zaczął płakać ze strachu, a jego pofałdowane, stare ciało, które od lodowatej wody nabrało fioletowej barwy, wpadło w dygot.

– Wyłazić! – krzyknął jeden z policjantów pilnujących stróża.

Funkcjonariusz rzucił mu szorstki, poplamiony ręcznik, który równie dobrze mógł być używany jako szmata do podłogi. Mieczysław usiłował coś powiedzieć, ale drugi policjant kazał mu się ubrać w cuchnące ubrania, wcześniej siłą z niego ściągnięte. Dłonie

Kąkola z trudem naciągały sztywne od brudu dżinsy i T-shirt z reklamą papierosów na piersi, wygrany na jednym z wakacyjnych jarmarków.

– Idziemy – warknął funkcjonariusz, popychając mężczyznę, a potem doprowadził go do pustego pokoju i kazał tam czekać.

Stróż pociągnął nosem, z niepokojem spoglądając na pomalowane białą farbą ściany, które zdawały się zbliżać i osaczać go jak ciasna pułapka. Mieczysław zaczął głębiej oddychać, jakby powietrze wpadające do płuc mu nie wystarczało. W końcu schował twarz w dłonie, a jego wargi szeptały obietnice typowe dla ludzi pod presją. W myślach przysięgał, że nigdy więcej nikogo nie skrzywdzi ani nie oszuka, ale gdy do pokoju wparował komendant Leszek Suski z dłońmi zaciśniętymi w pięści i twarzą nabiegłą gniewem, nie był już tego taki pewny.

Chwilę później w pomieszczeniu zjawiała się również kobieta. Widywał ją niekiedy w miasteczku, gdy wystawał na rogach sklepów z butelką piwa w dłoni. Zwykle spacerowała z długą lufką i zatkniętym w niej papierosem, ubrana w nieco za duży garnitur, wiecznie zamyślona, z czołem zmarszczonym od trosk. Mimo utykania poruszała się szybko, a przy tym sprawiała wrażenie nieustraszonej. Daleko było jej do tych płochliwych kobiet, które nigdy nie przeciwstawiły się swoim mężom, pokorniejac na pierwszy głośniejszy ton czy podniesienie ręki. W żyłach prokurator Mai Miksy, bo Kąkol właśnie zdał sobie sprawę z tego, kim była, z pewnością płynęło więcej testosteronu niż u niektórych mężczyzn. Potrafiła huknąć na wulgarnych pijaczków, zwrócić uwagę szanowanym mieszkańcom, a przede wszystkim umiała przejrzeć człowieka na wylot.

– Jak tam, panie Kąkol, popiło się, co? – zapytała, kładąc nogi na stole, w czasie gdy komendant z rękami na biodrach stał oparty plecami o ścianę.

– Troszkę tylko. – Mieczysław wzruszył ramionami.

– Chyba się znamy z widzenia – wspomniała. – Przez ten alkohol pewnie pan nawet nie wie, co się dzieje na świecie, a proszę mi wierzyć, że ostatnio bardzo dużo się wydarzyło, i to jakimś trafem tuż obok złomowiska, na którym pan pracuje.

Mężczyzna niespokojnie kręcił się na krześle, w czasie gdy Leszek Suski przyszpilał go wzrokiem.

– Chciałby nam pan o czymś opowiedzieć? Może widział pan w pobliżu wysypiska coś, co pana zaniepokoiło? – pytała Miksa.

– Ja... – Przerwał, nie mogąc wykrztusić słowa.

– Zacznijmy od tego, co pan robił dzisiaj w okolicy południa.

– Piłem gorzałę.

– Sam?

– Z takim jednym facetem. Przywiózł różne graty na złom, mówił, że niedawno się wprowadził i posprzątał stary dom z tych śmieci. Całą przyczepkę wyładował, zgarnął kasę, a potem chyba chciał postawić flaszkę szefowi, ale że go nie było, to zaproponował mnie.

– Poszcęściło się panu – podsumowała prokurator. – A ten facet, jak go pan określa, miał jakieś imię albo nazwisko?

– Przedstawił się jako Tomasz. Wspominał coś, że po wakacjach będzie uczył w naszej szkole. Tej nad rzeką, przy mostku.

Komendant zanotował coś w granatowym zeszytku.

– I długo tak razem piliście? – kontynuowała Miksa.

– Bo ja wiem, może z godzinę, potem mnie się urwał film, a on pewno odjechał.

– Pijany?

– Dziabnięty lekko tylko był. Na takim małym rauszu, bo mnie cały czas polewał, a sam gadał i przez to kolejki opuszczał.

– Co wydarzyło się później? – wtrącił zniecierpliwiony Leszek Suski.

Na dźwięk jego głosu Mieczysława Kąkola przeszył prąd. Był pewien, że już wcześniej go słyszał, i choć nie potrafił sobie dokładnie przypomnieć gdzie, jego brzmienie wydawało mu się znajome.

– Słońce mnie przypiekło na tym krzeselku wędkarskim, gdzie zasnąłem. Bolało jak cholera, dlatego schowałem się do kanciapy. Wyciągnąłem piwo z lodówki i patrzyłem na jakiś program dla dzieci, „Tik-Tak” czy coś w tym stylu. W końcu mnie zmorzyło, a jak się ocknąłem, to wszędzie byli policjanci. – Mężczyzna czknął, po czym dodał z wyrzutem: – Czy ktoś mi w końcu wyjaśni, co tu się, u licha, dzieje? Nie rozumiem, dlaczego mnie o to wszystko wypytujecie. Jeśli chodzi o mojego szefa i tego psa...

– Niedaleko złomowiska zamordowano trójkę dzieci – przerwał mu Suski. – Dlatego jeśli widział pan albo słyszał tego popołudnia jakichś ludzi, przejeżdżające samochody albo cokolwiek znaczącego, powinien nam pan o tym powiedzieć. – Komendant oparł dłonie na stoliku i nachylił się w stronę dozorczy, po czym ostrzegł go, że składanie fałszywych zeznań jest przestępstwem.

Mężczyzna napiął mięśnie, jakby nadmierna bliskość policjanta wywoływała w nim dyskomfort.

– Niczego nie widziałem – odparł, unikając wzroku śledczych. – Telewizor bębnił tak, że nawet gdybym był trzeźwy, nikogo bym nie usłyszał, a przecie byłem nieźle napruty.

– Przed czym pan tak ucieka, panie Kąkol? – zaczepiła go prokurator Miksa. – Z mojego doświadczenia wynika, że wszyscy alkoholicy nie mogą sobie z czymś poradzić i dlatego sięgają po kolejną butelkę. A co pana dręczy? Jakie ma pan grzechy na sumieniu?

Mieczysław prychnął i pokręcił głową.

– Żadnych, ja po prostu lubię pić – oznajmił z udawanym rozbawieniem.

W rzeczywistości wcale nie było mu do śmiechu, ponieważ właśnie zrozumiał, w jakich okolicznościach słyszał wcześniej głos komendanta. I kiedy dotarło do niego, co to oznacza, poczuł, jak krew zastyga mu w żyłach.

Zuzanna, 2015

*

Obudziło mnie ujadanie psa i zimno przenikające do szpiku kości. Musiałam się wiercić przez sen, bo kołdra spadła na podłogę. Pokój wypełniała ciemność, rozpraszana jedynie wątlým światłem ulicznej latarni sączącym się przez cienkie zasłony. Zdezorientowana spojrzałam na telefon, który wskazywał trzecią, i z jękiem niezadowolenia sięgnęłam po kołdrę, naciągając ją na głowę. Pod przykryciem było mi duszno i niewygodnie. Przekręcałam się z boku na bok, liczyłam barany, robiłam nawet te idiotyczne ćwiczenia oddechowe, ale byłam już tak spięta, że nic nie pomagało. Wróciła moja kompanka, bezsenność. Alkohol poskramiał ją tylko na chwilę, dzięki niemu zyskiwałam raptem kilka godzin snu, wpadałam w miękką czarną dziurę bez dna, a potem znienacka odzyskiwałam świadomość i nie potrafiłam już zmrużyć oka, nawet gdy byłam potwornie zmęczona. Czułam, jakby bezsenność stawała wtedy w nogach łóżka i szyderczo się do mnie uśmiechała, mówiąc: „mam cię”, a ja wiedziałam, że już się jej nie wywinę.

Bezsenność była jak powolne umieranie. Wysysała wszystkie siły, delektując się każdym ich łykiem. Przez nią nieustannie bolała mnie głowa, oczy piekły, świat przysłaniała mgła. Dawniej brałam na to leki, ale one za bardzo otumaniały, następnego dnia nigdy nie potrafiłam się skoncentrować, przedmioty wypadały mi z rąk, a słowa

wychodzące z ust sklejały się ze sobą, tworząc niezrozumiały bełkot. Alkohol, przynajmniej w krótkiej perspektywie, obchodził się ze mną łaskawiej.

Leżałam więc na łóżku, patrząc w sufit. Blond włosy rozrzucone na poduszce tworzyły wokół mojej głowy aureolę. W takich chwilach czas ciągnął się jak włoski makaron. Minuty wydawały się godzinami, a z ciemnych kątów wyłaziły natrętne myśli. By je odgonić, sięgnęłam po teczkę z wycinkami prasowymi mojej matki. Najstarsze pochodziły z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego roku. Żarówka w nocnej lampce zamigotała, po czym rozbłysła białym, kłującym w oczy światłem. Wcisnęłam poduszkę pod plecy i opierając się o skrzypiący zagłówek, otworzyłam okładkę.

Treść artykułów za każdym razem uderzała tak samo mocno, jakby ktoś bez ostrzeżenia walił pięścią w skroń. Przebiegłam wzrokiem po nagłówku: „Kto dopuścił się tego bestialstwa?” i natychmiast zaczęło brakować mi tchu. Czarno-białe zdjęcie zamieszczone obok tekstu przedstawiało tutejsze łąki, a na ich tle skupisko kamieni, grubą metalową rurę leżącą w trawie oraz pojedyncze sztuki ubrań, pomięte i rozrzucone w nieładzie. Gdzieś tam można było dostrzec ciemniejsze plamy wyglądające na krew. One najbardziej pobudzały wyobraźnię, sprawiając, że ten z pozoru niewinny kadr, który mógłby uchodzić za widok zaśmieconego zagajnika, stawał się obrazem miejsca zbrodni. To właśnie tutaj leżały martwe dzieci, gdy je znaleźli, i choć na załączonej fotografii nie pokazano ich ciał, to cała ta kompozycja nasycona była śmiercią, od której przechodziły dreszcze.

Otuliłam się szczelniej kołdrą, a potem objęłam spojrzeniem zdjęcia, z których uśmiechały się twarze chłopców. Trzylatka o wyglądzie cherubina i dwóch dziesięciolatków o błyszczących, mądrych oczach, wyzywająco zerkających w obiektyw aparatu. Nie różnili się niczym od zwyczajnych dzieci, jakie widzimy na placach zabaw, w parkach albo w supermarketach, gdy kurczowo ściskają dłonie swoich matek. Miałam nadzieję, że w ich rysach wyczytam

coś więcej, znajdę odpowiedzi na dręczące pytania albo chociaż wskazówki, które pomogą zrozumieć, co tak naprawdę zaszło w czerwcu dziewięćdziesiątego roku, ale na próżno.

Z artykułów dowiedziałam się jedynie, że tamtego dnia trzyletni malec zniknął matce z oczu podczas zakupów w domu towarowym, a starsi chłopcy uciekli z lekcji i przepadli bez wieści. Ciała trojga dzieci odkryto w trakcie akcji poszukiwawczej zorganizowanej przez policję, strażaków oraz mieszkańców. Wszystkie ofiary doznały poważnych obrażeń. Najmłodszy, Jakub Babicz, miał ich bez wątpienia najwięcej, jakby ktoś godzinami pastwił się nad biednym dzieckiem, sprawiając mu niewyobrażalny ból. Natomiast uszkodzenia ciał dziesięciolatków nie były tak drastyczne i wskazywały na to, że śmierć przyszła do nich zdecydowanie szybciej niż do trzylatka.

Przymknęłam powieki i powoli wypuściłam powietrze nagromadzone w płucach. Zważywszy na fakt, iż jedna z ofiar była mi szczególnie bliska, już samo czytanie o tamtych zdarzeniach raniło do głębi, nie potrafiłam nawet wyobrazić sobie, co musieli czuć rodzice zamordowanych chłopców. Smutek ścisnął moje gardło, a oczy zaczęły szczypać. Odłożyłam teczkę, jakbym uciekała przed tą historią. Zaczął we mnie narastać pierwotny lęk o bezpieczeństwo Ignasia. Panika tak silna, że aż chwyciłam za telefon i pospiesznie wystukałam krótką wiadomość do męża. Proste: „błagam, powiedz mu, jak bardzo go kocham, gdy się obudzi” przyniosło chwilową ulgę. Tuż po niej pojawiła się złość, bo prawie pewne było, że Łukasz tego nie zrobi. Gdy Ignas przebywał u niego, mąż nie odbierał moich telefonów i tylko sporadycznie odpisywał na SMS-y. Zawłaszczwał syna, tłumaczył, że to ich czas i nie chcą, by ktokolwiek im przeszkadzał. Ja w szczególności.

Obezwładniająca bezradność już niemal miała mnie w swoich szponach, gdy usłyszałam odgłosy kłótni. Musiały dochodzić z któregoś z sąsiadujących pokoi. Jakaś dziewczyna krzyczała, by ktoś przestał zachowywać się jak dupek. Wytężyłam słuch

i przytknęłam ucho do ściany, gotowa w każdej chwili ruszyć na ratunek. Szybko jednak zrozumiałam, że kobiecie raczej nic nie zagraża. Była sfrustrowana i wściekła, to nie ulegało wątpliwości, lecz w tym samym czasie druga strona konfliktu pozostawała wycofana.

– Wiecznie masz przede mną jakieś tajemnice, Stefan! – wykrzykiwała dziewczyna. – Nie dość, że musimy się ukrywać, to teraz jeszcze odsuwasz się ode mnie. Ja już nie wiem, kim ty jesteś, nie poznaję cię, rozumiesz? Jak mam ci pomóc, skoro milczysz?

Mężczyzna coś odpowiedział, ale na tyle cicho, że nie zdołałam wychwycić poszczególnych słów. Zaciekawiona podeszłam do okna i ostrożnie je uchyliłam. Teraz słyszałam jeszcze wyraźniej.

– A kto ci zabronił? Policja? – Dziewczyna nie ustawała w wyrzutach. – To był wypadek, musisz o nim zapomnieć i żyć dalej.

Ta uwaga najwyraźniej go dotknęła, bo tym razem zmienił ton:

– Serio? – ironizował. – Dzięki za tę wspaniałą radę. Jakim cudem sam wcześniej na to nie wpadłem?

– Posłuchaj, wracałeś zmęczony z kursu, jechałeś szybko, a ona wskoczyła ci pod koła. Nie mogłeś nic zrobić. Wiem, że przeżyłeś wstrząs, ale musisz o tym zapomnieć. Po prostu przestań się zadręczać i wyobrażać sobie rzeczy, które się nie zdarzyły. To było zwyczajne samobójstwo.

– Nie wydaje mi się. Według mnie coś tu nie gra.

– Ale co?

– Wszystko, kurwa. Mówiłem ci już.

– Przesadzasz.

– A skąd ty to niby wiesz, co? Byłaś tam? – warknął. – Mam tego dość. Ciebie, twojej matki i tego przeklętego miasta. Nie widzisz, że to miejsce zatruwa wszystkich po kolei? To jest jak jakaś cholerna klątwa. Wszyscy jesteśmy więźniami tamtej tragedii. Wszyscy.

– Wyolbrzymiasz.

– Nie wydaje mi się. Wiem, co widziałem.

– To nic nie znaczy. A co, jeśli tylko ci się wydawało?

W napięciu czekałam na jego reakcję. W obawie, że najdrobniejszy szelest mógłby mnie jej pozbawić, zastygłam z głową tuż przy oknie, obgryzając skórki przy paznokciach. Co wiedzieli o wypadku, w którym zginęła moja matka? O czym mówił ten mężczyzna i dlaczego uważał, że coś jest nie w porządku? Czyżby pogłoski o więzach były prawdziwe?

Nie zamierzał mi niczego ułatwiać. Najpierw usłyszałam trzaśnięcie drzwi, a później dudnienie jego kroków, gdy zbiegał ze schodów, i krzyk dziewczyny usiłującej go zatrzymać.

– Dokąd idziesz? Zaczekaj! – wołała.

Po chwili z hotelu wypadła szczupła postać w czarnej skórzanej kurtce. Mężczyzna był odwrócony tyłem, przez co nie mogłam zobaczyć jego twarzy. Zauważyłam jedynie rozbłysk zapalniczki, a potem jego sylwetka zatonała we mgle budzącego się poranka.

Zamierzałam już odejść od okna, może nawet jeszcze wrócić do miękkiej, ciepłej pościeli, gdy dostrzegłam w oddali kobietę w czarnym samochodzie, patrzącą wprost na mnie. Z tej odległości nie potrafiłam opisać jej wyglądu, poza stwierdzeniem, że miała długie ciemne włosy. Moje ciało wzdrygnęło się. Podniosłam dłoń, by do niej pomachać, lecz zanim to zrobiłam, nieznajoma zapaliła silnik i odjechała, zasiewając we mnie uczucie niepokoju.

1990

*

Zbrodnie przerażają bardziej, gdy dzieją się w miejscach, w których dotychczas czuliśmy się bezpieczni i beztroscy. Może właśnie z tego powodu nowy poranek po tragedii przyniósł ze sobą złowieszczą ciszę zakłócaną jedynie krakaniem wron na polach. Nad miastem zawisły gęste chmury, rzucające cień na okoliczne domy i ich mieszkańców. Ci, którzy zdążyli obejrzeć poranne wiadomości albo czytali najnowsze wydanie lokalnej gazety, tego dnia dłużej i mocniej przytulali bliskich, nim wyprawili ich do szkoły czy do pracy. W niektórych domach padało dawno nieużywane „kocham cię”, telewizor grał ciszej, a uśmiechy bledły, jakby przesadna radość stanowiła nietakt. To był jeden z tych momentów, gdy rzeczy nieważne naprawdę schodziły na dalszy plan. W niepamięć szły drobne utarczki, pretensje i żale. Lęk o życie pomagał skoncentrować się na tym, co naprawdę miało znaczenie. Jakby dopiero silny wstrząs skłaniał ludzi do tego, by docenili to, co mieli.

Tylko w domach trzech rodzin, które straciły dzieci, trwało niewyobrażalne piekło. Romek Babicz, nie mogąc dłużej znieść nawracającego szlochu żony, zamknął się w łazience i z całej siły przycisnął dłonie do uszu. Wyglądał koszmarnie – z podkrążonymi oczami, zbolałym wyrazem twarzy i zapadniętą klatką piersiową nie przypominał pełnego radości, przystojnego chłopaka, którym do

niedawna był. Obraz Kubusia leżącego wśród traw na stałe wrył się w jego podświadomość, jak znak wypalany rozgrzanym do czerwoności metalem na ciele skazańca.

Romek usiadł na łazienkowym dywaniku, objął swoje kolana, a potem po raz setny zaczął analizować, gdzie mógł popełnić błąd, za który spotkała go ta kara. Czy chodziło o to, że za mało się starał i nie był wystarczająco dobrym ojcem? A może zanadto się rozzuchwalił, zaślepiła go pycha oraz przekonanie o własnej zaradności? Czy zbyt rzadko myślał o Bogu i ten postanowił się o niego upomnieć? Z niewytłumaczalnego powodu ludzie zawsze szukali przyczyny, jakby to miało im przynieść ulgę. Tak trudna do zniesienia była myśl, że złe rzeczy po prostu się działy. Nie trzeba było sobie na nie zasłużyć.

Zza drzwi dochodził go dźwięk rozmowy Eli z jej siostrą, która dowiedziawszy się o tym, co ich dotknęło, przyjechała okazać wsparcie. W domu był też jego ojciec oraz starsza siostra z piętnastoletnią córką Lidką, a co odważniejsi sąsiedzi od rana dzwonili wyrazić, jak bardzo jest im przykro. Wszyscy powtarzali te same słowa, jakby działali według instrukcji. „Nie wyobrażamy sobie, co teraz czujecie. Gdybyśmy mogli jakoś pomóc, dajcie znać”. Romek miał ochotę wyrwać kabel z gniazdka i tłuc telefonem o ścianę do czasu, aż ten rozpadnie się w drobny mak. Zamiast tego z trudem wydobywał z siebie ledwie słyszalne podziękowania, a w duchu myślał, że tylko idioci mogą wierzyć, iż w takiej sytuacji można komuś pomóc. Bo niby jak?

Przyłożył palec do ostrej krawędzi wyszczerbionej płytki na podłodze, rozciął o nią skórę, a następnie obserwował, jak krew wypływająca z rany kapie na ziemię i barwi na bordowo fugę między kaflami. Ból fizyczny był jak muśnięcie w stosunku do emocjonalnej dziury, którą wyrwała w nim strata dziecka. Niechętnie podniósł się z podłogi, włożył palec pod zimną wodę, a potem obwinał go kawałkiem papieru toaletowego.

Ochlapawszy twarz lodowatą kranówką, wrócił do dużego pokoju, gdzie na kanapach wokół wyciszonego telewizora siedzieli: trzy kobiety z podciągniętymi pod brodę kolanami i starszy mężczyzna, otoczeni przez zwitki pogniecionych, zużytych chusteczek. Nastoletnia Lidka przygotowywała w kuchni herbatę dla wszystkich, z przestachem zerkając na wujka, któremu nie potrafiła spojrzeć w oczy.

– Mają sprawdzić nagrania z domu handlowego, może na nich będzie widać, kto zabrał Kubę. – Romek usłyszał, jak Ela tłumaczy to siostrze.

– To dobrze. – Pucłowata blondynka ze smagniętymi różem policzkami obejmowała ramieniem żonę mechanika. – Znajoma pracująca w policji mówiła, że telefony nie przestawały dzwonić nawet w nocy. Ktoś na pewno coś widział. Zobaczysz, znajdą sprawcę.

Jerzy Babicz, który dotychczas milcząco przysłuchiwał się wymianie zdań kobiet, udając, że zajmuje go kartkowanie „Przeglądu Sportowego”, drgnął niespokojnie.

– Mam nadzieję, że powieszą go na drzewie na rynku, a później publicznie odetną mu jaja albo go podpalą, żeby cierpiał jak te dzieci – zachnął się. – Gdybym znalazł go pierwszy, zabiłbym gnoja własnymi rękami. Żadna tam kara śmierci czy więzienie, kroiłbym go, kurwa, kawałek po kawałku, aż w końcu by się wykrwawił – warczał przez zaciśnięte zęby, mnąc w dłoniach egzemplarz czasopisma.

– Tato! – oburzyła się siostra Romka, zerkając na nastoletnią córkę w kuchni. – Tak nie można.

– Co nie można? Jakby ci ktoś dzieciaka zabił, też byś była taka święta? Nie kusiłoby cię, żeby wymierzyć sprawiedliwość?

– Od tego są więzienia, sądy...

– Gówno prawda – uciął. – I co, potem taki skurwiel będzie grzał dupę za pieniądze podatników? Oglądał telewizję i jadł darmowe obiady? A za jakiś czas wyjdzie, jak ten Trynkiewicz, co mu zmienili karę śmierci na dwadzieścia pięć lat? Przecież ta menda jak tylko

wróci na wolność, to znowu zabije. – Wstał z kanapy, wygrażając pięścią. – Takie kanale trzeba likwidować, i tyle – rzucił wściekle, a potem ociężale zaczął wspinać się po schodach.

Ela Babicz posłała mężowi zaniepokojone spojrzenie, nie skomentowała jednak słów teścia, bo w głębi duszy czuła podobnie. Jakby tylko zemsta była w stanie przynieść jakiegokolwiek ukojenie, a zadawanie kolejnych ciosów mordercy jej syna mogło ich uwolnić od tej niekończącej się udręki. Życie za życie, by bilans się wyrównał. Nigdy wcześniej nie przypuszczała, że może się w niej obudzić tak silna żądza odwetu, teraz zaś była nią przepelniona po koniuszki palców.

Pokój opanowała cisza ciężka od smutku. Lidka przyniosła tacę z czarną herbatą, której nikt już nie chciał.

– Zabierz to stąd! – warknął na nią Romek, przez co dziewczyna wzdrygnęła się, poczerwieniała na twarzy, a po chwili uciekła na górę z płaczem.

– Możesz się opanować? – upomniała go siostra. – Lidka usiłuje tylko pomóc.

– Najlepiej niech nic nie robi – odgryzł się mechanik, po czym zaczął porządkować gazety pod ławą.

Musiał się czymś zająć, byle tylko nie patrzeć na bliskich, a w szczególności na żonę. Unikać jej dotyku, odejść od rozpaczki kobiety, którą, choć nie chciał, obwiniął za to, co spotkało Kubę. Bo przecież gdyby nie puściła jego dłoni i nie odwróciła wzroku, chłopiec oglądałby teraz kreskówki, z umorusaną buzią zajadając kanapki z dżemem.

Te pretensje były silniejsze od niego. Nie mógł znieść cierpiętniczego wyrazu twarzy Eli. Miał ochotę wykrzyknąć jej, że to wszystko przez nią. Jej głos go drażnił, bliskość doprowadzała do furii, a skrucha działała jak czerwona płachta na byka. A więc tak to wygląda, pomyślał, to w ten sposób rozpadają się małżeństwa, które straciły dziecko. Toną w morzu wzajemnych oskarżeń, wyrzutów i rozgoryczenia.

– Nadal nie potrafię zrozumieć, kto mógłby zrobić coś takiego. Przecież znamy się tutaj z większością ludzi. – Szwagierka przerwała jego zapadanie się w grząską nienawiść do żony. – Jestem prawie pewna, że to musiał być ktoś z zewnątrz. Jakiś przyjezdny albo ktoś, kto tylko mijał nasze miasto.

– Niby dlaczego tak sądzisz? – wtrącił Romek zaczepnym tonem.

– Daj spokój, znasz swoich sąsiadów, wiesz, że żadni z nich mordercy.

– Tak, a po czym to stwierdzasz?

Zaskoczona agresją szwagra kobieta zarumieniła się.

– O co ci chodzi? Uważasz, że powinniśmy podejrzewać kogoś ze znajomych? To chcesz powiedzieć? I co, mamy przestać się z nimi spotykać? Patrzeć wszystkim na ręce i nikomu nie wierzyć, tak?

– Może właśnie tak powinniśmy zrobić. Te dzieci poszły z kimś, komu ufały. Może potworem wcale nie jest człowiek, który odstaje od reszty, dziwny albo obcy. Może to ktoś zupełnie normalny, jak ty czy ja?

– Daj spokój, Romek.

Ojciec Kuby długo nie odpowiadał, zagryzając dolną wargę i patrząc w okno.

– Nie masz pojęcia o życiu – rzucił w końcu, w tym samym momencie gdy zabrzmiał dzwonek do drzwi. – Pójdę otworzyć – powiedział, kierując się do przedpokoju.

Na progu stała równie wymizerowana jak on kobieta. Ubrana w rozciągnięty kolorowy T-shirt i getry, z włosami w nieładzie, spękany ustami oraz wyjątkowo blada. Jej twarz, pozbawiona makijażu, wydawała się przezroczyta. Przybyła zaciskała dłoń na przewieszanej przez chude ramię torebce, a w palcach drugiej ręki miętosila mokrą chusteczkę. Romek nie potrafił jej rozpoznać, ale pomyślał, że to jedna z wielu osób z kondolencjami, które zaczną teraz odwiedzać ich dom. Kobieta jednak milczała, nie siląc się na wyrazy współczucia. Jej wzrok uciekał, a głowa opadała coraz niżej,

jakby spojrzenie mu w oczy mogło zarazić ją nieszczęściem. Młody Babicz odchrząknął i zwrócił się do nieznajomej:

– Przyszła pani z powodu naszego syna?

Kobieta zaprzeczyła ruchem głowy.

– Sama już nie wiem, dlaczego to zrobiłam – wyszeptała, wzruszając ramionami. – Wracalam z kostnicy i mąż powiedział mi, że tak trzeba. Nazywam się Małgorzata Lenart, mój syn również został zamordowany wczoraj.

Romek usztywnił mięśnie i zaczął szybciej oddychać.

– Przykro mi.

– Wie pan, że ktoś go udusił, a później roztrzaskał mu głowę? Miał tylko dziesięć lat. Pana dziecko też uduszono? – mówiła wolno i rozwleknie, jakby przed wizytą w prosektorium zjadła fiolkę tabletek na uspokojenie.

– Nie – odparł na odczepnego. Ostatnią rzeczą, której teraz pragnął, było wdawanie się w szczegóły obrażeń, których doznał Kuba, szczególnie że nadal czekali na ostateczne wyniki sekcji. – Powinna pani iść do domu, przespać się.

– Nie mogę. Ciągle go widzę i wyobrażam sobie, jak ktoś ścisną go za gardło. Pan też tak ma?

Babicz westchnął, pocierając skórę u nasady nosa. Jego irytacja narastała.

– Naprawdę proszę już iść – powtórzył.

– Cały czas zastanawiam się, czy cierpiał. Albo czy wołał mnie w tej ostatniej chwili.

– Mam dość. Niech pani wraca do rodziny.

– Ja już nie mam rodziny. Przecież pan wie. – Spojrzała na niego jak na największego naiwniaka. – Kiedy umiera dziecko, wszystko się kończy. Ten, kto nam to zrobił, doskonale o tym wiedział. On nie zabił tylko ich, ale też nas, prawda? Pan też to czuje.

– Wypierdalaj! – syknął, poczerwieniały ze złości.

– Nie ucieknie pan przed tym. Nie ma dokąd – wymamrotała.

– Wyjazd mi stąd, i to już!

Romek złapał ją za poły ubrania i z całej siły nią potrząsnął, a potem – jakby nagle zdziwiony własnym zachowaniem – odepchnął kobietę i uciekł do domu. Jego nozdrza pulsowały, dłonie zacisnęły się w pięści, a serce gwałtownie pompowało krew. Oparł czoło o ścianę, usiłując odzyskać równowagę, gdy za plecami usłyszał głos żony:

– Co się stało? Kto to był?

Położyła rękę na jego ramieniu, delikatnie przytulając się do męża.

– Nikt ważny – skłamał. – Po prostu mam już dość, pójdę się położyć.

Ela mruknęła ze zrozumieniem, choć tak naprawdę doskonale wiedziała, że ojciec jej dziecka mija się z prawdą. W drodze do przedsionka kątem oka zdołała dostrzec za firanką kobiecą postać opuszczającą ich podwórko.

Promienie słońca wpadające przez okno mieszkania prokurator Miksy miękko kładły się na nagim biodrze trzydziestoletniej kwiaciarki lekko okrytej białą, skołtunioną pościelą. Czarne, falujące włosy kobiety, niemal artystycznie rozrzucone na poduszce, pachniały ogórkowym szamponem, przyjemnie łaskocząc nozdrza Mai.

Rosa była Romką, choć w miasteczku wszyscy określali ją mianem Cyganki. Wiecznie roześmiana, gadatliwa, z pobrzękującymi bransoletkami na nadgarstkach, zakochana w tańcu i kwiatkach. Maja nachyliła się nad jej śniadym ciałem, po czym musnęła palcem zmysłowo zarysowane kości obojczyków. Rosa drgnęła, uniosła powieki i obdarzyła swoją kochankę szerokim uśmiechem. Pełne, wiśniowe usta o pięknym wykroju aż prosiły o to, by je całować.

– Dzień dobry – przywitała się swoim zadziornym głosem, jednocześnie się przeciągając. – I jak, odegnałam złe duchy?

– Wszystkie.

– Nie umiesz kłamać. – Przyciągnęła Maję do siebie i namiętnie ją pocałowała, kładąc dłoń prokurator na jednej ze swoich krągłych,

jędrnych piersi.

Kobiety na moment zatonęły w pościeli, ich oddechy stały się ciężkie, a palce błędziły po gładkiej, nagiej skórze. Rosa rozchyliła uda, mruknęła przeciągle, po czym zwilżyła językiem wargi, odchylając głowę. Miksa dotknęła ustami podbrzusza kochanki i w akompaniamencie pojękiwań oraz westchnień Rosy zaczęła przesuwając się niżej, błędząc językiem po drżącej z podniecenia skórze. Uwielbiała tę bezpruderyjność i otwartość, z którą kwiaciarka cieszyła się swoim ciałem. Patrząc na nią, widziała wolną kobietę, nieskrępowaną przez religię, normy obyczajowe czy lęk przed oceną.

Jej chwilę zamyślenia przerwał nagły, piskliwy dźwięk telefonu. Przeprosiła Rosę i pospiesznie narzucając na siebie koszulę, podeszła do aparatu.

– Prokurator Maja Miksa, słucham – odebrała formalnym tonem.

Do jej mieszkania dzwonili tylko ludzie, którzy chcieli rozmawiać o sprawach służbowych. Nie miała przyjaciół, raczej kolegów po fachu, kochankom zabraniała telefonować, a rodzice po tym, jak zrozumieli, że ich córka nigdy nie założy rodziny i nie da im wnuków, o których marzyli, ponieważ bardziej od mężczyzn interesują ją kobiety, na długo zerwali z nią kontakt. Nie rozumieli. Właściwie trudno było się im dziwić, gdy przez lata homoseksualizm uznawany był za chorobę. Dopiero niedawno Światowa Organizacja Zdrowia wykreśliła go z listy zaburzeń, choć w praktyce i tak niewiele to zmieniło.

Długie milczenie złamała dopiero matka Mai. Kilka lat wcześniej odezwała się, gdy ojciec Miksy był na rybach, i wyznała, że nadal nie rozumie córki, ale nie potrafi przestać o niej myśleć. Od tej pory dzwoniła regularnie w co drugą niedzielę, kiedy jej mąż wyjeżdżał na łowisko albo gdy grał z sąsiadami w karty. Maja podejrzewała, że ojciec doskonale zdawał sobie sprawę z tego, co żona robi za jego plecami, ale z jakiegoś powodu postanowił udawać ślepego. Był emerytowanym prokuratorem, niezwykle mądrym i przenikliwym

człowiekiem, wyczulonym na najdrobniejsze oznaki kłamstwa, a przez to wyjątkowo skutecznym w swojej pracy. Nie istniała zatem możliwość, by przeoczył kręactwa współmałżonki. Jedynym wytłumaczeniem mogło być to, że miłość do matki Mai i zrozumienie jej tęsknoty za dzieckiem w którymś momencie okazały się silniejsze niż jego uprzedzenia.

Ściskając słuchawkę, Miksa pożałowała, że to nie niedziela. Telefon w każdy inny dzień oznaczał pitą w pośpiechu kawę i kanapkę połykaną w biegu, zapowiadał koszmarne dużo pracy oraz ból głowy wieczorem.

– Małek z prosektorium – przedstawił się dzwoniący. – Czy mogłaby pani do mnie jak najszybciej podjechać? Chodzi o tych chłopców.

– Coś jest nie tak? Znalazł pan coś znaczącego?

– Wolałbym porozmawiać o tym osobiście.

Maja przymknęła powieki, wciągając ze świstem powietrze do płuc. Doświadczenia minionych lat, w tym inwigilacji przez Służbę Bezpieczeństwa i ciągłego życia na podsłuchu, nauczyły ludzi mieszkających w tym kraju, że o rzeczach ważnych można rozmawiać jedynie w cztery oczy. Zwykle w takich chwilach padało klasyczne: „to nie jest sprawa na telefon”. Miksa była pewna, że słyszała je częściej niż „dzień dobry”.

– Przyjadę – potwierdziła, a gdy tylko odłożyła słuchawkę, siadła na brzegu łóżka i zaczęła się ubierać.

– Musisz? – Rosa przylgnęła do jej pleców, skubiąc ustami płatek ucha kochanki.

– Niestety tak.

Cyganka skinęła ze zrozumieniem głową, narzuciła na siebie luźną kwiecistą sukienkę, a do uszu przyczepiła długie kolorowe klipsy. Z wazonu na ławie wyjęła pęk dorodnych czerwonych róż o długich łodygach i mięsistych płatkach i skierowała się z nimi w stronę wyjścia, po czym nagle zawróciła i jedną ponownie wstawiła do flakonu.

Kwiaty stanowiły pretekst Rosy, wytłumaczenie jej obecności w tej okolicy. Kobieta często przechadzała się z nimi po miasteczku, oferując ludziom zakup pięknych roślin. Zdarzało się, że pukała do drzwi mieszkańców i wraz z różą szeptem proponowała wróżenie z kart tarota. Niewiarygodne, jak wielu z nich zapraszało ją do środka, obawiając się, że jeśli pójdą do niej, zostaną przez kogoś nakryci. Gdyby wiedzieli, że powierniczka ich sekretów sypia z najlepszą prokurator w okolicy, z pewnością nie byłiby aż tak wylewni w swoich opowieściach.

Rosa roześmiała się w głos na samą myśl o tym, a później pocałowała pograżoną w zadumie Maję i zniknęła.

Miksa tymczasem wzięła dwa kęsy kanapki, po czym uznała, że nie jest głodna, i schowała ją do lodówki. Wspierając się na kuli, zeszła do czerwonego malucha, by po kwadransie znaleźć się przed budynkiem przyszpitalnego prosektorium.

Kiedy uchyliła drzwi do sali sekcyjnej, patolog sądowy Krzysztof Małek w białym, zaplamionym krwią fartuchu i gumowych rękawiczkach nachylał się nad ciałem trzyletniego Jakuba Babicza. Na widok nagiego dziecka prokurator poczuła instynktowną potrzebę, by je okryć, jakby chłód prosektorium mógł być dla niego nieprzyjemny. Drobną postać chłopca na dużym stole, który powstał z myślą o badaniu dorosłych, robiła wrażenie jeszcze mniejszej i niepasującej, wszystko w nim niemal krzyczało, że nie powinien się tam znaleźć. Jego nieruchoma sylwetka nasuwała na myśl bezbronność i kruchość wobec losu.

Na metalowym stoliku na kółkach w nieładzie leżały narzędzia patologa, a tuż obok nich w metalowej nerce Maja zauważyła kilkanaście niewielkich kamieni. Przypominały biały ogrodowy grys, pobrudzony krwią i czymś żółtym.

- O tym chciał pan ze mną porozmawiać? – Wskazała znalezisko.
- Małek przerwał pomiary, przytaknął i przedramieniem otarł czoło.
- Miał je w gardle i w ustach – powiedział.
- Kurwa.

– Żółtą farbę olejną także znalazłem w drogach oddechowych i w oczodole. Do tej pory naliczyłem ponad czterdzieści obrażeń, z czego połowa to urazy głowy, które spowodowały liczne pęknięcia czaszki. Nogi i klatka piersiowa noszą ślady wielokrotnych ciosów i uderzeń tępym narzędziem. Wszystko dostanie pani w szczegółowym raporcie jeszcze dzisiaj.

– Co było bezpośrednią przyczyną śmierci?

– Przy tylu różnych obrażeniach niełatwo stwierdzić, które z nich ostatecznie okazało się śmiertelne.

W sali sekcyjnej na dłuższy czas zapadła gęsta cisza. Prokurator spojrzała raz jeszcze na ciało dziecka, czując, jak w jej wnętrzu wszystko zamarza.

– Kiedy go znaleźliśmy, był rozebrany od pasa w dół. Czy doszukał się pan czegoś, co świadczyłoby o tym, że do zabójstwa doszło na tle seksualnym? – zapytała.

– Nie. Według mnie nic takiego nie miało miejsca, choć trudno powiedzieć, bo otarcia na ciele nie są jednoznaczne, ale raczej wykluczyłbym taką hipotezę. Przyjrzę się jeszcze temu i uwzględnię w dokumentach.

– Dziękuję. A dwie pozostałe ofiary?

– Obie zmarły wskutek masywnego urazu czaszkowo-mózgowego, z dużym prawdopodobieństwem z powodu działania ciężkiego narzędzia ostrokrawędzistego. Choć jedna z ofiar nosi też oznaki duszenia.

– Natrafił pan na jakieś ślady sprawcy?

– Pobrałem materiał spod paznokci ofiar, a krew z ich ubrań i butów poszła do laboratorium, sprawdzą, czy należy do któregoś z denatów, czy do potencjalnego zabójcy.

– Miejmy nadzieję, że będziemy mogli to jakoś wykorzystać – powiedziała, choć tak naprawdę miała świadomość, że nadal brakowało ogólnopolskich baz, które umożliwiałyby porównanie znalezionej substancji. Jeśli sprawcy nie było wśród podejrzanych, to znalezienie go można by porównać do cudu.

Pożegnawszy się z lekarzem, prokurator Maja Miksa wyszła na zewnątrz i zapaliła papierosa. Nie miała wątpliwości, że spośród setek spraw, które prowadziła, ta oraz kadry z wizyty w prosektorium zostaną w niej najdłużej. Nie dlatego, że dotyczyły dzieci – na to nauczyła się odporności, szczególnie latem, po licznych doświadczeniach z wypadkami na polach, w których najmłodszy ginęli pod maszynami rolniczymi.

Ta sprawa przerażała ją, ponieważ w całej swojej karierze po raz pierwszy spotkała tak brutalnego i bezwzględniego sprawcę.

Tego ranka Gutek ledwie podniósł się z łóżka. Po wrażeniach minionej doby nie wyglądał najlepiej, a przy tym czuł się, jakby zaczynało go brać przeziębienie. Kiedy wrócił w nocy, liczył na to, że wykończony uśnie bez problemu, ale wspomnienia zdarzeń z łąk mu nie pozwoliły. Przekręcał się z boku na bok prawie do czwartej, a gdy wreszcie zapadł w sen, znów znalazł się w okolicy złomowiska, stał przy zagajniku i patrzył na leżące w trawie dzieci, które wyciągały do niego ręce i błagały o pomoc.

W nocnym zwidzie jeden z chłopców nosił bezczelną twarz Rudzika, śmiał się w ten sam drwiący sposób, co chłopak, który oszukał Gutka, wciskając mu puste pudełko zamiast discmana. To go rozsierdziło, chwycił grubą metalową rurę z wystającą śrubą i z całej siły uderzył dawnego znajomego, ale wtedy jego twarz na powrót stała się obliczem dziesięciolatka. Przerażony tym Mateusz szarpnął dziecko, które wczepiło się w jego koszulkę brudnymi od czarnej ziemi paznokciami, a potem syknęło mu do ucha nienawistne: „To wszystko twoja wina”.

Szesnastolatek obudził się zlany potem, na palcach przeszedł do łazienki, wcisnął głowę pod kran z zimną wodą i dopiero, gdy otrząsnął się z koszmaru, wrócił do łóżka.

Przywłókłszy się rankiem do kuchni, położył na talerzu pajdę chleba, którą następnie posmarował margaryną i topionym serkiem z szynką, a przynajmniej czymś, co producent nazywał w ten sposób

na opakowaniu. Starał się zachowywać cicho, by nie obudzić taty, zmęczonego po nocnej zmianie na stacji benzynowej. Odkąd choroba zabrała mamę Gutka, w domu nie układało się najlepiej, wiecznie brakowało pieniędzy, a atmosfera ze swobodnej i radosnej przeobrażała się z każdym miesiącem w coraz bardziej ponurą i sztywną.

Nastolatek siorbał właśnie kawę zbożową, gdy do kuchni wszedł ojciec z uszami odstającymi podobnie jak te Mateusza, lecz sporo wyższy i z dużo większym brzuchem. Mężczyzna, sapiąc, zajął miejsce przy stole.

– Nie powinieneś teraz spać? – zapytał Gutek.

– A ty nie chciałbyś mi czegoś powiedzieć? Poszedłem się odlać i znalazłem w łazience twoje brudne ubrania. Wyjaśnisz, gdzie się wczoraj włóczyłeś?

Policzki chłopaka pokryły się bordowym rumieńcem. Podniósł szklankę do ust, by pociągnąć łyk kawy, a przy tym zyskać na czasie.

– Chodzi o dziewczynę? – zasugerował ojciec, lekko zmieszany. – Bo wiesz, jeśli to już ten wiek, to może chciałbyś coś wiedzieć?

– Nie, nie trzeba.

– Zaczekaj. – Starszy Gutkowski wytoczył się z kuchni, a po chwili wrócił, z zawstydzeniem ściskając w dużych dłoniach książkę w sfatygowanej okładce, która przedstawiała przytuloną do siebie parę młodą widzianą od tyłu. – Mama prosiła, żeby ci to dać, gdy przyjdzie pora.

Mężczyzna podał synowi egzemplarz. Na jego froncie czarnymi drukowanymi literami mieścił się tytuł *Sztuka kochania*, a tuż pod nim imię i nazwisko autorki, Michalina Wisłocka.

Gutek odchrząknął, wybąkał jakieś nędzne podziękowanie i zapchał usta kanapką, byle tylko ojciec nie zadawał kolejnych pytań. Na szczęście tamten czuł się wystarczająco skrępowany, by nie kontynuować tematu. Przez chwilę obaj siedzieli w niezręcznym milczeniu, a następnie mężczyzna zapytał:

– Słyszałeś o tym, co się stało z tym chłopcem?

Przeżuwając kolejny kęs, nastolatek jedynie mruknął potwierdzająco. Miał nadzieję, że im mniej będzie angażował się w rozmowę, tym szybciej ona zgaśnie.

– Straszna historia. Podobno znaleźli go na łąkach niedaleko szrotu. Czytałem w gazecie, że są jeszcze jakieś dwie ofiary, normalnie aż ciarki przechodzą. Trudno uwierzyć, że to się dzieje w naszym mieście. Ten maluch zginął w biały dzień ze sklepu, w którym było tyle ludzi. – Pokręcił głową. – W radiu mówili, żeby uważać na dzieci, dopóki policja nie znajdzie mordercy, więc dzisiaj z piłki nożnej wróc prosto do domu, okej? Ja wiem, że ty masz już szesnaście lat, ale nigdy nie wiadomo, co komu do głowy przyjdzie.

– Nie ma sprawy, tato.

Usatysfakcjonowany ojciec podniósł się z krzesła, ruszył w stronę wyjścia, ale w ostatniej chwili stanął w drzwiach i nie patrząc synowi w oczy, rzucił pod nosem:

– Jakbyś chciał o czymś pogadać, to przychodź. Nie jestem w tym tak dobry jak mama, ale jakoś sobie poradzimy. – Zastukał palcami w futrynę. – No, a teraz idę się jeszcze zdrzemnąć. I radzę ci się przebrać, bo niby się chmurzy, ale nadawali, że ma być tak samo gorąco jak wczoraj.

Kiedy Gutek został sam, najpierw upewnił się, że długie rękawy koszulki przylegają aż do nadgarstków, po czym zacisnął dłoń na szklance tak mocno, że ta pękła, kalecząc przy tym jego kciuk. Krew pojawiła się niemal natychmiast, spływała z dłoni po łokciu i skapywała na biały porcelanowy talerzyk. Chłopak wskoczył na krzesło, by sięgnąć do apteczki po bandaż, którym chwilę później owinął rękę. Zranienie nie było duże, ale wydawało się głębokie, ponieważ ból promieniował aż do ramienia. Trener z pewnością będzie pytać, co mu się stało, dlatego w drodze postanowił wymyślić jakąś wiarygodną historię.

Okłamywanie innych okazało się dużo łatwiejsze, niż przypuszczał, właściwie sam nie mógł uwierzyć, że dotychczas nigdy nie korzystał

z tej prostej metody ubarwiania sobie życia. Przestrzeganie zasad i całe to bycie w porządku wymagało wiele wysiłku, a nie przynosiło nic w zamian. Dopiero gdy zaczął ustanawiać własne reguły i po raz pierwszy stanowczo zażądał czegoś od życia, dostał to, czego chciał. W pewnym momencie pomyślał, że w jakiś sposób jest nawet Rudzikowi wdzięczny, bo dzięki niemu zaczął stawać się kimś o wiele lepszym, niż był dotychczas.

Kimś, kto go fascynował, a może nawet przerażał.

Zuzanna, 2015

*

Zawsze intrygowały mnie zagadki pamięci. Jak to możliwe, że jedne rzeczy pamiętamy, a inne umykają ze wspomnień? Ginę gdzieś, jakby kartka w umyśle, na której je zapisaliśmy, została wyrwana. Mogłam zrozumieć, gdy zacierały się rzeczy drobne albo trywialne, ale nie tak ważne jak bliscy ludzie. Jakim cudem nie potrafiłam odtworzyć w pamięci mojego brata? Wykasowałam go jak niepotrzebny plik w komputerze. Jego twarz na zdjęciach w artykułach sprzed lat wydawała mi się obca, jakbym nigdy wcześniej jej nie widziała. Tylko oczy, duże, orzechowe i śmiejące się, były znajome, bo przypominały te, które widywałam codziennie w lustrze, moje własne.

Emil został zamordowany dwadzieścia pięć lat temu, w dniu moich piątych urodzin, których podobnie jak postaci brata nie umiałam wyłonić z mgły zapomnienia. Czy w ten sposób świadomość broniła się przed prawdą? Spychała obrazy z przeszłości do głębokiej piwnicy, o której istnieniu nie miałam nawet pojęcia? Trudno było mi się odnaleźć w tej nowej sytuacji. Niektórzy twierdzą, że czasami lepiej jest nie wiedzieć. Podobno wtedy lżej się żyje. Przymykać oko, odwracać głowę, udawać, że nie dostrzega się pewnych rzeczy. Ja jednak nie potrafiłam się na to zdobyć. Nie po otwarciu drzwi do przeszłości, która wydawała się przyczyną wszystkiego, co nastąpiło

później. Miałam poczucie, że jeśli nie zrozumieć i nie uporządkuję bałaganu za sobą, nie będę mogła ruszyć naprzód.

Tliła się we mnie również złość na ojca. Jakim prawem zniekształcił moje wspomnienia? Nagle rozumiałam, jak wiele z nich spreparował. Serwował je z taką gracją i przekonaniem, że nigdy nie śmiałabym podejrzewać ich nieprawdziwości. Najwyraźniej Salvador Dali nie mylił się, mówiąc, że „różnica między prawdziwymi a zafałszowanymi wspomnieniami jest taka, jak w przypadku biżuterii: to fałszywe klejnoty wyglądają na prawdziwe, bardziej błyszczą”. Zostałam więc z naręczem podróbek, niezdolna oddzielić prawdy od fikcji, bo wszyscy, którzy mogli mi w tym pomóc, odeszli. Teraz chciałam z tym zrobić porządek. Dla siebie i dla Ignasia, by i jego historia nie była zniekształcona. A może także dla brata, o którym myśli wywoływały ból w okolicy serca.

Popijając kawę w hotelowej restauracji, usiłowałam poukładać sobie to wszystko w głowie. Komendant Leszek Suski, który prowadził tę sprawę dwadzieścia pięć lat temu, już nie żył, a matka trzeciego chłopca, Jolanta Zielińska, wyjechała do Anglii, zostawiając w mieście tylko najmłodszego syna. Potarłam zmęczone oczy, w myślach notując, kogo powinnam odwiedzić w pierwszej kolejności, po czym raz jeszcze sprawdziłam skrzynkę mailową, by upewnić się, czy przyszła zgoda na widzenie z mężczyzną, z którym najbardziej pragnęłam porozmawiać. Nic nowego jednak nie pojawiło się w folderze z odebranymi wiadomościami.

Trzy kobiety w pastelowych garsonkach, zajmujące miejsce przy stoliku pod oknem, taksowały mnie wzrokiem, by potem szeptem, nachylając się nad wypełnionymi po brzegi talerzami, wymieniać uwagi na mój temat. Uważałam to za żalosne, że dla ludzi, którzy wiedzą nudne życie, jedynym źródłem ekscytacji staje się możliwość obgadywania innych. Jakby tylko wtedy mogli poczuć coś więcej niż monotonię codzienności. Skinęłam im głową, by wiedziały, że ja też je obserwuję, i celowo przesunęłam wzrokiem od nastroszonych fryzur, spryskanych lakierem do włosów, aż do stóp z pomalowanymi

na czerwono paznokciami, w klapkach na wysokim koturnie. Ci, którzy osądzali innych, najbardziej bali się bycia ocenianym. Zadziałało bez pudła, wszystkie trzy wydeły wargi i z westchnieniem oburzenia zajęły się zawartością swoich talerzy.

Ładna blondynka w grubym warkoczu przewiązanym fioletową wstążką postawiła na stoliku jajecznicę na boczku i życzyła mi smacznego. Jej głos zabrzmiał znajomo, przypominał ten, który słyszałam w nocy za ścianą. Wprawdzie wtedy był bardziej wzburzony, puchnący od pretensji i żalu, a teraz wyczuwałam w nim serdeczność, ale nie mogłam się mylić, to musiała być ona. Mój wzrok podążył za szczupłymi nogami dziewczyny ubranymi w obcisłe czarne legginsy. Miała w sobie tę lekkość i beztroskę, którą ja po kilku latach nieudanego małżeństwa straciłam. Jakbym po drodze zagubiła gdzieś samą siebie, pomyślałam, skubiąc palcami fragment obrusu.

To, jak skończy się związek mój i Łukasza, można było przewidzieć, właściwie zanim jeszcze na dobre się zaczął. Pochodzący z dystyngowanej rodziny, przystojny prawnik odnoszący sukcesy i wrażliwa dziewczyna z ambicjami. Nierównowaga rzucała się w oczy od początku. W związku zawsze jest ktoś, kto kocha bardziej, to normalne, ale jeśli tą osobą jest kobieta, to nie wróży dobrze. Ja usiłowałam pogodzić wychowanie dziecka i pracę w redakcji, a on w tym czasie przeskakiwał na coraz wyższe szczeble kariery, chadzał na wytworne kolacje i zawierał znajomości z wpływowymi ludźmi. Byłam mistrzynią w wytrzymywaniu i gryzieniu się w język. Wszystko to robiłam z myślą o nas, nie zauważyłam jednak, że w tym samym czasie Łukasz skupiał się wyłącznie na sobie. W którymś momencie nasze drogi się rozeszły, a może po prostu dotarło do nas, że zawsze biegły daleko od siebie.

Z nadzieją raz jeszcze wybrałam numer byłego męża – tak bardzo potrzebowałam usłyszeć głos Ignasia – ale podobnie jak poprzednio Łukasz nie odebrał. Po chwili telefon zapisał, a na ekranie pojawiła się ikona koperty. „Jesteśmy zajęci”, napisał, co brzmiało

niemal jak „odwal się” albo nawet „spierdalaj”. Poirytowana wrzuciłam komórkę do torebki, przyciągając tym uwagę kelnerki, która sprzątała sąsiedni stół. Dziewczyna uśmiechnęła się pokrzepiająco, a ja postanowiłam to natychmiast wykorzystać. W końcu nic nie wspiera kobiecej solidarności tak bardzo, jak wspólne narzekanie na mężczyzn.

– Faceci – westchnęłam, przewracając oczami. – Z nimi źle, a bez nich jeszcze gorzej.

– Coś o tym wiem.

Blondynka przygryzła wargę i spuściła wzrok. Jej dłonie usilnie szorowały nieistniejącą plamę na blacie stołu. Zauważyłam, że do kieszonki w białym T-shircie miała przypiętą plaketkę z imieniem KLARA.

– Czasami po prostu trzeba to przeczekać – stwierdziłam tonem doświadczonej kobiety.

Skóra ścierpła mi na dźwięk własnych słów. Cholerne dobre rady przekazywane z pokolenia na pokolenie jako prawdy objawione, to one zniszczyły moje małżeństwo. A przynajmniej je łatwiej było mi winić. Zawsze przecież prościej oskarżać kogoś lub coś innego niż wziąć odpowiedzialność za swoje decyzje i wybory.

– W moim przypadku czekanie raczej nie pomoże – odpowiedziała kelnerka.

– Szczerze mówiąc, chyba w żadnym nie pomaga. – Uśmiechnęłam się z zakłopotaniem. – Przepraszam za ten banal. Chciałam tylko powiedzieć coś, co sprawi, że poczujesz się choć odrobinę lepiej. Niechcący słyszałam w nocy waszą kłótnię, ściany w tym hotelu są naprawdę cienkie, a ja zajmuję pokój na drugim piętrze i niestety fatalnie śpiam.

Kłamstwo ubrane w prawdę prawie zawsze działało. Na twarzy dziewczyny zagościł niepokój. Intensywnie zamrugła powiekami, uchyliła wargi, a jej oczy stały się jeszcze bardziej okrągłe. Widziałam, jak ścisnęła w dłoniach gąbczastą ściereczkę do wycierania stołów i dyskretnie zerknęła przez ramię. Pracownicy

hotelu z pewnością nie mogli korzystać z wolnych pokoi dla własnych przyjemności, a zatem postąpiła wbrew regulaminowi. Sądząc po jej reakcji, musiała się przestraszyć, że wyjawię komuś ten sekret, i choć nie zamierzałam tego robić, do mojego rękawa wpadł właśnie nowy as.

– Spokojnie. Zachowam to dla siebie. – Wykonałam gest zamykania ust na niewidzialny kluczyk, który później rzuciłam za siebie.

O ile oczywiście nie będę musiała, dodałam w myślach, patrząc, jak napięte ciało blondynki nieco się rozluźnia. Kelnerka przestąpiła z nogi na nogę, a kąciki jej ust drgnęły, jakby jeszcze nie miały odwagi unieść się do uśmiechu.

– Dziękuję – szepnęła. – Gdyby ojciec się dowiedział, na pewno od razu poszedłby z tym do matki, a wtedy rozpętałoby się piekło. Pracuję na nocnych zmianach, żeby móc zarobić na wyjazd do Australii i uciec stąd na zawsze. Nie mogę tego stracić.

– Jednego nie rozumiem, może to dlatego, że nie pochodzę stąd i właściwie zaraz wyjadę... ale co jest takiego w tym mieście, że wszyscy chcą się stąd wyrwać? Choćby ty i twój chłopak?

Dziewczyna potarła dłonią czoło i upewniwszy się, że nikt nie podsłuchuje, wyjaśniła:

– To zabrzmiało niedorzecznie, ale niektórzy mówią, że krąży nad nami jakaś klątwa, jakby Bóg zapomniał o tym miejscu. Wszystko przez wydarzenia sprzed lat. Nie wiem, czy pani słyszała... Niegdyś zamordowano tu trzech chłopców. Policja znalazła ich na łąkach. – Kiwnęłam głową na znak, że doszły mnie słuchy o tej sprawie. Oczywiście kelnerki zablęskły, a ja nachyliłam się z ciekawością, zachęcając, by kontynuowała. – Brzmi jak szaleństwo, prawda? Sama nie mogę uwierzyć, że ludzie nadal wierzą w te zabobony! To było tak dawno temu, jeszcze przed moim urodzeniem. Może gdyby chociaż to wszystko skończyło się inaczej, wtedy wszyscy by o tym zapomnieli, a tak ta historia wraca jak zjawia.

– Pewnie szczególnie teraz, gdy matka jednego z zabitych wtedy chłopców popełniła samobójstwo? – zachęcałam ją do mówienia.

Klara rozejrzała się dyskretnie, a potem podeszła bliżej i ściszyła głos.

– Z tym samobójstwem coś nie do końca jest w porządku. To mój chłopak, Stefan, ją potracił, kiedy rzuciła się z wiaduktu. Mówił, że z oddali widział, jak wchodzi za barierkę, ale to się stało tak szybko, że nie był w stanie wyhamować.

– Nie dziwię się, na pewno był przerażony.

– On twierdzi, że to wyglądało, jakby ta kobieta się kogoś bała. Nie rozumiem, dlaczego władze ukrywają tę informację o otarciach na nadgarstkach. Straszili Stefana, że jeśli będzie o tym rozповідаł, oskarżą go o utrudnianie śledztwa. A to przecież nie on się wygadał, tylko ten koleś z Hadesu. Zresztą słyszała pani naszą rozmowę. – Wspięła się na palce i wyjrzała, by sprawdzić, czy może nadal mówić. Ewidentnie ulgę przynosiła jej możliwość podzielenia się emocjami. – Niektórzy uważają, że Małgorzata Lenart była wariatką, w końcu zamknęli ją w psychiatryku, i to na wiele lat, co nie? Ale może te jej wymysły o zмовie milczenia nie były tak wysrane z palca, jak się wszystkim wydawało. Może jest w nich jakieś ziarno prawdy.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Blondynka otworzyła usta, jakby zamierzała coś jeszcze dodać, ale nagle zeszywniała, spoglądając gdzieś za mnie. Pospiesznie sięgnęła po złożony obrus, który wcześniej zawiesiła na oparciu krzesła, i nerwowo wygładziła dłońmi materiał fartucha przewiązanego w pasie.

– Przepraszam, muszę już iść – rzuciła, odchodząc.

Kiedy się odwróciłam, w drzwiach sali restauracyjnej stał Mateusz Gutkowski, właściciel hotelu. Jego zwarte w wąską kreskę usta, ciasno zaplecione na piersi ramiona i przenikliwy wzrok sugerowały, że nie pochwalał mojej rozmowy z Klarą. Wszak byłam dziennikarką, a to oznaczało pytania. Doświadczenie nauczyło mnie, że

najbardziej nie lubią ich ci, którzy mają najwięcej do ukrycia. Rozciągnęłam usta w uśmiechu, bo takich jak on ceniłam szczególnie wysoko. Byli jak myszy w grze, w której ja stawałam się kotem. Prędzej czy później wpadali w moje sidła.

Gdy tylko o tym pomyślałam, telefon zawibrował, a na ekranie pojawiła się kopertka oznaczająca nową wiadomość e-mail. Otwierałam ją, wstrzymując oddech i modląc się w duchu, by odpowiedź była pozytywna. I choć błagania osoby, która wyrządziła w życiu tyle zła co ja, nigdy nie powinny zostać wysłuchane, tym razem los się do mnie uśmiechnął.

Za kilka dni czekało mnie spotkanie z najciekawszą postacią związaną z tragedią sprzed lat.

1990

*

Wysoki policjant raz jeszcze nacisnął guzik dzwonka, a gdy i tym razem z wnętrza domu nie doszły go żadne oznaki wskazujące na obecność mieszkańców, zaczął obchodzić budynek dookoła. Minął zaparkowanego na posesji dużego fiata z rozbitym reflektorem, a następnie skręcił za róg. Towarzyszący mu funkcjonariusz wyglądał na przestraszonego, przy każdym najdrobniejszym szmerze jego dłoń natychmiast wędrowała do kabury z pistoletem, a skóra na twarzy chłopaka była tak napięta, że zdawało się, iż zaraz pęknie.

Mężczyźni zbliżyli się do niewielkiego okna. Aspirant Bernard Suski przyłożył dłonie do szyby, formując nad oczami daszek, który umożliwił mu zajrzenie do środka. Wewnątrz, w pustym, dopiero co odmalowanym pokoju, na świeżo położonych panelach piętrzyły się dziesiątki kartonowych pudeł. Kolejne okno prowadziło do kuchni. Tu również ściany zostały odświeżone, w kącie stała nowa kuchenka gazowa, nie do końca jeszcze wyjęta ze styropianu, a drzwiczki piekarnika nadal były zabezpieczone kawałkiem taśmy. Na pochłapanym farbą stole leżały chleb, konserwa i pęk kluczy. Policjant zamierzał już odejść, gdy dostrzegł łóżko polowe skryte za lodówką, na którym pod wybrzuszonym kocem coś się poruszyło.

– Halo! – zawołał, uderzając pięścią w szybę. – Panie Atman, jest pan tam?

Kształt pod pledem przemieścił się, a potem spod koca wychynęła jakaś silna, męska ręka.

– Co jest? – zapytał zachrypnięty głos, którego właściciel nie zadał sobie trudu, by sprawdzić, z kim ma do czynienia.

– Policja, chcielibyśmy z panem porozmawiać.

– Dobra, już wstaję – mruknął niechętnie lokator budynku i ściągnął z twarzy koc.

Po chwili oczom funkcjonariuszy ukazał się rosły mężczyzna w ortalionowych spodniach dresowych i granatowym podkoszulku. Na policzku miał odgniecenie od poduszki. Ciepłe, brązowe oczy mimo siateczki czerwonych żyłek sprawiały wrażenie życzliwych, a nieco dłuższe kręcone włosy i dołeczki w policzkach, pojawiające się za każdym razem, gdy poruszał ustami, nie pozwalały spojrzeć na niego inaczej niż jak na sympatycznego gościa.

– Tomasz Atman? – upewnił się policjant. – Aspirant Bernard Suski. Chcielibyśmy zamienić z panem kilka słów, można?

– Jasne, wejdźcie. – Mężczyzna gestem zaprosił gości do środka.

– Niestety nie mam czym panów poczęstować. Gdybym wiedział, pewnie bym coś naszykował.

– Nie ma takiej potrzeby – odparł Suski, badawczo rozglądając się wokół. – Mieszka pan sam?

– Tak. Sprowadziłem się niecały miesiąc temu, stąd ten bajzel. Po wakacjach będę uczył w tutejszej szkole podstawowej, jestem matematykiem.

Atman zaprowadził mundurowych do kuchni, gdzie podsunął im dwie skrzynki po piwie, by na nich usiedli, sam zaś przycupnął na łóżku polowym. Z jakiegoś powodu dopadła go nagła potrzeba zaspokojenia pragnienia, sięgnął więc po butelkę wody mineralnej stojącej pod ścianą i duszkiem wychylił jej zawartość do dna.

– Denerwuje się pan? – odezwał się Suski.

– Nie, po prostu trochę za dużo wczoraj wypłem i chyba kac mnie męczy.

– A może nam pan opisać, co robił przez cały wczorajszy dzień?

Nauczyciel podrapał się po karku, po czym ściągnął brwi, jakby usiłował wszystko dokładnie odtworzyć w pamięci.

– Rano byłem w szkole, musiałem dowieźć brakujące dokumenty do sekretariatu. Później sprzątałem tutaj, bo po malowaniu i wymianie paneli zostało mi pełno śmieci. Zebrałem też różne metalowe graty, żeby je wywieźć na złomowisko. Starą franię, zardzewiała wirówkę, jakieś kawałki kół i mnóstwo bezużytecznego żelastwa. Poprzedni właściciel chaty zostawił tu niezłą kolekcję. – Przełknął ślinę, zastanawiając się, dlaczego wyłącznie jeden z policjantów go wypytuje, a ten drugi, o krzaczastych brwiach, tylko groźnie spogląda i robi notatki. – Oddałem je facetowi na wysypisku, a potem wróciłem tutaj.

– O której godzinie pan tam był?

– Koło południa. Zamieniłem z facetem kilka słów i przyjechałem z powrotem.

– Tak po prostu? Nic więcej się nie wydarzyło? Przed domem widziałem uszkodzony samochód.

Matematyk zaczął się niespokojnie wiercić, kąciki jego ust uniosły się, a na twarzy zamajaczył nerwowy uśmiech.

– Mała stłuczka, nic wielkiego. – Machnął ręką. – Jakiś tydzień temu sarna wyskoczyła mi pod koła.

– A może jechał pan pod wpływem alkoholu, tak jak wczoraj? – Suski usiłował wiać go pod włos. – Stróż ze złomowiska twierdzi, że wypiliście razem flaszkę, po której wsiadł pan za kierownicę, a nie dalej jak chwilę temu sam pan wspominał o kacu.

– No tak, ale po piwach. – Tomasz wskazał okazałą kolekcję opróżnionych butelek w kącie. – A tamtemu facetowi rzeczywiście postawiłem wódkę. W sumie była dla jego szefa, chciałem mu podziękować za to, że dobiliśmy targu z tymi rupieciami, ale go nie

było i ten dozorca uznał, że nie powinna się grzać w taki upalny dzień.

– Pił pan z nim?

– Kurtuazyjnie, jeden kieliszek, a potem przyjechałem do domu, umyłem samochód...

– Słucham? – przerwał mu Bernard.

– No zakurzył się strasznie od wożenia tych gratów.

– A nie używał pan do tego przyczepki? Tej, która stoi na zewnątrz obok samochodu?

Nauczyciel lekko się zarumienił, a następnie podrapał w brodę.

– Też, po prostu nie wszystko się na niej zmieściło i część musiałem upchać we fiacie. Tego było naprawdę dużo.

Suski obserwował matematyka spod zmrużonych powiek.

– Ktoś widział pana w domu po powrocie ze złomowiska? – spytał.

Mężczyzna patrzył w dal niewidzącym wzrokiem, jakby przebywał w innej czasoprzestrzeni.

– Pytałem, czy ktoś widział albo odwiedzał pana wczoraj w domu po pana powrocie z wysypiska złomu – powtórzył głośniejszym głosem aspirant.

Tomasz Atman zamrugnął jak ktoś, kto właśnie ocknął się po omdleniu albo długim, głębokim śnie.

– Nie, byłem sam. Piłem piwo i układałem panele w drugim pokoju.

Bernard Suski dał znać koledze, że wystarczy notatek, dźwignął ciężkie ciało z niskiej skrzynki, a następnie podziękował nauczycielowi za udzielone informacje. W drodze do drzwi ponownie rzucił okiem na farbę, którą zostały pomalowane ściany w pokoju.

– Ładny kolor. Ma pan gdzieś jeszcze puszki po tej farbie? – zagaił, dotykając palcami ściany. – Mojej żonie by się spodobała. Wie pan, jakie są kobiety, z nudów wiecznie każą coś przemeblowywać albo tapetować.

– Niestety nic mi już nie zostało, wszystkie puszki wywoziłem wczoraj na złomowisko.

– Tak też myślałem.

– Przepraszam, ale nie rozumiem, o co tutaj chodzi – rzucił poirytowany Tomasz. – Pan coś insynuuje? Mam dość tych dziwnych pytań. Przychodźcie panowie do mnie, wypytajcie o różne rzeczy i nawet mnie nie informujecie dlaczego. Czy coś się stało?

– Niedaleko miejsca, w którym pił pan wczoraj alkohol z dozorcą wysypiska, doszło do brutalnego morderstwa. Ofiarami są dzieci.

– Co?! – Oburzenie malujące się na jego twarzy powoli ustępowało miejsca szokowi połączonemu z niedowierzaniem.

– Straszne, prawda? Wszyscy jesteśmy wstrząśnięci. Nie mam pojęcia, kto to zrobił, ale wiem, że kiedy trafi w ręce policji, nie będzie miał łatwego życia. – Aspirant dłuższą chwilę wpatrywał się w przerażone oczy matematyka, po czym pożegnał się i wyszedł.

Drugi funkcjonariusz dogonił go dopiero przed skrzypiącą furtką.

– Co to było? Groziłeś mu? I po co ten blef na temat twojej nieistniejącej żony?

– Ubrania tych zabitych chłopców były poplamione żółtą farbą olejną. Podobną do tej, którą widzieliśmy w domu nauczyciela. – Wyjął z kieszeni dłoń, pokazując za paznokciem fragment tynku z farbą. – Trzeba się przekonać, czy to ta sama.

Gdy niespodziewanie odchodzi ktoś bliski, ludzie szukają w tym sensu, jakiegoś głębszego znaczenia. Uczepieni irracjonalnej myśli, że wszystko dzieje się po coś, znajdują w sobie odrobiny sił, by każdego kolejnego dnia otwierać oczy, wstawać z łóżka i robić te wszystkie prozaiczne rzeczy, z których składa się codzienność. Żywią nadzieję, że z czasem będzie łatwiej, ale to nieprawda – po prostu nauczą się żyć z tym, co jest nie do przyjęcia. Oswoją stratę jak dzikie zwierzę.

Małgorzata Lenart nie miała złudzeń, że kiedykolwiek zaakceptuje śmierć Emila. Gdy stała w wypełnionej po brzegi roślinami kwiaciarni, do której wcale nie zamierzała wstępować, cała była odrętwiała z bólu. Białe lilie, kremowe gerbery oraz bezwstydnie czerwone róże atakowały ją intensywnymi zapachami, a ona

widziała w nich tylko kwiaty śmierci, które zdobiły wieńce pogrzebowe. Piękne i straszne zarazem. Tuż obok na metalowym drążku zauważyła wiszące szarfy żałobne. Zapewne umieszczono je tam po to, by klient mógł je sobie obejrzeć i wybrać najwłaściwszą, jakby to dla kogokolwiek miało jeszcze znaczenie. „Kochamy”, „Ostatnie pożegnanie”, „Na zawsze pozostaniesz w naszych sercach” i ten, który sprawił, że w jej oku zakręciła się łza. „Śpij spokojnie, aniołku”.

Poza nią w sklepie nie było żadnego klienta, na ladzie przyjemnie szumiał obrotowy wiatrak, a chłodne powietrze owiewało ciało Małgorzaty. Z zaplecza dochodziła ją burzliwa rozmowa dwóch kobiet. Jedna z nich zanosila się szlochem, druga natomiast pocieszała koleżankę. Lenart nieśmiało podeszła do zasłonki, za którą trwała wymiana zdań, i nadstawiła ucha. Przez niewielką szparę dostrzegła wysoką postać w długiej kwiecistej sukni, ocierającą łzy drobniejszej blondynki.

– Matko, gdybym wiedziała, że te kwiaty to nie dla ciebie, rozwalilibym draniowi łeb – syknęła wyższa z kobiet.

– Nie mogę uwierzyć, że tak mnie okłamał! Za miesiąc bierzemy ślub, a on nawet nie mrugnął – łkała ta druga. – Powiedział, że jedzie do pracy na ranną zmianę. Kiedy wyszedł, zorientowałam się, że zapomniał kanapek, wybiegłam więc za nim, ale zdążył już odjechać. A później wsiadłam na rower i jak głupia pogałam na komendę, gdzie go nie było.

– Tłumaczyłaś sobie pewnie, że musiał się gdzieś zatrzymać po drodze, a on w tym czasie przyszedł tutaj i kupił bukiet z lawendy. Gnojek.

– I co ja mam teraz zrobić? Powiedzieć mu, że go przejrzałam? Zapytać, z kim się wtedy spotkał? Czy od razu zerwać zaręczyny?

Do kwaciarni weszła nowa klientka, wprawiając w ruch niewielki metalowy dzwoneczek nad drzwiami, który zadźwięczał radośnie. Matka Emila, przyłapana na podsłuchiowaniu, podskoczyła

z przestraczem. Za kotarą zapanowało poruszenie, rozmowa się urwała, a po chwili jedna z ekspedientek, Rosa, wróciła do sali.

– Dzień dobry – przywitała klientki z uśmiechem, który spelzł z jej ust, gdy tylko rozpoznała w obu kobietach matki zabitych chłopców. Wprawdzie lokalna społeczność nie znała jeszcze nazwisk ofiar znalezionych z Jakubem Babiczem, ale Rosę dobiegły pewne plotki, a poza tym zdołała usłyszeć fragment rozmowy telefonicznej prokurator Miksy, z której wyciągnęła odpowiednie wnioski.

Dopiero na widok reakcji kwiaciarki Lenart odwróciła się, a jej wzrok napotkał pełne odrazy spojrzenie Jolanty Zielińskiej.

– Niech się pani do mnie nawet nie zbliża – warknęła kobieta do zaszokowanej tym atakiem Małgorzaty. – Gdyby nie ten pani synalek, mój Piotrek nadal by żył. Wiecznie tylko namawiał Piotrusia na wagary, kazał mu kraść, ogródki ludziom niszczyć i jeszcze te gazety do nas znosił.

Lenart mrugała powiekami i poruszała ustami niczym ryba wyrzucona na brzeg.

– Nie rozumiem, o co pani chodzi. Jakie gazety? – broniła się.

– No tak, nic pani nie wie. O zbrodniach, o potwornych morderstwach. Cały czas o nich opowiadał, jakby nic innego go nie interesowało. Mącił mojemu synowi w głowie! – podniosła głos. – Wszyscy wiedzą, że ma pani problem ze sobą, dzieci ciągle brudne i głodne chodzą, w pracy się pani nie stawia. Co? Zdziwiona? Może trzeba zacząć się leczyć? Ludzie gadają na mieście, niektórzy nawet zastanawiają się, gdzie pani wtedy była, bo z tymi chorobami psychicznymi to nigdy nie wiadomo, co komu odbije.

To było już dla Małgorzaty za wiele. Nikt nie miał prawa oceniać jej z powodu choroby, której przecież wcale nie chciała. Nie zamówiła depresji, jak prosi się o dania z karty w restauracji, bez pytania wręczono jej tę udrękę na tacy, bez możliwości zwrotu.

– Jak pani śmie! – zawyła. – To pani ma dzieci ze wszystkimi facetami w tym mieście, nie ja. Może zamiast się puszczać czy przesiadywać w barach, mogłaby pani bardziej pilnować synów,

którzy od rana do nocy leżą przed telewizorem i gapią się na horrory? Gdyby Piotrek nie zginął, szybko dołączyłby do braci w poprawczaku, niczym się od nich nie różnił. I to on... – Urwała, próbując powstrzymać nadchodzącą falę smutku – ...to on namawiał Emila do kradzieży, nie odwrotnie. – Ledwie ostatnie słowo opuściło jej usta, dłoń Jolanty Zielińskiej z głuchym plaśnięciem wylądowała na policzku Lenart.

– Zamknij się, ty głupia pindo – syknęła kobieta. – Nic dziwnego, że ten twój synalek miał nierówno pod sufitem. Niedaleko pada jabłko od jabłoni.

Małgorzata, która zdążyła otrząsnąć się z chwilowego osłupienia po wymierzonym policzku, nabrała tchu, po czym chwyciła matkę Piotrka za włosy i zaczęła ją mocno ciągnąć.

– Gównu o nas wiesz – mówiła, tarmosząc Zielińską tak, że tamtej z oczu poleciały łzy.

Kwiaciarka Rosa, która dotychczas w szoku przyglądała się kłótni, podeszła do kobiet i spróbowała je rozdzielić.

– Dość! – wrzasnęła. – Natychmiast przestańcie! Co się z wami dzieje?

Lenart w końcu puściła rywalkę i ciężko dysząc, skonsternowana rozglądała się po kątach, unikając spojrzenia matki Piotrka. Dotarło do niej, że przesadziła, w końcu ta druga również straciła syna. Przygryzła wargę, a później nieśmiało zbliżyła się do Zielińskiej.

W kwiaciarni zapadła niezręczna cisza, przez co słodki zapach kwiatów zdawał się wręcz duszący. Do ludzi zazwyczaj docierało, że użyli zbyt ciężkich słów, już po fakcie, gdy nie dało się ich cofnąć. Każdy bał się wtedy odezwać pierwszy, jakby gest pojednania czynił z jednej ze stron pokonanego. W rzeczywistości przegrani byli ci, którzy ulegli zaślepieniu i nie próbowali nawet przejrzeć na oczy.

Małgorzata, międląc w dłoniach namokniętą, rozpadającą się na kawałki chusteczkę, uniosła rękę, by objąć Jolantę, która z niebywałą ciekawością obserwowała kolorowe wstążki pozwijane na szpulach.

– Przepraszam – wydusiła z siebie Lenart, ale matka Piotra odepchnęła jej dłoń i splunęła kobiecie pod nogi.

– Nawet nie próbuj mnie dotykać! – rzuciła, po czym wyszła z kwaciarni, trzaskając drzwiami.

Rosa współczuła tym kobietom. Nie tylko z powodu tego, co je spotkało, ale także dlatego, że wiedziała, iż nigdy nie otrząsną się z tej tragedii. Będą jej zakładniczkami do ostatniego dnia, jakby same stały się martwe.

Zuzanna, 2015

*

Szmer rozmów, brzęk filiżanek stukających o spodki, uderzenia widelczyków o talerzyki deserowe z ozdobionym złotą farbą brzegiem, wszystko to zdawało się cichnąć, gdy przechodziłam przez szpitalną kafeterię. Skinęłam przyjaźnie do grupy osób w białych kitlach, lekarzy, a może pielęgniarzy, których oczy chciwie wpijały się w każdy fragment mojego ciała. Kobieta za ladą poleciła szarlotkę, koniecznie na ciepło i z bitą śmietaną, a do tego czarną herbatę z plasterkiem cytryny i odrobiną cukru. Miałam wrażenie, jakbym znalazła się w wykwintnej, popularnej kawiarni, a nie bistro szpitala psychiatrycznego, bo takie miejsca dotychczas kojarzyły mi się głównie z zapachem stołówki oraz grobową atmosferą. Piętro wyżej, na oddziale zamkniętego ośrodka neuropsychiatrii pacjenci szprycowani byli lekami, na obiad dostawali zupę nalewaną chochlą z wielkiego metalowego garnka, jednak tu na dole, w enklawie normalności, do której uciekał personel, podawano słodkie desery z trójzębnymi widelczykami.

Zastanawiając się, czy pacjenci wiedzą o tym przybytku i czy mają prawo z niego korzystać, zajęłam miejsce przy oknie, na drewnianym krześle z ręcznie plecioną siatką w siedzisku i oparciu, która zazwyczaj odciskała się na udach oraz plecach jak ulotny tatuaż. Przy prostokątnych stolikach pracownicy dopijali południową

kawę, ekspres za ladą syczał, a długolistne paprotki zwisające ze ścian swymi mackami chwyciły włosy personelu szpitala. Pani Helena, pielęgniarka, która przez lata opiekowała się mamą, przyszła po kwadransie, gdy lekarze zaczęli już zbierać się na górę. Przysadzista kobieta o zaróżowionych policzkach, z trwałą na ciemnych farbowanych włosach oraz w kitlu tak ciasno opinającym ciało, że nie mogłam oderwać wzroku od guzików sprawiających wrażenie, jakby lada chwila miały odskoczyć, przeprosiła za spóźnienie, po czym z herbatą i ciastem ciężko opadła na krzesło obok.

– Pielęgniarze nie mają teraz przerwy, ale udało mi się poprosić koleżankę o to, by mnie na chwilę zastąpiła – wyjaśniała, wsypując trzy kopiaste łyżeczki cukru do maleńkiej filiżanki. – Zwykle jest spokojnie i mogę się wyrwać, ale dzisiaj pacjenci jakby oszaleli. Nie wiem, czy zanosi się na burzę, czy co. – Oblizwała łyżeczkę. – No, ale pani tu przyjechała z daleka, a ja tak gadam bez sensu. Szkoda, wielka szkoda. Strach pomyśleć, co się stało z pani matką, a później ojcem. Biedak musiał się tym wszystkim strasznie przejąć, że aż zawału dostał.

Kobieta siorbnęła duży łyk herbaty. Jej pokrytą głębokimi zmarszczkami twarz przepelniało zatroskanie.

– Czy może mi pani opowiedzieć, w jaki sposób mama uciekła? – spytałam.

– Pojechałyśmy do dentysty. Tego dnia była spokojna, bez oporów przyjęła leki, nie mówiła do siebie ani nie krzyczała. Siedziałam z nią w poczekalni, pani Lenart przeglądała gazetę, a potem niespodziewanie upuściła ją na podłogę i wstała z fotela. – Pielęgniarka oparła dłonie na podołku, kręcąc palcami młynka. – Kiedy ją zatrzymałam, powiedziała, że musi do toalety. No to poszłyśmy, stałam cały czas za drzwiami, a ona załatwiła swoje i odkręciła wodę w kranie. W którymś momencie pomyślałam, że ta woda jakoś za długo leci. Zapytałam, czy wszystko w porządku, ale ona nie odpowiedziała. No i wtedy ciśnienie mi skoczyło. Prędko

pognałam po nóż do kuchni, odblokowałam zamek, a tam otwarte okno. – Rozłożyła bezradnie ręce.

– Myśli pani, że ona to zaplanowała?

Kobieta pokręciła głową.

– W życiu. Całą drogę narzekała na niewygodne buty, ale spieszyliśmy się i już nie było czasu zmienić. Gdyby miała uciekać, od razu włożyłaby adidas. Zresztą zauważyłabym, gdyby zachowywała się jakoś inaczej. Według mnie ona zobaczyła coś w tej gazecie i znów jej odpaliło.

– Co to była za gazeta?

– Zwyczajny dziennik lokalny, znajdzie go pani nawet w naszej miejskiej czytelnicy, tam przy parku, ale na moje oko nic w nim nie było. A na pewno nic na temat tamtej sprawy sprzed lat, tylko jakieś głupoty o remontach dróg i zwyciężcach szkolnych konkursów.

Zanotowałam datę oraz tytuł periodyku, usiłując zrozumieć, co mogło pchnąć matkę do takiego działania. Przed oczyma stanął mi obraz kobiety w desperacji przeciskającej się przez łazienkowe okno i nagle zrozumiałam, że w pamięci noszę jej wizerunek opierający się wyłącznie na prasowych zdjęciach sprzed dwudziestu pięciu lat, gdy choroba nie zdążyła jeszcze odcisnąć na jej twarzy swojego piętna. Z jednej strony pragnęłam dowiedzieć się wszystkiego o Małgorzacie Lenart, poznać ją na wskroś, z drugiej wiedziałam, że to nie będzie miła przygoda, a raczej naznaczona obłędem smutna historia bez happy endu.

– Czy ona o mnie opowiadała?

– Rzadko. – Pani Helena ze współczuciem położyła swoją miękką i wilgotną dłoń na mojej, ale dostrzegając, że zeszywniałam, z powrotem ją zabrała. – Stwierdzono u niej schizofrenię paranoidalną. Głównie mówiła o synu, czasami w sposób, jakby siedział z nami w pokoju. Wierzyła, że to on wyjawiał jej, kto go zamordował. Podejrzewała Romana Babicza, komendanta, prokuraturę, tę drugą matkę, co to potem wyjechała za granicę, kilkoro sąsiadów, lekarzy, a nawet pani ojca. Według niej wszyscy

byli w zмовie, a odkąd uznała, że ją podsłuchują, zaczęła porozumiewać się szeptem albo wiadomościami nabazgranymi na kawałkach gazet.

– Ale pani ufała.

– Nie zawsze. W najgorszych momentach potrafiła mnie wyzywać i oskarżać tak samo jak innych. Było mi jej żal, dlatego pomagałam z tymi listami do pani. Przypominałam, zanosilaam do skrzynki. Nie potrafię zrozumieć, z jakiego powodu pani ojciec je ukrywał.

– Chronił mnie. Nie chciał, żebym ciągnęła za sobą ten bagaż – tłumaczyłam go, choć ze złości ścisnął mi się żołądek. – Czy ona wcześniej próbowała się zabić?

– Nigdy. Kilkakrotnie usiłowała skrzywdzić pracowników albo innych pacjentów, ale to w pierwszych latach, później jakoś lepiej dobierali jej leki i jeśli tylko przyjmowała je regularnie, wszystko było dobrze. – Dopila ostatni łyk herbaty. – Muszę lecieć, zanim kierownik szpitala zorientuje się, że zniknęłam.

Pielęgniarka odstawiła talerzyk na ladę, bistro opustoszało i teraz znajdowałyśmy się w nim jedynie we dwie, nie licząc sprzedawczyni, która wycierała mokrą ścierką blaty stolików. Może tylko to sobie wyobraziłam, ale pani Halina zerknęła badawczo przez ramię na bufetową, zanim spieszenie wcisnęła mi w dłoń złożoną na czworo kartkę papieru. Sprawiała wrażenie przestraszonej, z rozbieganym wzrokiem, jakby dała się porwać narracji mojej matki i uwierzyła, że wszędzie czają się źli ludzie biorący udział w tajnym spisku.

– Znalazłam to pod jej materacem, gdy sprzątałam – szepnęła. – Było ukryte w szczelinie metalowego stelaża łóżka. Zamierzałam oddać tę kartkę policji, ale kiedy dowiedziałam się o śladach po więzach na jej nadgarstkach, uznałam, że może pani matka nie była tak niepoczytalna, jak wszyscy uważali.

Z zakamarków umysłu wypłynęła ironiczna myśl, że ostatecznie wszyscy jesteśmy wariatami, tylko nie każdy z nas został zdiagnozowany. Zaczęłam rozkładać kartkę, ale pielęgniarka

powstrzymała mnie, chwytając moją rękę tak mocno, że poczułam ból.

– Cieszę się, że mogłam panią poznać. Do widzenia – rzuciła, by za moment opuścić kafeterię.

Siedziałam tam, wpatrzona w pomięty fragment papieru, który zdawał się wypalać w mej dłoni dziurę. Irracjonalne uczucie, że jestem obserwowana, nie ustawało, dlatego wiadomość z zaświatów otworzyłam dopiero w samochodzie. Na wyrwanej z zeszytu, sfatygowanej i wyblakłej kartce ktoś długopisem namalował duży krzyżyk, zawieszkę podobną do tych, które mężczyźni nosili na szyi na grubych łańcuchach. Każda kreska rysunku została mocno pociągnięta i kilkakrotnie poprawiona, jakby szkic powstawał pod wpływem emocji, ale jednocześnie z dużym skupieniem na szczegółach. Zarówno figura Jezusa, jak i zdobienia na ramionach krucyfiksu zostały nakreślone z niebywałą starannością.

Co chciałaś przekazać, mamó? W głowie szumiało mi od natłoku pytań i choć na żadne z nich nie potrafiłam znaleźć odpowiedzi, byłam przekonana, że nie ukrywałaby kartki, gdyby to było coś błahego.

1990

*

Po południu Leszek Suski zarządził zebranie, na którym chciał omówić wszystkie dotychczasowe ustalenia, nowe tropy i potencjalne hipotezy. Niebawem mieli odwiedzić go funkcjonariusze z komendy wojewódzkiej, na co zupełnie nie był przygotowany. Dziennikarze od rana nie dawali mu spokoju, wszyscy chcieli poznać szczegóły, telefony się urywały, a dwóch reporterów siedziało na schodach pod budynkiem, osaczając wszystkich, którzy nie zdołali umknąć ich napastliwym pytaniom.

Zwalista zazwyczaj sylwetka komendanta sprawiała wrażenie drobniejszej, pory jego skóry oddawały nieprzyjemny zapach przetrawionego alkoholu, nie przejmował się tym jednak, bo nie był jedyną osobą, której tego dnia trzęsły się ręce, oczy miały czerwony kolor, a w czaszce szalało bolesne łupanie, jakby dziobało ją stado wron. Minionej nocy po raz pierwszy w życiu nie zdołał się upić – mimo iż wlewał w siebie szklanki żytniej, ta nie potrafiła zabrać jego przerażenia. W tej sprawie nie chodziło tylko o brutalność i śmierć niewinnych dzieci, ona wywracała do góry nogami życie całej społeczności, burzyła spokój, który on musiał teraz przywrócić, a z jakiegoś powodu całym sobą czuł, że tego nie udźwignie. Może przemawiała przez niego starość – nieuchronnie zbliżał się do sześćdziesiątki, coraz więcej włosów na jego głowie pokrywało się

siwizną – a może chodziło o to, co wiązało się ze złotym krzyżykiem i czego nie potrafił nawet wypowiedzieć na głos, bo miał wrażenie, że jeśli to zrobi, wszystko się skończy. On, jego kariera, rodzina i życie w tym mieście.

Razem z prokuratorem Miksą weszli do pokoju, w którym przy zagraconych biurkach w akompaniamencie krzykliwych dzwonków telefonów funkcjonariusze skrupulatnie notowali wszelkie doniesienia od mieszkańców. Jeden z policjantów, odkładając słuchawkę, usiadł na krześle i otarłszy pot z nad górnej wargi, zapadł w letarg. Wzrok mężczyzny wbity w ścianę wydawał się nieobecny, a dłonie kurczowo ścisnęły plastikowy długopis. W szumie rozmów i bieganiny jego bezruch sprawiał wrażenie wręcz niepokojącego. Na blacie biurka, nieopodal notesu pełnego chaotycznych zapisków, stało zdjęcie żony policjanta, kobiety w ciąży z dwulatkami na rękach i nieco starszym chłopcem uczeplonym spódnicy mamy.

– Proszę wszystkich o uwagę – odezwał się Leszek Suski, wyrywając mężczyznę z apatii.

Kiedy oczy większości zgromadzonych spoczęły na komendancie, ten wziął głęboki wdech.

– To, co się wydarzyło, nigdy nie powinno mieć miejsca ani tutaj, ani w jakimkolwiek innym mieście na świecie – zaczął z poważną miną. – Musimy jak najszybciej znaleźć sprawcę, bo jeśli tego nie zrobimy, to my obok niego staniemy się winni. Media zjedzą nas żywcem, a ludzie nigdy nam tego nie wybaczą. Będą nas wytykać palcami, przeklinać i to na nas przeleją swój gniew, a ten skurwiel pozostanie na wolności i będzie śmiał nam się w twarz. Dlatego traktujcie poważnie każde zgłoszenie, co godzinę chcę mieć raport z tego, czego się dowiedzieliście, a jeśli zdarzy się coś pilnego, macie mnie natychmiast powiadomić, choćbyście musieli wyciągnąć mnie ze sracza, rozumiano? – Chór głosów zagrzmiął twierdząco w odpowiedzi. – Wielu z was ma dzieci. Niech to będzie motywacja do pracy. Żaden gnój, który jest w stanie zrobić coś takiego, nie ma prawa chodzić wolno po tej ziemi. – Mówiąc to, wodził wzrokiem po

swoich podwładnych i wymachiwał dłonią z wyciągniętym groźnie palcem. Dopiero gdy jego spojrzenie napotkało Bernarda, odwrócił głowę i energicznie potarł wąsy. – Słucham, co mamy?

Policjanci, wertując notesy, przekrzykiwali się w doniesieniach. Ktoś twierdził, że sprzedawca gazet w domu handlowym Kryszał pogonił minionego dnia dwóch chłopców, którzy notorycznie kradli u niego gumy i batoniki. Inny funkcjonariusz przytoczył informacje od jednej z mieszkanek, która po południu spotkała na ulicy jakiegoś malucha w towarzystwie starszych kolegów twierdzących, że natknęli się na zagubione dziecko i odprowadzają je do domu.

– Ta Kwiatkowska, która dzwoni do nas co drugi dzień, skarżyła się, że koło dziesiątej jakieś łobuzy znów splądrowały jej ogródek – relacjonował funkcjonariusz. – Podobno jednym z nich był mały Zieliński, ale nie potrafiła podać imienia, według niej wszyscy ci bracia wyglądają tak samo. Raczej nie dotarła do niej jeszcze wiadomość o tym, co się stało, bo groziła, że jeśli nie zrobimy z nim porządku, to następnym razem sama spuści mu lanie.

– Dzięki, coś jeszcze? – sprawdzał komendant.

– Większość dzwoniących to przestraszeni albo frustraci – podsumowała policjantka. – Właściciel pola niedaleko złomowiska twierdził, że wielokrotnie widywał w okolicy „tych smarkaczy”, takich użył słów. Według niego często plątali się wokół żwirowni, kiedyś pogonił ich z tego zamkniętego kąpieliska w zakolu rzeki i odgrażał się matce Zielińskiego, że jeśli nie zacznie lepiej pilnować syna, to mały się doigra.

Leszek Suski ściągnął brwi.

– Co robił wczoraj w godzinach, w których doszło do zdarzenia?

– Miał sprawę w sądzie. O źle wymierzony teren posesji. Wszystko się zgadza, szarpią się o kawałek ziemi z sąsiadem już od dawna, sprawdziłam to.

Komendant kiwnął głową ze zrozumieniem, potarł palcem usta i uchylił je, jakby zamierzał o coś jeszcze zapytać, ale zawiesił się, a w końcu powiedział tylko:

– Dobra, wracajcie do pracy, jeśli pojawi się coś nowego, chcę o tym wiedzieć natychmiast.

Po czym zaprosił prokurator Miksę, swojego syna i jeszcze dwóch funkcjonariuszy do gabinetu.

– Zamknijcie za sobą drzwi – nakazał, przysiadając na biurku. – Za pół godziny wydam komunikat do prasy. Będzie suchy, oparty na faktach, ale musicie być świadomi, że kiedy wyjdzie popołudniowa gazeta, na ulicach rozpęta się piekło. Skończą się domysły. Wszyscy, którzy dotychczas tylko słyszeli o morderstwie, poznają nazwiska ofiar. Wtedy dotrze do nich, że to się stało naprawdę. Zobaczą w zabitych swoich sąsiadów, kolegów dzieci ze szkoły i wpadną w histerię. Zaczną żądać głowy mordercy. Zróbmy więc wszystko, żebyśmy mogli im ją dać.

Leszek Suski wepchnął dłonie głęboko do kieszeni, by ukryć to, jak bardzo nad nimi nie panuje.

– Skupmy się najpierw na wnioskach z raportu od patologa – zaproponował. – Co nam te informacje mówią o sprawcy?

– Działał pod wpływem silnych emocji. – Bernard włączył się do rozmowy. – Obrażenia wskazują na dużą agresję i chęć odczłowieczenia ofiar. Dlatego uszkodził ich twarze, jakby nie mógł na nie patrzeć.

– Ale nie wszystkim – zaprotestowała Maja. – Właśnie tego nie rozumiem: dlaczego tylko najmłodszą z ofiar potraktował z tak wyjątkowym okrucieństwem? To mogłoby wskazywać na motyw zemsty, jakiś osobisty uraz do rodziców albo dziadka chłopca.

– A może miał na to więcej czasu? – głośno myślał syn komendanta. – Porwał małego Babicza ze sklepu, zabrał go do zagajnika, a później został przyłapany na gorącym uczynku przez dwóch dziesięciolatków. Pewnie spanikował i uciszył ich, żeby nikogo nie zaalarmowali. Pozbył się świadków.

– Twoja teoria ma sens, ale nie pasuje do informacji o chłopcach odprowadzających malucha do domu. Skoro morderca porwał Babicza z domu handlowego, to jak ktoś mógł potem widzieć całą

trójkę kilka przecznic od sklepu? – Prokurator siedząca na krześle pod ścianą zmarszczyła czoło. – A jeśli nawet się pomylił i w rzeczywistości patrzył na zupełnie inne dzieci, to dlaczego tamci dwaj nie uciekli, gdy natknęli się na mordercę?

– Ze strachu? – wtrącił jeden z funkcjonariuszy. – Ten facet mógł mieć broń i im grozić. To dzieciaki, na widok kogoś ze spluwą mogły dostać paraliżu. Koleś nie strzelił tylko dlatego, że za bardzo zwróciłby na siebie uwagę.

Leszek Suski zanotował, by sprawdzić alibi wszystkich w okolicy posiadających pozwolenie na broń i prześwietlić sprawców przestępstw na tle seksualnym, szczególnie tych wobec dzieci, którzy niedawno opuścili zakłady karne albo mieszkali niedaleko.

– A co, jeśli sprawców było dwóch? – dodała Miksa. – W czasie gdy jeden z napastników krzywdził najmłodszą ofiarę, drugi zabójca pilnował dziesięciolatek i kazał im patrzeć.

Bernard, nie mogąc się opanować, prychnął, po czym od razu uniósł przepaszająco dłonie, ze skruchą zerkając na prokurator. Atmosfera między tymi dwójkiem od jakiegoś czasu stawała się coraz bardziej napięta. Maję drażniła impertynencja młodego policjanta, który swoją karierę w służbach mundurowych zawdzięczał głównie ojcu. A może nie lubiła go, bo niegdyś sypiał z Rosą? Wprawdzie niczego sobie nie obiecywały i łączyła je luźna relacja, ale ten chłopak przypominał kamień w bucie, nie dało się go ignorować.

– Według mnie to mało prawdopodobne – oznajmił aspirant. – Jestem za hipotezą, w której dziesięciolatekowie natknęli się na mordercę. Ich obrażenia sugerują, że starsi chłopcy znaleźli się tam przypadkiem, nie byli głównym celem ataku. Po prostu zwiali z lekcji, ukradli kilka batoników w Kryształ, a później zamierzali zmarnować trochę czasu, łażąc wokół złomowiska. Uważam, że ci dwaj mieli cholernego pecha, nic więcej.

Leszek Suski, wyczuwając niezadowolenie Miksy, posłał jej krzepiące spojrzenie.

– Kto w takim razie to zrobił? – rzucił pytanie, po którym zapadła chwilowa cisza.

– Trzeba porozmawiać z ojcami wszystkich ofiar – zasugerowała Maja. – O ile Roman Babicz ma alibi, to dwaj pozostali nie dotarli jeszcze na komendę. To mógł być jakiś odwet na matkach, ale wtedy nie do końca jasne pozostaje, dlaczego któryś z nich miałby skrzywdzić małego Babicza.

– Ten Lenart to podobno rozstał się z żoną i wyjechał do Warszawy, a Jolanta Zielińska mogła stracić rozeznanie w tym, kto jest ojcem jej syna – zachichotał jeden z policjantów. – Krążą plotki, że każdy z dzieciaków u Zielińskich pochodzi od innego faceta.

– To porozmawiamy z każdym z nich – odparła surowo prokurator. – Im więcej osób przesłuchamy, tym lepiej. Chcę mieć zeznania od absolutnie wszystkich, którzy tamtego dnia odwiedzili dom towarowy Kryształ i tych, którzy znaleźli się nieopodal złomowiska. Nic nie może nam umknąć – oznajmiła. – Niepokoi mnie też stróż ze szrotu. Mam nieodparte wrażenie, że czegoś nam nie mówi. No i jest jeszcze ten nauczyciel, który podobno kręcił się tam w dniu zabójstwa.

Bernard od razu się ożywił.

– Byliśmy u niego rano. Potwierdził, że wpadł wtedy na chwilę na złomowisko, ale został tylko na jeden kieliszek, a potem wrócił do domu i kładł panele. Problem w tym, że nikt go nie widział i nie może o tym zaświadczyć. Co więcej, farba, którą odmalował ściany, przypomina tę znaną na ciele Jakuba Babicza.

– Szefie, a ten dzieciak, co znalazł ciała? Gutek na niego wołają – nieśmiało dorzucił młody funkcjonariusz. – On niby tam chodził z patrolem i pomagał w szukaniu, ale jakoś go wcześniej nie widziałem, no i wydawał się dziwnie podekscytowany. Może jego też sprawdzimy?

Leszek Suski dopisał odwiedzenie chłopaka do listy pilnych spraw do załatwienia, po czym zlecił Bernardowi porównanie próbki farby z domu nauczyciela z tą z ciała ofiary, zweryfikowanie alibi ojca

Piotra Zielińskiego i doprowadzenie na komendę ojca Emila Lenarta. Umysł komendanta nieustająco szukał motywu tej zbrodni. Najbardziej prawdopodobnym było, że dokonał jej człowiek mocno zaburzony, ale bodźcem równie dobrze mogła być zemsta i próba odegrania się na Babiczach. Problem w tym, że byli w miasteczku lubiani, a ponadto, jak sami twierdzili, nie mieli żadnych wrogów.

– A co z tym złotym łańcuszkiem? – zapytał Bernard.

– Nie należał do żadnej z ofiar – wyjaśnił Suski. – Na miejscu były też ślady opon rowerowych, ale sprawdziłem, że pół miasta ma takie same, nawet twoja matka, więc ten wątek odpuszczamy.

Komendant zastukał końcówką długopisu w biurko, starając się opanować zgiełk w swojej głowie. Jedno spojrzenie na poprzecinane poziomymi zmarszczkami czoło prokurator Miksy upewniło go w tym, że nie tylko on walczy z kakofonią pytań szalejących w myślach.

Planował zakończyć spotkanie i skorzystać z toalety, zanim trafi w szpony dziennikarzy, gdy do środka wpadła młoda policjantka.

– Szefie, jakaś kobieta mówi, że chce porozmawiać z kimś, kto prowadzi śledztwo – wysapała, wyraźnie przejęta.

– Bernard, pójdziesz do niej? – zwrócił się do syna. – A ja z prokuratorem Miksą omówimy jeszcze kilka spraw.

Młody Suski bez ociągania ruszył za funkcjonariuszką, która zaprowadziła go do kobiety trzymającej za rękę małego chłopca. Matka przestępowała nerwowo z nogi na nogę, opowiadając dziecku, gdzie są i kto pracuje w tym miejscu, jakby chciała go zagadać, zanim zaniepokojenie malucha, wyraźne w małych ustach wygiętych w podkówkę, zamieni się w płacz.

– Aspirant Bernard Suski – przedstawił się policjant. – Podobno ma pani dla nas jakieś informacje.

Kobieta zerknęła za siebie, po czym nachyliła się ku niemu.

– To może dziwnie zabrzmieć, ale wydaje mi się, że mogę pomóc. Jakies dwa miesiące temu robiłam zakupy w Kryształach – mówiła cicho, najwyraźniej bojąc się, że ktoś mógłby ją usłyszeć. – Spotkałam znajomą i tak się zagadałyśmy, że nie zauważyłam, kiedy

synek odszedł. Mówię o tym w dyskrekcji, bo mąż nie ma o niczym pojęcia i nie może się dowiedzieć. To była moja wina, powinnam była pilnować małego. Spanikowana wybiegłam ze sklepu, ale nigdzie go nie było. Dopiero chwilę później usłyszałam krzyk synka dochodzący z okolic toalet. Pognałam tam i natrafiłam na dwóch starszych dzieciaków, którzy na mój widok natychmiast uciekli.

– Wie pani, kto to był? Rozpoznała ich pani?

– Nie, nie zdążyłam się im przyjrzeć, myślałam tylko o swoim synu, ale jestem pewna, że chcieli coś mu zrobić.

– Skąd taka myśl? Może po prostu krzyczał, bo się zgubił, a tamte dzieci próbowały mu pomóc? Chciały go zaprowadzić do pani.

– Nie sądzę. Mówił, że kazali mu iść z nimi i szarpali go za ubranie. Jak zobaczyłam informację o tym zaginionym chłopcu, od razu pomyślałam, że to może mieć związek – opowiadała rozgorączkowana. – Nie powinien pan tego gdzieś zapisać?

– Nie, nie ma takiej potrzeby. Zapamiętałem wszystko, dziękuję za fatygę – rzucił, po czym jednak wyciągnął z kieszeni notes i długopis.

– Proszę mi tylko powiedzieć, jak się pani nazywa, na wypadek gdybyśmy mieli więcej pytań.

Skrupulatnie zapisał dane kobiety w notatniku, ale gdy ta z wyrazem niedającej się ukryć ulgi na twarzy opuściła komendę, wyrwał kartkę z zapiskami i wrzucił ją do kosza w korytarzu.

– Brednie – rzucił pod nosem.

Umknęło mu jednak, że w poczekalni znajdował się również ktoś, kto uważnie śledził całe zajście.

Elżbieta Babicz uciekała przed cierpieniem w religijność. Od kilku dni codziennie odwiedzała niewielką kaplicę na wzgórzu, gdzie w ciszy i chłodzie, który dawały grube kamienne mury, jej palce przesuwwały okrągłe, pachnące paciorki różańca, a usta niczym mantrę szeptały słowa modlitwy. Mimo wysiłków jej ból nie słabł, wszak nosiła go w sobie, a w życiu można uciec od wielu rzeczy, tylko nie od siebie. Ona jednak nie ustawała w próbach. Na klęczkach, ze splecionymi

palcami dłoni wpatrywała się w oblicze Boga, szukając w jego smutnych oczach wybaczenia, choć w rzeczywistości najbardziej pragnęła dostąpić go nie od Stwórcy, ale od swojego męża.

Kiedy wróciła do domu, bliscy powiedzieli jej, że Romek zamknął się w warsztacie i nie wychodzi stamtąd od dłuższego czasu. Nie mieli śmiałości do niego zapukać, bo od rana powarkiwiał na wszystkich i uznali, że po prostu potrzebuje odrobiny przestrzeni tylko dla siebie. Wprawdzie rodzina przyjechała, by okazać wsparcie, ale nie bez powodu istniało powiedzenie, że goście, podobnie jak ryby, po kilku dniach zaczynają śmierdzieć. Atmosfera i tak była wystarczająco napięta, a obecność dodatkowych osób tylko pogarszała sytuację. W duchu Ela cieszyła się, że po zaplanowanym na kolejny dzień pogrzebie chłopców siostry jej i Romka wrócą do swoich domów, a oni będą mogli spróbować jakoś to wszystko poukładać. O ile zostanie coś jeszcze do poukładania.

Z sercem ciężkim jak gęste, ołowiane chmury na niebie ruszyła do zakładu. Po wielu dniach upałów wreszcie zbierało się na deszcz, a może nawet na solidną burzę, jakby pogoda odzwierciedlała stan małżeństwa Babiczów. Oni też długo cieszyli się spokojem, aż przyszła nawałnica, która ich zdruzgotała jak wichura łamiąca nawet najpotężniejsze drzewa. Gdy Ela położyła dłoń na klamce do warsztatu, poczuła zimny pot na plecach. Wewnątrz było niepokojąco cicho, nie grało nawet radio, które Romek zwykle włączał do pracy, choć tej zapewne teraz nie miał, bo klienci, nie mogąc spojrzeć Babiczom w oczy, odwoływali wizyty u mechanika.

Pełna obaw szarpnęła drzwi i aż zaniemówiła z wrażenia. W budynku panował nieskazitelny porządek, każdy klucz po raz pierwszy od miesiący wisiał na swoim miejscu, wszystkie porzucane zazwyczaj podkładki i nakrętki gdzieś zniknęły, w powietrzu unosił się miętowy zapach płynu Ludwik, na stole zaś znajdowało się otwarte pudełko pasty SAMA przeznaczonej do czyszczenia trudnych zabrudzeń, a jej mąż kuchenną gąbką

zawzięcie szorował błyszczące już od nadmiernego pocierania imadło.

Była pewna, że Romek ją zauważył. Na ułamek sekundy zatrzymał się w tym kompulsywnym pucowaniu, ale nawet nie odwrócił głowy. Ela obejmowała go spojrzeniem pełnym współczucia. Ostatnio tylko na taki przejaw czułości było ją stać, bo w ramionach męża coraz częściej spotykał ją chłód. Silne, opalone ręce Romka, jego smukłe palce i mięsiste usta przywodziły na myśl wspomnienia o dobrych dniach sprzed zaginięcia Kuby. Bo właśnie tak dzieliła się teraz ich rzeczywistość, na przedtem i potem. „Przed” wydawało się miękkie i ciepłe, przypominało rozkoszowanie się smakiem dojrzałej na słońcu, soczystej truskawki, „po” było podobne do jedzenia twardych i zimnych kamieni.

– Jest już czyste – odezwała się, kładąc dłoń na rękę męża, a on podobnie jak w minionych dniach odepchnął ją i wrócił do szorowania.

Ela przełknęła gorycz zbierającą się w gardle.

– Nie tylko twój syn umarł – wyrzuciła łamiącym się głosem. – Jeśli chcesz mi powiedzieć, że to moja wina, zrób to teraz. Dłużej nie zniosę twojego milczenia i ciągłego odtrącania.

Romek przerwał swoją pracę. Z twarzą wykrzywioną bólem wpatrywał się w żonę.

– Czego ty ode mnie chcesz? Nie widzisz, że robię wszystko, żeby się nie rozpaść? Mój syn został zamordowany, więc wybaczone, że nie jestem specjalnie rozmowny. – Potarł oczy czerwone od napływających łez. – Wiesz, dlaczego się odsuwam? Bo kiedy cię przytulam, mam ochotę zrobić ci krzywdę. Ścisnąć cię tak mocno, aż usłyszysz, jak trzeszczą ci kości. – Uniósł dłonie na wysokość jej oczu i zwinął je w ciasne pięści.

Ela zaczęła szlochać, przyciskając jedną rękę do piersi, drugą zaś kładąc na ustach, jakby chciała uwięzić smutek w środku.

– Nawet jeśli znajdą mordercę, to co to da? – kontynuował jej mąż.
– Mogą go zabić na naszych oczach, a to i tak nie wróci Kubusia.

Nie da się tego cofnąć, rozumiesz? Już nigdy nie przytulimy naszego dziecka.

– Ale jesteśmy jeszcze my.

– Jacy my? Nas już nie ma.

Jego słowa wstrząsnęły Elą na tyle, że na moment przestała płakać, jakby właśnie wydarzyło się najgorsze, czego nadejście przeczuwała pod skórą i w końcu się zmaterializowało, usłyszała to naprawdę. Poczucie winy, które zżerało ją jak rdza stare żelastwo, stało się jeszcze bardziej dojmujące. Wierzchem dłoni startła wilgoć z policzków, po czym głęboko westchnęła, gotowa walczyć o uczucia męża, ale wtedy ktoś zapukał do drzwi.

Do środka weszła Lidka, córka siostry Romka, z kanapkami i kawą na plastikowej tacy. Musiała wyczuć napiętą atmosferę, gdyż jej szeroki uśmiech momentalnie zgasł, a ruchy stały się bardziej nerwowe. Wzrok nastolatki błędził po posadzce, jakby uciekała przed spojrzeniem bazyliuszka, a nie wujka, obok którego dorastała niemal jak jego młodsza siostra.

– Mama poprosiła, żebym zaniosiła wam coś do jedzenia – wyjaśniła speszona, stawiając tacę na szafce z narzędziami.

– Zejdź mi z oczu! – fuknął na nią Romek i nim Ela zdążyła stanąć w obronie dziewczyny, ta wybiegła z płaczem.

– Odbiło ci? Nie możesz tak traktować ludzi. Przecież to twoja ulubiona siostrzenica.

– I co z tego?

– To nie jej wina, że sobie z tym nie radzisz. Po prostu chciała pomóc. Na litość boską, Romek! To tylko piętnastoletnia dziewczynka, ona też jest zagubiona, właśnie straciła kuzyna i na pewno umiera ze strachu. Napadłeś na nią jak na tę Lenart kilka dni temu. Co się z tobą dzieje?

Babicz zastygł na wspomnienie nazwiska kobiety, która niedawno odwiedziła ich dom. Świadomość, że Ela mogła słyszeć tamtą wymianę zdań, wywołała nagły skurcz żołądka. Mężczyzna podszedł

do zlewu, odkręcił wodę i zdecydowanie dłużej, niż było to konieczne, płukał gąbkę, ściskając ją mocno w palcach.

– Za to ty doskonale dajesz sobie z tym radę – rzucił z przekąsem, odwracając się. – Może powiesz mi, jak to się robi? Zastosuję się do twoich wskazówek i wszystko będzie jak dawniej. Skoro matka, która zgubiła własne dziecko, potrafi tak dobrze trzymać się w tej sytuacji, to może i ja dam radę.

Ela spazmatycznie usiłowała złapać oddech, po jej policzkach ciekły łzy, a twarz nabiegła czerwienią.

– Jak możesz być tak bezduszny? – zaatakowała go. – Jakby tylko ciebie spotkała tragedia! Nie masz pojęcia, co przeżywam ani ile razy wraca do mnie ten moment, gdy tracę naszego syna z oczu. – Zaciekle dźgała męża palcem w pierś. – Wiesz, jakie to uczucie? Jakbyś w kółko na nowo umierał. Nienawidzę się za to każdego dnia. I robię wszystko, by uwierzyć, że to nie była moja wina, by sobie wreszcie wybaczyć, ale nie potrafię... – Zaniósła się płaczem.

Roman nieporadnie objął jej drgające ramiona, jakby robił to z poczucia obowiązku, a nie wewnętrznej potrzeby. Niczym robot, który uruchomił zaprogramowaną wcześniej funkcję. W głębi duszy był pewien, że Ela nigdy nie zazna spokoju. W życiu najtrudniej jest wybaczyć samemu sobie, pomyślał. Wiedział o tym doskonale, bo od kilku dni pragnął jedynie rozdrapać swoją skórę i wyjąć ze środka rozsadzające go poczucie winy.

Po chwili lament kobiety złagodniał. Położyła ciepłe dłonie na klatce piersiowej męża i odnalazła wzrokiem jego puste spojrzenie.

– Ludzie z miasteczka urządzają dziś czuwanie w zagajniku – powiedziała miękko. – Myślę, że powinniśmy tam pójść. Będą Zielińscy i Lenartowie, moglibyśmy...

– Nie chcę ich widzieć – przerwał jej.

– Ale dlaczego? Oni też stracili dzieci, nie jesteś jedynym, który cierpi. – Delikatnie pogłaskała jego pierś. – Sporo osób zamierza przyjść, wszyscy chcą się pomodlić za naszych synów. Zobaczyłbyś, ilu ludzi próbuje nam pomóc.

– Nam się już nie da pomóc – uciął prośby żony, jednocześnie zatrzymując jej ręce. – I nigdy więcej nie namawiaj mnie, bym rozmawiał z tymi kobietami albo wrócił w tamto miejsce. Póki żyję, moja noga tam nie postanie.

Odwrócił się tyłem, po czym zaczął wycierać ścierką metalowy zlew, na którym widniały plamy po wodzie. To wystarczyło, by Ela zrozumiała, że dyskusja jest skończona. Zagryzła kącik ust i opuściła warsztat, trzaskając drzwiami tak mocno, że aż plastikowa butelka z resztką oleju silnikowego z hukiem spadła z półki na podłogę.

Dopiero wtedy Romek zawiesił szmatkę na haczyku i ostrożnie, upewniając się, że drzwi pozostają zamknięte, otworzył górną szufladę wózka narzędziowego, gdzie wcześniej w pośpiechu, między końcówkami do kluczy nasadowych, ukrył drobną maskotkę, którą przypinało się łapkami do ubrania dziecka.

Pogładził palcami brudne, poplamione krwią futerko małego tygrysa, a potem owinął go w kawałek materiału, wspiął się na krzesło i schował zabawkę do kratki wentylacyjnej nad biurkiem. I choć całym sobą czuł, że powinien się jej pozbyć, nie potrafił tego zrobić.

Gutek ze spuszczoną głową, zabandażowanym kciukiem i paznokciami obgryzionymi do krwi siedział na krześle w pokoju przesłuchań. Jego plecy garbiły się, a zazwyczaj błyszczące oczy przybrały matową barwę. Chłopak z niepokojem spoglądał na ojca, który nerwowo podrygiwał nogą, sapiąc przy tym, jakby przed momentem wbiegł na co najmniej szóste piętro, gdy w rzeczywistości od dwudziestu minut zajmował miejsce obok syna. Chwilę wcześniej Gutek opowiedział o tym, jak po szkole wybrał się na spacer, na którym ktoś poinformował go o zaginięciu trzyletniego chłopca, i jak poruszony tą sprawą, postanowił dołączyć do patrolu, a później, przeczesując okolice złomowiska, natknął się na miejsce zbrodni.

– Widzisz, Mateusz – odezwała się prokurator Maja Miksa. – Problem w tym, że ludzie z grup poszukujących Jakuba Babicza za starą żwirownią nie kojarzą, żebyś im pomagał. Poza tym rozmawialiśmy z twoją wychowawczynią i wiemy, że tamtego dnia uciekłeś z trzech ostatnich lekcji. Może w takim razie chciałbyś zmienić zeznania dotyczące tego, co robiłeś na łąkach?

Chłopak zwilżył językiem wargi, a następnie wziął długi wdech.

– Wszystko, co wam powiedziałem, to prawda – odparł. – Nie wspominałem tylko o tych wagarach, bo... – Spojrzał na ojca, który zrobił się cały czerwony. – No, żeby nie złościć taty.

– A co masz z matematyki? – zapytał niespodziewanie Leszek Suski, zajmujący miejsce pod ścianą za stołem, na którym piętrzyły się dokumenty, kilka teczek i jego notatnik.

– Piątkę, to jedyny przedmiot, z którego mam taką dobrą ocenę. Wszystko dzięki mamie, bo zanim zachorowała, uczyła matmy i często tłumaczyła mi różne rzeczy w domu.

– W takim razie bez trudu potrafisz obliczyć, ile godzin minęło od twojego wyjścia ze szkoły aż do chwili, w której znalazłeś ofiary. – Komendant zawiesił głos, by dać przesłuchiwanemu czas na przetrawienie tej informacji. – Całkiem sporo, prawda?

– To nie ma nic do rzeczy. Łaziłem w różne miejsca i jakoś zeszło.

– „Różne miejsca”, „jakiś facet”, „ktoś mi powiedział” – zacytowała Maja Miksa fragmenty swoich zapisków. – Mnóstwo niedomówień i żadnych konkretów. To nie brzmi dobrze, Mateusz, wiesz o tym równie dobrze jak my. Zastanawiam się, kiedy zamierzasz nam powiedzieć o ataku furii pod szkołą.

– Co?! – Gutek aż się zerwał z krzesła, ale ojciec poklepał go po ramieniu i zachęcił do tego, by spokojnie wrócił na miejsce.

Chłopak schował twarz w dłonie, ciężko oddychając, a gdy opuścił ręce, śledczym ukazały się załzawione oczy.

– Polonistka widziała, jak miażdżyłeś słuchawki – dodała łagodnie prokurator. – Wyjaśnisz, co wyprowadziło cię z równowagi?

– Kupiłem discmana od znajomego. Tyle że w pudełku zamiast odtwarzacza były jakieś śmieci. Oszukał mnie i zabrał pieniądze.

– A twój palec? Co się stało?

– Szklanka pękła mi w dłoni, za mocno ją ścisnąłem.

– Tak po prostu?

Nastolatek odwrócił głowę, wbijając spojrzenie w ścianę. Ojciec Gutka miał wyraźnie dość ciągnącego się przesłuchania, a widok skruszonego syna łamał mu serce. Mężczyzna wiercił się niespokojnie na krześle, aż w końcu nie wytrzymał:

– Ludzie, dajcie spokój – wtrącił. – Nie widzicie, że chłopak jest już zmęczony? Powiedział wam wszystko, co chcieliście wiedzieć. Jak będzie trzeba, to przyjdziemy jeszcze innego dnia, ale pozwólcie nam już iść do domu.

– Obawiam się, że to nie będzie takie proste – stwierdził komendant Suski. – Pański syn nie ma alibi na jakieś sześć godzin, w czasie których uprowadzono dziecko i popełniono brutalne morderstwo. Fakt, że to on znalazł zwłoki, tylko pogarsza sprawę.

– Ale nic na niego nie macie – bronił się Gutkowski.

– Mamy wystarczająco dużo, by zaliczyć go do grona podejrzanych – wyjaśniła Miksa. – To jest ostatni moment, żebyś wydusił z siebie to, czego dotąd nam nie powiedziałaś – zwróciła się bezpośrednio do Mateusza. – Jeśli tego nie zrobisz, będziemy zmuszeni przetrząsnąć wasze mieszkanie, a później przesłuchać wszystkich sąsiadów i kolegów ze szkoły.

Chłopak wbijał wzrok w wykładzinę, zaciskając dłonie w pięści. W końcu wytarł wierzchem ręki nos i odwrócił twarz w stronę ojca, jakby chciał upewnić się, czy mężczyzna jest gotowy na to, co niebawem usłyszy.

– Cokolwiek się stało, synu, powiedz im. Musisz to zrobić – zachęcał łagodnie Gutkowski.

Nozdrza nastolatka drgnęły, gdy ojciec położył swoją wielką, spracowaną rękę na jego karku. Chłopak przełknął ślinę, a następnie uwolnił się od wyraźnie krępującego go dotyku.

– Po tym, jak uciekłem z lekcji, poszedłem nad to zakole rzeki, gdzie od zeszłego roku zakazano kąpieli z powodu zbyt silnych prądów. Umówiłem się tam z dziewczyną. Pływaliśmy, rozmawialiśmy o przyszłości, a później... – Opuścił głowę i odchrząknął. – Kochaliśmy się.

Prokurator Maja Miksa wymieniła z komendantem znaczące spojrzenia, a stary Gutkowski pokręcił głową, jakby mówił: „wiedziałem”.

– Jak nazywa się twoja koleżanka? – chciał wiedzieć Leszek Suski.

– Lidka Grabowska. Chodzi do mojej szkoły, jest w niższej klasie. Z pewnością potwierdzi moje zeznania.

I choć Gutek starał się brzmieć wiarygodnie, to w rzeczywistości w jego głosie próżno było szukać przekonania. Nie miał bowiem pojęcia, jak na pytania policji zareaguje dziewczyna, która do niedawna nim gardziła.

Zuzanna, 2015

*

Z zamkniętymi oczyma zaciągnęłam się wilgotnym, chłodnym powietrzem. Wiatr targał moje włosy i delikatnie popychał szczupłe ciało nagłymi podmuchami. Przyszłam do zagajnika w nadziei na to, że obecność w miejscu tragedii pomoże mi zrozumieć. Że wtedy zbliżę się do mojego brata, bardziej go poczuję, a on stanie się dla mnie kimś więcej niż tylko mirażem. To właśnie tu, na kamieniach pośród niegdyś wątych, a dziś już wysokich i silnych drzew otoczonych przez łąki, policja znalazła chłopców. Wodziłam dłonią po nasiąkłej nocnym deszczem ziemi, a w wyobraźni przywoływałam twarze tamtych dzieci. Milczały uporczywie, jakby nie chciały opowiedzieć mi swojej historii.

Kiedy usiadłam na kamieniu, moich uszu dobiegł dźwięk telefonu. Widząc imię byłego męża na wyświetlaczu, automatycznie się spięłam.

– Tak? – odebrałam niepewnie.

– Nadal chcesz z nim porozmawiać? Pytał o ciebie.

Ton Łukasza był łagodny, jakby zreflektował się, że przesadził, wysyłając poprzednią wiadomość, i postanowił wyciągnąć do mnie przyjazną dłoń. Uśmiechnęłam się. Na samą myśl o synu w moim wnętrzu rozlało się przyjemne ciepło, które tłumilo złość wobec męża.

– Dasz mi go do telefonu?

W słuchawce coś zatrzeszczało, a po chwili usłyszałam miękki głos mojego czterolatka:

– Mamusiu, a wiesz, że dinozaury wyginęły, bo w ziemię uderzyła taka steroida? – pytał podekscytowany.

– A czy to nie była przypadkiem asteroida?

– No kamień taki wielki, wiesz? A później były pożary, pył i ogromniaste fale. Tata mi o tym czytał dziś rano.

– Super, cieszę się, że miło spędzacie czas – odparłam, przetykając gorycz.

– Tęsknię za tobą, mami.

– Ja za tobą też, Ignasiu. Niedługo się zobaczymy.

– Dzisiaj?

– Nie, dzisiaj jeszcze nie, ale za kilka dni. Kocham cię, synku, pamiętasz o tym? Do księżyca i z powrotem.

– A ja aż do Chin! – Zaśmiał się słodko, po czym pobiegł do swoich zabawek, a słuchawkę przejął Łukasz.

– Trzymasz się? – zapytał.

– Teraz już tak, dziękuję, że oddzwoniłeś.

– A gdzie ty w ogóle jesteś?

– Porządkuję stare rodzinne sprawy. Wiesz, taki powrót do przeszłości.

– Gdzieś czytałem, że nie możemy zmienić przeszłości, ale ona niekiedy wraca, żeby zmienić nas.

– Właśnie tak się teraz czuję – odparłam z uśmiechem. – O krok od zmiany.

Były mąż nie zadawał więcej pytań, życzył powodzenia, a gdy się rozłączył, wzięłam głęboki wdech. Ta krótka rozmowa dodała mi otuchy, siły i wiary w to, że nawet najgorsze historie mogą jeszcze skończyć się dobrze.

Ludzie w różny sposób dają nam odczuć, że nie jesteśmy mile widziani. Niektórzy robią to ostentacyjnie, ale są również tacy, którzy

uwielbiają grę w podchody i wysyłają mniej lub bardziej subtelne sygnały świadczące o niechęci i znużeniu nami. Do takich przypadków należał Bernard Suski, młodszy inspektor pełniący obowiązki komendanta powiatowego. Mężczyzna przywitał mnie chłodno, a później oschle i wymijająco odpowiadał na zadawane pytania, bawiąc się przy tym telefonem komórkowym. Być może dotychczas trafiał na petentów, którzy pozwalali mu się tak traktować, i jego taktyka odnosiła zamierzony efekt, jednak nigdy wcześniej nie miał do czynienia ze mną.

Ja wierzyłam, że ludzie będą obchodzić się z nami tak, jak im na to pozwolimy, i nie zamierzałam akceptować zachowania policjanta.

– Chwila, chwila. – Wyciągnęłam dłoń przed siebie, powstrzymując jego długi i przeraźliwie nudny monolog. – Po pierwsze, proszę odłożyć telefon, Facebook naprawdę może poczekać. Po drugie, nie udzielił pan odpowiedzi na żadne z pytań, które dotychczas zadałam, po co w takim razie zgodził się pan na tę rozmowę?

Bernard Suski przeczesał palcami swoją blond czuprynę. Jego mina wyrażała zdumienie moją otwartością. Poprawił się na obrotowym krześle, które stęknęło pod naporem potężnego ciała, i mrużąc oczy, skierował wzrok na mnie.

– Odświeżę pani pamięć: bo wrzeszczała pani na rzecznika prasowego i domagała się rozmowy z komendantem. Wymusiła ją pani na mnie.

– Serio? Tylko dlatego? Nie wygląda pan na kogoś, kto tak łatwo ulega wpływom.

– Poza tym byłem pani ciekaw – wypalił w końcu. – Sprawdziłem panią w sieci. Znalazłem nawet artykuł, po którym straciła pani pracę, a media nie zostawiły na pani suchej nitki. Tamta dziewczyna nie miała jeszcze nawet trzydziestki, prawda? Przykra sprawa, że targnęła się na swoje życie z powodu tej niefortunnej publikacji, i jeszcze oskarżyła o wszystko panią.

Wiedziałam, że to prędzej czy później wypłynie, lecz słuchając słów policjanta, i tak zastygłam, krew w moich żyłach powoli

zamieniała się w lód, a zęby zaciskały się ze zgrzytem, jak zawsze, gdy poczucie winy wracało. Byłam pewna, że komendant dostrzegał, jakie to dla mnie trudne, ale najwyraźniej czerpał z tej tortury niebywałą przyjemność. Jego oczy zabłyśły, twarz się rozpromieniła. Ja tymczasem cofnęłam się do tamtego zdarzenia.

Bez trudu potrafiłam odtworzyć drżący głos dziewczyny, która zgodziła się opowiedzieć mi swoją historię. Pod powiekami nadal widziałam jej dłonie zaciśnięte na filiżance cappuccino, pergaminową skórę dekoltu naznaczoną czerwonymi plamami wstydu i na wpół obgryzione z lakieru paznokcie. Mówiła cicho, tak że musiałam nachylać się nad stolikiem. Robiła przy tym wrażenie kruchej i delikatnej jak cienkie szkło, które mocniej dotknięte, pękłoby na drobne kawałki.

Znalazłam ją w internecie na jednym z forów, gdzie opowiedziała o tym, jak niegdyś żyła ze sponsoringu, czerpiąc korzyści z uległości wobec zachcianek bogatych i nierzadko brutalnych mężczyzn. We wpisie radziła dziewczynom, by jak najszybciej zrezygnowały z tego trybu życia, bo ten, nawet gdy się kończył, już na zawsze kładł się cieniem na przyszłości. Sama była świeżo upieczoną mężatką prześladowaną przez lęk, że pewnego dnia jej partner i bliscy poznają prawdę o tym, czym się dawniej zajmowała.

Uznałam ją za idealną bohaterkę do reportażu, nad którym wtedy pracowałam. Tygodniami namawiałam tę dziewczynę na rozmowę, przekonując, że jej przypadek jest krzepiący i daje nadzieję. Używałam wszystkich racjonalnych argumentów o znaczeniu jej historii dla innych kobiet, że muszą wiedzieć, co tak naprawdę robią swoim utrzymankom sponsorzy i że nie ma to nic wspólnego z *Pretty Woman*. W końcu uległa moim namowom, zastrzegła jednak pełną anonimowość ze względu na męża i rodzinę. Podczas autoryzacji poprosiła dodatkowo o zmianę pewnych szczegółów, które według niej umożliwiały identyfikację.

Zgodziłam się na każdą z poprawek, a później popełniłam błąd. Wysyłając tekst do redakcji, załączyłam nie tę wersję. Analizowałam

to wielokrotnie podczas niezliczonych bezsennych nocy, ale nie potrafiłam znaleźć niczego, co mogłoby stanowić usprawiedliwienie. Zarówno pośpiech, wypite przy pracy wino, jak i przemęczenie związane z koniecznością wstawania w nocy do małego Ignasia były jedynie mizernymi wymówkami.

Świat bohaterki mojego artykułu legł w gruzach, wszyscy rozpoznali ją w tekście. Mąż odszedł, rodzina się odwróciła, a ludzie z miasteczka sprejem na drzwiach jej mieszkania napisali słowo „dziwka”. Nigdy nie zapomnę wieczoru, gdy odebrałam tamten telefon. „To wszystko twoja wina” – rzuciła wściekle. Słuchawka wypadła mi wtedy z dłoni, zaczęłam się trząść, a następnie krzyczeć.

Kilka dni potem dziewczyna odebrała sobie życie, a wcześniej opublikowała w mediach społecznościowych list, w którym uczyniła mnie jedyną osobą odpowiedzialną za swoją śmierć. Napisała tam, że ją wykorzystałam, nakłaniałam do tego wywiadu, oferując łapówkę, a w końcu zmanipulowałam. Trudno było z tym polemizować. Prawda zawsze miała wiele twarzy i ta okazała się akurat tą brzydszą.

Media nie musiały mnie potępiać, zrobiłam to sama, zanim ktokolwiek publicznie nazwał mnie hieną, karierowiczką i egoistką. W końcu nikt nie potrafi krzywdzić nas tak, jak my sami. To miało być moje zadośćuczynienie i kara. Ostre słowa padały z ust obcych, ale także tych, których dotychczas uważałam za przyjaciół. Mimo że raniły do głębi, nigdy nie próbowałam się tłumaczyć. O tym, jak doszło do pomyłki, opowiedziałam tylko raz swojemu redaktorowi naczelnemu, a następnie zniknęłam z butelką wina za zamkniętymi drzwiami mieszkania, pogrążając się w samobiczowaniu.

Zapewne spadłabym na dno, gdyby nie pozew o rozwód złożony przez Łukasza oraz wizja utraty syna. To mnie otrzeźwiło, a przynajmniej na tyle, bym znalazła byle jaką pracę i wykrzesła z siebie odrobinę siły do walki o dziecko. Wtedy też zrozumiałam, że jednak nie wszystko we mnie umarło. Podobnie czułam teraz, patrząc w nieufne oczy komendanta.

– A co konkretnie pana tak zaciekało? – dopytałam.

– Zastanawiałem się, czego ktoś taki jak pani może szukać w naszym mieście. I czemu zainteresowała panią akurat sprawa Małgorzaty Lenart.

– Jest interesująca.

– Niby dlaczego? Przecież to zwyczajne samobójstwo, jakich wiele. Nie wolą pani napisać o kimś ze stolicy? Mniej zachodu, nie trzeba robić kilometrów.

– Pewnie tak, tyle że historie samobójców ze stolicy nie mają drugiego dna, a ta sprawa łączy się z wydarzeniami sprzed lat.

– Tak? Jakimi?

Udawane zdziwienie Bernarda Suskiego, wyrażone w przesadnie uniesionych brwiach, rozbawiło mnie na tyle, że musiałam przygryźć wewnętrzną część policzka, by się nie roześmiać.

– Panie komendancie, po co te gierki? – Posłałam mu chytry uśmiech, taki, który mówi: „nie igraj ze mną, chłopcze, bo jestem dużo bardziej przebiegła, niż ci się wydaje”. – Oboje wiemy, że jej syn został zamordowany w dziewięćdziesiątym roku razem z dwojgiem innych dzieci. Ale tego nie muszę przecież mówić, pracował pan już wtedy w policji, widziałam pana na zdjęciach w prasie – wyjaśniłam. – Poza tym mój redaktor uznał, że to dobry temat na artykuł, dramatyczny i tajemniczy, bo kobieta, która wierzyła, że mieszkańcy tego miasta kryją mordercę, i przez lata wspominała o zмовie milczenia, zginęła nagle w tragicznych okolicznościach. Nie wydaje się to panu podejrzane?

– Szuka pani sensacji tam, gdzie jej nie ma. Te sprawy nie mają ze sobą nic wspólnego. Małgorzata Lenart była chorą osobą, miała urojenia i halucynacje. Mamy świadków oraz nagrania z kamer na wiadukcie potwierdzające, że kobieta popełniła samobójstwo. Pracownicy szpitala nigdy nie powinni byli dopuścić do jej ucieczki, bo zagrażała nie tylko sobie, ale też wszystkim wokół. Cała reszta to czyste wymysły.

– Serio? Informacje o tym, że była więziona, również? Może nikt jej nie zepchnął, ale sama nie wycięła sobie tego napisu na plecach, nie uważa pan?

– A widziała pani ten napis? Nie? To nie mamy o czym rozmawiać – irytował się.

– Skoro to było zwyczajne samobójstwo, to dlaczego odmawia mi pan dostępu do akt?

– W tej sprawie trwają jeszcze czynności wyjaśniające.

– Czyżby? Przecież wszystko jest jasne. – Uśmiechnęłam się triumfalnie, podnosząc się z krzesła, gdy nagle przypomniała mi się kartka z narysowanym krzyżykiem. Wyjęłam ją z portfela i pokazałam mężczyźnie. – Podoba się panu?

– O co pani chodzi? To jakiś żart? – Patrzył mi usilnie w oczy, jakby widok krzyżyka go drażnił.

– Nie, po prostu rysunek, który Lenart zostawiła w szpitalu – oznajmiłam, składając szkic. – Do zobaczenia, panie komendancie. Bo zdaje pan sobie sprawę, że jeszcze nie raz się spotkamy, prawda?

Bernard Suski niecierpliwie zabębnił palcami o blat biurka. Biała koszula jeszcze mocniej opięła jego muskularne ramiona, a zaciśnięte szczęki mężczyzny spotęgowały we mnie uczucie obcowania z kimś srogim i nieprzejednanym. Pomyślałam, że ludzie musieli czuć przed nim respekt. Z mojego doświadczenia wynikało jednak, że ci, którzy pozowali na najgroźniejszych, w środku często sami umierali ze strachu.

Kiedy znalazłam się na zewnątrz, sięgnęłam po telefon, a po chwili w słuchawce odezwał się znajomy głos komisarza Brunona Wilczyńskiego, który wisiał mi przysługę.

– Nie ma takiego numeru. Nie ma takiego numeru – powtórzył, a po chwili się poddał: – No dobra, mów, o co chodzi, tylko szybko, bo pizza mi stygnie. Czyżby nadszedł dzień spłaty długu?

– Z taką intuicją mógłbyś zacząć przepowiadać przyszłość za pieniądze.

– Dla ciebie mogę to zrobić za darmo. Jeśli się nie wyślowisz, twoje połączenie zostanie przerwane.

– Dobrze, już dobrze. Potrzebny mi adres domowy prokurator Mai Miksy. Wyślę ci nazwę miejscowości.

– Nielegalne operacje – mruknął. – Takie lubię najbardziej, odezwę się, jak będę miał wieści, a teraz znikam, capricciosa nie zje się sama.

Kiedy odłożył słuchawkę, uśmiechnęłam się pod nosem. Bruno Wilczyński był bez wątpienia ekscentrykiem, ale jednym z bardziej uroczych, jakich znałam. I co najważniejsze, nigdy nie zawodził.

1990

*

Codziennosc w domu Babiczów stala się uciążliwym, milczącym czekaniem, aż najgorsze przeminie, choć w istocie wszyscy zdawali sobie sprawę, że taki dzień nigdy nie nastąpi. Romek właśnie wrócił z zakładu. Od progu wyczuwał zapach smażonych placków ziemniaczanych, przez który po raz pierwszy od dłuższego czasu poczuł silny, ssący w żołądku głód. Placki przypominały mu bez troskie dzieciństwo, gdy wraz z siostrą polewali je gęstą śmietaną i posypywali cukrem, oblizując się przy tym ze smakiem. Kiedy przymykał oczy, nadal potrafił usłyszeć skwierczenie ziemniaczanych krążków na patelni i chrzęst cukru w zębach. Wtedy jeszcze świat wydawał mu się bezpieczny, a ludzie dobrzy, w przeciwieństwie do tego, co czuł dzisiaj.

– Zjesz z nami? – rzuciła znad patelni jego siostra. – Przypomniałam sobie, jak bardzo je kiedyś lubiłeś, i postanowiłam zwabić cię na obiad. – Puściła do niego oko.

– Nałóż mi kilka, ale pójdę z talerzem na górę. Nie potrafię tak po prostu siedzieć przy stole i udawać, że nie widzę pustego miejsca.

– Nie musisz udawać.

Romek kiwnął głową na odczepnego, choć niewiele brakowało, by powiedział, że kiedy nie udaje, jest jeszcze gorzej. Wyciągnął

z szuflady ze sztuccami nóż i widelec, a gdy sięgał po cukiernicę, dobiegł go odgłos pukania do drzwi.

– Sprawdzę, kto to – oznajmił, z ulgą opuszczając kuchnię, w której powoli zbierało się na poważną rozmowę ze starszą siostrą.

Za drzwiami znajdował się aspirant Bernard Suski wraz z towarzyszącym mu policjantem. Na widok Babicza obaj zeszywnieli, jakby obawiali się, że zasypie ich pytaniami o wyniki śledztwa. Pierwszy otrząsnął się młody Suski. Podał Romkowi dłoń, ale tamten nawet na nią nie spojrział.

– Coś się stało? – chciał wiedzieć.

– Przyszliśmy porozmawiać z twoją siostrzenicą, Lidią Grabowską. Podobno tu jest – wyjaśnił oschle aspirant. – Chodzi o śledztwo.

Mięśnie Babicza automatycznie się napięły, mechanik wbił oburzone spojrzenie w Suskiego i zaczął szybciej oddychać.

– Ale dlaczego z nią? – dopytywał. – Zrobiła coś?

– Nic się nie denerwuj, Romek – uspokoił go Bernard.

W tym samym czasie z kuchni wyszła siostra Babicza, wycierając dłonie ścierką.

– Słyszałam, że panowie rozmawiacie o mojej córce – włączyła się do rozmowy. – Czy jest coś, czym powinnam się martwić? – Przesunęła wzrokiem od jednego funkcjonariusza do drugiego, obserwując uważnie każde najdrobniejsze drgnięcie na ich twarzach.

– Nie, zupełnie nie ma takiej potrzeby – odparł z udawaną lekkością aspirant Suski. – Chcemy po prostu zweryfikować pewne informacje.

– W takim razie chodźmy na górę – zaproponowała siostra mechanika. – Lidka odrabia lekcje, ale i tak powinna zrobić sobie przerwę na obiad.

Kobieta oddała bratu ścierkę, klepiąc go uspokajająco w ramię, jakby chciała mu przekazać, że sobie poradzi, po czym ruszyła w stronę schodów na piętro. Za plecami słyszała dudniące o drewniane stopnie kroki policjantów oraz ich niespokojne oddechy.

I choć należała do wysokich kobiet, to przy dwóch mężczyznach w mundurach czuła się wyjątkowo drobna.

Kiedy znaleźli się pod drzwiami pokoju gościnnego, który od kilku dni zajmowała z córką, uniosła rękę i zapukała, a usłyszawszy słabe „proszę”, nacisnęła klamkę.

Lidka, obłożona książkami, siedziała na dużym, dwuosobowym łóżku, trzymając na kolanach zeszyt, a w palcach plastikowy długopis. Zaskoczona widokiem niespodziewanych gości otworzyła ze zdziwienia pełne, malinowe usta, zamrugła intensywnie, a następnie zerknęła pytająco na matkę. Uwadze kobiety nie umknęło, że dziewczynka miała zaczerwienione oczy oraz nos, ale uznała, że zapyta o to córkę dopiero wtedy, gdy policjanci wyjdą.

– Kochanie, panowie są z policji. Chcieliby o czymś porozmawiać – wytłumaczyła piętnastolatce najbardziej łagodnym tonem, na jaki w tych okolicznościach było ją stać, po czym zajęła miejsce na łóżku obok niej i objęła córkę ramieniem.

Dziewczynka w popłochu odłożyła notatki, a nogi przyciągnęła do klatki piersiowej, jakby chciała się w ten sposób osłonić przed świdrującym wzrokiem funkcjonariuszy. Jej dłoń odszukała rękę matki, a następnie mocno ją ścisnęła. Przytulając córkę, kobieta czuła uderzenia jej serca, przypominające tętent galopujących koni, przez co sama zaczęła się bardziej niepokoić.

– Lidko, chcielibyśmy ustalić, co robiłaś w piątek piętnastego czerwca, w dniu, w którym zaginął twój kuzyn – zaczął ostrożnie Bernard, gdy razem z drugim policjantem zajęli miejsca na stojących obok krześle i fotelu.

– Byłam w szkole – odparła trzęsącym się głosem.

– A później? – kontynuował Suski. – Widziałaś się z kimś? Wychodziłaś gdzieś po południu? – Zdawało się, że wyraźniej zaakcentował dwa ostatnie słowa.

Piętnastolatka nie odpowiadała. Dyszała coraz ciężiej, na jej twarzy i szyi wykwitły czerwone plamy, a w końcu zaczęła płakać, chowając twarz w pierś matki.

– Już dobrze, kochanie – szeptała kobieta, dłonią gładząc gęste włosy dziewczynki. – Czy to naprawdę konieczne? – zwróciła się do funkcjonariuszy. – Ona była bardzo zżyta z Kubusiem, nie widzicie, że nie może dojść do siebie po tym, co się stało?

– To nie potrwa długo – zapewnił Suski. – Musimy po prostu zweryfikować pewne informacje.

Drugi policjant sięgnął po pudełko chusteczek stojące na nocnej szafce i podał je matce Lidki.

– Córeczko, postaraj się opowiedzieć panom o tamtym dniu, dobrze? – Grabowska założyła jej włosy za uszy, miękko pocałowała w czoło i wręczyła chusteczkę.

Dziewczyna nieśmiało pokiwała głową, a gdy wydmuchała nos, spuściła wzrok i zaczęła bawić się nitką wystającą z pledu.

– W tamto popołudnie spotkałam się z kolegą ze szkoły – wyznała. – Pływaliśmy w zakolu rzeki, rozmawialiśmy, a później... my... – Bojaźliwie zerknęła na matkę. – Kochaliśmy się tam.

Siostra Romka skamieniała, tępo wpatrując się we wzór na tapecie. Wiedziała, że córka dorasta i prędzej czy później zacznie przyprowadzać chłopaków do domu, ale dotychczas wydawało jej się, że są ze sobą na tyle blisko, by rozmawiać o czymś tak ważnym jak seks. Jednak Lidka nie poprosiła o radę ani nawet nie wspomniała o koledze, co sprawiło, że teraz jej matka poczuła się odtrącona i stara.

– Czy on cię zmusił? – wydukała.

– Nie, sama chciałam.

Aspirant Suski odwrócił spojrzenie, po czym odchrząknął, jakby ta rozmowa powodowała, że czuł się niezręcznie.

– Jak nazywa się ten kolega? – dopytał.

– Mateusz Gutkowski, chociaż wszyscy mówią na niego Gutek. Albo Długi.

– Czy byłabyś w stanie określić, ile czasu spędziliście razem?

Lidka wzruszyła ramionami.

– Nie wiem, kilka godzin czy coś w tym stylu. Nie patrzyliśmy na zegarek.

Policjant zanotował coś jeszcze w notesie, a potem podziękował kobietom i wraz z drugim funkcjonariuszem wyszli z pokoju. Matka dziewczynki słyszała, jak zbiegali po schodach, a gdy drzwi wyjściowe zatrzasnęły się za nimi, ujęła twarz córki w dłonie.

– Kochasz go? Tego chłopca? Pamiętam, że w dzieciństwie często się razem bawiliście.

– To było dawno temu, mamo. – Nastolatka odsunęła rękę kobiety.

– Nie jestem już tamtą małą dziewczynką. Zmieniłam się.

– To prawda, a ja nawet nie zauważyłam, kiedy tak urosłaś. Od kiedy się spotykacie?

– Od jakiegoś czasu.

– Dlaczego nic nie mówiłaś? Dawniej rozmawiałyśmy o wszystkim.

– Bo jesteś wiecznie zajęta swoimi sprawami. Cały czas się gdzieś spieszysz i wszystko cię stresuje.

Grabowska westchnęła.

– Tak bardzo, że niczego nie spostrzegłam. Wybacz, powinnam spędzać z tobą więcej czasu. – Posłała Lidce uśmiech, który szybko spelzł z jej twarzy, jakby nagle dotarło do niej coś jeszcze. – Czy wy... czy byliście ostrożni? Wiesz, co mam na myśli.

Piętnastolatka spuściła wzrok, by po chwili wpaść w szloch. Jej ciało, wstrząsane lamentem, drgało w ramionach niczego nierozumiejącej matki.

– Myślę, że mogę być w ciąży, mamo – wyrzuciła w końcu Lidka, z trudem łapiąc oddech. – Tak bardzo się boję.

Matka tuliła ją, powtarzając, że wszystko się ułoży, lecz tak naprawdę nie kierowała tych słów do córki, tylko do samej siebie.

Komendant Leszek Suski obracał w palcach złoty krzyżyk, który nie dawał mu spokoju. Powinien od razu o niego zapytać, zamiast od kilku dni zadręczać się domysłami, ale z jakiegoś powodu w życiu często to, co najprostsze, przychodzi najtrudniej. Zdziwił się, że fakt

ukrywania dowodu przed prokurator nie wywoływał w nim poczucia winy ani wyrzutów sumienia, jakby w jego duszy zaczęła zachodzić osobiwa przemiana. Może z tego powodu, patrząc rano w lustro, nie potrafił zobaczyć w nim już dawnego siebie, a dostrzegał jedynie kogoś o śliskim, odrażającym i ponurym obliczu. Człowieka zdolnego do wszystkiego, co pozwoli mu ochronić prawdę.

Policjant schował znaleźisko do szuflady w biurku i zamknąwszy ją na kluczyk, pomasował dłońmi dokuczający mu odcinek kręgosłupa w okolicy krzyża. Wprawdzie namawiany przez żonę starał się codziennie rano robić kilka skłonów i wymachów, a wolnymi popołudniami biegał z psem, ale godziny spędzane za biurkiem oraz stres, który najwyraźniej kumulował się w tym miejscu, robiły swoje.

Na blacie Suskiego piętrzyły się wydruki raportów, zeznań świadków i słabej jakości ziarnistych zdjęć z kamery przemysłowej w domu towarowym Kryształ, na których trudno byłoby mu rozpoznać własną matkę. Szczęśliwie sylwetka trzylatka wyróżniała się na tle innych klientów domu handlowego swoim rozmiarem, dzięki czemu zdołał ją wychwycić na ujęciu przedstawiającym wyjście ze sklepu mięsnego, a później maszerującego korytarzem w stronę, która była już poza zasięgiem kamery. Patrząc na drobną postać, komendant zastanawiał się, czy ktoś go tam zawołał. A może dzieciak zobaczył coś ciekawego i podekscytowany pobiegł przyjrzeć się temu z bliska? Niestety żadne z zeznań nie pozwalały jednoznacznie stwierdzić, co zaszło, ponieważ klienci domu towarowego albo nie zwrócili na chłopca uwagi, albo widzieli go w towarzystwie matki.

Ludziom zwykle wydawało się, że inni ich obserwują i o nich myślą, jednak gdy potrzebni byli świadkowie, okazywało się, że tak naprawdę każdy pozostawał skupiony tylko na swoim małym życiu, z oczyma zamkniętymi na otoczenie. Cóż za ironia losu, pomyślał Suski.

Rozważania komendanta zakłóciło niecierpliwe pukanie do drzwi, po którym do środka wszedł szczupły niewysoki policjant z sypiącym

się nad górną wargą wąsikiem.

– Szeffie, w korytarzu stoi jakiś facet, który twierdzi, że wie, kto to zrobił – oznajmił z błyszczącymi oczami.

Leszek Suski ściągnął brwi i sceptycznie przyglądał się podwładnemu. Od ukazania się w prasie artykułu ze zdjęciami ofiar odebrali już wiele podobnych telefonów od osób przekonanych o tożsamości sprawcy. Dzwoniący zwykle wskazywali na kogoś z najbliższego środowiska ofiar, zalecali przyjrzenie się gderliwemu sprzedawcy z kiosku w Kryształce, który ewidentnie nie znosił dzieciaków odwiedzających jego sklep, upierali się, że to na pewno sataniści, albo typowali jakiegoś niezidentyfikowanego kierowcę tarpana w kolorze butelkowej zieleni, niemożliwego do namierzenia, bo nikt nie zdołał zapamiętać numerów rejestracyjnych samochodu. Wszystkie te donosy opierały się na fantazjach ich autorów, pozostając bez pokrycia w rzeczywistości.

Komendant miał wrażenie, że wielu mieszkańców, chcąc przez chwilę poczuć się kimś ważnym, wymyślało niestworzone historie zakłócające obraz prawdziwych zdarzeń. Szansę na zysk budowany na cudzym nieszczęściu dostrzegł również pewien mężczyzna, który zadzwonił na domowy numer Babiczów, żądając równowartości ceny rynkowej niewielkiego mieszkania za podanie dokładnego opisu porywacza dziecka. Szczęśliwie w rodzicach chłopca informator wzbudził głęboką nieufność i zanim zdecydowali się mu zapłacić, skonsultowali sprawę z policją, która stanowczo odradziła takie działania.

Po sprawdzeniu numeru dzwoniącego na jaw wyszło, że był nim jeden z klientów warsztatu samochodowego Babiczów. Mężczyzna nie zadał sobie nawet trudu, by skorzystać z budki telefonicznej, posłużył się aparatem wiszącym w przedpokoju domu jego matki, która potwierdziła, że był u niej tamtego wieczoru. Szantażysta z miejsca stał się w oczach śledczych podejrzanym, ale kilku niezależnych świadków potwierdziło alibi mężczyzny i ostatecznie został jedynie pouczony.

Może dlatego na wieść o nowych doniesieniach dotyczących sprawcy Leszek Suski nie odczuwał nadziei, a raczej narastającą frustrację.

– Naprawdę ma coś do powiedzenia czy bredzi jak pozostali? – upewnił się.

– Wygląda na przejętego.

– No to spiszcie zeznania, a ja je później przeczytam.

– Ale on chce rozmawiać tylko z panem, szefie.

Lwia zmarszczka między brwiami Suskiego jeszcze się pogłębiła. Uniósł oczy do nieba i pokręcił głową, jakby chciał powiedzieć, że nic z tego nie będzie.

– Dobra, daj go tutaj – zgodził się.

Gdy po chwili młody policjant przyprowadził otyłego, siwowłosego mężczyznę o szerokim nosie i napuchniętej czerwonej twarzy, za którym ciągnął się zapach dawno niepranego ubrania, oblicze komendanta stężało.

– Co ty tu robisz?! – warknął. – Mówiłem ci, że nigdy więcej nie chcę cię oglądać. Jesteś pijany?

– Daruj sobie. Nie przychodziłbym, gdybym nie miał dla ciebie czegoś ważnego. Wiem, kto zabił te dzieciaki.

Leszek Suski oparł czoło na dłoni, przymknął oczy i powoli wypuścił powietrze z płuc.

– Młody, nie masz nic do roboty? – zwrócił się do funkcjonariusza, który z rozdziawionymi ustami obserwował wymianę zdań między przełożonym a świadkiem i w napięciu oczekiwał na jej dalszy ciąg.

Policjant w mgnieniu oka zrozumiał aluzję, dygnął niczym złęczona pensjonarka, a później wybiegł z gabinetu. Kiedy zostali sami, starzec mlasnął, taksując wzrokiem komendanta.

– Nie wyglądasz najlepiej, synu – powiedział. – Zresztą wcale ci się nie dziwię, w życiu nie słyszałem o czymś tak potwornym jak to morderstwo.

– Możesz wziąć na wstrzymanie? Twoje współczucie było potrzebne lata temu, gdy wolałeś alkohol od rodziny, więc teraz

sobie odpuść. Za późno na skrupuły. – Suski spojrzał na ojca z pogardą. – Co chciałeś mi przekazać?

Mężczyzna posmutniał i zgiął się lekko, jakby słowa Leszka trafiły go prosto w trzewia.

– Słyszałem, jak Mieczysław Kąkol groził tym chłopcom – oznajmił, zaciskając poranioną dłoń na uchwycie laski. – Te dzieciaki bawiły się czasem za blaszanymi garażami na osiedlu nowych bloków, gdzie chadzaliśmy z Mietkiem obalić flaszkę. Raz widziałem, jak szarpał tam jednego z nich, straszył go, że jeśli puści parę z gęby o tym, co zaszło na złomowisku, to go rodzona matka nie znajdzie, tak dobrze go zakopie.

– Pytałeś go, o co chodziło?

– Tak, ale się wściekł i kazał mi spieprzać. A teraz, jak to wszystko się stało, to pomyślałem, że on ich mógł uciszyć.

– Dlaczego tak długo z tym zwlekałeś?

Starzec odwrócił głowę, zaciskając wąskie, drżące usta.

– Musiałeś wytrzeźwieć, prawda? – zapytał z obrzydzeniem komendant, choć tak naprawdę nie potrzebował potwierdzenia. – Wyślę do ciebie kogoś, kto spisze zeznania.

Leszek Suski ruszył ku wyjściu, ale starzec go zatrzymał.

– Mój znajomy zaginął. Lucek taki, co z nami na melinie mieszkał. Może coś mu się stało? Już ze dwa dni go nie ma, nie słyszałeś czegoś?

Komendant tylko przewrócił oczami.

– Naprawdę mam ważniejsze rzeczy na głowie niż szukanie pijaków.

– Zaczekaj! – zawołał ojciec, gdy Suski chwycił za klamkę. – Jest jeszcze jeden powód, dla którego chciałem z tobą porozmawiać. Kilka dni temu widziałem Bernarda. Całował się z jakąś dziewczyną i na pewno nie była to jego narzeczona.

– A co ty możesz o tym wiedzieć? Już dawno nie ma cię w życiu wnuka. Dziwię się, że w ogóle wiesz o jego zaręczynach.

– Słyszałem zapowiedzi w kościele.

– Jak twoga, to do Boga, co? – kpił komendant. – Jeśli szukasz rozgrzeszenia za to, co zrobiłeś mnie i matce, to nawet nie próbuj. Nie znam Boga, który wybaczyłby lata kłamstw i okradania własnej rodziny dla wódki.

– Ale może znasz człowieka? – wyszeptał lękliwie mężczyzna, ugniatając swoją dłoń.

Komendant popatrzył na niego z odrazą, po czym prychnął. Robił wszystko, by ojciec nie zauważył jego wilgotnych oczu ani nie usłyszał tego, jak bardzo ścisnęło mu się gardło.

Zuzanna, 2015

*

Spacerowałam ulicami miasteczka, mając nadzieję, że coś się we mnie odblokuje, rozpoznam znajomy widok, dźwięk albo chociaż zapach, ale wszystko wydawało się obce. Rzędy ciągnących się domów z kruszejącymi elewacjami, twarze mijanych na ulicy ludzi, samochodowy zgiełk czy nawet charakterystyczny zapach blokowisk, mieszanka woni śmietników, kocich szczyn na klatkach schodowych i smażonych potraw, nie potrafiły rozbić muru, za którym utknęły moje wspomnienia. Zewsząd atakowały mnie małomiasteczkowe obrazki, wiatr gnał chodnikiem pustą puszkę po piwie, jakby się z nią bawił, jakieś dzieciaki grały na ulicy w gumę, kłócąc się o zasady, a wyfiokowana starsza pani z ratlerkiem na smyczy szybkim krokiem odchodziła od kupy pupila, którą ordynarnie zostawiła na trawniku. Gdybym nie wiedziała tego, co odkryłam w ostatnich godzinach, bez skrpułów skończyłabym tę maskaradę, ale teraz było już za późno, a przy tym chciałam oddać matce tę jedną, ostatnią przysługę.

Przemierzając wijące się między domami uliczki, wdychałam duszący zapach tego miasta, dotykałam chropowatych ścian budynków i nasłuchiwałam odgłosów ulicy. By zrozumieć to miejsce, musiałam stać się jego częścią. Patrzeć na świat jak tutejsi ludzie.

Wkroczyłam właśnie na podwórko między blokami, gdy silne uczucie strachu ścisnęło mnie za gardło. Bielona altana śmietnikowa, zielony trzepak z odpryskującą gdzieś farbą i piaskownica były nie tylko znajome – setki razy widywałam je w koszmarze, z którego budziłam się zrana potem, a teraz, gdy zmaterializowały się przed moimi oczyma, poczułam dreszcze na całym ciele. We śnie wypadałam z okna, a później leciałam w dół, bezradnie wymachując ramionami. Tuż przed wybudzeniem z hukiem uderzałam o beton, a potem nastawała ciemność, po której zrywałam się z łóżka, krzycząc tak głośno, że śpiący u mojego boku Ignaś zaczynał płakać.

Widok tego straszego miejsca wywołał we mnie duszność. Nogi, dotychczas silne, odmówiły posłuszeństwa, gnąc się pode mną, jakby były z plasteliny, a świat wokół powoli zasnuwała coraz gęstsza mgła. Nim zemdlałam, zdążyłam jeszcze dostrzec trzy różne osoby w oddzielnych oknach, które patrzyły, jak tracę przytomność. Z ich spojrzeń wyczytałam, że żadna z nich nie ruszy mi na pomoc.

Szczęśliwie zza rogu warzywniaka wyszła kobieta o śniadej cerze i w wielobarwnej sukni do kostek, na których pobrzękiwały metalowe bransoletki. Jej długie czarne włosy spływały na ramiona otulone chustą, natomiast hipnotyzujące kocie oczy dostrzegły, jak upadałam. Podbiegła, a potem wyjęła z torebki butelkę wody mineralnej i unosząc mi delikatnie głowę, poprosiła, bym się napiła. Świadomość powoli wracała, świat przestawał wirować, a lęk słabł.

– Jak się pani czuje, już lepiej?

– Tak, dziękuję.

Pod jej spojrzeniem niespodziewanie poczułam się, jakbym była naga. Nieznajoma wyglądała na niewiele więcej niż pięćdziesiąt lat, wokół jej oczu widniały delikatne kurze łapki, a usta miała pociągnięte czerwoną szminką. Przeszedł mnie dreszcz, gdy zrozumiałam, że mam do czynienia z Cyganką, która zaraz z pewnością zechce mi powróżyć z kart, a w międzyczasie ukradnie

ostatnie pieniądze z portfela, jak to zwykły robić naciągaczki kręcące się wokół Dworca Centralnego w Warszawie.

– Pani już tu kiedyś była, prawda? – zapytała.

– Nie, pomyliła mnie z kimś pani – odparłam, i chcąc jak najszybciej odejść, zaczęłam się podnosić, ale ona nie odpuszczała.

– Nie wydaje mi się. Czuję to, pani należy do tej ziemi, tu są pani korzenie. Zgubiła się pani i teraz wraca pani do domu.

Tego było już za wiele. Parsknęłam nerwowo.

– Tak? Może jeszcze z ręki mi pani powróży? – spytałam.

W oknie domu, pod którym rozmawiałyśmy, poruszyła się zasłona. Za szybą zamajaczyła posępna, wychudła twarz staruszki. Niemal słyszałam, jak wstrzymuje oddech, podekscytowana nieoczekiwaną sceną na osiedlu. Pomachałam do niej, lecz to najwyraźniej onieśmieliło kobietę, gdyż cofnęła się w głąb pokoju. Miałam wrażenie, jakby cała ulica zamilkła, by móc nas podsłuchiwać. Cyganka otuliła ciało chustą i uśmiechnęła się do mnie życzliwie.

– Jeszcze nie teraz, ale gdy będzie pani gotowa, proszę o mnie zapytać w kwaciarni, tej przy rynku. Mam na imię Rosa.

Jej łagodność spowodowała, że nagle pożałowałam swojej obcesowości. Zawstydzona wcisnęłam dłonie do kieszeni spodni jak skompromitowana licealistka. Obok nas przebiegły dzieci, które przed momentem porzuciły gumę na rzecz zabawy w chowanego i zaczynały właśnie głośno odliczać.

– Niczego nie obiecuję, ale nigdy nie wiadomo. Może jeszcze kiedyś się zobaczymy – rzuciłam pojednawczo.

– Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Spotkamy się szybciej, niż pani przypuszcza.

Patrzyłam, jak odchodzi, lekko kołysząc biodrami. Ciągnęła się za nią aura tajemniczości i kuszącego mroku. Rozglądając się po zaułku, zrozumiałam, że kobieta miała rację: nie tylko tu kiedyś byłam – w tym budynku mieścił się mój dawny dom. Poczułam to całą sobą, równie mocno jak niechęć do tego miejsca. Jakby działały się w nim niegdyś złe, odpychające rzeczy.

Zdjęcie błyszczącej twarzy Artura Fiołka z zakładu pogrzebowego Hades mogłoby stanowić doskonałą ilustrację do encyklopedycznego hasła „gawędziarz erotoman”. Od zawsze miałam uczulenie na takich typów. Śliskich, cwanych wesołków uważających się za pępek świata. Tacy mężczyźni sypali żarcikami na pograniczu dobrego smaku, uwielbiali aluzje, a wszystko, co wychodziło z ich ust, brzmiało dwuznacznie, szczególnie jeśli było skierowane do kobiety. Pod wzrokiem takich facetów, błędzącym niby od niechcenia w okolicy biustu i dekoltu, zawsze czułam się nieustająco rozbierana. Najgorsze były jednak przypadkowe muśnięcia, zbyt długie przytrzymanie dłoni na powitanie albo z pozoru niewinne ocieranie się. Na samą myśl o mężczyznach tego pokroju dostawałam gęziej skórki, a mój żołądek robił salto.

Przedsiębiorstwo pogrzebowe mieściło się w dole ulicy przebiegającej obok cmentarza. Zmierzch powoli otulał miasto, które łagodniało w miękkim wieczornym świetle sączącym się z okien domów. Okolica cichła, ostre kontury budynków stawały się bardziej subtelne, a brzydkie fasady nikły w mroku. Podeszłam do drzwi Hadesu z zamiarem zapukania, ale gdy ze środka dobiegły mnie dźwięki czegoś, co początkowo wzięłam za rozmowę, zaczęłam uważnie nasłuchiwać.

– Oddawaj je, frajerze. Tobie i tak już się nie przydadzą – wysapał męski głos.

Później coś z hukiem upadło na podłogę, mężczyzna przeklął, a następnie usłyszałam głośne trzaśnięcie przypominające uderzenie wieka od trumny. Zaintrygowana darowałam sobie konwenanse i po prostu weszłam do środka, niemal wpadając na faceta w białej koszuli, z włosami zaczesanymi na żel. W dłoni trzymał nową parę eleganckich męskich pantofli, które na mój widok wypadły mu z ręki.

– Ależ mnie pani przestraszyła. – Położył dłoń na klatce piersiowej, którą po chwili wypiął w moją stronę. – Proszę zobaczyć, jak mi

serce bije.

– Dziękuję, raczej nie skorzystam. Przychodzę do pana w sprawie Małgorzaty Lenart.

– Pani z policji?

– Gorzej, z mediów.

– A co jest nie tak z mediami? – zapytał, prześlizgując się głodnym spojrzeniem po moim ciele.

– To one mają dzisiaj prawdziwą władzę. Potrafią zniszczyć człowieka jednym artykułem. Według mnie ludzie powinni bać się dziennikarzy bardziej niż policji.

– Mimo to zaryzykuję. Zapraszam do biura. – Wskazał dłonią drogę, sam zaś schylił się po leżące na podłodze buty.

Po obu stronach korytarza ciągnęły się szklane półki z urnami, przez co czułam się jak na wystawie eleganckich wazonów. Z czeluści umysłu wypłynęła gorzka myśl, iż całe ludzkie życie ostatecznie można zamknąć w jednym pudełku. Echo naszych kroków odbijających się od lśniącej kamiennej posadzki rozbrzmiewało mi w uszach, a zdecydowanie zbyt intensywny kwiatowy zapach, który zapewne miał zamaskować przykrą woń nieboszczyków balsamowanych w piwnicy, gryzł w gardle.

– Ładne buty – zauważyłam, gdy pakował parę pantofli do kolorowej reklamówki. – Kupiłabym takie mężowi, podpowie mi pan, gdzie je dostanę?

– W Polsce pani takich nie znajdzie. To prawdziwa włoska robota, wykonane ręcznie z cielęcej skóry, no i przy tym cholernie drogie.

Uśmiechnęłam się, kiwając głową. Moje dotychczasowe podejrzenie dotyczące tego, co Artur Fiołek robił, zanim przyszłam, zamieniło się w pewność.

Mężczyzna usiadł w skórzanym fotelu na kółkach za wielkim drewnianym biurkiem, złożył dłonie w piramidkę i nachylił się, zaglądając stanowczo zbyt głęboko w dekolt mojej rozpiętej kurtki.

– Słyszałam, że to pan zajmował się ciałem tej samobójczyni?

– Tak, przygotowywałem je do kremacji.

– Krążą pogłoski, że na nadgarstkach miała otarcia podobne do tych, które zostawiają więzy.

– Przepraszam, ale nie wolno mi o tym rozmawiać.

– Naprawdę? Przecież już raz wygadał się pan dziennikarzowi z radia. Wszyscy wiedzą, że to pan, zresztą cała okolica aż huczy od plotek, więc może wyjaśnimy sprawę do końca? Jak brzmiała treść napisu wyciętego na plecach zmarłej?

Roześmiał się, odchylając tułów na krześle.

– Nie wiem, o czym pani mówi.

– Szkoda, przykro będzie patrzeć na bankructwo tego miejsca. – Objęłam wzrokiem ściany, na których wisiały odbijające światło tabliczki pogrzebowe. – Klienci pewnie szybko znajdą innego dostawcę usług, ale dla pana to będzie koniec. Kiedy mieszkańcy dowiedzą się, że okrada pan zmarłych, nie zostawią na panu suchej nitki.

Byste oczka mężczyzny zatopione w napuchniętej twarzy zerkwały na mnie z niepokojem. Na jego ustach zagościł grymas, który zapewne miał zatuszować zmieszanie, jednak jak u kiepskiego aktora, tylko wzmocnił popłoch. Gdyby Artur Fiołek mógł zapaść się pod ziemię, z pewnością teraz by to zrobił. Tymczasem kręcił się nerwowo na skrzypiącym krześle, a gdy rozchylił wargi, by odeprzeć atak, uprzedziłam go:

– Niech mi pan nawet nie próbuje wciskać kitu. Wiem, że te włoskie buty zdjął pan z nóg zmarłego. Dla niektórych szmatławców to temat na okładkę, będzie pan sławny. A wie pan, jak się coś do człowieka przyklei, to potem trudno to zmyć. – Oparłam brodę na dłoniach, uśmiechając się triumfalnie. – Magiczna moc mediów. Czy wspominałam, że lepiej z nimi nie zadzierać? – dodałam i puściłam do niego oko.

Pracownik zakładu pogrzebowego w furii rzucił długopisem o biurko.

– Pieprzona Lenart, same problemy przez nią – warknął.

– Kłopoty to ma pan raczej przez swoją niewyparzoną gębę i chciwość.

– Niczego pani nie rozumie. Ta kobieta nie powinna specjalnie nikogo interesować, ot, uciekiniarka ze szpitala psychiatrycznego, która popełniła samobójstwo... ale coś w tym wszystkim jest nie tak. Najpierw była u mnie prokuratura, później policja, wszyscy zadawali dziwne pytania, chcieli wiedzieć, z kim o tym rozmawiałem. Przesłuchiwali mnie jak jakieś cholerne FBI, grozili więzieniem, a dwa dni temu dostałem to. – Otworzył szufladę i rzucił na stół cegłę owiniętą w brązowy papier. – Wpadło przez okno od zaplecza, prawie na zawał zszedłem.

„Nie chwal się tym, co widziałeś, bo spalę tę budę razem z tobą” – przeczytałam nabazgrane na kartce nierówne litery. W zadumie zmrużyłam powieki, nasłuchując tykania zegara stojącego w rogu pomieszczenia. Myśli w mojej głowie buzowały niczym bąbelki w szampanie i choć wielu rzeczy nie rozumiałam, jednego byłam pewna: to, co zaczęło się dwadzieścia pięć lat temu, nigdy się nie skończyło.

– Co znalazł pan na jej plecach? – spytałam.

– Naprawdę nie powinienem o tym mówić.

– Litości, nie za późno na skrupuły? Chyba że tak bardzo pragnie pan zobaczyć swoją twarz na okładce jakiegoś brukowca.

Mężczyzna zaczął nerwowo gryźć paznokcie kciuka, wodząc wzrokiem po wnętrzu zakładu pogrzebowego.

– Trzy słowa wycięte żyłką – odparł w końcu. – „Życie za życie”.

– Co to znaczy?

– Nie mam pojęcia. Może to była zemsta za coś, co zrobiła? Na pewno wyciął je ten, kto ją przetrzymywał. Poza więzami miała też ślady po kneblu. – Palcami narysował linie od kącików ust aż do płatków uszu. – I oczywiście nie wie pani tego ode mnie. Treść napisu dotychczas znały tylko służby, jedyne, co zdradziłem tamtemu dziennikarzowi, to fakt, że go miała.

Wstałam z krzesła, uporczywie powtarzając w myślach te trzy słowa, od których podnosiły się włoski na moim karku, a żołądek wypełniał chłód. Życie za życie.

– Kojarzy pani kolorową cukrową posypkę, którą w lodziarniach obsypują dzieciakom lody? – zatrzymał mnie, gdy znajdowałam się już przy wyjściu.

– Jeśli to jakiś podryw albo dowcip z drugim dnem, to dziękuję.

– Miała ją w uchu. Dwie niebieskie pałeczki. Wypadły, kiedy ją przekładałem.

– Ktoś o tym wie?

– Nie, tylko pani. Powiedzmy, że to moja inwestycja w nadziei na wspólne piwo. – Uśmiechnął się szelmowsko.

Pokręciłam głową z niedowierzaniem. Jego zachowanie nie tyle mnie zirytowało, ile rozbawiło. Gawędziarze mieli to do siebie, że sporo mówili, ale tak naprawdę nie stanowili zagrożenia.

– Jest pan niemożliwy.

– Kobiety zwykle mówią, że niesamowity, ale ta nowa ksywka mi nie przeszkadza.

– Do widzenia, panie Arturze – ucięłam, ale on, nie zważając na moją niechęć, kontynuował opowieści o tym, jak przyjemnie moglibyśmy spędzić razem czas. Jego fantazje ucichły dopiero, gdy znalazłam się po drugiej stronie drzwi.

1990

*

Parking pod kościołem pękał w szwach. Wiatr targał poły cienkich płaszczy oraz starannie zaczesane włosy, bezlitośnie odsłaniając błyszczące łysiny. Z aut wysypywali się mężczyźni w czarnych garniturach oraz ich żony w ciemnych sukienkach i marynarkach, ściskające w rękach wiązanki kwiatów. Nad nimi wisało sino-granatowe niebo, a z nabrzmiątych chmur zaczynały skapywać pierwsze krople deszczu, który zdawał się czekać specjalnie na ten dzień tylko po to, by ludzie mogli potem wspominać, że Bóg też płakał, gdy wkładali do ziemi tych chłopców.

Większość rodziców zostawiła dzieci w domach z ich babciami, ale niektórzy przyprowadzili je ze sobą, jakby nie martwili się o spokojne sny maluchów po tym, co zobaczą na cmentarzu. Z drugiej strony okolica od jakiegoś czasu huczała od strasznych wieści i zapewne niczyich, nawet tych najmniejszych uszu nie ominęły informacje o zabójstwie trzech chłopców. Świadczyły o tym choćby puste place zabaw, matki mocniej niż zwykle ściskające ręce dzieci czy rodzice odprowadzający pociechy aż pod same drzwi domów kolegów. Nikt już nie wysyłał syna ani córki po cukier albo chleb do sklepiku za rogiem, a w oknach mieszkań można było zauważyć migające światła ekranów telewizorów, w których dzieci dłużej niż zazwyczaj mogły oglądać bajki. Jakby opiekunowie chcieli podtrzymać to

złudne wrażenie, że nic się nie zmieniło i najmłodszy mogą bawić się jak dawniej.

Romek Babicz, siedzący nieruchomo za kierownicą srebrnego poloneza caro zaparkowanego pod rozłożystym klonem, nie potrafił się ruszyć. Trwał tak już od kilku minut, wsłuchując się w coraz bardziej zniecierpliwiony oddech Eli. Za oknami samochodu przesuwały się sylwetki sąsiadów i znajomych pospiesznie drepczących do kościoła. W niektórych twarzach można było wyczytać niepokój, w innych podekscytowanie, jakby wreszcie po latach w tym zapyziałym zakątku świata działo się coś ciekawego, o czym można będzie później plotkować podczas nudnych towarzyskich spotkań. Z tłumu Romek wyłowił komendanta z żoną, prokurator Miksę palącą przed bramą wjazdową na parking oraz Bernarda Suskiego, który również go dostrzegł i skinął mu głową, ale Babicz pozostawił ten gest bez odpowiedzi. Odwrócił wzrok, zaciskając dłonie na kierownicy tak mocno, że samochód wypełnił trzeszczący odgłos.

– Musimy iść – szepnęła Ela.

Wydawała się senna, z oczyma przypominającymi wąskie szparki i zamglonym spojrzeniem, które zapewne były efektem przyjęcia dużej porcji leków uspokajających.

– Ty idź – odparł. – Ja wypalę jeszcze jednego i niedługo dołączę do ciebie.

W normalnej sytuacji Ela pewnie by zaprotestowała, ale ani okoliczności nie należały do zwyczajnych, ani ona nie miała na to siły. Wszystkie, które jej zostały, wykorzystywała do tego, by trzymać się w jednym kawałku. Dlatego przystała na propozycję męża, powoli otworzyła drzwi samochodu i na chwiejących się nogach ruszyła w stronę kościoła.

Romek obserwował, jak ściska damską torebkę, jakby zamiast jego ramienia uczepliła się tego przedmiotu. Schowany za szybą śledził ciekawskie spojrzenia badające skromny strój jego żony. Niemal słyszał szmer wymienianych cicho uwag o tym, jak żałośnie

wygląda i że na jej miejscu nie chcieliby dalej żyć. Bez wątpienia padały też komentarze dotyczące tego, dlaczego mąż jej nie towarzyszy, oraz przypuszczenia, że skoro jest między nimi tak źle, to on w jakiś sposób mógł się przyczynić do śmierci dziecka. Na samo wyobrażenie tych podszeptów dopadły go mdłości. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki po paczkę papierosów. Gdy wysiadł z auta, zauważył, że jakiś mężczyzna szybkim krokiem zmierza w jego kierunku.

Z nerwów nie mógł uruchomić zapalniczki, ale wtedy tęgi jegomość, w którym rozpoznał jednego ze stałych klientów warsztatu, odpalił swoją i podsunął czerwony płomień pod papierosa w ustach mechanika.

– Moje kondolencje, panie Romku. – Mężczyzna uklonił się, a potem zerknął za siebie i nieco ciszej dodał: – Chciałem tylko powiedzieć, że policja pytała mnie, o której odebrałem samochód od pana tamtego dnia, kiedy naprawiał pan ten wyciek oleju z silnika.

– I co pan im powiedział? – Babicz mocniej niż wcześniej zaciągnął się papierosowym dymem.

– Zeznałem, żeśmy siedzieli aż do trzeciej, no bo po co mają niewinnego człowieka ciągać po komendach? Mało to kłopotów teraz macie? Ja tam wiem, że pan jest swój chłop i w życiu byś nawet ręki na dzieciaka nie podniósł, a co dopiero takie straszne rzeczy. – Wzdrygnął się. – Według mnie to musiał być jakiś przyjezdny, przecież nikt od nas by nie zrobił czegoś takiego. To niemożliwe.

Romek kiwnął głową, jakby się z nim zgadzał, a potem przeprosił, tłumacząc, że chciałby jeszcze chwilę pobyć sam. Wybawiony z niezręcznej sytuacji mężczyzna oddalił się z wyrazem ulgi wypisanej na pucułowatej twarzy. W tej samej chwili na wieży kościoła zaczęły bić dzwony, które przyzywały żałobników na mszę. Babicz niespiesznie dopalił papierosa, a potem rzucił jego końcówkę na wyłysiały trawnik i przydepnął ją butem.

Tak naprawdę wolałby być wszędzie indziej, byle nie na mszy, gdzie osiągną go współczujące spojrzenia sąsiadów oraz lokalnych

obłudników. Nie miał ochoty słuchać kazania o tym, że Bóg wezwał jego syna do siebie, bo miał w tym jakiś plan. Nie chciał też patrzeć na matki pozostałych chłopców, jakby obawiał się, że w jego oczach wyczytają to, co tak bardzo usiłował skrywać. Tylko wyobrażenie Eli siedzącej samotnie w jednej z twardych i zimnych drewnianych ławek w głównej nawie, tuż za trumnami zdołało pomóc mu przełamać opór. Jakiś cichy głosik w myślach powtarzał mu, że skoro razem powołali syna na ten świat, wspólnie powinni go też pożegnać.

Na mszy co chwilę ktoś zanosił się głośnym płaczem, jakby w złym guście było przeżywanie żałoby w ciszy. Ksiądz odtwarzał te same wyświechtane frazesy, które Romek słyszał już na innych pogrzebach. O Bogu, który otrze ludzkie łzy, o śmierci oznaczającej nie koniec, ale początek, i o tym, że w życiu wiele pytań pozostaje bez odpowiedzi. Wnętrze świątyni wypełniał zapach kadzidła, duszących perfum starszych kobiet oraz kwiatów. Babicz podał chusteczkę żonie, która mimo przyjętych leków nie najlepiej znosiła uroczystość. A może po prostu nie ukrywała swoich uczuć, gdy on zamknął je wszystkie w sobie?

Podczas nabożeństwa usiłował nie myśleć o siedzących nieopodal rodzinach pozostałych ofiar, ale sama świadomość, że tam są, przyprawiała go o torsje, jakby obawiał się, że nie zapanuje nad sobą i wykrzyczy im to, co pomijał milczeniem.

Kiedy orszak żałobny ustawiał się za trumnami, Romek mocno chwycił żonę pod ramię, pomagając jej wstać z ławki. Ela spojrzała na niego błagalnie i tylko pokręciła głową, ale podobnie jak on rozumiała, że nie ma sensu odwlekać nieuniknionego, dlatego w końcu uległa. Ludzie kłębili się w długim ogonku, który ociężale, stopa za stopą sunął do wyjścia przy akompaniamencie rzewnego śpiewu organisty. Na słowa „Anielski orszak niech twą duszę przyjmie, uniesie z ziemi ku wyżynom nieba” gardło Babicza ścisnęło się mimowolnie, a gdy pochwycił wzrok ojca, zauważył, że Jerzy również płacze.

Kiedy znaleźli się przed kościołem, zagrzmiało, a niebo przecięła żółta pręga. Deszcz siąpił, moczając garsonki i noszone jedynie od święta garnitury, przez co żałobnicy w panice zaczęli rozkładać parasole. Kondukt zdecydowanie przyspieszył i byłby już przekroczył bramę cmentarza, gdyby ktoś ze zgromadzonych nie krzyknął.

– O mój Boże! – wyrwało się z czyjegoś gardła.

Oczy zebranych podążyły za źródłem głosu, napotykając przerażoną twarz otyłego mężczyzny, tego samego, który wcześniej użył ognia Babiczowi, wskazującego ręką na szczytową ścianę świątyni.

Tam, tuż nad głowami ludzi, na wysokości jakichś dwóch metrów, widniał napis wykonany farbą w spreju. Nierówne drukowane litery układały się w hasło: ŻYCIE ZA ŻYCIE. Większość odczytała je zapewne jako wezwanie do zemsty na sprawcy zbrodni i wyraźne oczekiwanie, iż ten, kto dopuścił się tak potwornego czynu, musi ponieść karę śmierci – ale nie Romek.

On wiedział dokładnie, co te słowa oznaczają.

Zuzanna, 2015

*

Obudził mnie dźwięk zatraskujących się drzwi. W takich hotelach ściany zwykle były na tyle cienkie, że równie dobrze mógł dochodzić z jednego z sąsiednich pomieszczeń, ale intuicja podpowiadała mi co innego. Zapaliłam lampkę, osłaniając oczy dłonią, i z jękiem uniosłam tułów. Na pierwszy rzut oka pokój wyglądał jak wcześniej. Żadnych przewróconych mebli, otwartych szafek czy przedmiotów nie na swoim miejscu, a mimo to nie potrafiłam pozbyć się wrażenia czyjejś obecności. Moja głowa pulsowała od wódki, którą wypić, by zafundować sobie kilka godzin snu, a zapach wydobywający się z ust zdecydowanie nie przypominał świeżego. Byłam bliska uznania, że po prostu musiało mi się przesłyszeć, gdy zauważyłam brak klucza w zamku po wewnętrznej stronie drzwi. Oczywiście mógł wypaść, kiedy wróciłam do pokoju, wydawało się to jednak tak mało prawdopodobne, jak to, że śmierć mojej matki była zupełnie przypadkowa.

Zegarek w komórce wskazywał czwartą. Błagam, szepnęłam, po czym niechętnie wygrzebałam się spod ciepłej pościeli. Dobiegł mnie chrobot przypominający drapanie. Ciało natychmiast pokryła gęsia skórka. Zacisnęłam powieki, łapiąc się za głowę, która sprawiała wrażenie, jakby lada chwila miała wybuchnąć. Powinnam ograniczyć alkohol, pomyślałam, zataczając się, choć nie było we mnie cienia

wątpliwości, że zapomnę o tej dobrej radzie, gdy tylko zapuka do mnie bezsenność. Zgubne nawyki i drogi na skróty z jakiegoś powodu wygrywały ostatnio w moim życiu ze zdrowym rozsądkiem.

Klucz leżał na wykładzinie tuż przy drzwiach. Włożyłam go z powrotem do zamka i kontrolnie nacisnęłam klamkę. Kiedy okazało się, że drzwi są otwarte, ścierpła mi skóra. Bose stopy owiewało chłodne powietrze, wpadające przez szparę przy podłodze, gdy poczułam pod podeszwą coś uwierającego. Opierając się o ścianę, uniosłam nogę, a po chwili wyjęłam spomiędzy palców kamyk wielkości główki od zapałki. Przed oczyma stanął mi mężczyzna, który pierwszego dnia otwierał zablokowaną bramę wjazdową. Wyglądał na kogoś, kto lubi przekraczać granice i wtykać nos w nie swoje sprawy. Było w nim coś nieprzyjemnego, może sposób, w jaki patrzył – spode łba, ze zmrużonymi oczami – a może chodziło o jego natarczywość oraz irytujące wścibstwo. Na samą myśl o stróżu odniosłam wrażenie, jakby moja skóra zaczynała lepić się od brudu. Skrzywiłam się z niesmakiem, po czym narzuciłam kurtkę na piżamę i już zamierzałam zejść na dół, gdy z szafy doszły mnie odgłosy uderzeń oraz ciche popiskiwanie.

Przerażona odskoczyłam, obserwując, jak drzwi mebla uchylają się nieznacznie ze skrzypnięciem, a potem znów zamykają. Moje plecy oblał zimny pot, a nogi wpadły w dygot. Wstrzymując oddech, złapałam za uchwyty drzwi szafy i zdecydowanym ruchem otworzyłam je, pewna, że ujrzę coś strasznego. W środku jednak zamiast zjawy albo napastnika znalazłam kota. Poczciwy dachowiec, którego widziałam już wcześniej na parkingu, zaplątał się w paski torby podróżnej i nie mogąc się wyswobodzić, zaczął z nią walczyć.

– Skąd się tu wzięłeś, mały? – zapytałam, uwalniając zwierzaka, po czym wypuściłam go z pokoju.

W recepcji delikatnym światłem żarzyła się ledowa lampka na kontuarze. Na dźwięk moich kroków drzemiący w fotelu Mateusz Gutkowski, właściciel Trzech Dębów, wzdrygnął się i otworzył zaspane oczy.

– Wszystko w porządku? – zapytał, spoglądając na zegarek, najwyraźniej zdziwiony moją obecnością na dole.

– Tak – odparłam odruchowo, jak przystało na grzeczną dziewczynkę, na którą wychowywał mnie ojciec, ale po chwili zmieniłam zdanie. – Właściwie niezupełnie, myślę, że ktoś był w moim pokoju.

Mężczyzna ściągnął brwi. Wyraz jego twarzy sugerował, że mi nie wierzy. Ziewnął przeciągle, a następnie zerknął na drewnianą szafkę na ścianie, gdzie w większości przegródek na metalowych haczykach wisiały po dwa egzemplarze kluczy, natomiast w tej oznaczonej numerem mojego pokoju znajdował się jeden.

– Jest pani tego pewna? Wszystkie zapasowe klucze do pokoi mam tutaj albo w szufladzie. Poza tym, gdyby ktoś wchodził na górę schodami, zauważyłbym go.

– A co z wyjściem ewakuacyjnym na piętrze? Widziałam, że macie boczne schody na ścianie od strony lasu.

– Tamte drzwi można otworzyć jedynie od środka, żeby w razie zagrożenia móc wydostać się z hotelu. Oczywiście jest do nich klucz, który umożliwia wejście od zewnątrz, ale mają go tylko sprzątaczkę, recepcja i nasz dozorca, pan Mieczysław.

To ostatnie imię, które wydawało się znajome, zazgrzytało w moich uszach, sprawiając, że krew zaczęła szybciej krążyć w żyłach.

– Gdzie go znajdę?

– O tej porze z pewnością w łóżku. – Zaśmiał się. – Mieszka w takim małym drewnianym budynku na tyłach hotelu. Zaprowadzę panią.

– Nie ma takiej potrzeby, trafię. – Podziękowałam i zanim zdążył zaprotestować, wybiegłam przed hotel.

Z nieba kropił deszcz, dzięki czemu na zewnątrz unosił się zapach świeżości. Naciągnęłam na głowę kaptur, nie chcąc zmoczyć włosów. Powietrze było tak zimne, że po chwili zaczęłam siąkać nosem. Mokra trawa łaskotała mnie w kostki, gdy okrążałam Trzy Dęby, badając, dokąd prowadzą poszczególne ścieżki. Kręte,

wysypane żwirem alejki wiły się na tyłach budynku wokół drewnianej altany oraz niewielkiego sztucznego stawu i prowadziły do ponurej chaty z zachwaszczonym ogródkiem. Przykucnęłam, by dotknąć palcami kamyczków podobnych do tego, który znalazłam na wykładzinie w pokoju. Noc otulała mnie chłodną czernią, która nagle wydała się złowroga. Jakby z ciemności zerknęły czyjeś oczy. Przez ułamek sekundy pożałowałam, że odmówiłam towarzystwa Mateusza Gutkowskiego. Właściciel hotelu sprawiał wrażenie sympatycznego, przepracowanego faceta, ale doświadczenie nauczyło mnie, iż w tym mieście nic nie było tym, na co wyglądało.

Kiedy dotarłam do drewnianego budynku, mocno zabębniłam pięścią w okno, by ukryć swój strach. Roztarłam zziębnięte dłonie, czując, jak niepokój spina moje plecy. Wewnątrz ktoś się poruszył. Wyraźnie słyszałam skrzypienie, a później czyjeś ciężkie kroki oraz sapanie. W oknie błysnęło wątłe światło, klucz zachrobotał w zamku, po chwili zaś w drzwiach ukazał się dozorca w białym wyciągniętym podkoszulku i piżamowych spodniach.

– Pani kochana, pali się czy co? – Mrużył oczy, jakby nie dał rady otworzyć ich szerzej.

Ze środka dobiegł mnie zapach potu oraz okropnej kwaśnej woni, wydzielanej przez ludzi po spożyciu alkoholu. Usiłowałam zajrzeć ponad ramieniem mężczyzny do jego pakamery, ale w pomieszczeniu było zbyt ciemno, bym mogła dostrzec cokolwiek. Mój wzrok zatrzymał się jednak na mokrych kaloszach stojących w przedsionku, do których przykleiło się kilka wilgotnych liści. Z tego, co pamiętałam, deszcz zaczął padać dopiero w nocy, bo kiedy wróciłam z zakładu pogrzebowego Artura Fiołka, trawa wokół hotelu była jeszcze sucha.

– Co, do kurwy nędzy, robił pan w moim pokoju?! – zaatakowałam.

Stróż zamrugał i skrzywił się, jakby nie miał pojęcia, o czym mówię.

– Błagam, jest pan naprawdę beznadziejnym aktorem. Wiem, że niedawno wychodził pan z chaty. – Wskazałam mokre buty. – A do

tego ktoś wpuścił do mojego pokoju kota, więc bez numerów.

Mężczyzna roześmiał się, ukazując niepełne uzębienie, a potem pokręcił głową.

– Boi się pani nie tego, kogo trzeba.

– Czyżby?

– Ludzie tutaj już wiedzą, że pani węszy, i nikomu się to nie podoba. Powinna pani bardziej na siebie uważać, nigdy nie wiadomo, co komu przyjdzie do głowy.

– To groźba? – Nieświadomie wysunęłam podbródek, a ręce skrzyżowałam na piersi.

– Ostrzeżenie od starego człowieka, który przeżył już niejedno.

Gdy to powiedział, coś mnie tknęło i nagle przypomniałam sobie, gdzie wcześniej widziałam jego imię. Pojawiało się w publikacjach na temat morderstwa sprzed dwudziestu pięciu lat w teczce mojej matki.

– Mieczysław Kąkol, stróż ze złomowiska. To pan, prawda?

Kiwnął głową. Starą, pomarszczoną twarz ściągnął grymas niepokoju, ale także czegoś na kształt bólu.

– Nie powinniśmy teraz tutaj rozmawiać. Lepiej będzie, jeśli wróci pani do hotelu i przyjdzie do mnie innym razem – rzucił, spoglądając w dal, gdzieś za moje plecy.

– Nie pójdę, dopóki nie dowiem się, czego pan szukał w moim pokoju.

– Tego samego, co pani: prawdy. – Uśmiechnął się krzywo. – A poza tym chciałem sprawdzić, kim pani jest.

Na ułamek sekundy wstrzymałam oddech, jakbym lada chwila miała zostać zdemaskowana.

– Szef się o panią niepokoi – dodał, wskazując głową postać palącą na tarasie w towarzystwie jakiejś kobiety, która zdawała się patrzeć w naszym kierunku, po czym ściszył głos. – Radzę lepiej ukryć broń. Byłoby niedobrze, gdyby wpadła w niepowołane ręce albo gdyby nie mogła jej pani znaleźć, kiedy będzie potrzebna.

– Ty skurwielu – syknęłam wściekle.

Rok temu, po tym, jak wybuchła afera dotycząca mojej wątpliwej etyki dziennikarskiej, kilku idiotów nawoływało na forach internetowych do tego, by dać mi nauczkę. Telefoniczne pogrożki i wyzwiska od „medialnych szmat” stały się częścią codzienności, ale kiedy na wycieraczkę znalazłam pudełko po butach wypełnione odchodami, a w nich zdjęcie Ignasia na placu zabaw w przedszkolu z nabazgranym pytaniem: „To za ile kupiłaś życie tamtej dziewczyny?”, zadzwoniłam do znajomego Białorusina, który niegdyś handlował na warszawskim Stadionie Dziesięciolecia. Sasza nie zadawał zbędnych pytań, zażądał gotówki, a po dwóch tygodniach przyniósł mi zgrabnego glocka, zabawkę łatwo dostępną na czarnym rynku. I choć groźby wkrótce umilkły, pistolet został ze mną.

Po przyjeździe do Trzech Dębów schowałam go w głębi szafy pod stertą zapasowych koców i poduszek, mając nadzieję, że nikt nie będzie tam zaglądał. Niestety pomyliłam się.

– Jeśli jeszcze raz zobaczę pana w moim pokoju, nie ręczę za siebie – warknęłam ostrzegawczo.

– Nie mnie należy się bać – podkreślił stanowczo, patrząc mi prosto w oczy. – Będę na panią czekał.

Wbiegłam po schodach na piętro, zdyszana wpadłam do pokoju i gorączkowo zaczęłam wyrzucać rzeczy z szafy na podłogę. Wreszcie moja dłoń natrafiła na zimną powierzchnię glocka, a ja osunęłam się na wykładzinę z wyraźnym uczuciem ulgi. Fakt, że Mieczysław Kąkol zostawił broń na miejscu, był co najmniej zastanawiający. Nie wiedziałam, czy zamierzał podzielić się z kimś tą informacją, ale coś podpowiadało mi, że przyniesie to same kłopoty. Bo jeśli on znał mój sekret, to kwestią czasu pozostawało, kiedy dowiedzą się o nim inni.

1990

*

Aspirant Suski uchylił drzwi do gabinetu ojca.

– Lidka Grabowska potwierdziła alibi Gutkowskiego, dzieciak jest czysty – oznajmił. – Zaraz przygotuję ci na ten temat notatkę.

Leszek Suski zsunął okulary do czytania na czubek nosa i w zamyśleniu zmarszczył brwi.

– Wejdiesz na moment? – poprosił syna.

Bernard skinął głową, po czym usiadł na krześle przy ciężkim drewnianym biurku komendanta, który otwierał właśnie kluczem szufladę. Mężczyzna wyjął z niej złotą zawieszkę w postaci krzyżyka i położył ją na blacie, przesuwając w stronę syna.

– Co to jest? – zapytał gniewnie.

Aspirant zrobił zdziwioną minę, patrząc na ojca, jakby podejrzewał u niego pierwsze stadium alzheimera.

– Na moje oko wygląda jak krzyżyk – odparł, obracając przedmiot w palcach. – Taki, co to się go nosi na szyi.

– Tyle wiem – warknął przez zęby komendant. – Pytam, czy to ten sam, który dostałeś ode mnie na osiemnaste urodziny?

Bernard roześmiał się.

– No coś ty, tato. Tamten leży gdzieś w domu i się kurzy. – Prychnął, nadal nie mogąc uwierzyć w niedorzeczność pytania, które

przed chwilą usłyszał. – Jezu, wiesz, ilu ludzi nosi takie krzyżyki? Setki, jeśli nie tysiące. Skąd w ogóle go masz?

– Znalazłem go w zagajniku, obok ciał.

– I myślałeś, że należy do mnie? – obruszył się Bernard. – Całkiem ci odbiło. Prokurator wie, że ukryłeś dowód?

Leszek Suski nie odpowiedział, nadal podejrzliwie lustrował każdy gest syna, a po chwili wstał zza biurka i podszedł do Bernarda.

– Czy możesz rozpiąć koszulę?

– Po co?

– Rozepnij, do kurwy nędzy, tę koszulę! – Uderzył pięścią w stół, na który upadły krople jego śliny.

Aspirant popukał się w czoło, patrząc na ojca, ale posłusznie wykonał jego polecenie. Kiedy odsłonił większy fragment torsu, na jego dekolcie załśnił gruby złoty łańcuszek, a komendant odetchnął z ulgą.

– Dlaczego w ogóle zdjąłeś ten krzyżyk? Jeszcze niedawno widziałem go u ciebie na szyi – nie ustępował.

– Bo mi przeszkadzał. Był za duży, a do tego kłuł mnie w pierś. No i chłopaki się ze mnie nabijali, że niby taki świętoszek jestem.

Leszek Suski sceptycznie uniósł brwi.

– Akurat ze świętością to raczej nie masz wiele wspólnego – wbił synowi szpilę.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– A to, że nie możesz sobie darować i musisz przelecieć wszystko, co się rusza. Za miesiąc masz ślub, a twój dziadek przyłapał cię z jakąś dziewczuchą na mieście. Czy ty wiesz, że Malwinie serce pęknie, jak się dowie?

– Nikt nie musi jej mówić.

– Przestań pieprzyć, bo sam z nią porozmawiam – huknął poirytowany Leszek. – Dorośnij wreszcie, człowieku, masz prawie trzydzieści lat, a zachowujesz się jak szczeniak. Zacznij w końcu myśleć głową, a nie fiutem.

Bernard strzepywał nieistniejące pyłki ze spodni, zaciskając przy tym zęby na kawałku języka. Po tym, co usłyszał, trudno było mu spojrzeć ojcu w twarz. Dotychczas zawsze stanowili jedną drużynę, Leszek wiedział o wielu wybrykach syna, ale przymykał na nie oko, jednak teraz najwyraźniej miarka się przebrała. Aspirant poczuł w ustach cierpki smak, ale honor nie pozwalał mu na przyznanie ojcu racji.

– Dobra, dość już biadolenia – stwierdził komendant, wracając za biurko. – Powiedz, czy udało ci się pogadać z ojcami Lenarta i Zielińskiego? Utrzymywali jakąś relację z Babiczami?

Funkcjonariusz pokręcił głową.

– Żadnej, nie znali się. Nigdy wcześniej ze sobą nie rozmawiali, obracali się w innych towarzystwach. – Przeciągnął się, ziewając. – Ojciec Piotra Zielińskiego w dniu morderstwa rzeczywiście pracował na budowie pod Londynem, widziało go tam wielu współpracowników, a ten Lenart jakiś rok temu zostawił żonę z dziećmi i spierdzielił do Warszawy.

– Wiesz, czemu się rozwiedli?

– Bo się okazało, że ten chłopak nie był jego synem, tylko jakiegoś faceta, który zwiął za granicę i nie chciał mieć nic wspólnego ani z dzieciakiem, ani z jego matką.

– To czemu Lenart, wyjeżdżając, nie wziął ze sobą chociaż córki?

– Odwiedzał ich, płacił alimenty. Jest lekarzem, mówił, że nie miałby czasu zajmować się małą, ale teraz to chyba ją zabierze, po tym, jak zobaczył, w jakim stanie jest Lenartowa. – Aspirant pokręcił głową, wypuszczając z sykiem powietrze. – Podobno wszędzie rozkłada zdjęcia tego Emila, gada do niego i obiecuje mu, że znajdzie mordercę. – Zakręcił palcem kółko obok skroni. – Całkiem jej odwalilo.

Tak jak nam wszystkim, pomyślał Leszek Suski, czując w piersiach narastającą obawę, że jeśli szybko nie uporają się z tą sprawą, zostaną jej zakładnikami. Podobno każdy gliniarz ma co najmniej jedną taką w swojej karierze. Śledztwo, które nigdy nie zostało

rozwiązane i przez następne lata zatruwa umysł, a w konsekwencji całe życie policjanta, czyniąc z niego cień człowieka, którym niegdyś był. Coś jak niemożliwy do wyjęcia kamyk z buta, uwierający aż do krwi.

Komendant przerwał rozmyślenia, gdy zauważył, że jego syn zbiera się do wyjścia.

– Czy dziadek powiedział ci, z kim mnie widział? – zapytał Bernard, stojąc już przy drzwiach.

– Nie, a to ma jakieś znaczenie?

– Żadnego. – Młodszy funkcjonariusz puścił do ojca oko i zniknął.

Wzrok Suskiego musnął leżący na stercie papierów krzyżyk. Teraz, gdy wiedział już, że łańcuszek Bernarda jest cały, porzucił teorię, że któraś z ofiar zerwała mu go razem z zawieszką. Ujął przedmiot w dłoń i przez moment opuszką palca gładził postać Chrystusa, zastanawiając się, co powinien zrobić. Nie mógł go tak po prostu oddać prokurator, ale dalsze przetrzymywanie znaleziska w szufladzie również wydawało się bez sensu.

Po chwili namysłu wetknął krzyżyk do kieszeni spodni i postanowił wybrać się na małą wycieczkę.

Zuzanna, 2015

*

Miejska czytelnia mieściła się na parterze lokalnego centrum kultury Pegaz, tuż obok parku z fontanną, placem zabaw i miniskateparkiem, gdzie dwóch chłopców ćwiczyło triki na deskorolkach. Ponieważ ośrodek otwierano dopiero o dziewiątej, przysiadłam na ławce, pozwalając, by promienie słońca gładziły moją twarz. Wiatr ucichł, niebo było wolne od chmur, a termometr w hotelu wskazywał dwanaście stopni. To mógł być jeden z tych pięknych jesiennych dni, o ile poranek nie karmił mnie złudną nadzieją. Z zamkniętymi oczami wsłuchiwałam się w szum deskorolkowych kółek trących o szlifowany beton i w odgłosy dziecięcych przekomarzanek, aż do chwili gdy moich uszu dobiegły wyzwiska oraz dźwięki szarpaniny.

– Sam jesteś maminsynkiem! – Chłopczyk w czerwonej czapce z daszkiem popchnął kolegę z długimi włosami, tamten zatoczył się i natychmiast ruszył do odwetu z dłońmi zwiniętymi w pięści.

– Spieprzaj, lalusi. Chcesz się bić? – Skakał przed nim jak zawodnik na ringu, wymachując ramionami. – Nie? Tchórzysz? Niby taki z ciebie chojrak, a jak przychodzi co do czego, to trzęsiesz portkami przed matką. Oferma. – Splunął pod nogi kumpla, po czym odwrócił się i zamierzał odejść, ale tamten skoczył na niego,

przewalił go, a zaraz potem zaczął okładać deską po ramionach, brzuchu i głowie.

Wyrzut adrenaliny do krwi w moim ciele był tak silny, że nie zastanawiałam się ani sekundy. Zadziałałam instynktownie, jak matka, która widzi, że dziecku dzieje się krzywda. Podbiegłam do bijących się chłopców i brutalnie odepchnęłam napastnika w czerwonej czapce, który nagle zaczął mrugać, jakby ocknął się z transu.

– Dość! – wrzasnęłam. – Co tu się, do cholery, wyprawia?!

Uklękałam przy poszkodowanym, starając się ustalić, czy nie ma nic złamanego, ale poza rozciętym łukiem brwiowym, z którego krew zalała część twarzy, pękniętą wargą i obitym tułowiem nie zauważyłam większych uszkodzeń.

– Powariowaliście? Mogłeś go zabić. – Spojrzałam na agresora, który teraz sprawiał wrażenie zszokowanego tym, co zaszło, a następnie wróciłam do leżącego na ziemi chłopca: – Jak się czujesz? Zawiozę cię do szpitala albo do domu, dobrze? Ktoś musi cię obejrzeć.

Na te słowa długowłosego dzieciak odzyskał siły i powoli zaczął się podnosić, twierdząc, że nic mu nie jest.

– Przestań zgrywać bohatera. Trzeba ci zszyć łuk brwiowy. Masz. – Wręczyłam mu chusteczkę wyszperaną w torebce. – Chce ci się wymiotować?

– Jest okej, proszę pani, naprawdę nie trzeba. – Dociskał biały zwitek do rany na czole. – Mieszkam po drugiej stronie ulicy, w tym różowym bloku, sam dam radę.

Włożył deskorolkę pod pachę, ale gdy planował odejść, zatrzymałam go.

– Zaczekaj, zrobimy jeden mały test – zaproponowałam. – Podążaj wzrokiem za moim palcem, okej?

Dzieciak niechętnie poddał się badaniu. Gdy skończyliśmy, a ja upewniłam się, że ma miękki brzuch i potrafi odpowiedzieć na pytania, jaki mamy rok, gdzie jesteśmy oraz ile widzi palców,

wypuściłam go do domu. Mój czteroletni Ignaś zaliczał mnóstwo wywrotek, zwykle biegł w jedną stronę, a patrzył w drugą, co kończyło się bolesnymi zderzeniami albo spektakularnymi upadkami, z których o dziwo zawsze wychodził bez szwanku. Jedynie liczba siniaków na jego czole była wprost proporcjonalna do ciekawości świata. Podejrzywałam, że mogliby się świetnie dogadać z długowłosym chłopcem.

Kiedy odszedł, zauważyłam, że sprawca całego zamieszania nadal stoi obok i lękliwie mi się przygląda. Obracał palcem kółko od deskorolki, którą przytulał do siebie jak tarczę.

– Nic mu nie będzie? – zapytał. – To mój najlepszy kumpel.

Uniosłam oczy do nieba, robiąc przy tym długi wydech.

– Muszę przyznać, że macie ciekawy sposób na okazywanie sobie sympatii. Tym razem chyba wyjdzie z tego bez szwanku, ale niewiele brakowało, żebyś rozwalił mu głowę. Dlaczego go zaatakowałaś?

Chłopiec w czapce z daszkiem wzruszył ramionami i uciekł spojrzeniem.

– To może chociaż powiesz mi, jak masz na imię?

– Ariel.

– Super, ja jestem Zuzanna. – Wyciągnęłam do niego dłoń, którą nieśmiało uściskał. – Ładna deskorolka.

– Dostałem od mamy na urodziny.

– Wygląda na to, że sprawiła ci dużo radości tym prezentem. To o nią poszło? O deskorolkę? Staram się zrozumieć, czym kolega cię tak zdenerwował.

– Naprawdę nie wiem. Chyba... wydaje mi się, że powiedział coś o mojej mamie, ale nie mogę sobie przypomnieć. Ja naprawdę nie chciałem zrobić mu krzywdy. Jakbym to nie ja robił.

Jego słowa zastanowiły mnie.

– Czy takie coś przydarzyło ci się już wcześniej? – spytałam.

– To był drugi raz.

– Twoi rodzice wiedzą?

– Nie chcę, żeby się martwili.

Przykucnęłam, by mieć jego oczy na wysokości mojego wzroku. Wyglądał na jakieś dziesięć lat; z drobną przestraszoną twarzą, brązowymi tęczęwkami i posypanymi piegami okrągłymi policzkami sprawiał wrażenie miłego, niegroźnego dzieciaka.

– Musisz im powiedzieć, inaczej nie będą mogli ci pomóc. Rozumiesz?

Potwierdził skinieniem głowy.

– Powinienem już iść do szkoły, proszę pani – rzucił, ale nadal patrzył na mnie, jakby oczekiwał na pozwolenie.

– Jasne, zmykaj i pamiętaj, żeby trzymać się z dala od kłopotów.

Szczupła postać chłopca z plecakiem na ramieniu oddalała się, aż zniknęła za rogiem jednego z budynków. Patrzyłam w tamto miejsce jeszcze przez jakiś czas niczym zaczarowana i dopiero po chwili przypominałam sobie o czytelniku.

Wewnątrz centrum kultury miła starsza pani w długiej spódnicy i golfie poprosiła, żebym wpisała się do grubego zeszytu w kratkę, a następnie wskazała mi miejsce, gdzie mogłam szukać aktualnych numerów lokalnego dziennika. Szłam korytarzem, mijając po obu stronach szeregi wysokich aż po sufit przesuwanych regałów na szynach, które do złudzenia przypominały te z mojej uczelnianej biblioteki. Wreszcie odnalazłam właściwą szafę, odsunęłam ją od ściany i z coraz szybciej bijącym sercem zaczęłam przeglądać segregatory. Odszukanie tego właściwego zajęło mi kilka minut. Zdjęłam go z półki i usiadłam przy niewielkim stoliku z lampką.

Kiedy wyjmowałam cienki numer „Echa” z foliowej koszulki, drżały mi ręce. Rozłożyłam szarą gazetę przed sobą, wpatrując się w nią, jakbym oczekiwała cudu. Na okładce widniał artykuł o wypadku busa wiozącego pracowników na budowę oraz informacja o śmierci znanego aktora, który w młodości odwiedził miasteczko. Zachłannie pożerałam każdą stronę pisma, mając nadzieję, że wreszcie znajdę coś, co mogło pchnąć moją matkę do ucieczki, ale wszystko zdawało się nie mieć znaczenia. Publikacja o trzydziestoleciu powstania klubu honorowych krwiodawców, doniesienia o zamkniętych

drogach, alerty pogodowe czy wzmianka o medalach dla zwycięzców szkolnych zawodów w pływaniu – żadne z nich nie podsunęło mi tropu.

Nie potrafiłam dostrzec niczego, co w jakikolwiek sposób wiązałoby się ze sprawą sprzed lat. Uniosłam wzrok i wpatrzyłam się w pokryty szarymi naciekami sufit. O tej godzinie w czytelnicy panował spokój i tylko ledwie słyszalny szmer kroków bibliotekarki pobrzmiwał nieopodal. A co, jeśli moja matka naprawdę była niepoczytalna? W schizofrenii paranoidalnej mogła zobaczyć na tych fotografiach rzeczy, których tam wcale nie było.

Mruknęłam coraz bardziej rozdrażniona, po czym raz jeszcze kartka po kartce przewertowałam dziennik, na dłużej zatrzymując się tylko przy wspomnieniu aktora z lat osiemdziesiątych, którego mój ojciec darzył wyjątkową sympatią. Obok artykułu widniało czarno-białe zdjęcie artysty w szczytowej formie podczas jego wizyty w lokalnej szkole zawodowej w tym samym roku, w którym doszło do morderstwa dzieci. Nachyliłam się mocniej nad fotografią, szukając w twarzach nastolatków czegoś, co mogłoby mnie naprowadzić na nowy ślad, jednak każda z nich wydawała się obca.

Ksero ze zgrzytem wypluwało kolejne kartki, gdy oparta o szybę przeklinałam pomysł grzebania w przeszłości. Być może nie bez powodu zostawiamy ją za sobą. Żeby iść naprzód, musimy patrzeć przed siebie, w przeciwnym razie spotka nas twarde zderzenie z rzeczywistością. To tak, jakby jechać samochodem i nieustannie wpatrywać się w lusterko wsteczne; prędzej czy później skończy się to tragedią. Tyle że przeszłość mojej matki przypominała ruchome piaski, grząskie i wciągające. Niełatwo je opuścić, pomyślałam, a w tej samej chwili telefon w mojej kieszeni zawibrował. Numer, który wyświetlał się na ekranie, nic mi nie mówił.

– Halo? – wyszeptałam do komórki.

– Jesteś pod obstrzałem czy w kościele, że tak mamrociesz? – zapytał komendant Bruno Wilczyński.

– Rozczaruję cię, wertuję stare gazety w czytelnicy.

– Możesz powtórzyć? Zasnąłem tuż po „rozczaruję” i nie mam pojęcia, co mówiłaś później.

– Bardzo zabawne. Dzwonisz, żeby marnować mój czas, czy chciałaś mi przekazać coś konkretnego?

– Konkretny to moje drugie imię – skwitował. – Jagiellońska dwadzieścia przez osiem, zanotuj to gdzieś sobie, a gdyby ktoś pytał, skąd masz ten adres, udawaj głuchoniemą.

– Wariat. – Parsknęłam śmiechem, zapisując ulicę i numer na wewnętrznej stronie przedramienia.

– Z gatunku tych nieszkodliwych. Zresztą wiesz, jak to jest z tymi wilkami, niektóre mogą zmienić sierść, ale nigdy nie zmieniają natury. Czy mój dług wdzięczności możemy uznać za spłacony?

– Jasne, całkowicie.

– Trzymaj się, dziewczyno, i uważaj na siebie.

Słowa Brunona pobrzmiwały w moich myślach niczym ostrzeżenie. Pozbierałam wydruki i ruszyłam do drzwi, ale po drodze zatrzymałam się jeszcze na moment przy komputerze, by zajrzeć do cyfrowego archiwum wycinków prasowych. Moje palce sprawnie zaznaczyły daty od dnia morderstwa niemal aż do dziś, a w kategorii „wyszukiwane hasło” wpisały słowa „życie za życie”. Nacisnęłam enter, niecierpliwie uderzając dłonią o blat biurka. Gdy w końcu niebieskie kółeczko na pulpicie przestało się kręcić, system podsunął trzy różne fragmenty artykułów. Drżącą ręką otworzyłam pierwszy z nich i zastygłam. Dokładnie takie słowa pojawiły się na ścianie kościoła w dniu pogrzebu trzech chłopców w czerwcu tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego roku. Autor publikacji twierdził, że był to wyraz wsparcia dla rodzin dotkniętych tragedią, a zarazem deklaracja mieszkańców miasta, którzy w ten sposób uzewnętrzniili potępienie dla okrutnej zbrodni oraz domagali się kary śmierci dla jej sprawcy.

Nie potrafiłam zrozumieć, dlaczego akurat te słowa ktoś miałby wycinać na plecach mojej matki, to wszystko zdawało się nie mieć

sensu. Zyskałam natomiast pewność, że ani śmierć, ani uwięzienie Małgorzaty Lenart nie były przypadkowe.

1990

*

Zamknięty w pokoju przesłuchań Mieczysław Kąkol gniótł w brudnych palcach stary kaszkiet, który zazwyczaj nosił na swojej łysej głowie. Guziki koszuli w kratę miał zapięte krzywo, jakby ubierał się w pośpiechu, a przy tym cały czas niespokojnie podrygiwał stopą. Tym razem nie liczył na łut szczęścia, mając świadomość, że każda, najlepsza nawet passa kiedyś musi się skończyć.

Pół godziny temu policja zgarnęła go z garażu przerobionego na pokój z łazienką, gdzie wegetował przed telewizorem, popijając piwo, ubrany jedynie w majtki i wyciągnięty podkoszulek. Funkcjonariusze nie wyjaśnili, o co chodzi, ale traktowali go w sposób, który ewidentnie zwiastował kłopoty. Najgorzej postępował z nim syn komendanta – pchnął stróża na ziemię, przycisnął jego plecy stopą, a potem nachylił się nad uchem dozorca i tak, by nie słyszał tego drugi policjant, wyszeptał te okrutne słowa, które nie chciały wyjść z głowy Kąkole: „Zdechniesz, dzieciobójco”. Mężczyzna oparł łokcie na stole i kilkakrotnie uderzył pięściami w czaszkę, po czym się rozplakał.

Kiedy do pokoju wszedł komendant Leszek Suski w towarzystwie syna, dozorca szybko otarł oczy, próbując opanować emocje. Aspirant oparł plecy o ścianę, przyglądając się dozorca z wyższością, a jego ojciec położył na stole plik dokumentów.

– Znowu się widzimy, panie Kąkol – rzucił komendant, zajmując miejsce naprzeciwko stróża. – Wszystko byłoby cacy, ale ostatnio zapomniał nam pan powiedzieć o kilku ważnych rzeczach.

Mieczysław odchylił się na krześle ze zdziwieniem.

– Nie rozumiem, o czym pan mówi – odparł, mrużąc oczy.

– A ja myślę, że wręcz przeciwnie – droczył się Leszek Suski. – Mamy świadka, który twierdzi, że widział, jak grozi pan jednej z ofiar.

– To bzdury. Kto tak uważa?

– Może kiedy przytoczę więcej szczegółów, odświeży się panu pamięć. – Komendant wyjął z teczki dokument i zaczął czytać: – „Szarpał go i mówił, że jeśli puści parę z gęby, dostanie to, na co zasłużył. Zakopie go tak, że rodzona matka go nie znajdzie”. Brzmi znajomo? Podobno zaatakował pan Emila Lenarta za metalowymi garażami na nowym osiedlu.

Starszy mężczyzna potarł siwiejący zarost, tępo wgapiając się w ścianę.

– Ja nic nie zrobiłem – mruknął pod nosem.

– Tak? To dlaczego pana kumpel od kieliszka uważa inaczej? Chyba nie straszył pan dziesięciolatka ot tak, dla zabawy? – prowokował Suski. – Zresztą co takiego mógł wiedzieć o panu chłopiec z podstawówki, że tak bardzo wyprowadziło to pana z równowagi?

– To nie był żaden chłopiec, tylko diabeł wcielony! Jemu nawet z oczu źle patrzyło.

– I dlatego pan go zabił?

– Nikogo nie zabiłem! – huknął wyraźnie poirytowany Kąkol.

– W takim razie z jakiego powodu kazał mu pan trzymać gębę na kłódkę?

– Z żadnego. Nigdy nie groziłem temu smarkaczowi.

Komendant zerknął na syna, ale ten jedynie przewrócił oczami, dając znać, że nie wierzy w ani jedno słowo dozorca.

– Proszę w takim razie jeszcze raz bardzo dokładnie opisać, co pan robił w piątek piętnastego czerwca między jedenastą

a szesnastą – zażądał Leszek Suski, wyciągając z teczki wcześniejszy protokół z przesłuchania.

Mieczysław Kąkol westchnął z niechęcią, ale po chwili poddał się i zaczął opowiadać:

– Pilnowałem złomowiska, jak zwykle. Koło południa przyjechał ten nauczyciel, pomogłem mu wypakować graty, przyjąłem zapłatę, a potem usiedliśmy napić się wódki. – Sapnął, wiercąc się na krześle. – Facet odjechał po niecałej godzinie, więc dokończyłem butelkę sam i poszedłem w kimono.

– Gdzie?

– Na zewnątrz. Zasnąłem na słońcu na krzeselku wędkarskim, oparty o moją budę.

– Ale my znaleźliśmy pana w środku.

– Tak, bo kiedy się ocknąłem, polazłem w cień. Od tego słońca bolał mnie już łeb, a poza tym strasznie chciało mi się pić. – Podrapał nos wierzchem dłoni. – Tam lampilem się w telewizor i znowu mi odcięło prąd.

Komendant uśmiechnął się, kręcąc głową.

– Nie umie pan kłamać, panie Kąkol – stwierdził. – Najpierw mówił pan, że nauczyciel odjechał, kiedy już pan zasnął, teraz, że jednak było odwrotnie. To się wszystko nie trzyma kupy, a powinno, bo rozmawiamy o zabójstwie trzech chłopców, za które pójdzie pan na stryczek. – Popatrzył na niego groźnie.

– Niby po co miałbym zabijać tych gówniarzy? Zresztą widzieliście, w jakim byłem stanie, a jak nie wierzycie, to spytajcie tego nauczyciela. Nawalony w trzy dupy mam problem z trafieniem w drzwi, nie mówiąc o uganianiu się za dziećmiakami po polach.

Aspirant Bernard Suski, który dotychczas przysłuchiwał się zeznaniom świadka, podszedł bliżej, oparł dłonie o stół i nachylił się nad twarzą stróża.

– A może pan go krył? – spytał. – On zabił dzieci, a pan udawał, że nic nie słyszy? To by było panu na rękę, skoro mały Lenart znał jakieś pana tajemnice.

– To nieprawda! Nigdy wcześniej nie widziałem tego faceta! – Przestraszony Kąkol zerkał na komendanta w poszukiwaniu wsparcia.

– To co się tam naprawdę stało? – kontynuował Bernard coraz bardziej podniesionym głosem.

– Wszystko już powiedziałem.

– Dlaczego groził pan Emilowi Lenartowi?!

– Nigdy tego nie robiłem – pisnął bliski płaczu Mieczysław, a wtedy aspirant Suski kopnął krzesło, zrzucając dozorcę na podłogę.

Komendant poderwał się, ale nic nie powiedział, tylko śledził wzrokiem coraz wyraźniejszą panikę widoczną w starej twarzy Kąkola i narastającą wściekłość swojego syna. Tak wielką, jakiej nigdy wcześniej nie widział.

– Przestań pierdolić i mów, co wiedział o tobie mały Lenart?! – wrzasnął Bernard. – Albo oskarżymy cię o współudział i do końca życia będziesz gnił w pierdłu.

– Ale ja nie miałem z tym nic wspólnego, przysięgam – wyjaśniał płaczącym głosem dozorca, unosząc dłonie w geście poddania. – W życiu nie tknąłbym tych dzieci. Ja go tylko postraszyłem, żeby nikomu nie powiedział o tym psie.

– O jakim psie?

– Tym zasańcu ze złomowiska, co go otrułem i zakopałem w lesie. Dzieciak wszystko widział, a potem łaził za mną i w kółko chciał o tym gadać. No to potrząsałem nim trochę, żeby się zamknął, ale przyrzekam na swoją matkę, że nigdy bym go nie skrzywdził.

Aspirant Suski z ojcem spojrzeli po sobie, nie kryjąc zaskoczenia. Komendant pomógł dozorcę podnieść się z podłogi, gdy usłyszeli pukanie do drzwi.

– Wejść! – zawołał Leszek Suski.

Do środka zajrzał jeden z funkcjonariuszy.

– Szefie, przyszły wyniki badania próbek tej farby z laboratorium. – Zerknął niepewnie na przesłuchiwanego, jakby pytał przełożonego, czy może mówić w obecności mężczyzny.

Komendant wyszedł z podwładnym za drzwi i dopiero gdy je zamknął, zwrócił się do policjanta:

– I co? To ta sama farba?

– Jota w jotę, nie ma co do tego wątpliwości.

Zuzanna, 2015

*

Odnalezienie bloku, w którym mieszkała emerytowana prokurator Maja Miksa, okazało się niezwykle proste. Wystarczyło wpisać adres do internetowej mapy Google, by na zdjęciach satelitarnych obejrzeć kruszejący budynek z lat osiemdziesiątych, wyraźnie odstający od nowych osiedli bliźniaczo podobnych do siebie domów, które najwyraźniej wyrastały w okolicy niczym grzyby po deszczu.

Wemknęłam się do klatki tuż za młodą matką z dzieckiem na rękach, zbyt zestresowaną coraz głośniejszym płaczem malucha, by w ogóle zwracać na mnie uwagę. W środku pachniało intensywnie winogronowym płynem do podłóg, a z mieszkań dochodził brzęk naczyń ustawianych na stołach, strzępki rozmów i jazgot telewizorów. Na ścianach pomalowanych kremową farbą olejną ktoś napisał czarnym sprejem „To, że tu mieszkasz, nie znaczy, że jesteś stąd”, a tuż obok ktoś inny niebieskim flamastrem dorysował wielkiego penisa. Uśmiechnęłam się pod nosem, z niedowierzaniem kręcąc głową. Twórczość tutejszych blokowych artystów nie różniła się niczym od tej, którą widywałam w Warszawie. Jaki kraj, taki Banksy, pomyślałam gorzko.

Byłam już prawie na drugim piętrze, gdy pod drzwiami z numerem osiem dostrzegłam posiwiąłą kobietę o kuli, przekręcającą klucz w zamku. To musiała być ona. Podobnie jak na zdjęciach w prasie

sprzed dwudziestu pięciu lat, nosiła męską koszulę, czarne garnitururowe spodnie i skórzane mokasyny.

– Jest jakiś powód, dla którego pani się na mnie gapi? – zapytała tak niespodziewanie, że skserowane w czytelni kartki wypadły mi z rąk i stworzyły na podłodze czarno-białą rozetę.

Zaczęłam pospiesznie zbierać rozsypane papiery, a jednocześnie nieskładnie usiłowałam wytłumaczyć, kim jestem oraz z jakiego powodu tu przyszłam. Prokurator wbijała we mnie nieufne spojrzenie i niecierpliwie spoglądała na zegarek, przez co zupełnie traciłam wątek, a język plątał mi się jak u osoby pod wpływem. Jakbym znów miała naście lat i kurczyła się pod badawczym wzrokiem ojca.

– Po prostu chciałam z panią porozmawiać o tych dwóch sprawach – rzuciłam w końcu bezradnie, mając nadzieję, że cokolwiek z tego, co próbowałam wyrazić w swoim chaotycznym monologu, zabrzmiało sensownie.

Miksa zmierzyła mnie surowo od stóp do głów, zrobiła dziwną, zniesmaczoną minę, jak po zjedzeniu czegoś wyjątkowo ohydneho, po czym chwyciła się poręczy i powoli ruszyła w dół, mijając mnie, jakbym była powietrzem.

– Pani prokurator! – zawołałam.

– Proszę przyjść innym razem, teraz nie mam czasu – mruknęła, nawet nie podnosząc głowy.

– Ktoś w końcu musi mi coś powiedzieć. Dawny komendant Leszek Suski nie żyje, jego syn mnie zwodzi, wszyscy tutaj nabierają wody w usta. Jest pani moją ostatnią deską ratunku.

– To wzruszające, ale nie pomogę.

Ta postawa mnie rozsierdziła. Pobiegnęłam za kobietą, a gdy spotkałyśmy się na półpiętrze, zagroziłam jej drogę.

– Proszę. Jestem pewna, że te sprawy się ze sobą łączą. Muszę tylko uzyskać dostęp do akt z dziewięćdziesiątego roku, by znaleźć potwierdzenie – mówiłam jak desperatka.

– Przykro mi, ale nie pracuję już w prokuraturze. Poza tym do rozwiązywania takich kwestii służy oficjalna ścieżka...

– Która trwa zbyt długo, a ja nie mam na to czasu – ucięłam.

– W takim razie niewiele wskóram. – Rozłożyła dłonie w geście bezradności. – A teraz przepraszam, wybieram się na obiad.

Gdy zaczęła schodzić, w nerwach uderzyłam ręką o plastikową poręcz, miotając pod nosem przekleństwa. Przywykłam do tego, że ludzie mi odmawiali, w pracy dziennikarza to codzienność, ale takie lekceważenie doprowadzało mnie do białej gorączki.

– Życie za życie! – zawołałam, chwytając się ostatniej nadziei. – Taki napis Lenart miała wycięty żyłką na plecach, ten sam, który ktoś wymalował sprejem na ścianie kościoła w dniu pogrzebu. Ale na pewno już pani o tym wie.

Miksa zatrzymała się. Przez dłuższy czas stała bez ruchu, z twarzą odwróconą do ściany, aż w końcu uniosła na mnie wzrok wyrażający zaciekawienie.

– Zje pani ze mną obiad? – zapytała tak naturalnie, jakby nasza wcześniejsza wymiana zdań nigdy nie miała miejsca. – To za rogiem, mają świetne mielone.

Skinęłam głową z entuzjazmem, ale nadal nie byłam pewna, czego mogę się spodziewać po tej kobiecie. Stwierdzić, że to osoba nietypowa, to jakby nie powiedzieć nic. W myślach dźwięczały mi słowa komendanta Wilczyńskiego, przez co zaczęłam się zastanawiać, jaka była prawdziwa natura prokurator Mai Miksy i do której watahy wilków należała.

Kiedy złożyliśmy zamówienia w Swojskim Barze Mlecznym, Miksa wskazała stół na końcu sali, oddalony od miejsc zajmowanych przez pozostałych klientów.

– Czego tak naprawdę pani ode mnie chce?

– Dostępu do wszystkich protokołów z przesłuchań, dokumentów z sekcji, informacji o postępowaniu przygotowawczym...

– Za co? – przerwała mi. – Co zaoferuje mi pani w zamian?

– Spokój. Wyjaśnię, co spotkało Małgorzatę Lenart przed śmiercią, a może odpowiem również na pytania, które nie dają pani spać w nocy.

Roześmiała się suchym, zduszonym śmiechem palaczki.

– Niby dlaczego akurat pani miałoby się to udać?

– Bo pochodzę z zewnątrz, to moja przewaga. Nie znam tych ludzi ani zależności między nimi, wszyscy są dla mnie jednakowo podejrzani. Patrzę inaczej.

– To nie wystarczy – rzuciła sceptycznie między kolejnymi kęsami mielonego, które popijała kompotem.

Patrzyłam na jej szczupłe, silne dłonie poznaczone brązowymi plamami, na srebrne nitki, którymi poprzetykane były spięte klamrą włosy prokurator, i na głębokie zmarszczki na jej policzkach. Nie miałam wątpliwości, że wiele z nich powstało z powodu sprawy zabójstwa dzieci. Gwar panujący w jadłodajni pokrywał coraz bardziej krępujące milczenie między nami. W myślach rozważałam, ile mogę ujawnić na swój temat, ale wróciły do mnie słowa matki z listów, które wysyłała przez lata, by pod żadnym pozorem nie zdradzać, kim jestem, ani nie ufać nikomu. Uznałam jednak, że zaryzykuję i wyciągnę asa z rękawa.

– Małgorzata Lenart narysowała to w szpitalu. – Wyjęłam z portfela kartkę, którą dostałam od pielęgniarki, i podałam ją Miksie. – Było schowane tak, by nikt nie mógł tego odnaleźć, dlatego uważam, że chodzi o coś ważnego.

Prokurator nałożyła okulary, a później z ciekawością przyglądała się rysunkowi.

– Według mnie ona zginęła, bo odkryła, kto jest prawdziwym mordercą – kontynuowałam. – Uważam, że uciekła, by wymierzyć sprawiedliwość, ale zabójca był od niej sprytniejszy.

Kiedy po raz pierwszy wypowiedziałam na głos słowa, które dotychczas żyły jedynie w mojej głowie, opadło mnie nieoczekiwane wzruszenie. Odchrząknęłam, by ukryć, co się ze mną dzieje, a potem dopiłam resztkę wiśniowego kompotu. Prokurator sprawiała wrażenie zamyślanej, wodziła palcem po szkicu, mrużąc coś niezrozumiałego pod nosem.

– Kim pani tak naprawdę jest, pani Zuzanno?

Z trudem przełknęłam kęs, który przed momentem włożyłam do ust. Ręka mi zadrżała, dlatego odłożyłam widelec, a dłoń schowałam pod stół.

– Jestem kobietą, która rozczarowała sobą wszystkich. Począwszy od rodziców, na mężu i synu skończywszy. Nie wspominając o mojej wielkiej zawodowej porażce. – Spuściłam wzrok, zawstydzona tym, że te słowa tak naturalnie ze mnie wypłynęły. – Właściwie do niedawna myślałam, że jestem nikim. Za często sięgałam po alkohol i pozwoliłam, by życie przeciekało mi przez palce. Nie spełniłam niczych oczekiwań, nawet swoich własnych. Dopiero kiedy tu przyjechałam, dotarło do mnie, że jeszcze potrafię być wojowniczką. Że może nie do końca skapitulowałam. – Uśmiechnęłam się z zakłopotaniem. – Przepraszam, nie zamierzałam się pani zwierzać.

Prokurator Miksa wpatrywała się we mnie z wyrazem twarzy, który mogłabym odczytać jako współczucie. Jej oczy nabiegły wilgocią, a wargi lekko zadrżały, jakby dokładnie rozumiała, o czym opowiadałam.

– W końcu zobaczyłam prawdziwą panią – skwitowała. – Swoją drogą, wiem, jak to jest nie spełniać niczych oczekiwań – powiedziała w zamyśleniu.

– Trudno uwierzyć, że ktoś tak perfekcyjny i profesjonalny jak pani mógłby kiedykolwiek nie czuć się wystarczająco dobry.

– Wszyscy perfekcjniści tak się czują, dlatego nie potrafią sobie odpuścić. – Rozciągnęła usta w smutnym uśmiechu. – Postaram się pani pomóc – oznajmiła wreszcie. – Chcę mieć jednak pewność, że nie opublikuje pani niczego, dopóki nie doprowadzimy tej sprawy do końca.

– My?

– Tak. Od dziś będzie się pani dzielić ze mną wszystkimi swoimi odkryciami. Jeśli mam pani zaufać, pani musi również zaufać mnie.

– A skąd mam wiedzieć, że jest pani godna zaufania?

– Bo dotychczas nie znałam treści napisu na plecach Lenart – wyjaśniła, splatając palce. – Widzi pani, czasy się zmieniają i ludzie

na różnych stołkach też. Niektórzy umierają, zabierając tajemnice do grobu, jak Leszek Suski. W prokuraturze rządzi teraz Woźniak, taki młody karierowicz. A wie pani, z kim chadza na wódkę?

Wzruszyłam ramionami.

– Z Bernardem Suskim – oznajmiła, patrząc mi wymownie w oczy.

1990

*

Jerzy Babicz klął siarczyście, wymieniając pasek rozrzędu w samochodzie klienta, ponieważ robota, która zapowiadała się na prostą i szybką, zamieniła się w żmudną i czasochłonną. W trakcie prac okazało się, że silnik ma różne drobne wycieki i trzeba go będzie dodatkowo uszczelnić, a przy tym wyregulować zawory. Mężczyzna stęknął, podnosząc się z kolan, po czym otarł pot z czoła.

Od pogrzebu wnuka chodził osowiały, jakby akt zakopania trumny w ziemi zabrał mu ostatnie drobiny nadziei. Coraz mniej jadł, coraz więcej pił, a do tego bez wyraźnego powodu naskakiwał na synową, w której wszystko zaczęło mu nagle przeszkadzać. Oczywiście wiedział, że nie powinien, ale kłębiąca się w nim złość wygrywała ze zdrowym rozsądkiem. Romek najwyraźniej nie mógł dłużej znieść zachowania Jerzego i poprosił ojca, by zastąpił go tego dnia w zakładzie. Wierzył, że praca pomoże mu zająć myśli, uspokoi nieco i zredukuje narastające napięcie, ale nie miał racji, bo bez względu na to, co Jerzy robił, z każdego kąta warsztatu, niczym pająki o długich, cienkich odnóżach, wyłaziły wspomnienia o Kubusiu.

Stary mechanik mył właśnie ręce, gdy usłyszał skrzypnięcie drzwi, a potem zobaczył znajomego faceta z wydatnym brzuchem, torbą na

ramieniu i dużym zeszytem w dłoni.

– Dzień dobry, panie Babicz. – Podał Jerzemu rękę, ale tamten nie odwzajemnił gestu, przyglądając się gościowi niepewnie. – Okresowe badanie przewodów wentylacyjnych, mogę?

– A, to pan! Tak coś gęba mi się wydawała znajoma, ale nie mogłem sobie przypomnieć skąd. – Dopiero teraz uścisnął kontrolerowi dłoń. – Niech pan bada, co pan chce.

– Dziękuję. Chciałem też powiedzieć, że bardzo mi przykro z powodu tego, co się stało.

Ojciec Romka nie znosił, gdy ludzie, chcąc zrobić to, co wypada, nieświadomie rozdrapywali jeszcze niezabliźnione rany, dlatego kiwnął tylko głową i nachmurzony wrócił do swojej roboty. Kątem oka obserwował, jak mężczyzna robi pomiary, przykładając do kratki wentylacyjnych niewielkie urządzenie z wiatraczkiem. Facet zapisywał wyniki w zeszycie, drapał się po brodzie i posapywał. Cmokał, wzdychał, mamrotał coś pod nosem, a gdy skończył, podszedł do mechanika.

– Nie jest najlepiej, panie Babicz – oznajmił. – Trzeba to wszystko poczyścić, bo się za chwilę podusicie tutaj spalinami. Musi pan wyjąć każdą kratkę i porządnie wyszorować, a szczególnie tę nad biurkiem, bo wygląda na to, że tam w przewodzie coś zdechło, nie wiem, ptak może jakiś, ale drożność jest fatalna. – Załamywał rękę. – Ja oczywiście nikomu tego teraz nie zgłoszę, bo przecież nie chodzi o to, żeby ludziom robić kłopoty, ale musi mi pan obiecać, że sprawa będzie załatwiona.

Jerzy zazgrzytał zębami, jakby wizja nawet najdrobniejszego dodatkowego problemu stanowiła kroplę, która może przelać czarę goryczy.

– Będzie zrobione – odparł, wycierając dłonie w ścierkę, by móc pożegnać kontrolera. – Niech się pan nie martwi. Może nawet wezmę się do tego od razu, żeby mi nie umknęło. – Powiódł wzrokiem po kratkach wentylacyjnych.

Kiedy mężczyzna zniknął za drzwiami, Babicz mruknął pod nosem:

– Kutafon jeden.

Zamierzał na powrót zająć się maluchem, którego wyjęty silnik stał na środku warsztatu, ale uznał, że sprawdzi tylko, czy w przewodzie nad biurkiem rzeczywiście nie utknęło jakieś martwe zwierzę. Nie tak dawno ptaki zbudowały im w kominie gniazdo, spodziewał się więc wszystkiego.

Dyszząc, uniósł nogę, postawił ją na krześle, które skrzypnęło pod jej ciężarem, a następnie drugą stopą odbił się od podłogi i kurczowo trzymając się oparcia, z wysiłkiem wgramolił się na mebel. Pot sływał mu z czoła, zostawiając wilgotne ślady na skroniach oraz szyi, a następnie niknął pod niebieskim kombinezonem roboczym.

Jerzy, trzęsąc się, przeszedł na biurko, po czym sięgnął do kratki, z której osypał się kurz. W obawie przed czymś, co mogłoby mu spaść na głowę, osłonił ramieniem twarz i z dużą ostrożnością włożył palce do przewodu. Wyobraźnia podpowiadała mu, że wewnątrz może spać włośchaty nietoperz albo coś równie obrzydliwego, jednak ku swemu zdziwieniu natrafił na dziurawą, poplamioną smarem szmatę zrobioną ze starego podkoszulka. Zaintrygowany chwycił ją mocno i chwiejąc się, zszedł na krzesło, a następnie na podłogę.

Gdy pod zniszczonym materiałem wyczuł jakąś wypukłość, przeszedł go dreszcz, ale kiedy odstłonił znalezisko, skamieniał. Błady przyglądał się nie większej od dłoni maskotce tygrysa z plastikowymi rączkami, którą w dniu zaginięcia wnuka przypiął mu do koszulki.

Nogi ugięły się pod Babiczem i musiał chwycić się biurka, by nie wylądować na posadzce. Futro zabawki nosiło na sobie zaschnięte, ciemne plamy, łudzaco przypominające krew, a on nie potrafił znaleźć racjonalnego wytłumaczenia obecności tego przedmiotu w kratce wentylacyjnej. Pamiętał, że ani Ela, ani Romek nie chcieli odebrać żadnych rzeczy osobistych Kubusia z prosektorium, bo oglądanie ubrań syna zabrudzonych krwią było ponad ich siły. Po głowie, jak ptaki uderzające długimi skrzydłami o ściany klatki, tłukły

mu się przeróżne myśli. W końcu wziął ze sobą tygryska, przezornie owijając go w szmatę, i ruszył zapytać o niego syna.

Zastał go w kuchni. Sterty szklanych talerzy i kubków piętrzyły się na stole ustawione w chybotliwe, krzywe wieże, gdy Romek demontował jedną z wiszących półek. Był tak pochłonięty pracą, że nie dostrzegł przyglądającego mu się w osłupieniu ojca.

– Co ty, do cholery, wyprawiasz? – zapytał Jerzy, zwracając na siebie uwagę syna. – Mogłeś mnie chociaż zapytać, na litość boską, w końcu to jeszcze jest mój dom.

– Musiałem się czymś zająć i pomyślałem, że wyremontuję ci kuchnię – oznajmił Romek, nie przerywając pracy. – Odświeżymy te meble, pomaluję ściany, a jak starczy pieniędzy, to może uda się wymienić piekarnik na jakiś mniej przedpotopowy.

Jerzy popatrzył smutno na syna.

– A co zrobisz potem, jak już zabraknie miejsc, które mógłbyś posprzątać i odnowić?

– O co ci chodzi?

– Dobrze wiesz o co. Cały czas udajesz, że nic się nie stało, z nikim nie chcesz o nim rozmawiać, omijasz jego pokój, nie chcesz patrzeć na jego zdjęcia i zachowujesz się, jakby wcale nie obchodziło cię, czy znajdą mordercę. Jakbyś chciał o tym wszystkim zapomnieć i żyć dalej.

– To źle? Może mam pić jak ty albo całymi dniami rozpaczać jak Ela? To cię zadowoli? Jego już nie ma, tato, i nikt go nam nie zwróci.

– Przymknął na moment powieki, wypuszczając powietrze z płuc.

Stary Babicz poczuł, jakby otrzymał od syna mocny, piekący policzek.

– Skoro jesteś taki mądry, to powiedz mi: co to jest? – warknął, odwijając ze szmaty zabawkę Kuby.

Na jej widok śrubokręt wysunął się z dłoni Romka i z łoskotem spadł na podłogę. Mężczyzna błędnym wzrokiem po wypłowiałych kafelkach na ścianie, a jego zęby uparcie przygryzały wargę.

– Mowę ci odjęto? – nie ustępował ojciec. – Dlaczego trzymałeś tego tygrysa za kratką wentylacyjną? On go miał tamtego dnia, Romek, więc jak mi zaraz nie powiesz, skąd się wziął w naszym domu, to Bóg mi świadkiem, dzwonię na policję.

– Nie rób tego – poprosił słabym głosem jego syn. – Ja... zabrałem go z miejsca zbrodni. – Przełknął ślinę. – Nie mogłem się powstrzymać.

– Ale kiedy? Przecież tam było pełno policji, nie pozwoliliby ci nawet do niego podejść.

– Wtedy, gdy funkcjonariusze odciągali Elę od Kubusia. Przez moment nikt nie patrzył na mnie, schyliłem się i szybko podniosłem maskotkę. To był impuls, nie wiem, dlaczego to zrobiłem. Widziałem ją już wcześniej w trawie i nagle po prostu... – Schował twarz w dłonie, oddychając ciężko.

Ramiona Jerzego opadły, jego dotychczasowa wściekłość wyparowała, ustępując miejsca współczuciu, jakby silny i dorosły syn na nowo stał się w jego oczach małym, wymagającym opieki chłopcem.

– Już dobrze. – Podszedł do Romka i poklepał go po plecach. – Ela wie?

– Nie, i proszę, żebyś nic jej nie mówił. – Otarł wilgotne oczy. – Wystarczy, że od rana do nocy wertuje albumy ze zdjęciami Kuby. To by było dla niej za dużo.

Stary Babicz kiwnął z wyrozumiałością głową, a potem podrapał wysokie czoło, jakby się nad czymś intensywnie zastanawiał.

– Myślę, synu, że mimo wszystko powinieneś go pokazać policji – stwierdził. – Nie wiem, jakby co, sam mogę im go zanieść, powiem, że znalazłem go na łąkach przy złomowisku, coś wymyślę.

– Ale po co?

– Żeby zbadali tę krew. Oni mają na to jakieś swoje sposoby, widziałem na filmach. Kto wie, może to krew tego bydlaka, który im to zrobił? Jak nie sprawdzimy, to się nie dowiemy. Zrobisz to dla mnie?

– Dobrze, pojedę do nich jeszcze dzisiaj – zgodził się niechętnie Romek.

I choć patrzył przy tym ojcu w oczy, a nawet wykrzesał z siebie wąły uśmiech, ledwie mający w kącikach ust, Jerzy wychwycił w zachowaniu syna fałsz. Z niewytłumaczalnego powodu rodzice potrafili dostrzec, kiedy ich dziecko kłamało, jakby byli wyposażeni w magiczną moc.

Stary Babicz wzdrygnął się, czując zimno obejmujące całe ciało. Za gardło chwyciło go graniczące z pewnością przeczucie, że Romek nie odda zabawki funkcjonariuszom, co będzie oznaczało, że ukrywa znacznie więcej, niż twierdzi.

Zuzanna, 2015

*

W drodze do domu Elżbiety Babicz wyobrażałam sobie ten moment, gdy odwróciła głowę, a jej syna nie było w miejscu, w którym znajdował się jeszcze przed chwilą. Niemal widziałam narastający strach w jej oczach i drżące z przerażenia ciało. Czułam, jak cała sztywnieje, a potem przestaje oddychać. Niektórzy wierzą, że jeśli coś nas nie zabije, to nas wzmocni, ale to nieprawda. Czasem zdarzenia zostawiają nas przy życiu tylko po to, by uśmiercać nas latami. Dręczyć obrazami z przeszłości, dusić niedającym się strząsnąć poczuciem winy.

Ludzie, którzy stracili kogoś bliskiego, nosili na sobie pewną niemożliwą do usunięcia rysę. Mogli ją zamalować, schować pod ubraniami, ale ona cały czas uporczywie się wyłaniała, jak natrętna myśl, od której nie sposób uciec. Dopadała ich w najmniej spodziewanych sytuacjach, w kolejce do kasy, podczas zmywania naczyń albo w trakcie podróży autobusem. Nagle jakiś dźwięk, zapach albo obraz przypominały o tym, kogo już nie ma, i druzgotały mozolnie budowaną normalność, każąc zaczynać wszystko od nowa.

Elżbieta Babicz doskonale znała to uczucie, widziałam to w jej wyblakłym spojrzeniu, gdy otworzyła drzwi i zaprosiła mnie do środka. Rok po śmierci syna rozwiodła się z mężem, kilka miesięcy

później poznała nowego partnera, wkrótce wzięli ślub, na świat przyszła ich córka, za jakiś czas kolejna, ale żadne z tych wydarzeń nie zdołało zmazać rysy. Dziś dorosłe dzieci były już na studiach, a Ela, nie mogąc się odnaleźć w opustoszałym gnieździe, wystarała się o pracę w miejscowej bibliotece.

Czytelnicy ją lubili, potrafiła barwnie opowiadać o książkach i zawsze z cierpliwością wysłuchiwała zbyt długich, nudnawych historii klientów, jednak bez względu na to, kim była dzisiaj, wszyscy niezmiennie postrzegali ją jako matkę zamordowanego chłopca. Jakby czas dla niej zatrzymał się dwadzieścia pięć lat temu. Ludzie nadal dbali o to, by w rozmowie nawet nie zbliżać się do tematów zabójstw i śmierci, a jeśli komuś się to przydarzyło, pogrążał się w niezręcznym milczeniu.

– Traktują mnie jak trędowatą – wyjaśniała, ściskając w dłoniach kubek z herbatą. – Chcą być mili, ale gdy patrzą na mnie, widzą tylko tamtą zbrodnię. Ona jest jak cień, już zawsze będziemy razem.

Siedziałyśmy w skromnie urządzonej salonie jej nowego domu na przedmieściu. Ona na fotelu, ja na kanapie, której poduszki były tak miękkie, że nieustannie towarzyszyło mi uczucie zapadania się, jakby mebel chciał mnie wessać i połknąć. Patrzyłam na kobietę ze starannie ułożonymi włosami, perfekcyjnym makijażem, ubraną w niebieską bluzkę w kwiaty, lecz żadna z tych rzeczy nie potrafiła przysłonić jej smutku. Głębokie bruzdy pod oczami, kąciki ust naturalnie opadające w dół oraz ciało napuchnięte od alkoholu wypijanego dla przyćmienia bólu uświadamiały, że ona nadal cierpi.

Z uprzejmości poczęstowałam się maślanym ciastkiem posypanym cukrem.

– Co pani sądzi o tych pogłoskach, że Małgorzata Lenart była więziona, zanim odebrała sobie życie?

– Trudno mi w to uwierzyć, bo niby kto miałby ją przetrzymywać? Może wpadła w jakieś szemrane towarzystwo?

– Nikt tutaj nie życzył jej śmierci?

– Nie, wszyscy byli raczej przerażeni tym, co się z nią stało. – Pokręciła głową ze smutkiem. – No może poza Jolantą Zielińską, która później wyemigrowała. Ona winiła syna Lenart za to, że sprowadził jej dziecko na złą drogę, ale według mnie obaj chłopcy byli sobie warci. Sama nieraz widziałam, jak dokuczali starszym ludziom albo podkradali słodycze ze sklepów. Myślę, że kiedy broili, ich matki musiały się nimi zainteresować. Wprawdzie dostawali wtedy lanie, ale przynajmniej przez chwilę cała uwaga rodziców była skupiona na nich.

– Chce pani powiedzieć, że na co dzień byli zaniedbywani?

– Nie ma się co dziwić, Zielińska miała ośmioro dzieci, ledwie wiązała koniec z końcem, piła, zmieniała facetów jak rękawiczki... Nie wydaje mi się, by jakoś specjalnie roztkliwiała się nad synami. Niektórzy mówili, że ci starsi dręczyli młodszych, a może nawet robili im jeszcze gorsze rzeczy. – Uniosła dłonie w obronnym geście. – Nie chcę nawet o tym myśleć.

– A Lenart?

– Zawsze była cicha i spokojna. Podobno po rozwodzie miała depresję, przestała przychodzić do pracy, krążyły plotki, że całymi dniami leżała w łóżku w brudnych ubraniach, a potem, gdy to się stało, całkiem się rozpadła.

Przełknęłam ślinę, by zatrzymać narastające pieczenie w gardle, a gdy to nie pomogło, sięgnęłam po kubek i duszkiem wypłam czarną herbatę. Czy właśnie tak wyglądało moje dzieciństwo? Nic dziwnego, że ojciec chciał mi je stworzyć od nowa.

– Dobrze się pani czuje? – Elżbieta Babicz, zaniepokojona moim przedłużającym się wgapieniem we wzór na obrusie, położyła mi dłoń na ramieniu.

– Przepraszam, zamyśliłam się. – Posłałam jej uspokajający uśmiech.

Kobieta uzupełniła herbatą pusty kubek, a następnie podsunęła ku mnie talerzyk z ciastkami.

– Wstyd mi się do tego przyznać – zaczęła nieśmiało, miętosząc w palcach fragment obrusu – ale kiedyś podejrzewałam, że Romek miał z nią romans.

– Z Małgorzatą Lenart?

Kiwnęła głową i zawstydzona odwróciła wzrok.

– Jakoś krótko po tragedii przyszła do nas. Mój ówczesny mąż otworzył drzwi, ale nie wpuścił jej do środka. Słyszałam, jak się kłócili, a później on ją wygonił. Był wściekły.

– O czym rozmawiali?

– Nie wiem, ale kilka dni po tym podsłuchiłam jego rozmowę telefoniczną i uznałam, że to mogło mieć związek z Lenart. Romek w tamtym czasie się zmienił, odtrącał wszystkich, przestał mnie przytulać. Nawet swoją ukochaną siostrzenicę odpychał, a wcześniej on by za nią w ogień skoczył. – Westchnęła. – Któregoś wieczoru przytapałam go, jak mówił do słuchawki: „Nie rozumiesz, że w końcu wszyscy się o nas dowiedzą? Musisz zapomnieć o tym, co sobie obiecywaliśmy. Trzeba z tym skończyć”. – Przygryzła wargę, jakby to wspomnienie nadal ją bolało. – Wtedy już wiedziałam, że kogoś ma. Zapamiętałam te słowa, bo analizowałam je tysiące razy.

– Czy wie pani, kto to był?

– Zapytałam go od razu, ale on tylko powiedział: „przepraszam kochanie, tak bardzo cię przepraszam” i się rozpłakał. Nigdy więcej nie wracaliśmy do tego tematu.

Elżbieta w zamyśleniu pocierała dłońmi uda. Jej spojrzenie błędziło po przeciwległej ścianie, na której obok zdjęć z córkami oraz nowym mężem wisiła także ramka z wizerunkiem Romka i Kuby.

– W każdym razie Lenart nigdy więcej już do nas nie przyszła.

Patrząc na twarz kobiety, myślałam o tym, że bez względu na to, jak bardzo zadbamy o fasady, w środku nadal możemy przypominać ruinę. Kiedy odprowadzała mnie do drzwi, szukałam właściwych słów, które mogłabym jej zostawić, ale nic z tego, co przychodziło mi do głowy, nie wydawało się odpowiednie. Stopy zatapiały się w miękkim dywanie na korytarzu, a oczy piekły ze zmęczenia. Ze

ścian zerkają córki Elżbiety, uchwycone w ważnych życiowych momentach. W trakcie balu maturalnego, podczas obrony pracy licencjackiej i wśród drzew na łące, gdzie na kamieniu ozdobionym tablicą pamiątkową zostawiały świeczkę dla brata, którego nie zdążyły poznać.

– Wie pani, że po tamtym Romek nigdy nie wrócił w okolice zagajnika? – oznajmiła niespodziewanie. – Krytykował nasze wizyty i modlitwy na łąkach. Kiedyś często jeździł tamtędy rowerem na skróty z miasta do domu, ale po tragedii nawet nie zbliżał się w okolice złomowiska. Jakby się bał, że znów zobaczy tych chłopców.

1990

*

Prokurator Maja Miksa przyjechała na komendę spóźniona i wyraźnie zdenerwowana. Najpierw ścięła się z funkcjonariuszką na parkingu tylko dlatego, że tamta zablokowała radiowozem wjazd, po czym ofuknęła policjanta, który niedostatecznie cicho skomentował zajście słowami „chłopa chyba dawno nie miała”. Zwykle Maja puściłaby taką szowinistyczną uwagę mimo uszu, ale po porannej kłótni z Rosą nie potrafiła odzyskać równowagi.

Kochanka niezapowiedzianie zjawiała się w prokuraturze, łamiąc tym samym ich umowę dotyczącą dyskrecji i narażając Miksę na zdemaskowanie. Co więcej, zmusiła sekretarkę do wyciągnięcia prokurator z ważnego spotkania pod pretekstem podania nowych informacji dotyczących śledztwa w sprawie zabójstwa chłopców. Wzburzenie, które zawładnęło Mają, gdy okazało się, że Rosa przyszła podzielić się tym, co wyczytała z kart tarota, było tak silne, iż teraz nie potrafiłaby powtórzyć nawet połowy wykrzyczanych w furii słów. Pamiętała jedynie wielkie jak grochy łzy Romki, gdy ta wybiegała z jej gabinetu.

– Cześć, wybacz poślizg – rzuciła, dołączając do Leszka Suskiego. W pokoju przebywał również Tomasz Atman, nowy nauczyciel lokalnej szkoły. – Dzień dobry, prokurator Maja Miksa – przedstawiła się mężczyźnie.

– Dopiero zaczęliśmy – wyjaśnił komendant. – Pan Atman został uprzedzony o odpowiedzialności karnej za zeznanie nieprawdy lub zatajenie prawdy.

Matematyk potwierdził słowa policjanta skinieniem głowy. Wydawał się nad wyraz spokojny. Jego dłonie leżały na stole zwrócone wnętrzami do góry, jakby chciał w ten sposób dać do zrozumienia, że nie ma nic do ukrycia. Maja nie dostrzegła żadnych nerwowych ruchów, tików czy choćby zmian fizjologicznych mogących sugerować stres. Na jego policzkach ani szyi nie pojawiły się rumieńce, na czole nie zaświeciła nawet kropla potu. Tylko rozszerzone źrenice mężczyzny sprawiały wrażenie nienaturalnych.

– Zawsze ma pan takie źrenice? – spytała Miksa.

– Nie, to po kroplach do oczu. Przez lata zaniedbywałem wzrok, ślęcząc nad klasówkami uczniów przy słabym świetle, i się dograłem.

– Wiem coś o tym, też zbyt dużo czytałam po ciemku. Całe szczęście, że krople można kupić bez recepty, to oszczędza mnóstwo czasu.

– To prawda – zgodził się nauczyciel.

Leszek Suski niezupełnie rozumiał, do czego zmierza prokurator, ale znał ją na tyle długo, by wiedzieć, że absolutnie nigdy nie wchodzi z przesłuchiwanymi w pogawędki, poza sytuacjami, w których usiłuje coś z nich wyciągnąć. Komendant wyjął z teczki raport sporządzony przez Bernarda po wizycie w domu matematyka i przyjrząwszy się dokumentowi, zadał pytanie:

– Czy może pan doprecyzować, o której dokładnie przyjechał pan na złomowisko w piątek piętnastego czerwca?

– Nie pamiętam, coś koło południa. Nie patrzyłem na zegarek.

– A wcześniej był pan w szkole, prawda? Trafił pan tam w trakcie lekcji czy na przerwie?

– Chyba w trakcie lekcji, bo wydaje mi się, że było cicho, ale nie dałbym sobie ręki uciąć. Byłem zamyślony, spieszyłem się.

– Dokąd się pan tak spieszył, skoro później – policjant spojrzał na raport – sprzątał pan dom, wywoził rzeczy na wysypisko złomu, mył samochód i oglądał telewizję? Raczej nic z tego nie wymagało pośpiechu.

Atman roześmiał się, z zawstydzeniem pochylając głowę.

– Niby tak, ale wie pan, jak to jest być w ciągłym biegu. W końcu człowiek zapomina, że wcale nie musi pędzić, jakby nie potrafił tego wyłączyć i się zatrzymać.

Suski cmoknął ze zrozumieniem, po czym spojrzał na Maję, dając jej znak, by kontynuowała rozmowę.

Prokurator sięgnęła po wydruk z laboratorium i odwróciła go w stronę nauczyciela.

– Farba, której używał pan do odmalowania domu, to ta sama, którą znaleźliśmy na ubraniach ofiar zabójstwa nieopodal złomowiska.

Miksa wiedziała, że niekiedy na przesłuchiwanym najlepiej działają niedopowiedzenia oraz luki, które oni sami muszą uzupełnić. Matematyk wyprostował się natychmiast, po czym ściskając w palcach kartkę, ściągnął brwi.

– Nie rozumiem, co pani insynuuje. – Oddał jej dokument. – Ta farba jest ogólnodostępna, każdy może ją kupić. Poza tym wywoziłem puste puszki na wysypisko, może ci chłopcy wzięli je do zabawy?

– Może, a zdradzi pan, gdzie ją kupił? – ciągnęła prokurator.

– W tym domu towarowym Kryształ, niedaleko parku z fontanną. – Atman zauważył wymianę spojrzeń między śledczymi. – To chyba nie jest zabronione?

Maja Miksa zignorowała jego pytanie. Zerknęła na miejsce w raporcie, które długopisem wskazywał komendant.

– Aspirant Suski umieścił tutaj informację o tym, że w dniu morderstwa układał pan w domu panele.

– Tak, to prawda.

– A co stało się ze starą klepką podłogową, którą pan zerwał z posadzki?

– Spaliłem ją w piecu od centralnego ogrzewania.

– Latem? W domu musiało się zrobić strasznie gorąco, w ubiegłym tygodniu mieliśmy falę upałów. – Wpatrywała się w niego podejrzliwie.

– Rzeczywiście to był kiepski pomysł, ale chciałem pozbyć się tego bałaganu i nie przemyślałem sprawy, a potem było już za późno.

Leszek Suski lustrował mężczyznę wzrokiem, czując do niego coraz większą niechęć. Wcześniejszy spokój nauczyciela zaczął przemieniać się w nerwowość. Jego dłonie lekko drżały, a mięśnie twarzy sprawiały wrażenie napiętych.

– Panie Atman, czy istnieje szansa, by znalazł się ktoś, kto mógłby potwierdzić, że po opuszczeniu złomowiska aż do wieczora przebywał pan w domu? – drążył komendant. – Jakiś sąsiad, może ktoś do pana wtedy dzwonił, albo pamięta pan, co leciało wtedy w telewizji?

– Niestety nie – odparł cicho matematyk, jakby wreszcie dotarło do niego, w jak niekorzystnym położeniu się znalazł.

– W takim razie obawiam się, że będziemy musieli zatrzymać pana w charakterze podejrzanego o potrójne zabójstwo – oznajmił Suski, celowo podkreślając ostatnie słowo.

– Ale jak to? Przecież ja nic nie zrobiłem! – Twarz mężczyzny stała się blada.

– Tyle że wszystkie poszlaki świadczą przeciwko panu. Pańska obecność na miejscu zdarzenia, farba na ubraniach i ciele ofiar, fakt, że wyszorował pan dokładnie samochód, wysprzątał i odmalował dom, a do tego brak alibi.

– Nie możecie tego zrobić! Nic na mnie nie macie!

– Jak najbardziej możemy – potwierdził Suski. – Zatrzymamy pana na czterdzieści osiem godzin i zobaczymy, czy zacznie pan inaczej śpiewać. A w tym czasie poszukamy jeszcze paru haków na pana.

– To jakiś absurd.

Tomasz Atman w panice przenosił spojrzenie z komendanta na prokuratora, jakby szukał w ich twarzach oznak, że to wszystko jest tylko jakąś pomyłką albo co najwyżej próbą, z której może jeszcze wyjść zwycięsko. Oparł głowę na dłoniach, szepcząc:

– To się nie dzieje naprawdę.

– Obawiam się, że jednak tak – powiedziała Miksa. – Bez solidnego alibi stanie się pan głównym podejrzanym, zostaną panu postawione zarzuty.

– Ale za co?! Czy wyście oszaleli?! – wrzasnął, a gdy zreflektował się, że to tylko wzmacnia nieufność śledczych, uniósł dłonie w przeproszającym geście. – Po co miałbym zabijać te dzieci? Jestem nauczycielem, nie mordercą!

– Alibi – powtórzył Leszek Suski, stukając palcem w dokument.

Matematyk pokręcił głową z rezygnacją, po czym wpatrzony nieobecny wzrokiem w ścianę, zacisnął zęby na dłoni zwiniętej w pięść. Wtedy komendant poprosił do pokoju funkcjonariusza, który odprowadził przygaszonego nauczyciela do aresztu.

Śledczy zostali sami. Maja Miksa, patrząc na szarpaną przez wpadający do pokoju wiatr firankę, niecierpliwie uderzała końcówką długopisu o blat.

– Co jest? – zagaił komendant. – Chyba nie powiesz mi, że masz co do niego wątpliwości? Facet śmierdzi na kilometr. Nic z tego, co nam powiedział, nie jest prawdą.

– Kłamie jak z nut, tego jestem pewna, dlatego zapytałam go o te krople do oczu i wiem już, że na sto procent ich nie używa.

– Po czym to wnosisz?

– Takie szerokie źrenice ludzie mają zwykle po atropinie, ale można ją dostać tylko na receptę. Wiem, bo znajoma regularnie kupuje ją dziecku z krótkowzrocznością, podobno to spowalnia postęp wady.

– No to co się stało z jego źrenicami?

– Nie mam pojęcia, może bierze psychotropę albo narkotyki? Trzeba mu zrobić testy. Pobierzecie próbkę moczu i krwi?

Leszek Suski przytaknął, rejestrując zatroskaną minę prokurator.

– Dlaczego mam wrażenie, jakbyś nie była usatysfakcjonowana?

– Za łatwo poszło. – Westchnęła. – No i nie widzę motywu. Zobacz, on nie znał ofiar. Przyjechał nowy do miasteczka i na dzień dobry zabił troje dzieci? Ten facet nie wygląda na idiotę, a do tego ma czystą kartotekę. Jestem prawie pewna, że przeszukanie domu i posesji nie da nam żadnego dowodu. – W zamyśleniu przygryzła końcówkę długopisu. – A co z pozostałymi podejrzаныmi? Myślisz, że Atman mógł współpracować z tym stróżem ze złomowiska?

– Trudno stwierdzić. Na Mieczysława Kąkola nie mamy nic poza tym, że groził jednej z ofiar i zabił psa.

– Skoro potrafił zrobić krzywdę zwierzęciu, to czy miałby skrupuły przy dziecku? – Rzuciła Suskiemu pytające spojrzenie. – A ten młody, licealista, który znalazł ciała? Gutkowski?

– Ma alibi. Dziewczyna potwierdziła, że byli wtedy razem. Wiesz, szczenięca miłość, pływanie na golasa i takie tam.

Dopiero kiedy to powiedział, dostrzegł szklane spojrzenie Mai i zdał sobie sprawę, że mógł popełnić gafę. Plotka sugerowała, że Miksa w młodości przeżyła poważny zawód miłosny, po którym nigdy nie związała się już z żadnym mężczyzną. Oczywiście chłopaki na komendzie żartowały, że w małżeństwie tylko jedna osoba może nosić spodnie, a prokurator nigdy by ich nie zdjął i to z tego powodu żyje sama, ale Suski opowiadał się raczej za romantyczną wersją zdarzeń.

Maja wyczuła jego konsternację, jednak w tej chwili dużo bardziej zaprzątało ją morderstwo, w którym brakowało jednego wyraźnego motywu. Co więcej, nie potrafiła zrozumieć, dlaczego tak doświadczony policjant jak Leszek Suski tego nie dostrzega, i w jej głowie zaczęła krystalizować się myśl, że być może komendant zauważa tylko to, co chce widzieć, i ma ku temu swoje niejasne powody, które powinna zbadać.

Zuzanna, 2015

*

Warsztat samochodowy Romana Babicza mieścił się w dużym murowanym garażu. Gdy tam dotarłam, ze środka dochodziły dźwięki jednego ze starych przebojów z charakterystycznym gwizdanym motywem. Muzyka musiała być ustawiona niemal na cały regulator, bo gdy tylko zgasiałam silnik i uchyliłam drzwi, dobiegły mnie słowa piosenki *Over My Shoulder* zespołu Mike and the Mechanics. To wywołało uśmiech na mojej twarzy, bo w dzieciństwie, kiedy utwór leciał w samochodowym radiu, zdzieraliśmy sobie z ojcem gardła, wykrzykując słowa refrenu przy szeroko otwartych oknach, koniecznie tak, by wszyscy wokół nas usłyszeli. Byliśmy wtedy całkowicie bezwstydni, on gwizdał, a ja udawałam, że gram na gitarze, jakby nie liczyło się nic więcej, tylko ta chwila. Chyba każdy ma taką piosenkę, na której dźwięk podkreca głośność i zapomina o swoich wokalnych niedostatkach. Ta była naszą.

Kiedy wysiadłam z corsy, firanka w domu sąsiadującym z garażem poruszyła się, a postać, która wcześniej mnie obserwowała, czmychnęła w głąb pokoju, jednak z pewnością nadal tam była, czułam na sobie jej lepki wzrok. Szłam zatem powoli, chcąc całą sobą pokazać, że nie mam nic do ukrycia, i jednocześnie dać podglądaczowi okazję, by mógł mi się uważnie przyjrzeć. Powoli zapadał zmierzch, chłodny, kłujący wiatr smagał moje policzki, jakby

nawet on mnie rozszyfrował i wiedział, że jestem tu obca. W miastach jak to ludzie żywili się plotkami, łykając je do śniadania niczym witaminy, pozostawało więc dostarczyć im tematów do rozmów. W pewnym sensie uderzałam właśnie w stół, mając nadzieję, że niebawem nożyce się odezwą.

Mocno, by przebić się przez radiowy zgiełk, zapukałam w uchylone garażowe drzwi, z których wypływała smuga światła, i nie czekając na zaproszenie, weszłam do środka. Roman Babicz, ubrany w niebieski kombinezon, ze ścierką wystającą z kieszeni, nachylił się nad otwartą maską srebrnego volkswagena. Stopa mechanika podrygiwała w rytm przeboju dudniącego z głośników, a usta mężczyzny gwizdały do wtóru.

Zakład nie był duży, ale sprawiał wrażenie profesjonalnego. Na środku stał nowoczesny, błyszczący jeszcze podnośnik, obok jakieś skomplikowane urządzenia z miernikami, natomiast pod ścianą znajdował się szereg metalowych szafek na narzędzia, sporych rozmiarów blat roboczy i wiszące półki, na których prężyły się klucze oraz śrubokręty.

– Idealny pokój zabaw dla dużego chłopca – powiedziałam.

Babicz odwrócił się nagle, zaskoczony moją obecnością.

– Moja była żona uważała, że mężczyźni rozwijają się do szóstego roku życia, a potem już tylko rosną i zmieniają zabawki, więc może coś w tym jest. – Uśmiechnął się, po czym podszedł do radia, by je ściszyć. – No proszę, nie myślałem, że spotkamy się tak szybko. Niech zgadnę, silnik padł?

– Jeszcze nie, ale obawiam się, że ten moment nadchodzi wielkimi krokami.

– Niech pani zostawi samochód na podjeździe, a kluczyki zawiesi na haczyku przy wyjściu. Zerknę później, jak skończę z tym cackiem.

Roman wrócił do dłubania w volkswagenie, nucąc pod nosem *The Show Must Go On* Queen, chociaż w radiu akurat leciały reklamy. Myśl, że wybrał utwór z premedytacją, zmroziła mnie, szybko jednak

odepchnęłam ten niedorzeczny pomysł, bo przecież nie mógł wiedzieć, kim jestem.

Minęło dwadzieścia pięć lat, nikt tutaj cię nie pamięta, powtarzałam w myślach, usiłując wyrównać oddech.

– Jak pan zareagował na wiadomość o samobójstwie Małgorzaty Lenart? To musiał być dla pana szok – zagałam niby mimochodem.
– Mam na myśli to, że łączyła was wspólna przeszłość. Ta tragedia sprzed lat.

Na ułamek sekundy mężczyzna zatrzymał się w dokręcaniu śruby, ale nawet nie uniósł wzroku, a po chwili kontynuował swoją pracę, jakby pytanie nie zrobiło na nim żadnego wrażenia.

– Właściwie to prawie jej nie znałem. Nie mieliśmy ze sobą wiele wspólnego. Przykra sprawa z tym samobójstwem – rzucił.

– Podobno miała na rękach ślady po więzach. Dziwne, prawda?
Babicz wzruszył ramionami, nadal grając obojętnego.

– Może, nie wiem, w tych szpitalach psychiatrycznych czasami mają dziwne metody leczenia. Poza tym to tylko pogłoski.

– Tak jak te o napisie wyciętym na plecach? – Posłałam mu podkreconą piłkę z nadzieją, że tym razem jej nie odbierze. – Wieść szybko się roznosi, mówili o tym nawet w lokalnym radiu.

Mechanik podniósł głowę, wpatrując się we mnie tak intensywnie, jakby chciał mnie przejrzeć na wskroś. Jego lekko zmrużone oczy oraz zaciśnięte szczęki nadały dotychczas przyjaznej twarzy nieprzychylny wyraz.

– Po co tak naprawdę pani do nas przyjechała?

– Mówiłam panu, z ciekawości – przypominałam. – Jestem dziennikarką, chcę poznać prawdę o śmierci tej kobiety.

– Według mnie nie ma tu pani czego szukać – odburknął. – Zresztą Małgorzata Lenart była chora psychicznie. Uciekła ze szpitala, pewnie błąkała się gdzieś przestraszona, a potem spanikowała i skoczyła. Może głosy jej kazały? – Spoglądał na mnie zaczepnie.

– Może, ale intuicja podpowiada mi, że za tym kryje się coś więcej.

– Intuicja to kłamczucha, mówi ludziom to, co chcą usłyszeć.

Roman skończył dolewanie płynu do chłodnicy, po czym z hukiem zatrzaskał maskę samochodu i podszedł do umywalki. Patrzyłam, jak odkręca wodę, a następnie starannie namydla dłonie.

– Nie lubił pan tej kobiety, prawda? Słyszałam, że wygonił ją pan ze swojego domu. To dziwne, w końcu wasze dzieci zostały znalezione razem. Takie doświadczenie czasem łączy ludzi.

– A czasem nie – uciął, energicznie wycierając ręce.

– Lenart wierzyła, że śledczy kryli mordercę. Dopatrywała się zmywy milczenia. Podzielał pan jej poglądy?

– To nie były żadne poglądy, tylko paranoja.

– Obłąd nie wycina napisów na plecach, panie Babicz. „Życie za życie”, mówi to coś panu? – Zawiesiłam głos. – Takie rzeczy robią tylko ludzie. Bardzo źli ludzie.

Zmęczone, błękitne oczy mechanika otworzyły się nieco szerzej, pozwalając mi zobaczyć ukryty w nich strach.

– Przepraszam, ale jestem zajęty. Muszę jeszcze skończyć kilka rzeczy.

Roman odwrócił się tyłem i zaczął starannie składać wilgotną ścierkę, a później wziął się do segregowania narzędzi.

– Zna pan te słowa, prawda? Ktoś napisał je na kościele w dniu pogrzebu chłopców.

Babicz zastygł w bezruchu, jakbyśmy grali w dziecięcą zabawę *Baba Jaga patrzy*.

– Ja to zrobiłem – powiedział i spojrzał na mnie. – Napisałem to, by mordercy wiedzieli, że nie pozostaną bezkarni. Oni musieli tam być, na pogrzebie, chciałem dać im do zrozumienia, że za to, co zrobili, czeka ich śmierć, bo kto odbiera czyjeś życie, musi stracić swoje.

Dłonie, w których ścisnął obcęgi, zaczęły się trząść, jego nozdrza niespokojnie drgały, a oczy zaszyły łzami. Usiłowałam zrozumieć, jaki sens w świetle słów mechanika miał napis na plecach mojej matki,

ale każda teoria ostatecznie prowadziła do ślepego zaułka. Sięgnęłam do portfela po złożoną na czworo kartkę.

– Widział pan to już kiedyś? – zapytałam, pokazując mu rysunek krzyżyka.

Zaprzeciżył, a potem wrócił do swoich obowiązków, dając mi znać, że wyczerpałam limit pytań. Obserwowałam, jak umieszcza w imadle metalową listwę, po czym podłącza do gniazdka szlifierkę.

– Ostatnia rzecz – zatrzymałam go. – Pana była żona twierdzi, że w tamtym czasie miał pan romans. To prawda?

Roman przygryzł wargę, na moment zacisnął powieki, po czym nabrał tchu.

– Popeliłem błąd. Rozpacz czasem zamienia ludzi w szaleńców.

– Proszę wybaczyć, ale muszę o to zapytać. Czy chodziło o Małgorzatę Lenart?

Skrzywił się, jakbym wymierzyła mu policzek.

– Nie, akurat do niej nie zbliżyłbym się, nawet gdyby była ostatnią kobietą na ziemi. – Westchnął. – Niepotrzebnie pani w tym grzebie, radzę przestać rozdrapywać stare rany. Słyszała pani, że wilk zjada tylko owce oddalone od stada? A pani jest tutaj zupełnie sama wśród głodnych wilków.

Patrzył na mnie w sposób, od którego zrobiło mi się zimno. Jego twarz sprawiała wrażenie wykutej w kamieniu, niewzruszonej i srogiej, a oczy przypominały martwe, nieruchome ślepia lalek. Wstrzymałam oddech, czując, jak ze strachu zaciska mi się przepona. Miał w sobie coś, co można było zauważyć u ludzi na krawędzi obłądu. Wystarczył jeden nieostrożny ruch, by tama pękła, a ze środka wylał się potężny gniew.

Nie chciałam tego doświadczyć.

– Proszę zadzwonić do Trzech Dębów, jak już sprawdzi pan, co z corsą – rzuciłam, wychodząc.

W drodze do drzwi zauważyłam przyklejoną do szafki żółtą kwadratową karteczkę. Była na niej krótka notatka zapisana drukowanymi literami. PAMIĘTAJ O URODZINACH. Jednak to nie

treść wiadomości, ale charakterystyczny sposób pisania litery A przyciągnął moją uwagę. Tak samo wyglądała ona na wiadomości, którą ktoś wsunął mi pod drzwi pokoju w hotelu.

1990

*

Prokurator Miksa szła właśnie do kiosku z akcesoriami i wyrobami tytoniowymi, by odebrać swoją nową, grawerowaną lufkę do tytoniu, gdy nagle coś przykuło jej uwagę. Przystanęła obok jednego z przydomowych ogródków. Za sięgającym kolan płotkiem pomalowanym w zielono-żółte pasy rosły piękne krzewy czerwonych, białych oraz pomarańczowych róż, przyciągając swoim słodkim zapachem. Jednak to nie kwiaty sprawiły, że Maja poczuła, jak żołądek zwija się jej w ciasny supeł, ale biały grys, niewielkie kamienie, którymi wysypany został ozdobny skalniak porośnięty kosodrzewiną.

Miksa zerknęła kontrolnie w okna domu i gdy nie dostrzegła za nimi żadnego ruchu, z wysiłkiem pokonała niskie ogrodzenie. Jej biodro dało o sobie znać przeszywającym bólem, ale zacisnęła zęby i powoli, stękając pod nosem, dokuśtykała do skalniaka. Tam zaczekała, aż przejeżdżający ulicą samochód dostawczy odjedzie, a wtedy schyliła się, by wziąć do ręki kilka kamyków. Ciepłe powietrze pocałowało jej kark i prześliznęło się po plecach, docierając aż do krzyża. Maja obracała w palcach grys, który łudząco przypominał kamienie znalezione w ustach Jakuba Babicza. Oczywiście wiedziała, że podobny spotkać można w wielu innych ogródkach, ale nie potrafiła odmówić sobie dotknięcia go.

– Co pani tu robi?! – usłyszała za sobą poirytowany głos.

Zaskoczona tym nagłym pytaniem upuściła kulę, na której się wspierała, a ta z chrzęstem upadła na białe kamyki. Kiedy się odwróciła, przy drzwiach wejściowych do domu stała przysadzista, piersiasta kobieta w kuchennym fartuchu, podobna do tych, które zwykle pracują w kuchniach stołówek czy barów mlecznych. Jej włosy, zebrane na czubku głowy w mizerny kok, dotknęły już pierwsze ślady siwizny, a wiotkie policzki zwiślały niczym u buldoga. Kobieta oparła dłonie na biodrach, zaczepnie wysuwając podbródek.

– Nazywam się Maja Miksa, jestem prokuratorem – wyjaśniła śledcza. – Proszę wybaczyć najście, ale zainteresowały mnie te białe kamienie.

Starsza kobieta nadal przyglądała się jej nieufnie, jednak z jej twarzy pierzchno początkowe napięcie.

– A da pani spokój. – Machnęła ręką. – Tyle mi już tego te bachory rozkradły, że niedługo skalniak będzie całkiem łysy. Dzwonię co i rusz na policję ze skargą, ale tam zawsze mają ważniejsze sprawy. – Rozłożyła dłonie w geście bezradności i cmoknęła. – Co zrobić? Całe szczęście, że tych najgorszych więcej już nie zobaczę.

Maja z ciekawością zmarszczyła czoło.

– Kogo ma pani na myśli?

– Tych dwóch, co ich na łąkach znaleźli. Panie świeć nad ich duszą. – Wykonała w powietrzu znak krzyża. – Ja wiem, że o zmarłych nie wypada źle mówić, ale ile krwi napsuli mi ci smarkacze, to tylko ja wiem. Wiecznie włazili mi do ogródka, obrywali główki różom, a potem układali je na parapecie pod oknem, jakby chcieli, żebym je znalazła.

– Ale po co mieliby to robić?

– A bo ja wiem? Dokuczyć chcieli. Wie pani, jak to jest, jak się matka ani ojciec dzieciakiem nie interesuje, to tym małym głupie pomysły do głowy przychodzą. Wtedy, co ich znaleźli, też u mnie byli, jeszcze przed południem. Nakryłam ich, jak napychali kieszenie kamieniami, tymi samymi, co pani w nich grzebała.

Miksa w zamyśleniu spojrzała na skalniak, wyobrażając sobie dziesięcioletnich Emila Lenarta i Piotra Zielińskiego na posesji kobiety.

– A byli tutaj sami czy z kimś? – upewniła się. – Nie wiem, może ktoś ich obserwował?

– Nie, nic takiego, we dwóch tylko przyszli. Często razem uciekali ze szkoły i tak się włóczyli po okolicy bez celu. Gdybym była matką jednego i drugiego, tobym im tak skórę sprąła, że przez tydzień by na tyłkach nie usiedli.

Prokurator chciała powiedzieć kobiecie, że właśnie to robiły matki chłopców. Im częściej dzieci opuszczały lekcje, tym mocniejsze lanie dostawały, a jednak nie powstrzymywało to ich przed dalszym wagarowaniem, niszczeniem cudzego mienia ani kradzieżami.

Maja nie podzieliła się jednak z kobietą swoimi przemyśleniami, pewna, że tamta i tak je odrzuci. Podniosła z ziemi kulę, a przy okazji ukryła w dłoni kilka kamyków.

Zamierzała odejść, ale odwróciła się jeszcze w stronę właścicielki domu.

– Przychodzi pani do głowy, kto mógł zamordować te dzieci? – zarzuciła przynętę.

– Nie mam pojęcia. Gdyby pytała pani tylko o tych starszych, to powiedziałabym, że ktoś, komu zależli za skórę i kto ich bardzo nie lubił, ale żeby tego małego tak potraktować? To trzeba być potworem, a takich bestii w naszym mieście przecież nie ma. Aż strach pomyśleć, że tacy ludzie chodzą po ziemi.

Miksa podziękowała kobiecie. Na powrót drepcząc chodnikiem popisanym przez dzieci pyłącą się, kolorową kredą, myślała o tym, iż ludzie za bardzo ufają swojej intuicji. W końcu najbardziej szokują nas zbrodnie popełniane przez ludzi, których nigdy byśmy o to nie podejrzewali.

Prokurator zbliżała się już do drzwi wejściowych kiosku, gdy po raz któryś podczas tego spaceru odniosła wrażenie, jakby ktoś ją obserwował. Nie miała w zwyczaju poddawać się paranoi, ale tym

razem dyskretnie obrzuciła wzrokiem okolicę, dostrzegając fragment postaci skrytej za grubym pniem osiki.

– Panie Kąkol, może już pan wyjść! – zawołała. – Widziałam pana kaszkiet, dosyć tych żartów.

Mężczyzna poprawił czapkę na głowie i niepewnym krokiem podszedł do Miksy. Jego przestraszone oczy oraz dłonie wetknięte głęboko do kieszeni sugerowały zmieszanie. W przybrudzonym podkoszulku i skarpetkach podciągniętych prawie do kolan przypominał wyrośniętego uczniaka.

– Co pan, u licha, wyprawia? – drążyła Maja. – Długo pan tak za mną idzie?

Stróż wzruszył ramionami, dźgając czubkiem buta nadłamaną chodnikową płytę.

– Chciałem tylko z panią porozmawiać, ale nie miałem pewności, czy pani... Ja po prostu muszę wiedzieć, że nie będę miał przez to kłopotów.

– Litości, niech pan to wreszcie z siebie wykrztusi – niecierpliwiła się.

Dozorca wysypiska podszedł bliżej i gdy sprawdził, czy nikt ich nie obserwuje, szepnął:

– Na przesłuchaniu nie powiedziałem wszystkiego.

Prokurator uniosła brwi.

– To znaczy?

Mieczysław Kąkol zachłannie nabrał tchu, gdy tymczasem Miksa wpatrywała się w niego z oczekiwaniem.

– Pytaliście mnie, czy tamtego dnia coś widziałem, a ja zaprzeczyłem, bo naprawdę tak było, ale nie przyznałem się, co słyszałem.

– Czyli co? To naprawdę zły moment na zabawę w Hitchcocka, panie Kąkol.

– To był męski głos, krzyczał: „Zatrzymaj go! Złap go!”.

Maja poczuła ciepło rozlewające się po klatce piersiowej, bo gdyby doniesienia stróża okazały się prawdziwe, oznaczałoby to, że

zgodnie z jej wcześniejszą hipotezą morderców było dwóch.

– Nie rozumiem, dlaczego nie wspomniał pan o tym w trakcie przesłuchania.

– Dlatego, że osobą, którą wtedy słyszałem, był komendant Leszek Suski.

By nie wybuchnąć śmiechem w obliczu tak absurdalnego oskarżenia, prokurator musiała ugryźć się w język, po czym pokręciła głową z niedowierzaniem. Na twarzy rozczarowanego jej reakcją mężczyzny rysował się gniew, wyraźny w groźnej pionowej zmarszczce na czole i pulsujących nozdrzach.

– Nie wierzy mi pani, ale ja wiem, co mówię – stwierdził gorzko. – Tacy jak on zawsze się wywiną, co? Nie dziwi pani, że tak szybko znalazł mordercę? I to kogo, tego nauczyciela? Na moje to Suski robi wszystko, żeby zamknąć tę sprawę, zanim podejrzenia padną na niego. Ktoś musi go powstrzymać. – Spojrzał na nią błagalnie, a później drgnął i cofnął się o krok. – Chyba że siedzicie w tym wszyscy.

Maja uniosła wzrok do nieba.

– Do widzenia, panie Kąkol – rzuciła. – I niech pan już więcej mnie nie śledzi, nie chciałabym składać skargi.

Zostawiła oniemiałego dozorcę na chodniku, ale nie potrafiła uwolnić się od autentycznego smutku, który dostrzegła na dnie jego oczu. Jakby w całym wierutnym kłamstwie, które usiłował jej sprzedać, była jednak jakaś nuta prawdy, a on poczuł się skrzywdzony tym, że mu nie uwierzono.

Za każdym razem, gdy jechał autobusem na spotkanie z Lidką, czuł, jakby unosił się ponad ziemią, a w jego wnętrzu buzowała niecierpliwa radość. W te dni świat sprawiał wrażenie piękniejszego, a ludzie bardziej przyjaznych. Koledzy obserwujący, jak na zakończeniu roku szkolnego trzyma swoją dziewczynę za rękę, gwizdali na palcach, pękając z zazdrości. Ta, której pragnęli wszyscy, należała do niego. Gutek wreszcie przestał być

postrzegany jako przestraszony chłopak, teraz w końcu stał się kimś, budził podziw i szacunek, nawet jeśli świecił tylko odbitym blaskiem.

Wiadomość o ciąży zaskoczyła go, ale nie zmartwiła. Chciał być dla Lidki mężczyzną, stać u jej boku i mieć to piękno na wyłączność. W głębi duszy wiedział, że zrobiłby dla niej wszystko, o cokolwiek by poprosiła. Niekiedy budził się w środku nocy zlany potem i sparaliżowany strachem, że coś mogło się jej stać, bo we śnie słyszał przeraźliwy, znajomy krzyk dziewczyny. Tak realny, jak w chwili gdy usłyszał go po raz pierwszy. Jednak kiedy otwierał oczy, znów leżał na tapczanie w swoim pokoju o szarym, zaplamionym suficie, w mieszkaniu, które dzielił z ojcem. Wtedy uśmiechał się do siebie spokojny, wierząc, że najgorsze minęło i nikt już nie każe im do tego wracać.

Tego dnia towarzyszył Lidce podczas badań w szpitalu, które pani Grabowska wyprosiła u znajomego lekarza, niepokojąc się o swoją jedyną córkę. Chłopak pachniał świeżą wodą kolońską pożyczoną od ojca, a na plecy narzucił białą koszulę, którą zazwyczaj wkładał na szkolne uroczystości. Nowe, skórzane buty skrzypiały, gdy stawiał kroki, i nieco obcierały pięty, ale Gutek znosił to dzielnie, ponieważ za wszelką cenę pragnął dobrze wypaść. Matka dziewczyny z uśmiechem błakającym się w kącikach ust powiedziała mu, że wygląda dostojnie, a później we troje oglądali, jak lekarz przykładając głowicę do brzucha Lidki, by potwierdzić ciążę oraz jej prawidłową lokalizację.

Na ekranie pojawił się czarno-biały ziarnisty obraz z czymś, co wyglądało jak ciemna plamka otoczona białą obwódką. Ginekolog wyjaśnił, że to pęcherzyk ciążowy, po czym używając narzędzi do pomiaru, zapisał na kartce wiek ciąży jako siedem tygodni. Gutek zmarszczył brwi. Nawet gdyby był słaby z matematyki, zauważyłby tę oczywistą niespójność. W jego gardle zaczęła narastać kleista gęsta kula żalu i złości, którą starał się przełknąć. Zacisnął szczupłe dłonie w pięści, gotów trzasnąć drzwiami gabinetu w każdej chwili, ale wtedy usłyszał szybkie bicie serca dziecka, przypominające dźwięk

plemiennych tam-tamów, dostrzegł łzy w oczach Lidki i został. Dziewczyna złapała go za rękę, ściskając ją mocno, jakby czuła, że jeszcze chwilę wcześniej planował się wymknąć.

Dopiero gdy po skończonej wizycie wyszli na zewnątrz, by tam poczekać na mamę Lidki rozmawiającą z lekarzem, Gutek pękł.

– Czyje to dziecko?! – zaatakował, zagradzając dziewczynie drogę ucieczki.

Jego oczy płonęły gniewem, a nozdrza poruszały się niespokojnie. Lidka, oparta plecami o drzwi zostawionego w końcu parkingu samochodu, spojrzała na chłopaka wyzywająco, kładąc dłonie na biodrach.

– Nasze – warknęła. – To będzie nasze dziecko.

– Pytam, kto jest ojcem?

Dziewczyna odwróciła twarz i przejechała językiem po zębach.

– Musisz to robić? Tak świetnie nam szło. Mówiłeś, że mnie kochasz, że będziesz o mnie dbał. Czy to coś zmienia? – Wskazała na brzuch. – Bo jeśli tak, to odejdz. Od razu, najlepiej teraz. Tylko nie zapomnij o tym, co sobie obiecaliśmy. Jeśli mnie zostawisz, wycofam zeznania.

Gutek zacisnął szczęki, a dłonie wbił głęboko do kieszeni.

– I co im powiesz?

– Prawdę.

– Nie bądź śmieszna, nigdy tego nie zrobisz.

Lidka powoli podeszła do niego i ciasno objęła szczupłe ciało chłopaka, muskając wargami jego szyję.

– Tak samo jak ty nigdy nie odejdziesz – wyszeptała do ucha Gutka, który wzdrygnął się pod wpływem dreszczu i narastającego podniecenia. – A teraz poproszę cię o małą przysługę – powiedziała, rozpinając chłopakowi rozporek.

Przez okno w dużym pokoju wpadały promienie słońca, które miękko kładły się na twarzy Eli. Romek akurat zszedł na dół i przystanął, by móc choć przez chwilę popatrzeć na swoją żonę. Przez wydarzenia

ostatnich dni czuł się potwornie samotny, a widok kobiety, którą do niedawna tak bardzo kochał, niespodziewanie tchnął w niego nadzieję. Może to za sprawą piosenki nadawanej właśnie przez radio. Przy *Lady in Red* Chrisa de Burgha poznali się z Elą kilka lat temu. Była jego pierwszą i – co doskonale wiedział – jedyną miłością.

Babicz zbliżył się do żony, stanął za jej plecami, a następnie położył jej dłonie na ramionach.

– Pamiętasz? – zapytał.

Ela rozciągnęła usta w uśmiechu.

– Tak. Miałam wtedy na sobie czerwoną sukienkę, a ty powiedziałeś, że zamówiłeś tę piosenkę specjalnie dla mnie.

– Bo tak zrobiłem. Oczarowałaś mnie. – Znieruchomiał, jakby poczuł się zawstydzony. – Zatańczymy? Jak dawniej?

Elżbieta skinęła głową, a on objął ją nieco nieporadnie. Wsparła czoło na podbródku męża i zamknęła oczy, całkowicie się mu poddając. Zapach jego skóry ją uspokajał, dotyk silnych ramion dawał zaś poczucie bezpieczeństwa.

– Przetrywamy to? – spytała.

– Nie wiem.

Kołysali się w rytm muzyki, jakby istniała tylko ta chwila. Nic przedtem ani potem. Tańczyli lekko, jak gdyby stąpali po cienkim, kruchym lodzie. W oczach Romka zabłyśły łzy. Przymknął powieki i mocniej przyciągnął do siebie żonę.

– Wybaczysz mi kiedyś? – Ela wreszcie odważyła się wypowiedzieć to pytanie, które puchło jej w gardle, po czym w napięciu, zaciskając palce na ubraniu męża, oczekiwała odpowiedzi.

– Tobie może tak, sobie nigdy.

– Ale dlaczego...

– Ciii – przerwał żonie, kładąc palec na jej ustach. – Cieszymy się tą chwilą – poprosił, jakby bardzo tego potrzebował.

Elżbieta nie zaprotestowała. W ich ograbionym z sensu i stabilności życiu ten krótki moment mógł być wszystkim, co mieli. Nawet gdyby jej mąż drżał nie z powodu wzruszenia, ale strachu.

Zuzanna, 2015

*

Idąc w stronę hotelu, próbowałam ułożyć sobie w myślach wszystkie pozbierane tego dnia okruchy, jednak one w żaden sposób nie chciały się ze sobą skleić. Czułam, jakbym błądziła w labiryncie pełnym zawitych korytarzy. Zewsząd atakowały mnie wątpliwości, które gryzły jak pchły. Odetchnęłam głęboko, wciągając do płuc haust chłodnego powietrza. Nad chodnikiem tańczyła cienka foliowa torebka podrywana do góry przez wiatr, a nade mną rozpościerało się czarne niebo obsypane błyszczącymi gwiazdami. Z bocznej uliczki wyszła para na chwiejnych nogach. On mówił jej, że noc jest jeszcze młoda, a ona śmiała się w sposób, w jaki potrafią to robić tylko zakochane kobiety. Naturalnie, z trzewi, bez skrępowania czy wstydu, całą sobą.

Na ich widok pomyślałam o mężu, o tym, że kiedyś, dawno temu, też tacy byliśmy, a później rutyna i stres zgasiły wszystko między nami. Wyjęłam z torebki telefon, po czym wybrałam numer Łukasza, pewna, że nie odbierze, a później wysłał mi zdawkowego SMS-a, ale ku mojemu zdziwieniu podniósł słuchawkę już po drugim sygnale.

– Zuzanna, on już śpi – rzucił do telefonu. – Poza tym prosiłem cię, żebyś nie dzwoniła, kiedy spędzamy czas razem. Jestem ojcem Ignasia, naprawdę umiem się nim zająć, nie musisz nas nieustannie kontrolować.

– Nie kontroluję was, po prostu tęsknię.

– To postaraj się to robić jakoś mniej ostentacyjnie. Znowu zaczęłaś pić?

– Nie! – zareagowałam z oburzeniem.

– Mniejsza z tym. Posłuchaj, oddam ci go za półtora tygodnia, nie świruj. A tymczasem zajmij się czymś pożytecznym. Nie wiem, idź do normalnej pracy, ogarnij się i zrób coś ze swoim życiem.

W ułamku sekundy się we mnie zagotowało. Gdybyśmy występowali w kreskówce, w tym momencie para wychodziłaby mi uszami. Otworzyłam usta, unosząc wskazujący palec, gotowa, by zaserwować byłemu mężowi niezapomnianą wiązaną, ale zauważyłam, że się rozłączył.

– Kurwa mać! – wrzasnęłam, kopiąc niewinny kosz na śmieci.

– Ktoś tu chyba potrzebuje mocnego drinka – usłyszałam za sobą, a gdy się odwróciłam, zobaczyłam roześmianą szczupłą kobietę o pięknych, gęstych włosach do ramion, z papierosem w dłoni. – Kiepski dzień?

– Raczej mizerne kilka lat z niewłaściwym facetem.

– W takim razie zapraszam do Szpilki. Mamy dobre piwo i świetną barmankę. – Puściła do mnie oko, po czym wyciągnęła dłoń. – Lidka.

– Zuza. – Odwzajemniłam jej gest i pozwoliłam się poprowadzić, nie mogąc pozbyć się wrażenia, że spotkałyśmy się już wcześniej.

Lidka pachniała orientalno-korzennymi perfumami, z jej ruchów biły siła i sprężystość, a głos miał przyjemną, chropowatą barwę. Obserwowałam ukradkiem długie nogi kobiety w wąskich džinsach oraz T-shirt z logo The Rolling Stones, charakterystycznym motywem czerwonych ust z wystawionym językiem. Cała ta stylizacja razem z czarnymi kreskami na powiekach i skórzanymi bransoletkami na nadgarstkach nadawała jej młodzieżowy wygląd, choć musiała być już koło czterdziestki. Brakowało tylko kowbojek, a wzięłabym ją za rockową barmankę z amerykańskich filmów.

Zza rogu dobiegały dźwięki muzyki i skrawki rozmów podchmielonych gości pubu, którzy wyszli się przewietrzyć, a chwilę

później przed nami wyrósł parterowy prostokątny budynek ozdobiony kolorowymi lampkami.

– Witam w moich skromnych progach. – Lidka otworzyła drzwi, przez które na zewnątrz wylał się gwar, i gestem dłoni zaprosiła mnie do środka.

Tam, za drewnianym długim barem, oblepionym przez klientów niczym landrynka przez mrówki, chłopak z włosami związanymi w kucyk usiłował nadażyć z realizacją napływających w szalonym tempie zamówień. Musiał nas dostrzec, bo uniósł rękę i z paniką w spojrzeniu kiwnął ponaglająco na Lidkę.

– Zafundowałam mu chrzest bojowy, to jego pierwszy dzień – wyjaśniła mi z uśmiechem, a następnie dołączyła do pracownika i po chwili obsługiwała nalewak z taką wprawą, jakby nie robiła w życiu nic innego.

Pub miał iście irlandzki klimat, dużo drewna, butelkowej zieleni i guinnessa w menu. Zewsząd atakowały mnie odgłosy alkoholowych dyskusji, dzikiego rechotu oraz rockowych kawałków. Przy ciągnących się pod ścianą stolikach trudno byłoby znaleźć wolne miejsce. Ludzie ściskali się na skórzanych kanapach, niektóre kobiety siedziały na kolanach towarzyszących im mężczyzn, a zapach piwa przyjemnie drażnił nozdrza. Piąteczek, pomyślałam.

Z trudem przedarłam się do baru i zajęłam wysoki stółek.

– Czego pani dziennikarka się napije? – zapytała Lidka niespodziewanie, przez co na moment zaniemówiłam.

– Zostałam zdemaskowana?

– Jeszcze zanim się pojawiłaś – wyjaśniła, jednocześnie mieszając w shakerze drinka. – Śpisz w hotelu mojego męża. Wpisał twoje nazwisko w wyszukiwarce.

– A więc to dlatego wydawałaś mi się znajoma. Widziałam cię kiedyś na parkingu, a później na tarasie.

– Możliwe, często tam wpadam, gdy mam jakąś sprawę do Mateusza. – Podała klientowi drinka. – Z tego, co słyszałam,

zdążyłaś też poznać moją córkę, Klarę. Bierze czasem nocne zmiany w Trzech Dębach.

– Mówisz serio? A jest ktoś, kto nie należy do twojej rodziny? Wszyscy się tu znacie, co?

Pomachała dłonią w sposób, który chyba oznaczał „mniej więcej”, a ja uśmiechnęłam się i pokręciłam głową z niedowierzaniem.

– Czuję się osaczona.

– Powinnaś. – Puściła do mnie oko. – Co pijesz? Dzisiaj na koszt firmy.

Zamówiłam guinnessa, a kiedy obserwowałam, jak Lidka nalewa piwo, gdzieś pod żebrami ukłuło mnie żądło niepokoju. Być może za bardzo wzięłam sobie do serca metafory Wilczyńskiego o watahach i osobnikach spoza stada wchodzących bez zaproszenia na obcy rewir, ale miałam wrażenie, jakby krąg osób wokół mnie się zacieśniał, a atmosfera stawała się gęsta i duszna, przez co coraz trudniej było mi zaczerpnąć powietrza. Jeśli zdołali dotrzeć do mojego panieńskiego nazwiska, to wiedzieli już, kim jestem, choć to wydawało się raczej mało prawdopodobne, ponieważ przed wyjazdem upewniłam się, że w sieci figuruję wyłącznie jako mężatka.

– Wszystko w porządku? – Lidka postawiła piwo na podkładce przede mną.

– Tak, zamyśliłam się tylko.

– To co cię sprowadza do naszej dziury? Mam nadzieję, że nie przyjechałaś tu szukać nowego faceta, bo wszyscy najlepsi są już niestety zajęci.

– Zdecydowanie nie. Mój były mąż zapewnia mi wystarczająco dużo atrakcji, żebym na jakiś czas w ogóle zapomniała o mężczyznach.

– Aż tak źle?

Machnęłam ręką, dając znać, że nie ma o czym gadać, i sięgnęłam po piwo, a po chwili w moich ustach rozlał się kremowy, słodko-gorzki posmak, od którego aż zamruczałam z zadowolenia.

– Przyjechałam tu do pracy – wyjaśniłam. – Piszę artykuł o śmierci Małgorzaty Lenart. Może ty masz jakiś pomysł na to, kto mógł ją torturować? Znasz wielu ludzi, klienci ci się zwierniają... – zarzuciłam przynętę.

Lidka spojrzała na mnie spod oka.

– Naprawdę wierzysz w te bzdury? Laska była stuknięta, nikt jej nie krzywdził.

– To dlaczego prokuratura wyjaśnia sprawę? Poza tym wiem, co miała wycięte na plecach. Według mnie to wszystko ma drugie dno.

– A ja myślę, że dopiero jak zobaczysz dno następnej szklanki po wypitym guinnessie, zaczniesz trzeźwo myśleć. – Prychnęła i odwróciła się do tęgiego klienta z łysiną.

Smak piwa działał na mnie rozluźniająco, a zgiełk, który teraz uważałam już tylko za szmer, uspokajał. Przesuwałam wzrokiem po metalowych tabliczkach zawieszonych nad barem. Na większości z nich widniały zabawne hasła, dziewczyny w krótkich sukienkach z kuflem w dłoni albo obrazki pieniącego się złotego trunku. Lidka akurat wycierała ścierką ladę, gdy postanowiłam raz jeszcze spróbować szczęścia.

– Romana Babicza też znasz? – zagałam.

– Masz na myśli mojego wujka? Tego z warsztatu samochodowego?

Dłoń, w której trzymałam szklankę z piwem, zatrzymała się w połowie drogi do moich ust. Powoli zaczynałam myśleć, że wszyscy w tym mieście wiedzą o mnie o niebo więcej niż ja o nich.

– Moja matka to jego siostra – wytłumaczyła. – Teoretycznie więc Romek jest moim wujem, ale dzieli nas tylko dziewięć lat różnicy i zawsze traktowałam go trochę jak starszego brata.

– A słyszałaś coś o jego romansie? Mniej więcej wtedy, gdy doszło do morderstwa. Elżbieta Babicz twierdzi, że się przyznał.

Lidka posłała mi zdziwione spojrzenie.

– Gdybyśmy nie były w barze, zapytałabym, czy coś piłaś. Po pierwsze miałam wtedy piętnaście lat i naprawdę niewiele pamiętam,

a po drugie to niemożliwe. On za bardzo kochał Elę, żeby ją zdradzać.

– Przypomnę ci, że się rozwiedli.

– Tak, bo ktoś zamordował ich jedyne dziecko i nie poradzili sobie z tą tragedią. Większość par rozstaje się po czymś takim, ale zapewniam cię, że Romek nie zrobiłby tego Eli, nigdy, a już na pewno nie wtedy. – Zerknęła na głośnego klienta przy stoliku, wskazując go ruchem głowy. – Taki Suski, na przykład, nikomu nie przepuści. No, może teraz już się trochę bardziej pilnuje, bo jest komendantem i żona ciosa mu kołki na głowie, ale kiedyś to był największy flirciarz w mieście. A do tego słyszałam, że potrafi być agresywny. Podobno dawniej lubił szarpnąć albo poddusić, jeśli wiesz, co mam na myśli.

Obróciłam się dyskretnie, rejestrując, że Bernard Suski patrzy prosto na Lidkę, jakby dokładnie wiedział, że o nim mowa. W jego spojrzeniu nie było jednak złości, raczej coś na kształt wyrzutu albo pretensji.

– Z nim też jesteś spokrewniona? – wtrąciłam, by ostudzić atmosferę. – To jakiś daleki kuzyn albo cioteczny stryjek?

– Nie, to tylko facet, który działa mi na nerwy.

Napięcie wisiało w powietrzu jeszcze przez moment, a gdy opadło, Lidka zaczęła opowiadać o miasteczku i jego mieszkańcach. Popijałam guinnessa za guinnessem, słuchając jej barwnych historii, ale kiedy po trzeciej szklance podniosłam się, by pójść do toalety, i zakręciło mi się w głowie, stwierdziłam, że dojrzałam do swojego limitu.

Stojąc nad umywalką w łazience, zauważyłam kobietę o szklanym wzroku i z papierem toaletowym przyklejonym do buta, która ledwie trzymała się na nogach. Wstawiona klientka baru podeszła bliżej i oparła dłoń na moich plecach.

– Wie pani, że mojego syna chcieli kiedyś porwać? – mamrotała, z wysiłkiem dobierając słowa. – Może o tym niech pani napisze.

Strząsnęłam jej rękę. Pachniała potem i alkoholem. Z tuszem do rzęs rozmazanym na powiekach oraz szminką wychodzącą poza kontur warg wyglądała karykaturalnie. Pijane w sztok, nachalne kobiety zawsze wydawały mi się w jakiś sposób żalosne. Ta mogła być w wieku mojej matki, miała obcisłą czarną sukienkę, zdecydowanie za krótką, a do tego wysokie buty na szpilkach.

– Mówiłam wtedy temu młodemu policjantowi, Suskiemu, ale on nic z tym nie zrobił – dodała, chwytając się sąsiedniej umywalki, by nie upaść. – To wszystko ich wina.

– Ale czyja? – zapytałam, bardziej by się jej pozbyć niż z ciekawości.

Z jednej z kabin wyszła podobnie ubrana, chichocząca kobieta.

– Diana, daj pani spokój – rzuciła. – Zawsze jak się napijesz, chcesz o tym rozmawiać. Chodźmy już do domu. – Objęła koleżankę ramieniem i delikatnie popychała ją w kierunku wyjścia, gdy tamta nadal mamrotała pod nosem.

– No co? Chciałam jej tylko powiedzieć o tamtych bachorach. To dziennikarka, niech coś z tym zrobi. Przez tyle lat nikt nic nie zrobił. Niech się ludzie dowiedzą, kim byli.

– Ubzdurzyłaś coś sobie, i tyle, chodź – nalegała jej towarzyszka.

Obserwowałam, jak kobiety wychodzą, a gdy zniknęły za drzwiami, stwierdziłam, że powinnam się zbierać, zanim więcej klientów tego baru postanowi opowiedzieć mi o swoich życiowych problemach. Od wypitego alkoholu szumiało mi w głowie, a podłoga zdawała się lekko falować. To był wyraźny znak, że muszę jak najszybciej położyć się do łóżka.

– Na mnie już pora – oznajmiłam Lidce po powrocie z toalety. – Dziękuję za gościnę i dotrzymanie mi towarzystwa. Potrzebowałam tego bardziej, niż sądziłam.

– Polecam się na przyszłość. A gdybyś chciała kiedyś wpaść do nas na kolację albo śniadanie, zapraszam. Mój numer komórki znajdziesz na stronie pubu.

Kiedy wyszłam ze Szpilki, objęła mnie chłodna czerń nocy. Mżyło. Przy każdym oddechu z moich ust wydobywały się białe obłoczki pary, wyraźnie kontrastujące z ciemnym kolorem nieba. Okolica powoli kładła się spać, ostatni goście na chwiejnych nogach opuszczali lokal, a ruch uliczny prawie ustał. Pocierając ramiona tak, by choć trochę ogrzać zaskoczony różnicą temperatur ciało, ruszyłam w stronę hotelu. Nogi leniwie pokonywały kolejne metry, a w umyśle, niczym w bębnie pralki, obracały się wciąż te same strzępki zdań i fragmenty informacji, gdy nagle na horyzoncie dostrzegłam kłęby dymu oraz łunę światła.

– Pali się! – zawołał ktoś, kto pędził już w tamtą stronę.

Ktoś inny dzwonił po straż pożarną, dwóch mężczyzn zakasało rękawy i ruszyło na pomoc. Coś, może ciekawość albo przecucie, kazało mi podążyć za nimi. Biegłam, czując, jakbym miała w żołądku coraz cięższy kamień. Wkrótce spokój nocy rozdarł dźwięk syren wozu strażackiego, a ciemność rozproszyły niebieskie światła. Kiedy dotarłam na miejsce, były tam już dwa zastępy i sporo osób, które w kapciach oraz piżamach z narzuconymi na nie kurtkami wyszły obserwować rozprzestrzenianie się żywiołu. Zziajana, czując, jak ubranie przykleja się do mokrych pleców, oparłam dłonie o kolana i usiłowałam odzyskać naturalny oddech. Ten jednak nie chciał wrócić. Drżąc z wściekłości pomieszanej ze strachem, patrzyłam, jak zakład pogrzebowy Hades pogrąża się w płomieniach niczym w najgorszym koszmarze.

Dym gryzł w gardle i szczypał w oczy. Niektórzy ludzie wzywali imienia Boga, inni nagrywali filmiki komórkami. W którymś momencie dostrzegłam rozczochranego Artura Fiołka w krzywo zapiętej kurtce, spod której wystawały dresowe spodnie oraz stopy obute we włoskie pantofle. Szedł prosto na mnie, z dzikością w spojrzeniu i mokrą od łez twarzą.

– To wszystko pani wina! – wrzasnął, wypluwając z ust drobne bąble śliny. – Nie trzeba było mnie wypytywać. Zapłaci mi pani za to!

Zadrżałam, po czym spuściłam wzrok, niezdolna do jakiegokolwiek odpowiedzi. Wyrzuty sumienia zjadały mnie od środka niczym pasożyty. Artur Fiołek niespodziewanie zdjął z nóg buty i rzucił nimi we mnie.

– Zabieraj je sobie, ty medialna szmato! Pisz, o czym, kurwa, chcesz, dla mnie to i tak już nie ma znaczenia. – Splunął w moją stronę, a następnie odszedł, klnąc pod nosem.

Nie potrafiłam się poruszyć, jakby moje ciało objął paraliż. Pogardliwy wzrok części gapiów niemal wypalał mi dziurę w plecach, próbowałam więc robić wszystko, by nie dać im satysfakcji, ale cholerna, zdradliwa łza wymknęła się spod powieki i popłynęła po policzku.

– Co jeszcze musi się stać, by przestała pani węszyć? – usłyszałam obok, a gdy uniosłam głowę, dostrzegłam Bernarda Suskiego.

Komendant miał w ustach papierosa, którego ostentacyjnie podpalił zapalką. Patrzył na mnie wyczekująco, z drażniącą wyższością i dziwnym uśmiechem.

– Nie wyjadę stąd, dopóki nie wyjaśnię, co się tu, kurwa, dzieje – syknęłam przez zęby. – Jeśli chcecie mnie wykurzyć, musicie się bardziej postarać.

W rzeczywistości ta deklaracja odwagi nie miała nic wspólnego z prawdą, w środku przecież umierałam ze strachu, a moje ciało wpadło w niekontrolowany dygot, ale jakaś część mnie nie potrafiła się poddać, pragnęła gryźć i kopać do czasu, aż uzyskam odpowiedzi na wszystkie pytania, z którymi tutaj przyjechałam. Może więc w byciu odważnym nie chodziło o to, by nie czuć lęku, ale o to, by działać mimo niego i nie dawać za wygraną.

– Ja tylko mówię, że kto sieje wiatr, ten zbiera burzę – rzucił Bernard Suski.

1990

*

Małgorzata Lenart od kilku dni grubym czarnym flamastrem wypisywała na ścianie wszystko, czego udało się jej dowiedzieć na temat śmierci syna. Białą połąć w dużym pokoju niczym tatuaże znaczyły imiona i nazwiska osób, które w jakiś sposób wiązały się ze sprawą, a całość przypominała chaotyczne notatki szalonego naukowca. Pojedyncze, z pozoru pozbawione sensu wyrazy zostały połączone strzałkami albo podkreślone podwójną linią. Obok niektórych z nich pojawiały się wykrzykniki, a czasami również pytania zaczynające się najczęściej od słowa „dlaczego”.

Po pogrzebie Emila były mąż Małgorzaty zaproponował, że zabierze Zuzannę na trochę do Warszawy. Lenart nie protestowała, właściwie gdyby jej nie poinformował, z dużym prawdopodobieństwem minęłoby sporo czasu, nim spostrzegłaby nieobecność córki. Pięciolatka od dnia tragedii była dla matki przezroczysta, myśli kobiety zaprzętał wyłącznie jej syn. To jego zdjęcia leżały porzucane na ławie, na upstrzonej okruchami podłodze obok powydzieranych z prasy artykułów, i to one były poprzyklejane do ścian. Czarno-biała fotografia rocznego Emila stawiającego pierwsze samodzielne kroki, jego spotkanie ze Świętym Mikołajem w przedszkolu, pamiątka z rodzinnych wakacji nad jeziorem i oczywiście zdjęcie legitymacyjne, które obiegu

media, utrwalając w pamięci ludzi obraz ciemnookiego, roześmianego chłopca. Na zatrzymanych kadrach Emil miał w sobie tyle energii i blasku, że trudno było uwierzyć w jego śmierć. Sprawiał raczej wrażenie, jakby lada chwila miał wejść do domu, rzucić plecak w kąt, a potem przetrząsać kuchnię w poszukiwaniu czegoś do jedzenia.

Fiksacja Małgorzaty zaczęła kiełkować, gdy zobaczyła, jak młody aspirant Suski przyjmuje doniesienie od jednej z mieszkańek miasta, a później wyrzuca do kosza kartkę z adresem i danymi kobiety. Lenart przyszła wtedy na komendę, by zapytać o szczęśliwą koniczynę Emila, metalowy brelok bliźniaczo podobny do tego, który sama nosiła przy portfelu. Kiedy nie znalazła ozdoby wśród zwróconych przez policję rzeczy osobistych syna, poczuła niepokój, bo odkąd pamiętała, breloczek przyczepiony był do suwaka w plecaku dziesięciolatka. Policjanci odnotowali ten fakt, ale wydawało się, że brak zawieszki nie zajmował ich równie mocno jak jej. Rozczarowana ruszyła do wyjścia, po drodze wyjmując ze śmietnika kartkę wyrzuconą przez Bernarda Suskiego.

Na pogniecionym kawałku papieru odnalazła adres domu położonego nieopodal domu handlowego Kryształ oraz numer telefonu kobiety, którą widziała wcześniej na komendzie. Nie zwlekając, wybrała się tam, ale gdy zastukała do drzwi niewielkiego szarego budynku, nikt jej nie otworzył. Dopiero wieczorem, kiedy wszyscy w mieście wiedzieli już, co się stało, a prasa wydrukowała zdjęcia ofiar, Małgorzacie udało się dodzwonić do mieszkanki szarego domu. Kobieta, która odebrała, po usłyszeniu nazwiska Lenart niemal natychmiast zerwała połączenie, rzucając słuchawką. Matka Emila wzięła to za kłopoty na linii i powtórnie wykręciła numer, a wtedy rozwścieczony kobiecy głos po drugiej stronie syknął: „Nie chcę mieć z panią nic wspólnego. Proszę tu więcej nie dzwonić”.

Początkowo Małgorzata uznała, że to jakiś rodzaj reakcji obronnej, ale gdy później równie obcesowo potraktował ją Romek Babicz, zaczęła podejrzewać, że coś jest nie w porządku. Jej pogrążony

w smutku umysł podsuwał niepokojące myśli o ludziach, którzy mają przed nią tajemnice i wspólnie kryją prawdę o mordercy. Im bardziej wierzyła w teorię o zмовie milczenia, tym więcej dostrzegała dowodów na jej istnienie. Wszyscy zdawali się szeptać za plecami Lenart, artykuły, które wyrywała z gazet i skrupulatnie układała w papierowej teczce, w jej oczach były pełne kłamstw, na każdym kroku dostrzegała obłudne spojrzenia oraz fałsz. Wkrótce przestała wierzyć komukolwiek i wielkimi literami zapisywała na ścianie nazwiska najbardziej podejrzanych.

Wśród nich znalazło się również to należące do stróża złomowiska, Mieczysława Kąkola, i właśnie z tego powodu Lenart przyszła pod garaż, w którym mieszkał mężczyzna. Ze ścian murowanego budynku odpadał tynk, na drzwiach pomalowanych brązową farbą ktoś napisał sprejem słowo CHUJ, a z mieszczących się nieopodal altanek śmietnikowych dolatywał zapach gnijącego jedzenia. Małgorzata dostała mdłości na samą myśl, że miałyby sypiać w takim otoczeniu. Krzywiąc się z obrzydzeniem, nadstawiła ucha, a kiedy ze środka dobiegł ją dźwięk telewizora i głośnego chrapania, z całej siły kilkakrotnie uderzyła w drzwi dłonią zwiniętą w pięść.

W końcu wewnątrz ktoś się poruszył. Słysząc było niewyraźne mamrotanie i rumor upadającego szkła, a potem głośne przekleństwa oraz ciężkie kroki. Klucz zazgrzytał w zamku, klamka drgnęła, chwilę później zaś w progu ukazała się wynędzniała, czerwona twarz dozorczy. Mężczyzna osłonił się ramieniem przed silnymi promieniami słońca.

– Czego? – warknął niewyraźnie. Jego język plątał się, a z ust bił zapach alkoholu.

– Nazywam się Małgorzata Lenart, jestem matką Emila Lenarta, jednego z tych zamordowanych chłopców. Chciałabym z panem porozmawiać.

Mieczysław Kąkol najpierw jeszcze bardziej zmarszczył brwi, po czym posłał kobiecie spojrzenie pełne odrazy.

– Zjeżdżaj, paniusiu, nie mam czasu na takie głupoty – odparł, ale gdy próbował zamknąć Małgorzacie drzwi przed nosem, ta wetknęła w nie stopę, udaremniając jego zamiar. – Spierdalaj, mówię! – ryknął, usiłując odepchnąć nieproszonego gościa, jednak ilość alkoholu we krwi mężczyzny okazała się odwrotnie proporcjonalna do umiejętności zachowania przez niego pionu, w rezultacie czego stróż zatoczył się i upadł.

Lenart natychmiast skorzystała z okazji, wtargnęła do ciemnej, cuchnącej nory dozorca, żądając od niego odpowiedzi. Niebieskie światło migającego telewizora padało teraz na wściekłą twarz Kąkola, który otrząsnąwszy się z początkowego szoku, odkaszlnął i splunął na kobietę gęstą żółtą flegmą.

– Niczego ci, kurwo, nie powiem – wyrzucił. – Nienawidziłem tego twojego bachora. To przez niego wylali mnie z roboty, a teraz gliny węższą wokół mnie, jakbym był jakimś pierdolonym przestępcą. Tylko dlatego, że zajebałem jednego głupiego kundla.

– Ale co mój syn ma z tym wspólnego?!

– Ano to, że gówniarz wtykał nos w nie swoje sprawy. Wiedział, co żem zrobił, śledził mnie, jak zakopywałem psa, i szantażował mnie, szczył zasrany. Przez to teraz się do mnie dopierdolili.

Małgorzata prześwietlała zbierającego się z podłogi dozorcę wzrokiem, jakby chciała sprawdzić, czy w jego rysach dostrzeże mordercę swojego syna, ale mimo iż Kąkol napawał ją wstrętem, nie potrafiła zobaczyć w nim zabójcy trzech chłopców. O ile miał powód, by dorwać Emila, a może nawet Piotrka, który był jego nieodłącznym kompanem, to nie istniało żadne racjonalne uzasadnienie tego, że pozbawił życia małego Kubusia Babicza.

Tyle że mordercy rzadko kierowali się rozsądkiem, pomyślała, nieufnie przyglądając się wielkim dłoniom mężczyzny.

– To skoro pan jest niewinny, to kto zabił te dzieci? Musiał pan coś widzieć albo słyszeć. Przecież to się wydarzyło obok złomowiska.

– Kobieto, lepiej daj se spokój, w tym nigdy nikt już nie dojdzie prawdy.

– Co pan wygaduje?

Stróż zerknął na drzwi, a potem ściszył głos.

– Oni wszyscy w tym siedzą – powiedział. – Komendant, ta prokuratorka.

Nie mogąc dłużej znieść napięcia, Lenart roześmiała się.

– To niemożliwe.

– Ta? To dlaczego Leszek Suski przyjechał wczoraj do zagajnika i zostawił tam to? – Wyjął z kieszeni złoty krzyżyk, który Małgorzata widziała wcześniej podczas przesłuchania na komendzie. – Zabierałem swoje radyjko z wysypiska i przyłapałem gnoja. Niech se wrabiają, kogo chcą, ale ja się nie dam, za stary wyga jestem na takie numery. Komunę przeżyłem, to i to przetrzymam. – Chuchnął na zawieszkę, jak dmucha się na znalezione na ulicy monetę, pragnąc, by przyniosła szczęście, po czym schował przedmiot do kieszeni.

Lenart chciała zapytać jeszcze o to, kogo według niego mogli kryć Suski z Miksą, ale dozorca wypchnął ją na zewnątrz, grożąc, że jeśli kiedyś znowu zobaczy ją pod swoim domem, to nie ręczy za siebie. Wracła chodnikiem z rozpalonym wzrokiem i głosem w głowie, który uparcie powtarzał jej, co powinna teraz zrobić. Usta kobiety bezgłośnie szeptały „nie mogę, nie mogę”, ale kiedy dotarła do domu, a ze ścian spojrzał na nią Emil, wiedziała już, że nie zdoła tego powstrzymać. Poszła do kuchni wybrać najostrzejszy nóż.

– Szefie, ten zatrzymany chce porozmawiać. – Szczupły funkcjonariusz z wąsami zaczepił w korytarzu komendanta. – Mówi, że chodzi o jego alibi.

Leszek Suski spojrzał na policjanta z zaciekawieniem.

– Dawaj go do trójki. Zaraz przyjdę – oznajmił, a gdy kilka minut później wszedł do pokoju przesłuchań, Tomasz Atman zajmował już miejsce przy stole.

Komendant podziękował funkcjonariuszowi, który przyprowadził aresztowanego, sam zaś usiadł naprzeciwko nauczyciela, splatając

ze sobą dłonie. Mężczyzna wyglądał, jakby lada chwila miał dostać zawału, jego skóra lśniła od potu, a wzrok był rozbiegany. W palcach miał mokrą chusteczkę, w którą wcześniej musiał wydmuchiwać zaczerwieniony nos.

– Podobno przypomniało się panu, co pan robił piętnastego czerwca – zaczął Suski. – Niesamowite, jak wizyta w areszcie odświeża pamięć, prawda?

Matematyk, wpatrując się w blat, przygryzał wysuszone wargi.

– Biorę amfetaminę – powiedział cicho, ze spuszczoną głową, jakby rozmawiał z księdzem w konfesjonale. – Nie chciałem, żeby to wyszło, bo to oznacza mój koniec tutaj, ale w tych okolicznościach jestem zmuszony się przyznać. Zresztą i tak wykażą to testy. – Urywał palcami odstające skórki przy paznokciach, gdy tymczasem komendant przysłuchiwał mu się ze ściągniętymi brwiami. – Tamtego dnia prosto ze złomowiska wróciłem do domu. Umyłem samochód, a potem planowałem strzelić browara i pogapić się w telewizor, ale przyjechało dwóch takich łysych w dresach.

– Czego chcieli?

– Wiszę im kasę za amfę. Właściwie to ich szefowi, którego w życiu na oczy nie widziałem. Zaczęli się rzucać, grozić, bejsbolem rozwalili mi światło w samochodzie, a później doszło do przepychanki.

– Nie wygląda pan jak ktoś, kogo dopadło dwóch wściekłych facetów. – Suski przyglądał się mu uważnie. – Nie mam nawet pewności, co kryje się pod tym bandażem. Może to tylko atrapa?

Tomasz Atman przewrócił oczami, jednocześnie odwijając fragment opatrunku, aż odsłonił długie nacięcie na przedramieniu.

– Dostałem nożem – wyjaśnił.

– I co, potem tak po prostu grzecznie wyszli?

– Nie, oddałem im pieniądze. Nie całe oczywiście, ale sporą część długu.

– A skąd pan miał te pieniądze? Z tego, co wiem, nauczyciele nie zarabiają dużo, a pan przecież dopiero co kupił tamtą rudę

i wykosztował się na remont. Poza tym skoro mógł pan zwrócić pożyczkę od razu, to po co było się narażać? Lubi pan ryzyko?

– Nie, to nie tak. – Mężczyzna potarł palcami skronie. – Miałem trochę zaskórniaków, ale nie chciałem im tego oddawać. Ci ludzie to bandyci, naliczają jakieś cholerne odsetki za każdy dzień zwłoki i potem człowiek już nie może uciec z tej matni, zawsze jest im mało. Myślałem, że jak zamieszkam gdzieś na uboczu, to mnie nie znajdą, ale się myliłem.

Ramiona mężczyzny opadły, jakby nie miał już siły dłużej walczyć.

– Może pan podać ich nazwiska albo chociaż ksywy?

– Ci dwaj to Masar i Cichy, nie wiem, jak się naprawdę nazywają. Oni dostarczali mi amfę, a z ich szefem nigdy nie rozmawiałem, nie mam pojęcia, kim jest. – Przełknął ślinę. – Przyjeżdżali z towarem pod taki klub, Arkansas, jakieś osiemdziesiąt kilometrów stąd, gdzie chodziłem na piwo. Ostatnio dostałem od nich ekstra porcję, bo chcieli, żebym zaczął rozprowadzać to gówno wśród dzieciaków, tyle że zużyłem ją dla siebie i zrobił się dym.

Leszek Suski zanotował ksywy dealerów, ale jego zmarszczone czoło sugerowało, że nie dowierza ani jednemu słowu Atmana. W życiu nie słyszał w okolicy o osobach, które nosiłyby takie pseudonimy, nie mówiąc już o tym, że cała opowieść nauczyciela sprawiała wrażenie mocno naciąganej. Za dużo luk i domysłów, za mało konkretnych informacji.

– Sprawdźmy to – zapowiedział komendant. – Ale jeśli okaże się, że pan kłamał albo chociaż usiłował nagiąć fakty, prokurator Miksa postawi zarzut. – Podniósł się z krzesła, zbierając dokumenty. – Mamy też nakaz przeszukania pańskiej posesji i samochodu, niech się więc pan teraz modli o to, byśmy niczego nie znaleźli.

Nauczyciel przez dłuższy czas mierzył się wzrokiem z Suskim, ale w końcu odwrócił głowę, a potem zabrał ze stołu ręce, by ukryć ich drżenie.

Leszek Suski śnił o spokojnej emeryturze. W marzeniach sennych spacerował z żoną po pięknej złotej plaży, zbierał muszle i wygładzone przez wodę kamyki, mrużąc oczy w promieniach słońca. Delikatny, ciepły wiatr muskał płatki jego uszu, morze kojąco szumiało, a stopy zapadały się w miękkim piasku. Błękit łagodnych fal i nieba wolnego od chmur odprężał policjanta. Komendant przymknął powieki, zaciągając się orzeźwiającym zapachem morskiej bryzy, mruknął z zadowoleniem, a później niespodziewanie odniósł wrażenie, jakby ziemia pod jego stopami zaczęła się ruszać. Przerażony odskoczył, czując wspinający się po kręgosłupie niepokój.

Ze ściśniętym gardłem, niczym zahipnotyzowany, Suski nie potrafił przestać patrzeć na przesypujące się, drgające ziarna piasku, spod którego coś chciało się wydostać. Po chwili zobaczył wyrastające z ziemi palce, a później parę dłoni. Ich paznokcie były czarne od brudu, a coraz dłuższe ręce wiły się jak wodorosty poruszane falami. Komendant słyszał dudnienie własnego serca, w popłochu rozejrzał się w poszukiwaniu żony, ale ta nagle znikła. We śnie postanowił pobiec, by ją odszukać, jednak gdy tylko o tym pomyślał, poczuł, jak druga para rąk wynurza się spod piasku i obejmuje ciasno jego nogi, uniemożliwiając ucieczkę.

Zaczął krzyczeć, ale z jego ust nie wydobywały się żadne dźwięki, jakby ktoś wyłączył fonię, i wtedy dostrzegł czubek wyłaniającej się głowy, a zaraz potem ramiona i tułów Emila Lenarta. Ten widok całkowicie go sparaliżował. Stał obok, gapiąc się na chłopca, który sprawiał wrażenie, jakby wrócił z samych piekieł. Z jego twarzy, włosów i skóry osypywała się czarna ziemia, a pejzaż wokół policjanta niespodziewanie stracił kolory. Suski nie był już na plaży, tylko w zagajniku. Zza pleców doszedł go nienawistny syk, a gdy odwrócił głowę, zauważył Piotрка Zielińskiego, równie brudnego jak jego kolega.

Dziesięć lat później przewrócili komendanta, jakby był bezwolną lalką. Jeden z chłopców usiadł na mężczyźnie, rozwierając mu

palcami usta, drugi zaś garściami wsypywał do gardła ofiary ziemię. W tym koszmarnym śnie Leszek Suski wiedział, że umiera, a jednocześnie nie mógł z tym nic zrobić. Z całych sił wierzgał, lecz jego ciało pozostawało nieruchome.

Wreszcie, za którymś szarpnięciem, zdołał unieść tułów, odkrywając, że znajduje się we własnym łóżku, w mokrej od potu piżamie. Zły sen przysł, ale komendant nadal nie mógł dojść do siebie. Przecierał załzawione oczy, które szczypały, jakby ktoś nasypał pod powieki piasku. Jego oddech powoli się uspokajał, a widok śpiącej obok, przytulonej do poduszki żony poskramiał lęk.

Mężczyzna wstał ostrożnie, by nie zbudzić małżonki, po czym boso przeszedł do kuchni i przy świetle ulicznej latarni, wpadającym przez okno, nalał do szklanki zimnej wody z kranu. Wtedy dobiegło go skrzypnięcie zamykanych tuż za nim drzwi, a gdy się odwrócił, ujrzał kobiecą postać, która położyła palec na ustach, jednocześnie pokazując nóż o długim ostrzu, trzymany w drugiej ręce.

Kiedy rozpoznał w obcej Małgorzatę Lenart, jego palce bezwiednie rozwarły się, a szklanka wypadła z nich, by z łoskotem uderzyć o kafle na podłodze i pęknąć na wiele kawałków. Leszek Suski zarejestrował ostre odłamki tuż obok swojej prawej stopy, po czym usłyszał ciche, zaspane wołanie żony:

– Kochanie, wszystko w porządku?

Niepewny tego, co powinien teraz zrobić, spojrzał na kobietę z nożem, jakby prosił ją o pozwolenie, ale ona tylko pokręciła głową, ustawiając pod klamką jedno z kuchennych krzeseł, tak by w razie potrzeby zablokowało drzwi i uniemożliwiło osobom z zewnątrz wejście do środka albo przynajmniej opóźniło ich wtargnięcie.

– Tak, śpij. Zaraz wrócę! – odkrzyknął Suski, przetykając ślinę.

Matka Emila podeszła bliżej. Jej oczy zdawały się płonąć żywym ogniem, jak u kogoś opętanego. Pachniała alkoholem i kwaśnym potem, a sukienka, którą miała na sobie, wyglądała na znoszoną i do złudzenia przypominała tę z pogrzebu chłopców, jakby kobieta nie zmieniała ubrań od kilku dni. Suski wiedział, że jest od niej silniejszy,

mógłby pchnąć ją ramieniem, pozbawić broni i obezwładnić, ale postanowił zaczekać na pierwszy ruch kobiety. W myślach powtarzał sobie, iż to tylko niegroźna, pogrążona w żałobie matka, która szuka odpowiedzi, a nie morderczyni.

– Dlaczego zawiózł pan krzyżyk do zagajnika i zakopał go w ziemi? – wycharczała.

– Nie wiem, o czym pani mówi.

– Ten sam, który wypadł panu z kieszeni, kiedy rozmawialiśmy na komendzie.

– Coś musiało się pani pomylić. Myślę, że była pani wtedy w szoku, Emil zaginął i...

– Nie kłam! – przerwała mu, zamachując się nożem.

Po drugiej stronie drzwi słychać było szuranie, a później ktoś zaczął szarpać za klamkę.

– Leszek? Kto tam jest? Co się dzieje? Nie mogę wejść! – krzyknęła żona komendanta.

– Wezwij pomoc!

Kobieta zaczęła łomotać w drzwi i wrzeszczeć:

– Ratunku!

Tymczasem napastniczka, którą rozwścieczyło zachowanie mężczyzny, dźgała powietrze nożem, usiłując trafić w lawirującego Suskiego. Ostrze ze świstem minęło jego twarz i błysnęło w świetle latarni.

Żona komendanta musiała teraz uderzać w drzwi ramieniem, próbując je wyważyć, bo po domu niósł się głuchy łoskot, a krzesło podstawione pod klamką drgnęło.

Policjant odchylił się kolejny raz, by uniknąć zranienia, po czym oburącz złapał przedramię Lenart i usiłował wyrwać jej broń. Ku zaskoczeniu Suskiego kobieta stawiała silny opór, wczepiona w rękojeść noża, jakby od tego zależało jej życie, syczała nienawistnie:

– Wiem, że tam wtedy byłeś, ktoś cię słyszał. Wszyscy jesteście w zмовie.

To rozsierdziło komendanta. Pociągnął mocniej Małgorzatę i z całej siły uderzył jej ręką o szafkę kuchenną, sprawiając, że nóż wypadł z jej uścisku i wleciał pod stół.

Suski pchnął napastniczkę na blat, wykręcił jej rękę do tyłu tak, że aż pisnęła, ale gdy usiłował chwycić drugą, Lenart szarpnęła ciałem, popychając mężczyznę wprost na rozbite szkło, które zachręściło pod jego nogą. Policjant wrzasnął z bólu i odruchowo uniósł stopę, by wyciągnąć z niej odłamki, ale w ten sposób stracił wcześniejszą przewagę nad matką Emila.

– Leszek! Ludzie, pomocy! – wołała Suska, dobijając się do drzwi.

Małgorzata natychmiast wykorzystała okazję. Ciężko dysząc, wymacała pod stołem nóż, złapała go w dłoń, dopadła komendanta i dwukrotnie dźgnęła go w klatkę piersiową.

– To wy zabiliście Emila! – wyrzuciła z siebie, bliska płaczu. – Mój synek mi wszystko powiedział.

– Nie mam... nie mam z tym nic wspólnego – odparł Suski słabym głosem. – Niech pani wezwie pomoc. Proszę.

Policjant leżał na podłodze, z głową opartą o drzwiczki szafki. Jego wzrok stawał się coraz bardziej mętny, dłońmi zaś uciskał ranę pod prawym ramieniem, z której ciekła gęsta, bordowa krew.

Nagle chwilową ciszę przerwał łomot.

– Policja, otwórz drzwi! – zagrzmiął tubalny męski głos. – Policja, otwórz drzwi, bo je wyważymy!

Lenart zaczęła w panice rozglądać się wokół. Jej ręce drżały, a na twarzy lśniły krople potu.

– Chcę wiedzieć dlaczego! Co wam zrobił?! – pytała. – Był tylko dzieckiem!

– Bardzo mi przykro – odparł Suski.

– Będziesz się za to smażył w piekle – powiedziała, po czym uniosła nóż gotowy do zadania kolejnego ciosu, ale wtedy rozległ się huk i do środka z impetem wpadło czterech policjantów, powalając zdezorientowaną Lenart na ziemię.

Tuż za nimi do kuchni wbiegła roztrzęsiona Suska w koszuli nocnej. Przyklękła przy mężu, a gdy tylko zobaczyła jego rany, zbladła.

– Trzeba natychmiast wezwać pogotowie! – Położyła dłoń na policzku męża, drugą zaś gładziła jego czoło. – Będzie dobrze, zobaczysz. Wyjdiesz z tego. – Uśmiechnęła się do mężczyzny pocieszająco.

Mąż ledwie zauważalnie kiwnął głową. Kątem oka śledził wyprowadzaną przez funkcjonariuszy matkę Emila, która splunęła w jego stronę.

– Mam do ciebie prośbę – zwrócił się komendant do żony. – Chciałbym, żebyś pojechała w jedno miejsce i coś mi stamtąd przywiozła. Teraz.

Zuzanna, 2015

*

Ze snu wyrwał mnie ostry dźwięk telefonu. Podniosłam się zdezorientowana, nie mogąc zlokalizować komórki, której nie było ani w torebce, ani na stoliku nocnym, ani nawet w kieszeni kurtki. Pokój wypełniały nieprzyjemne dla oczu światło przedzierające się przez zasłony oraz nadal wyczuwalny zapach dymu. Kolejny dzień w tym pieprzonym raju, jęknęłam w duchu, po czym przetrząsnęłam swoje wczorajsze ubrania i pościel, gdzie pod poduszką leżała tylko broń, którą postanowiłam trzymać bliżej siebie. Piskliwa melodyjka nadal świdrowała uszy. Zajrzałam jeszcze pod łóżko i właśnie tam znalazłam telefon.

– Tak? – odebrałam ostrożnie, nie wiedząc, kto znajduje się po drugiej stronie.

– Nie słyszała pani, że ludzie sukcesu wstają przed szóstą rano i zanim reszta świata zasiądzie do śniadania, oni mają na koncie już kilka zwycięstw?

– Prokurator Miksa?

– We własnej osobie. Czekam na dole w samochodzie.

Kiedy się rozłączyła, oparłam plecy o ścianę i westchnęłam głęboko. Zegarek w telefonie pokazywał siódmą, chyba najpóźniejszą godzinę, do której w ostatnich dniach udało mi się pospać. Co za ironia, że gdy bezsenność odpuściła, dopadła mnie

rzeczywistość. Twarz, która spoglądała z łazienkowego lustra, wydawała się obca. Podkrążone oczy, czerwona skóra i włosy w nieładzie upodabniały mnie do bezdomnej. Nieprzytomna wetknęłam głowę pod zimną wodę, parskając przy tym jak źrebak, a później naciągnęłam spodnie i z kurtką w dłoni zeszałam na dół.

Maja Miksa siedziała za kierownicą szarej toyoty corolli z włączonym silnikiem. Na mój widok mignęła światłami, a gdy znalazłam się obok i zapukałam w szybę, dała mi znak, bym weszła do środka.

– Tu znajdzie pani wszystko, co udało mi się wyciągnąć. – Położyła na moich kolanach szarą, grubą teczkę. – Na marginesach są też moje notatki, a gdyby ktoś pytał, jakim cudem to wpadło w pani ręce...

– Będę udawać głuchoniemą – wtrąciłam, przypominając sobie rozmowę z Wilczyńskim.

Prokurator zmarszczyła brwi, jakbym mówiła w innym języku.

– Nie sędzę, by to pomogło, ale nie będę dyskutowała z pani taktyką – skwitowała. – Koło szesnastej wrócę już do domu, zapraszam, gdyby chciała pani omówić swoje spostrzeżenia. A teraz proszę wysiąść, mam umówioną wizytę u lekarza.

Bezpośredniość Miksy zdumiewała mnie za każdym razem. Podziękowałam jej za materiały, ale gdy miałam już opuścić samochód Mai, zatrzymałam się.

– Dlaczego właściwie pani to robi? Pomaga mi? – zapytałam.

– Bo pani niezłomność kogoś mi przypomina.

– Kogo?

– Kobietę, którą byłam, zanim się poddałam. Dzięki pani znów czuję chęć do walki.

Patrzyłyśmy sobie w oczy przez dłuższy czas, bez słów, w przyjemnej ciszy uzupełnianej pomrukami silnika, po czym Miksa znacząco zapukała w zegarek na desce rozdzielczej.

Pożegnałam się i jak najszybciej pobiegłam do pokoju, po drodze dając znać Klarze, by zostawiła mi śniadanie wraz z termosem kawy

pod drzwiami. Spytałam też o mapę okolicy, a gdy dziewczyna wyłuskała z szuflady plan miasta, z błyszczącymi oczami zabrałam go na górę.

Moje centrum dowodzenia mieściło się na łóżku. Z grubym notesem pod ręką i mapą rozłożoną w nogach pościania, w skupieniu zagłębiałam się w kolejne dokumenty, które tworzyły wokół swoisty archipelag. Przed oczyma błyskały mi kolejne obrazy. Elżbiety Babicz w domu handlowym Kryształ, w panice rozglądającej się za synem. Romka, który wpada na komendę zdezorientowany i przerażony. Pijanego Mieczysława Kąkola, wyciąganego siłą przez policjantów z jego pakamery. A gdy dotarłam do informacji o tym, że to szesnastoletni Mateusz Gutkowski znalazł ofiary w zagajniku, alibi zaś dała mu rok młodszą Lidka Grabowska, z niedowierzania musiałam przeczytać ten fragment powtórnie. Fakt, że wynajmowałam pokój w hotelu osoby związanej ze sprawą, a do tego należącej do kręgu podejrzanych, zaniepokoił mnie. Czułam, jakbym wpadła w gęstą i lepłą sieć, z której nie sposób się wyplątać. Każdy wokół mnie uczestniczył w tamtych wydarzeniach, co tylko wzmagало myśli o zмовie milczenia.

Podróż w przeszłość szarpała trzewia, podnosiła tętno i przyprawiała o skurcz żołądka. Szczególnie gdy czytałam o Emilu. Wyobrażnia podsuwała mi obraz radosnego, nieco krnąbrnego chłopca, który powoli zaczynał zajmować ważne miejsce w moim życiu. Jakby jego historia mogła uzupełnić puste miejsce we mnie.

Pracowałam mechanicznie, skrupulatnie analizując każde doniesienie. Trzymałam się do czasu, gdy w moje ręce nie wpadły raporty z sekcji zwłok – wtedy zaczęłam płakać. Być może miarą tego, jak dzielni jesteśmy, nie jest to, jak długo potrafimy wytrzymać, a to, jak szybko pozwolimy sobie odpuścić. Żal wylewał się ze mnie po cichu, bez szlochów, łzy po prostu płynęły po policzkach, a ciałem wstrząsały dreszcze.

Bezpośrednią przyczyną śmierci mojego brata był rozległy uraz czaszkowo-mózgowy, choć początkowo podejrzewano także

uduszenie gwałtowne, ze względu na liczne zasinienia na szyi. Patrzyłam na te suche medyczne słowa, które raniły niczym precyzyjny, ostry skalpel. Emil miał dziesięć lat. Ciemne, podobne do moich oczy, brązowe włosy obcięte na pazia i drobną budowę. Był dla mnie jak duch, nieuchwytny, a przy tym hipnotyzujący, jakby szeptał z zaświatów swoje zaklęcia.

Głośnie burczenie w brzuchu przypomniało mi o śniadaniu zostawionym za drzwiami, które zapewne już dawno ostygło. W pośpiechu połknęłam dwie zimne parówki, popijając je kawą z termicznego dzbanka, a później weszłam pod prysznic. Gorące strumienie chłostały moją skórę jakby za karę niepamięci, choć przecież nie było moją winą, że zapomniałam o bracie. Owinęłam ciało w ręcznik, czując, jak wszystko w środku mnie boli. Nawet zwykle kojący szum suszarki do włosów nie niósł otuchy.

Kiedy wróciłam na łóżko, wyrwałam z notesu kartkę i zapisałam na niej trzy pytania. Z kim dziecko wyszłoby z domu towarowego? Dlaczego obrażenia starszych chłopców były gwałtowne i nieliczne, a młodszego krzywdzono tak długo? Jakim motywem kierował się sprawca? Gdyby myśli można było usłyszeć, w tej chwili w pokoju rozbrzmiewałby zgiełk podobny do tego, jaki panuje na koncertach rockowych.

Przygryzając końcówkę długopisu, nachyliłam się nad mapą, po czym zaznaczyłam ważne punkty: dom towarowy Kryształ, miejsce, w którym jeden z dzwoniących widział trzech chłopców, sklep motoryzacyjny, w którym Romek Babicz odbierał część do samochodu klienta, oraz dom Babiczów. Przy każdej z lokalizacji zanotowałam godzinę wspomnianą w zeznaniach, a następnie na oddzielnej kartce zapisałam wszystko, co w toku śledztwa padło z ust świadków na temat ofiar, nawet jeśli pozornie wydawało się to niedorzeczne. „By zbudować profil sprawcy, trzeba najpierw odtworzyć świat ofiary” – mawiał ceniony przeze mnie profiler Jan Gołębiowski, a ja postanowiłam skorzystać z tej rady.

W którymś momencie, tknięta ciekawością, odnalazłam w internecie stronę pubu Szpilka i bez wahania wybrałam numer Lidki.

– Cześć, z tej strony Zuza Hansen, poznałyśmy się wczoraj – zagaiłam, gdy odebrała.

– Ach, to ty! Dziennikarka.

– We własnej osobie. – Zaśmiałam się. – Słuchaj, czy znasz może nazwisko jednej ze swoich klientek? Była wczoraj w barze. Ma na imię Diana, jest jakoś po pięćdziesiątce.

– Kusa kiecka i przesadny makijaż?

– Tak, pijana w sztok.

– To nasza stała bywalczyni i lokalna wizażystka. Zdziwiłabyś się, jak dużo ma klientek.

– Wiesz może, gdzie ją znajdę?

– Sprawdź na Facebooku. My Lovely Place czy My Beauty Place, coś w tym stylu – poradziła barmanka. – Ale wiesz, że już po Halloween i przerażający make up raczej ci się nie przyda?

– Nie o to chodzi – odparłam. – Po prostu powiedziała wczoraj coś, co mnie zaintrygowało, i chcę to sprawdzić.

– Na twoim miejscu nie traktowałabym poważnie słów kobiety, która zdecydowanie przesadza z alkoholem.

– Wezmę to pod uwagę, dzięki.

Kiedy się rozłączyłam, ogarnęło mnie dziwne ożywienie. Z łatwością odszukałam stronę My Beauty Place należącą do Diany Osiej, a po chwili wystukiwałam na ekranie smartfona numer kobiety, podany w zakładce kontakt. Makijażystka długo nie podnosiła słuchawki i już miałam spasować, gdy usłyszałam słabe, zachrypnięte:

– Halo?

– Dzień dobry – zaczęłam nieśmiało. – Rozmawiałyśmy wczoraj w Szpilce. Nazywam się Zuzanna Hansen, jestem dziennikarką.

– Przepraszam, ale nie pamiętam – wystękała wyraźnie zmęczona. – A pani chce się zapisać na paznokcie czy na makijaż?

– Właściwie to na nic – wyjaśniłam. – Zeszłej nocy powiedziała pani coś, co nie daje mi spokoju. O tym, że pani syna też chcieli porwać.

Po drugiej stronie zapadła cisza. Wreszcie kobieta odchrząknęła i z wyczuwalnym zażenowaniem zapytała:

– Naprawdę to zrobiłam?

– Tak, wspominała też pani o Bernardzie Suskim i tym, że panią zignorował.

– To teraz rozumiem, dlaczego dziś mnie tak bardzo boli głowa. Zdecydowanie nie powinnam tyle pić. – Westchnęła. – To było dawno temu, kiedy mój Janek miał jakieś cztery lata, a dziś to już dorosły mężczyzna. Wyglupiłam się, proszę o tym zapomnieć.

– Ale co się właściwie wtedy stało? – nalegałam.

Dobiegł mnie dźwięk odpalanego papierosa i odgłos wydmuchiwanego dymu.

– W dziewięćdziesiątym roku w domu handlowym Kryształ zaginął mały chłopczyk, syn miejscowego mechanika – powiedziała. – Gdy o tym wtedy usłyszałam, pobiegłam na komendę, bo kilka miesięcy wcześniej dwóch takich podrostków usiłowało porwać mojego Janka z tego samego miejsca. Pomyślałam, że to może mieć związek, ale Bernard Suski zlekceważył te informacje.

– Dlaczego?

– Twierdził, że mój syn mógł się zgubić i tamte dzieci próbowały mu pomóc albo po prostu bawił się z nimi. Do tego fakt, że nie potrafiłam opisać, jak wyglądali ci chłopcy, nie pomógł. Dopiero później, gdy już opublikowali w gazecie zdjęcia ofiar morderstwa w zagajniku, Jasiek pokazał mi dwa z nich palcem i dostał spazmów. Przez kilka dni nie mogłam uspokoić dzieciaka, zaczął się na nowo moczyć w nocy i budzić z krzykiem.

– Nie rozumiem. Według pani to ofiary zabójstwa chciały uprowadzić Janka?

– Tak, Emil Lenart i Piotr Zieliński. Jestem tego pewna, zresztą mój syn to potwierdził. Na szczęście w porę zdołałam zareagować,

inaczej kto wie, co by się stało.

Ściągnęłam brwi i zaciskając zęby na końcówce długopisu, rozważałam prawdopodobieństwo takiego scenariusza.

– Czy później jeszcze z kimś pani o tym rozmawiała? – spytałam.

– Nie. No może czasem ze znajomymi po pijaku. Zastanawialiśmy się, kto mógł skrzywdzić te dzieci. Ale na policję już nie wróciłam, jakoś całkowicie straciłam zaufanie do tego Suskiego i jego ojca.

Po rozmowie z Dianą Osiej wprowadziłam pewne zmiany do zapisków i prześledziłam odmienny potencjalny przebieg zdarzeń, ale wiele pytań nie dawało mi spokoju. Postanowiłam się przewietrzyć, by pozbierać myśli.

Chłodny wiatr muskał moją szyję, a żwir chrzęścił pod stopami, gdy przemierzałam alejki za hotelem. Kot, który niedawno niemal doprowadził mnie do zawału, uganiał się za pierzchającym wróblem niczym ja za prawdą. W myślach odtwarzałam po kolei wszystkie fakty, gdy zrozumiałam, że jedyne, czym dysponuję, a do czego nie mieli dostępu śledczy sprzed lat, to listy od mojej matki.

Wróciłam na górę i zaczęłam w szale rozrywać poszczególne koperty. Strzępki papieru spadały na wykładzinę, gdy mój wzrok zachłannie śledził kolejne linijki wiadomości. Z rumieńcami na policzkach zapisywałam niektóre zdania, a na końcu wielkimi literami dodałam hasło: ŻYCIE ZA ŻYCIE. Uznałam, że skoro ktoś wyciął te słowa na plecach matki, musiały nieść ze sobą głębsze znaczenie. Moje ciało na powrót lepilo się od potu, głowa zaś pulsowała z wysiłku.

Wreszcie przytwierdziłam kartki z notatkami do ściany i stanęłam naprzeciwko, śledząc wzrokiem obwiedzione kórkami fragmenty. Serce dudniło w piersi, a po chwili, gdy dostrzegłam to, co wcześniej było ukryte, jakby się zatrzymało. Obraz, który wyłonił się z moich notatek, sprawił, że poczułam mdłości i natychmiast pobiegłam do łazienki zwrócić całą zawartość żołądka. Trzęsły mi się ręce, a twarz pobladła. To nie może być prawda, powtarzałam w myślach, choć całą sobą czułam, że jest. By zyskać pewność, musiałam jeszcze

tylko sprawdzić jedną rzecz. W tym celu pospiesznie spakowałam dokumenty i godzinę później znalazłam się pod bramą pewnego budynku.

1990

*

Siedząc za kierownicą czerwonego malucha, prokurator Miksa cały czas analizowała słowa komendanta, którego odwiedziła rano w szpitalu. Obrażenia policjanta szczęśliwie okazały się niezagrażające życiu. Przy zadawaniu ciosów nóż natrafił na żebra, a te osłabiły siłę pchnięcia i spowodowały, że urazy nie były poważne w takim stopniu, w jakim się tego początkowo spodziewali lekarze. Śledczy miał spędzić na obserwacji jeszcze kilka dni, ale wszystko wskazywało na to, że potem wyjdzie i dokończy sprawę. „Szczęście w nieszczęściu”, jak powiedzieli medycy.

Właściwie Maja powinna się cieszyć, ale w opowieści komendanta o minionej nocy dostrzegła kilka luk. Oczywiście mogły wynikać z wstrząsu, którego doświadczył po tym, jak został zaatakowany, jednak mimo wszystko nie rozumiała, dlaczego głosy w głowie Lenart wskazały jako winnego śmierci jej syna akurat Leszka Suskiego. Musiał istnieć jakiś powód jej fiksacji na tej konkretnej osobie, choć prokurator opierała tę hipotezę wyłącznie na własnych przeczuciach. Szczególnie że po rozmowie z Mieczysławem Kąkolem dyskretnie sprawdziła, gdzie w czasie morderstwa przebywał komendant, i zarówno jego sekretarka, jak i funkcjonariusz pełniący wtedy zmianę na komendzie potwierdzili, iż szef nie opuszczał budynku, co ostatecznie rozwiało jej wątpliwości.

Parkując na posesji Tomasza Atmana, Miksa nuciła do wtóru z radiem piosenkę *It's Raining Men* w wykonaniu The Weather Girls, którą spiker puścił po tym, jak zapowiedział nadchodzące ochłodzenie oraz intensywne ulewy. Prokurator westchnęła, ponieważ pogoda, podobnie jak jej relacja z Rosą, z gorącej i burzliwej przeszła w chłodną. O ile zazwyczaj rozpad związku służył jej jak po kaczce, o tyle tym razem czuła w sobie wyrwę, której nie potrafiła wypełnić nawet intensywną pracą do późnych godzin w nocy. Wiedziała, że w trakcie kłótni z kochanką wypowiedziała o wiele więcej słów, niż powinna, ale fałszywie pojmowana duma nie pozwalała jej zwyczajnie przeprosić.

Po sprzeczce zadzwoniła do Rosy tylko raz, chciała usprawiedliwić swoje wzburzenie, cierpliwie wyjaśniała, że w trakcie prowadzenia śledztwa musi opierać się na logice, faktach i dowodach, a nie kartach tarota, które można zinterpretować w dowolny sposób, ale kochanka nie chciała tego słuchać. Przy słowach „nie ma to nic wspólnego ze zdrowym rozsądkiem” Romka rzuciła słuchawką, a Maja już więcej do niej nie zadzwoniła.

Kiedy wchodziła do domu nauczyciela, nie liczyła na wiele. Mężczyzna nigdy nie był karany, a dyrektor z poprzedniej szkoły oraz koledzy z pokoju nauczycielskiego wspominali go jako niezwykle energicznego pedagoga z dobrym podejściem do dzieci. Ciekawe, czy mówiliby o nim równie ciepło, gdyby wiedzieli, że jego wigor napędzany był amfetaminą, pomyślała Miksa, witając się z policjantami, którzy przeszukiwali budynek.

– Coś ciekawego? – zapytała Bernarda Suskiego, nadzorującego czynności.

– Na razie niespecjalnie – odparł. – W łazience na pralce znaleźliśmy resztki amfetaminy po kresce, którą pewnie wciągał, ale za mało, żeby zastosować jakieś sankcje.

– A tych dealerów udało się znaleźć?

Aspirant pokręcił głową.

– Nikt nie słyszał o takich koleśiach. Popytaliśmy tu i ówdzie, wypuściliśmy jednego leszcza na wabia, ale nic, więc albo nie istnieją, albo się zapadli pod ziemię. Gdybym miał obstawiać, facet wciska nam kit, aż miło.

Prokurator w zamyśleniu przeszła do drugiego pokoju, po czym obrzuciła wzrokiem nowe panele i świeżo pomalowane ściany, które nie dawały jej spokoju.

– Gdzie skaleczyli mu tę rękę? – zawołała do Suskiego. – W domu czy na zewnątrz?

Bernard podrapał się po głowie.

– Chyba gdzieś tutaj.

– To rozcięcie, które widziałam na zdjęciu, ciągnie się od łokcia prawie do nadgarstka. Powinien mocno krwawić, nie wiem, może zachłapać ściany, a tu jest sterylne czysto. – Rozejrzała się wokół. – Nie mówiąc już o tym, że zastanawiające jest, dlaczego nie pojechał tego zszyć w szpitalu.

– Rana pewnie nie była głęboka, a krew mógł zetrzeć i zamalować.

Pytanie, czy tylko swoją krew, pomyślała Miksa, odsuwając firankę, by wyrzeć za okno. Na zewnątrz dostrzegła starą, sypiącą się budę dla psa.

– On ma jakieś zwierzęta? – chciała wiedzieć.

– Nie spotkaliśmy żadnych.

– To po co mu ta buda? Skoro wywoził wszystkie śmieci i palił starą klepkę podłogową, dlaczego zostawił to paskudztwo?

Oczy aspiranta rozbłysły, a gdy wyszedł, by przyjrzeć się zbitej z desek konstrukcji, Maja przykucnęła, śledząc uważnie każde łączenie między panelami. Zmęczenie po nieprzespanej nocy sprawiało, że ciężkie powieki coraz bardziej opadały, a w głowie nieustająco brzmiało dudnienie podobne do tego, które wydawał nadjeżdżający pociąg. Po ostatniej rozmowie z prokuratorem rejonowym zaczynała marzyć o tym, by ta sprawa wreszcie się skończyła. Męczyły ją ciągłe naciski z góry, wieczne pytania i oskarżenia o niekompetencję. Wiedziała jednak, że dopóki nie

znajdzie mocnych dowodów, nie będzie mogła spełnić oczekiwań przełożonych. Ostatecznie słowa ślubowania wyraźnie mówiły: „stać na straży prawa i strzec praworządności”, a ona nie zamierzała go łamać.

– Proszę zobaczyć, co znalazłem – oznajmił aspirant Suski, wrywając Miksę z letargu.

W dłoniach ubranych w rękawiczki trzymał niewielki pistolet, na który prokurator spojrzała ze ściągniętymi brwiami.

– Co to jest?

– Był w budzie, ukryty za jedną z desek. To tak zwany CZAK, inaczej pe sześćdziesiątka czwórka, swego czasu przepisowa broń służb mundurowych. Sporo takich jest jeszcze na stanie.

– Jak mógł ją zdobyć?

– Są dostępne na czarnym rynku, raczej nietrudno ją kupić.

Maja popatrzyła raz jeszcze na podłogę.

– Zrywamy panele – zarządziła.

Bernard uśmiechnął się pod nosem.

– Skoro trzeba.

Miksa chciała pobyć chwilę sama, żeby zebrać myśli i zrozumieć sens tego, co właśnie odkryli. Doskonale pamiętała sugestię aspiranta, jakoby sprawca mógł posiadać broń i grozić nią ofiarom, które sparaliżowane strachem, nie zdecydowały się na ucieczkę. Tylko dlaczego zwyczajny nauczyciel matematyki kupowałby broń na czarnym rynku? Z drugiej strony Tomasz Atman zażywał amfetaminę, po której mógł się stawać porywczym człowiekiem, tracącym panowanie nad sobą.

Prokurator wypaliła na zewnątrz papierosa, po czym rzuciła niedopałek na chodnik i przydepnęła go butem.

Będąc w korytarzu, zerknęła na wieszak na ubrania. Znajdowała się tam cienka wiosenna kurtka i klucze na srebrnym kółku z dołączonym do niego brelokiem w kształcie koniczyny. Na jej widok coś tknęło Maję, jakby wcześniej gdzieś widziała już podobny, ale

była na tyle zmęczona, że wydobyć tego wspomnienia z mgły stało się niemożliwe.

– Pani prokurator! Powinna tu pani przyjść – usłyszała głos aspiranta Suskiego.

– Coś znaleźliście?

Policjant pokazał jej kilka drobnych kropek krwi na bocznej krawędzi panelu.

Skoro nawet siebie nie znamy do końca, to jak możemy zakładać, że rozumiemy innych? Ta myśl towarzyszyła Leszkowi Suskiemu, odkąd porozmawiał z żoną, a przybrała na sile, gdy do sali szpitalnej wszedł Bernard. Komendant patrzył na syna, który wyglądał jak on sam dwadzieścia pięć lat wcześniej. Znajome orzechowe oczy, mocno zarysowana szczęka pokryta lekkim zarostem, jasna czupryna, a przy tym dumna, wyprostowana sylwetka. Biła od niego siła oraz pewność siebie tak magnetyzująca, że aż chciało się z nim przebywać, chłonąć ten czar i wierzyć w każde jego słowo. Komendant również tego pragnął, ale po tym, czego się dowiedział, już nie mógł.

Z uwagą, mrużąc oczy, wysłuchał informacji o śladach krwi znalezionych pod panelami w domu Tomasza Atmana, który po odkryciu na jego posesji broni uparcie twierdził, że nigdy wcześniej nie widział jej na oczy. Śledczy nie wierzyli mężczyźnie, ale przez trudności z ustaleniem pochodzenia pistoletu oraz fakt, że na CZAK-u próżno było szukać jakichkolwiek odcisków palców, nie mogli postawić mu zarzutów za nielegalne posiadanie broni. Policjanci w napięciu czekali jednak na wyniki badań próbki krwi z podłogi nauczyciela oraz rezultat jej porównania z krwią ofiar. Gdyby wystąpiła zgodność, sprawa zyskałaby szansę na wyjaśnienie.

Leszek Suski zdawał się nie podzielać tego entuzjazmu.

– Pamiętasz, jak rozmawialiśmy o krzyżyku? – zapytał syna. – Przypomnij sobie, gdzie dokładnie go zostawiłeś?

– Znowu to robisz czy mam déjà vu?

– Wczoraj w nocy, kiedy byłeś na swojej zmianie, wysłałem matkę do twojego mieszkania. Przeszukała absolutnie wszystko i nigdzie go nie znalazła.

– Całkiem ci odbiło.

– Może, ale nadal mi nie odpowiedziałeś. Gdzie on jest, Bernard?

Aspirant wziął głęboki wdech, jakby chciał w ten sposób ostudzić gotujące się emocje.

– Nie wiem. – Wzruszył ramionami. – Może go zostawiłem u Malwiny. Chyba nie pójdę za to do piekła, co?

Komendant odwrócił głowę, nie mogąc dłużej znieść hardego spojrzenia syna. Zawsze uważał, że nie ma gorszego piekła niż to, które nosimy w sobie. W końcu nic nie prześladowe nas tak, jak nasze własne winy, pomyślał, jednocześnie zyskując pewność, że jeśli nie zada tego pytania teraz, ono będzie go nękać już do końca. Zwilżył językiem wargi, po czym spojrzał na aspiranta. Bał się tego, co usłyszy. W życiu często zadajemy pytania, nie zdając sobie sprawy, że wcale nie chcemy usłyszeć odpowiedzi.

Leszek Suski nerwowo podrapał skórę za uchem, a później odchrząknął.

– Zrobię to tylko raz i nigdy więcej nie będę do tego wracał – oznajmił, przyciągając uwagę syna, który w zdziwieniu otworzył szerzej oczy i zmarszczył czoło. – Odniosłem krzyżyk do zagajnika. Dlatego muszę wiedzieć: czy to ty zabiłeś tamte dzieci?

Bernard przez dłuższy czas patrzył niemo na Leszka, jego twarz wyrażała bezbrzeżny żal i rozgoryczenie. Potarł skórę na czole, jednocześnie przygryzając wargę.

– Przez całe życie mnie zostawiałeś. Nigdy cię dla mnie nie było, jakbym w ogóle się nie liczył. A teraz, gdy wreszcie miałeś okazję zachować się jak prawdziwy ojciec, spieprzyłeś to – powiedział łamiącym się głosem, po czym pokręcił głową z rozczarowaniem.

Kiedy opuszczał szpitalną salę, Leszek go nie zatrzymywał. Prawa dłoń komendanta ścisnęła lewą, by opanować dygot, a jego oczy napełniły się łzami. Wszystko, co powiedział Bernard, ukłuło go

głębiej i dotkliwiej niż ciosy, które otrzymał w nocy. Praca zawsze stała dla niego na pierwszym miejscu, był wiecznie nieobecny ojcem, który uciekał z domu, bo nie wiedział, jak pełnić tę funkcję, do której nie istniała żadna instrukcja. Nigdy nie wątpił, że jego syn wstąpił do policji tylko po to, by wreszcie móc zasłużyć na to wszystko, czego dzieci oczekują od rodziców.

I choć z ust Bernarda nie padła odpowiedź na pytanie, które zadał Leszek, ten odczytał ją bez najmniejszych wątpliwości. W końcu brak odpowiedzi również nią był.

Faks zapiszczał, a potem, chrzęszcząc, wypluł z siebie wyniki badań krwi z domu Tomasza Atmana, wysłane przez laboratorium. Maja Miksa niemal wyrwała kartkę z drukarki. Jej oczy gorączkowo przebiegały po tekście, szukając tych kilku najważniejszych słów. Jednak gdy do nich dotarła, nie wiedziała, czy powinna się cieszyć z takiego obrotu spraw, czy raczej doznać zawodu.

By to przetrwać, otworzyła w swoim gabinecie okno, po czym usiadła na parapecie z papierosem zatkniętym w lufce. Nitki dymu tańczyły przed jej twarzą, odcinając się swoją szarością od granatu nieba, gdy ona usiłowała zrozumieć konsekwencje tej informacji.

Gdzie popełniłam błąd, pytała siebie w myślach, ze wzrokiem utkwionym w odległej wieży kościoła. Laboratorium ze stuprocentową pewnością potwierdziło, że krew znaleziona pod panelami nauczyciela nie mogła należeć do żadnej z ofiar zabójstwa, a pochodziła od samego Atmana.

Miksa gwałtownie zgasła papierosa i niczym w twórczym szale zaczęła rozkładać na biurku dokumenty dotyczące sprawy. Kartki tworzyły teraz swoisty pejzaż pełen zeznań, danych i raportów. Maja zakasała rękawy koszuli, a następnie nachyliła się nad papierami, podnosząc i starannie lustrując treść każdego z nich od nowa. Działała metodycznie, niczym zaprogramowany komputer, gotowy wychwycić najmniejsze nieściłości. Chciała zyskać pewność, że niczego nie przeoczyła.

Na pierwszy ogień poszedł stróż. Mieczysław Kąkol miał okazję, był na miejscu i brakowało mu alibi. Problemem okazywała się natomiast jego motywacja, bo o ile mógł chcieć uciszyć chłopców, którzy wiedzieli, że zabił psa, to nie miał żadnego powodu, by maltretować trzyletniego syna Babiczów. Miksa pomasowała skronie, czując nadchodzącą migrenę, i sięgnęła po kolejną teczkę.

Nowy nauczyciel matematyki wydawał się idealnym podejrzanym: samotny mężczyzna uzależniony od narkotyków, z naciąganym alibi oraz nielegalną bronią ukrytą na podwórku, a do tego pracujący w szkole, do której uczęszczały dwie ofiary. Wszystko to sprawiało wrażenie, jakby perfekcyjnie pasowało do opisu sprawcy. Był jeden szkopuł – Atman nie miał wyraźnego motywu. To, co ludzie mówili na jego temat, całkowicie przeczyło koncepcji, że byłby zdolny do takiej brutalności. Nie doświadczył żadnej traumy, nie znał ofiar i trudno było o pretekst, dla którego miałby uprowadzić małe dziecko z domu towarowego. O ile oczywiście narkotyki nie przejęły nad nim kontroli.

Maja czytała właśnie notatki z przesłuchania Mateusza Gutkowskiego, odtwarzając w pamięci wyraz jego twarzy w trakcie rozmowy, gdy dotarło do niej, że przez cały ten czas miał na sobie koszulę z długim rękawem, mimo doskwierających upałów. Co więcej, chłopak plątał się w zeznaniach, nie potrafił podać żadnej konkretnej godziny, a jedyną osobą potwierdzającą jego alibi była piętnastolatka, najpewniej po uszy w nim zakochana. To Miksę zastanowiło, ale kiedy błędziła wzrokiem po dokumentach, usilnie szukając motywu, natrafiła na notatkę z komendy, którą wcześniej potraktowała powierzchownie. Chwyciła ją w palce i wstrzymując oddech, przeczytała o zgłoszeniu Małgorzaty Lenart, która twierdziła, że syn miał przytroczony do plecaka brelok w kształcie koniczyny, taki sam, jaki ona nosiła przy portfelu. Według słów matki wisiołek zaginął.

Prokurator natychmiast poderwała się do góry, przyplacając ten zbyt gwałtowny ruch zawrotami głowy oraz bolesnym strzyknięciem w biodrze. By nie upaść, oparła dłonie na biurku i dopiero gdy

wirujące przed oczyma mroczki odeszły, zaczęła przeglądać zdjęcia z domu matematyka, zrobione przez funkcjonariuszy podczas przeszukania. Dyszała ciężko, a gdy dotarła do fotografii z przedpokoju, przedstawiającej pęk kluczy zaczepiony na haczyku, wyrzuciła z siebie potok przekleństw.

W podnieceniu wybierała numer do domu Lenart, a później niecierpliwie czekała, aż ktoś podniesie słuchawkę. Wreszcie przypomniała sobie, że po ataku na komendanta kobieta została zamknięta w szpitalu psychiatrycznym ze względu na podejrzenie schizofrenii paranoidalnej oraz ponieważ zagrażała życiu swojemu oraz innym.

Niespodziewanie jednak telefon odebrał jakiś mężczyzna.

– Dariusz Lenart, słucham?

– Ach, to pan. – Maja wydawała się zagubiona. – Z tej strony prokurator Miksa. Chciałam zapytać o to, czy widział pan kiedykolwiek brelok, który pańska żona nosi przy portfelu?

– Jeśli ma pani na myśli tę koniczynę, to tak, wiele razy. Kupili je razem z Emilem na wyjeździe, a o co chodzi?

– Mógłby pan ją przywieźć do prokuratury? Chciałabym sprawdzić pewną hipotezę.

– Obawiam się, że to będzie trudne. Szukałem już wcześniej torebki Małgorzaty, bo w szpitalu wymagali jej dokumentów, ale w domu nigdzie nie mogę jej znaleźć. Według mnie żona albo zabrała ją ze sobą i zgubiła po drodze, idąc do pana Suskiego, albo kogoś skusiły otwarte na oścież drzwi i ukradł torebkę z przedpokoju.

Pięść Miksy uderzała niespokojnie o blat, szukając jakiegoś rozwiązania.

– To może w takim razie spotkamy się w prokuraturze? Chciałabym pokazać panu jedno zdjęcie i dowiedzieć się, czy tak wyglądał brelok pańskiej żony.

Dariusz Lenart jęknął po drugiej stronie.

– Właściwie to nie najlepszy moment – odparł. – Zamówiłem przed chwilą taksówkę, a za czterdzieści minut mam powrotny pociąg do

Warszawy. Przyjechałem tylko ze względu na żonę, teraz muszę zająć się córką, na pewno pani rozumie.

Maja zmeła w ustach przekleństwo.

– Chodzę o kuli, po tym mnie pan rozpozna. Zobaczymy się na dworcu. Proszę tylko nie wsiadać do pociągu, dopóki nie porozmawiamy – rzuciła, po czym odłożyła słuchawkę i spakowawszy zdjęcie do torebki, ruszyła na parking.

Kiedy kwadrans później przechadzała się pod budynkiem dworca kolejowego, niespokojnie wyglądając mężczyzny, biodro wyjątkowo jej dokuczało. Uniosła twarz do nieba, jakby błagała, by deszcz, który raz po raz siąpił tego dnia, nie zdecydował się spaść ponownie teraz.

– Pani prokurator? – usłyszała głos dochodzący zza pleców, a gdy się odwróciła, dostrzegła przystojnego mężczyznę w okolicy czterdziestki, z równie jak jej przekrwionymi oczami i szarą cerą.

Podążyła mu dłonią, wymieniając przy tym uprzejmości, i by nie tracić czasu, pokazała Lenartowi zdjęcie. Ojciec Emila przyglądał się fotografii z uwagą, obracał ją pod różnymi kątami, by w końcu z niezachwianą pewnością stwierdzić:

– To brelok mojej żony. Kupili sobie takie same z Emilem podczas wakacji nad morzem trzy lata temu. Na szczęście, bo syn wybierał się wtedy do pierwszej klasy i to miało być coś w rodzaju talizmanu. – Oddał Miksie zdjęcie. – Szkoda, że nie zadziałało – dodał już ciszej, jakby do siebie.

Maja podziękowała mężczyźnie za pomoc. W tym momencie powinna czuć ulgę. Jeśli Atman miał w domu brelok zamordowanego chłopca, nie pozostawało nic więcej, jak wnieść do sądu akt oskarżenia przeciw nauczycielowi. I choć wydawało się, że w końcu go mieli, to jednak spokój nie nadchodził. Wszystko z powodu wątpliwości, która uwierała prokurator Miksę jak za ciasne buty – dlaczego Tomasz Atman powiesił brelok na widoku?

Zuzanna, 2015

*

Zakład karny w Białej Podlaskiej mieścił się przy ulicy Prostej. W myślach żartowałam, że można by właściwie przekuć ten fakt w zgrabny slogan reklamowy, w stylu „po wizycie u nas wyjdiesz na prostą”. Dowcipkowanie pomagało mi radzić sobie ze stresem przed widzeniem z Tomaszem Atmanem, który po długich namowach w końcu zgodził się na widzenie. Przeszując z nogi na nogę, rozcierałam marznące dłonie w oczekiwaniu na sygnał strażnika umożliwiający wejście do budynku więzienia. Kiedy w końcu mężczyzna zaprosił odwiedzających, poczułam, jak całe moje ciało się spina.

O Atmanie krążyły legendy. Mówiono, że nie tylko zażywał, ale też produkował i rozprowadzał narkotyki, niczym Walter White z *Breaking Bad*. Niektórzy wierzyli w historyjkę, że należał do mafii, a jeszcze inni mieli go za uczciwego, niesłusznie posądzonego człowieka, wykorzystanego przez system. Trudno było odsiać prawdę od fikcji, ponieważ nauczyciel pozostawiał za sobą wiele niedomówień, co stanowiło doskonałą pożywkę dla domysłów.

Przed wejściem do sali widzeń nabrałam tchu. Mój żołądek ścisnął się, a dłonie zaczęły pocić. Strażnik otworzył drzwi do pomieszczenia, które przypominało dużą, opustoszałą szkolną stołówkę ze ścianami pomalowanymi kremową farbą olejną. Na

podłodze z szarych płytek rozmieszczono stoliki z krzesłami, przypominające małe wysepki, odsunięte od siebie na bezpieczną odległość. Ta pustka sprawiła, że od wejścia zrobiło mi się zimno. Pocierałam ramiona, by choć trochę rozgrzać ciało, a tym samym dodać sobie otuchy. Rodziny osadzonych opieszale zajmowały miejsca, gdy klucz zazgrzytał w żelaznych drzwiach po drugiej stronie i do sali weszli więźniowie.

Spodziewałam się obrazka rodem z amerykańskich filmów. Myślałam, że zobaczę mężczyzn w kombinezonach i kajdankach na nadgarstkach, ale ci, którzy przyszli, mieli na sobie zwyczajne ubrania, najczęściej dresy, a ich ręce pozostawały swobodne. Rozglądałam się za Tomaszem Atmanem, lecz dopiero gdy mężczyzna o smutnej twarzy z półdługimi włosami wbił we mnie swoje spojrzenie, zrozumiałam, że to on. Dość wysoki, szczupły i lekko zgarbiony. Przysiadł się do stolika niemal bezszelestnie, a ja przełknęłam z wrażenia ślinę. W jego niebieskich oczach ukrytych za okrągłymi oprawkami okularów szukałam potwierdzenia, chciałam ujrzeć mordercę, ale nieustająco widziałam tylko pokonanego człowieka z twarzą naznaczoną zmarszczkami.

– Bardzo pani zależało na tym spotkaniu – stwierdził.

– Musiałam stanąć z panem twarzą w twarz i usłyszeć to od pana.

– Co takiego?

– Prawdę o tym, co się stało w czerwcu dziewięćdziesiątego roku.

Zaśmiał się.

– Przecież zna pani decyzję sądu.

– Tak, ale chcę usłyszeć pańską wersję wydarzeń.

– Ona nie ma już dzisiaj żadnego znaczenia. Poza tym zapewne pani słyszała, że więzienia są pełne niewinnych ludzi.

Posłałam mu błądy uśmiech.

– A jednak, kto wie, może pana życie potoczyłoby się inaczej, gdyby nie zdarzenia tamtego lata?

– Jeśli chce pani usłyszeć, czy to zrobiłem, powiem to samo, co zawsze: nie! – warknął, lekko poirytowany. – Moje stanowisko w tej

sprawie nigdy się nie zmieniło.

– A jakie ono jest?

Nauczyciel odchylił się na krześle, krzyżując ramiona na piersi. Jego wzrok przesuwiał się po mnie badawczo, sprawiając, że po kręgosłupie przeszedł mi dreszcz.

– Ludzie, którzy mnie oskarżyli, mieli w tym swój interes. Potrzebowali kozła ofiarnego, by odciągnąć uwagę od kogoś innego, a ja przebywałem w pobliżu i idealnie wpasowałem się w rolę podejrzanego.

Zamyśliłam się.

– Chce pan powiedzieć, że ma pan całkowicie czyste sumienie?

Odwrócił głowę, śledząc wzór na płytkach podłogowych.

– A pani? – zripostował, po czym dostrzegając nieznaczne drgnięcie w moich ruchach i zbyt długą pauzę, rzucił: – Tak myślałem. Nie ma ludzi bez skazy, co? Może tak naprawdę wszyscy jesteśmy winni? Tylko każdy czegoś innego.

– Alibi, które pan przedstawił dwadzieścia pięć lat temu, było zmyślane, prawda?

– Całkowicie.

– Nie żałuje pan tego, co pan zrobił?

Mężczyzna wzdrygnął się, jakbym trafiła w sedno, a po dłuższym czasie krępującego milczenia powiedział:

– Żałuję tylko jednej rzeczy, której nie zrobiłem. Ona mi przypomina, że sekrety są gorsze od więzienia.

– Może w takim razie przyszła pora na prawdę?

– A co, jeśli prawda jest nie do zniesienia?

– Ludziom wydaje się, że prawda ich zabije, ale według mnie ona ich uwolni.

Oczy Tomasza Atmana nabiegły wilgocią. Nauczyciel przetłknął ślinę, przeczesał dłonią włosy, po czym niespodziewanie wstał i zawołał strażnika. Wychodząc, spojrzał mi raz jeszcze w oczy z zagadkowym uśmiechem na ustach, a następnie pokręcił głową, jakby dawał mi znać, bym tego nie robiła.

Bym przestała szukać sprawcy.

1990

*

Prokurator Maja Miksa znała już decyzję sądu w kwestii aktu oskarżenia, który wniosła przeciw Tomaszowi Atmanowi. Podniosła słuchawkę i wybrała numer do Leszka Suskiego, by przekazać mu te informacje osobiście.

– Mam mówić dyplomatycznie czy prosto z mostu? – zapytała.

– Wiesz, że cenię bezpośredniość – odparł komendant.

– Sąd odrzucił akt oskarżenia przeciwko Atmanowi ze względu na niewystarczający materiał dowodowy. Przyczepili się też do samego aktu. Uznali, że nie spełnia wszystkich wymogów formalnych i inne takie bzdury.

Leszek Suski jęknął zawiedziony, po czym zamilkł na dłuższy czas.

– I co teraz zrobimy? – odezwał się wreszcie.

– Wniosę nowy akt, spróbuję dowiedzieć się, w czym tkwił problem, ale obawiam się, że niewiele wskóramy. Dopóki nie zdobędziemy chociaż jednego twardego dowodu albo nie znajdziemy świadka, nic nie możemy z tym zrobić. – Prokurator westchnęła. – Decyzję podjęła sędzia Jarzyna, znam ją i dotychczas uważałam, że nigdy się nie myli.

– To najwyraźniej nie miałaś racji – stwierdził. – Trzeba będzie raz jeszcze przesłuchać wszystkich mieszkańców miasta. Ponownie

zweryfikować raporty, przejrzeć dokumenty – wymieniał niczym w amoku. – Musimy coś na niego znaleźć.

– Leszek, przestań! – przerwała mu z irytacją w głosie. – Wziąłeś chociaż pod uwagę, że to wcale nie musi być on? Dlaczego się tak upierasz przy tym facecie?

– To nieprawda, po prostu wszystkie poszlaki wskazują...

– Nie myślisz jasno, Leszek – ucięła. – Zadzwoń do mnie, jak zobaczysz szerszą perspektywę.

Maja Miksa wściekle rzuciła słuchawką. Miała dość tej sprawy, komendanta i kłopotów w prokuraturze, ale najbardziej męczyła ją wizja ciągnącego się miesiącami śledztwa, które w końcu, po roku, może dwóch, z poczuciem przegranej trzeba będzie umorzyć, jak to dotyczące morderstwa dzieci w Jeńkach, do którego doszło w zeszłym roku. Z jakiegoś powodu czuła, że to również takim będzie. I że postarali się o to ludzie wiedzący więcej od niej.

Zuzanna, 2015

*

Kiedy zjawiłam się pod furtką Babiczów, Jerzy, przygarbiony mężczyzna o patykowatych nogach i okrągłym brzuchu, znajdował się właśnie na zewnątrz. Z młotkiem oraz śrubokrętem w dłoniach naprawiał coś przy przekrzywionej furtce.

– Syna nie ma – rzucił oschle na mój widok. – Pojechał po części do tej pani corsy.

– Tak jak wtedy – odparłam.

– Słucham?

– Dwadzieścia pięć lat temu, gdy zginął pański wnuczek, Roman też pojechał po części. Wspominam o tym, bo właśnie w tej sprawie przychodzę. Według mnie policja przeoczyła pewną nieścisłość w zeznaniach.

Jerzy skrzywił się, machnął ręką, a następnie wrócił do swojej pracy, całkowicie mnie ignorując.

– Przeczytam coś panu – zapowiedziałam i wyjęłam z teczki kartkę złożoną na pół. – „Gadaliśmy z Romkiem do piętnastej, trochę mu się zeszło z robotą, nie powiem, po czym pożegnałem się z Babiczem i pojechałem do domu”.

– Pani, ja stary jestem, słabo słyszę, da pani spokój. Jak Romek przyjedzie, to sobie pogadacie, co mnie do tego?

Uśmiechnęłam się.

– Według mnie słyszy pan doskonale. I nie przyjechałam tutaj do niego, tylko do pana. Bo widzi pan, ten klient, który wtedy u was był, wyraźnie powiedział, że pożegnał się z Babiczem, a nie z Romkiem. Jego w całej rozmowie konsekwentnie określał tylko imieniem. Śledczy musieli to mylnie zinterpretować, przez co nie zauważyli, że chodziło mu o pana, bo to właśnie pana opisywał nazwiskiem. Tylko pytanie, jak mógł się z panem pożegnać o piętnastej, skoro zgodnie z pana zeznaniami zasnął pan przed czternastą? – Wbiłam w Jerzego nieustępliwe spojrzenie. – Który z was kłamie?

Ojciec Romka złapał się furtki, jakby miał zemdleć, ale jego usta nadal pozostawały zaciśnięte w wąską kreskę.

– Nie chciałby pan odchodzić do grobu bez tej tajemnicy? Musi być niewyobrażalnie ciężko tyle lat dusić to w sobie. Może to ostatnia szansa na odkupienie, na jakiś gest w stronę Kuby.

– Gównu pani wie! – ryknął. Jego podbródek drżał, a dłoń nerwowo wymachiwała młotkiem. – Wie pani, co jest naprawdę ciężkie? Wybierać między tym, czy straci się jedną ukochaną osobę, czy dwie, a w końcu i tak zostać z niczym, bo ci, którzy przeżyli, w środku są już martwi. To jest, kurwa, ciężkie! – W złości uderzył młotkiem w furtkę, na tyle mocno, że narzędzie wypadło mu z ręki, a pogłos poniósł się po ulicy.

Jerzy Babicz zaczął płakać pojedynczymi, samotnymi łzami, jakby przez minione lata wylał już cały smutek, który miał w sobie, i tylko to mu pozostało.

– Muszę wiedzieć, o której godzinie Romek wtedy wyszedł – powtórzyłam, przygryzając język do krwi, bo widok bólu tego mężczyzny powodował, że czułam się potworem.

Ojciec Romka pokręcił głową, jego usta wypowiedziały bezgłośnie „nie”.

– Przed czternastą, prawda? Wtedy pożegnał się pan z klientem i poszedł na drzemkę – zasugerowałam. – Ludzie was lubią, ten mężczyzna chciał pomóc, skłamał, by chronić pana syna, bo był przekonany o jego niewinności.

Jerzy zacisnął usta, a w końcu skinął potwierdzająco głową. Na widok drżącego starca coś we mnie tąpnęło, jakbym zniszczyła tę resztkę życia, która mu pozostała. I choć wreszcie w pełni zrozumiałam, co wydarzyło się dwadzieścia pięć lat wcześniej, nie czułam z tego powodu satysfakcji.

Wydeptawszy już niemal dziurę na chodniku pod budynkiem prokurator Miksy, zostawiłam jej kolejną wiadomość z prośbą o pilny telefon, gdy tylko wróci do domu, a później postanowiłam zabić czas, spacerując wokół rynku. Musiałam się czymś zająć, by nie pęknąć od rozsadzających mnie emocji.

Kwiaciarnia Rosy wyróżniała się spośród sklepików przy skwerze wyjątkowymi dekoracjami. Na drzwiach wisiał ozdobny wieniec z czerwonych i żółtych liści, a przy schodach w wiklinowych koszykach piętrzyły się różnych rozmiarów kolorowe dynie. To miejsce miało duszę, którą czuło się już przed wejściem do środka. Nie zamierzałam go odwiedzać, ale kiedy pojawiło się na mojej drodze, uległam. Pchnęłam drzwi Zakątka Rosy, które wprawiły w ruch mały mosiężny dzwoneczek, i po chwili znalazłam się w środku.

Czułam się, jakbym niczym Alicja wkroczyła do Krainy Czarów pełnej roślin. Z ukrytych głośników dobiegały dźwięki relaksującej muzyki, a w powietrzu unosił się zapach świeżych kwiatów. Rosa dostrzegła mnie od razu. Była sama, kiwnęła głową, po czym w spokoju odkryła ostatnią kartę tarota z trzech, które znajdowały się na ladzie, i zdenerwowana szybko je sprzątnęła.

– Czyżby niepomyślna odpowiedź? – zapytałam, choć zdążyłam zauważyć, że kartą, na której widok kwiaciarka wpadła w popłoch, był Diabeł.

– Nie za bardzo. – Zmusiła się do uśmiechu. – Miałam rację, prawda? Była już tu pani kiedyś. W tym mieście.

Obserwowałam bransoletki na jej nadgarstkach, by oddalić moment odpowiedzi, ostatecznie jednak uznałam, że skoro jestem już tak blisko rozwiązania zagadki, mogę nieco opuścić gardę.

– Jako dziecko. Urodziłam się tutaj i wyjechałam dopiero wtedy, gdy skończyłam pięć lat.

– To co przywiodło panią do nas po tylu latach? Sentymenty?

– Nie, potrzeba zrozumienia kilku historii. Na przykład tej makabrycznej zbrodni sprzed lat, w której zginęło trzech chłopców.

Rosa westchnęła i przez dłuższy czas w ciszy przyglądała mi się jak zjawisku, przez co zaczęłam czuć się niezręcznie. Chcąc dać jej do zrozumienia, że ta sytuacja wywołuje we mnie dyskomfort, odchrząknęłam głośno.

– Przepraszam – powiedziała, mrugając powiekami, jakbym wyrwała ją z transu. – Zamyśliłam się. Wróciły do mnie tamte obrazy i nie potrafiłam się od nich uwolnić.

– Jakie obrazy?

– Śmierci tych dzieci.

Nigdy nie było mi po drodze z ezoteryką, uznawałam ją za sprzedawanie marzeń naiwnym i zdesperowanym ludziom, którzy muszą uwierzyć w cokolwiek, ale poruszenie kwiaciarki wydawało się prawdziwe. Na jej czole wykwitły drobne krople potu, ruchy kobiety stały się chaotyczne, jakby czegoś się przestraszyła.

– Chce pani powiedzieć, że wie, jak umarły? – spytałam.

– Nie, ale widzę dlaczego. W tamtym miejscu na łąkach dominowało zło i gniew, tylko że tym, co zdecydowało o śmierci dzieci, była miłość. To była zbrodnia z miłości. Jestem tego pewna.

Odniosłam wrażenie, że Rosa jednak niczym nie różni się od tych naciągaczek przy dworcach kolejowych; tych w długich sukniach i pobrzękujących bransoletkach.

– Nie wierzy mi pani – stwierdziła, dostrzegając mój sceptycyzm. – Zrozumie to pani, gdy do tego dotrze. Proszę tylko uważać, bo zło jest blisko.

Uśmiechnęłam się z powątpiewaniem i pokręciłam głową, wychwytyjąc dobiegający z torebki dźwięk komórki. Dzwoniła prokurator Miksa z informacją, iż właśnie wróciła do mieszkania. Na samą myśl, że wkrótce podzielę się z nią swoją teorią, ścisnęło mnie

w dołku. Pospiesznie pożegnałam się z Rosą, ale gdy zmierzałam ku wyjściu, zatrzymała mnie.

– Jeśli to była Maja Miksa, proszę jej przekazać, że nic się nie zmieniło.

Obiecałam to powtórzyć, po czym niemal biegnąc, dotarłam pod klatkę w budynku byłej prokurator i wcisnęłam guzik domofonu. Mechanizm zabrzączał, a drzwi ustąpiły. Przeskakiwałam po kilka schodów, podekscytowana jak dawniej, gdy pracowałam w redakcji gazety. Prokurator zaprosiła mnie do przestronnego salonu, gdzie na drewnianym owalnym stole czekał już dzbanek z kawą i dwa kubki.

– Po ilości nieodebranych połączeń wnioskuję, że znalazła pani w aktach coś ciekawego. – Uśmiechnęła się. – Proszę się rozgościć, zaraz wracam.

Kiedy rozkładałam na stole notatki, z oddali dobiegały dźwięki kuchennej krzątania. Parkiet skrzypiał pod stopami, a ja z ciekawością rozglądałam się po pokoju pełnym książek, gdy na ścianie obok okna dostrzegłam namalowany akwarelą kobiecy akt. Musiałam się zagapić, bo kiedy Miksa wróciła z talerzem szarlotki, nawet jej nie zauważyłam.

– Od czego zaczynamy? – spytała rzeczowo, całkowicie bagatelizując moje zainteresowanie obrazem. – Będę palić, wtedy lepiej mi się myśli – oznajmiła, po czym wyjęła z szuflady długą szklaną lufkę i umieściła w niej papierosa.

Prokurator coraz bardziej przypominała wielowarstwową zagadkę. Za każdym razem, gdy wydawało mi się, że już ją rozgryzłam, ona ponownie mnie zaskakiwała. Nabrałam tchu, bo przez jej autorytet dopadła mnie trema, jakbym lada chwila miała zdawać przed nią egzamin. Nad stołem unosiły się wstążki dymu pachnącego wiśniowym tytoniem. Przełknęłam ślinę i przysunęłam bliżej kartkę z pytaniami. Moje dłonie drżały i stawały się lepkie od potu.

– Mów mi po imieniu, jeśli dzięki temu zaczniesz oddychać – zaproponowała Miksa. – Mam wrażenie, że z nerwów zaraz mi tu zemdlejesz.

Uśmiechnęłam się, czując, jak schodzi ze mnie część napięcia.

– Według mnie, prowadząc śledztwo, popełniliście błąd w założeniach, ale dojdę do tego etapami. – Rozłożyłam przed nią mapę. – Spójrz, tutaj około jedenastej trzydzieści Elżbieta Babicz straciła syna z oczu. Pół godziny wcześniej sprzedawca w kiosku przegonił Emila Lenarta i Piotra Zielińskiego, którzy kradli batoniki. Mniej więcej o dwunastej trzydzieści cała trójka była widziana tutaj. – Pokazałam nowy punkt na mapie. – Odrzuciliście te doniesienia, bo twierdził tak tylko jeden świadek, ale przyjmijmy, że jednak były prawdziwe. Z kim według ciebie małe dziecko wyszłoby ze sklepu, nie robiąc przy tym afery i nie zwracając na siebie uwagi?

– Z kimś, kogo zna i komu ufa.

– Albo z innymi dziećmi, które zaproponowały mu słodczyki i nie budziłyby niczyich podejrzeń, bo wyglądały na jego starszych braci – powiedziałam, czując, jak krew pulsuje w moich żyłach. – Jakiś miesiąc wcześniej Emil i Piotr zaczepiali w Kryształce czteroletniego syna Diany Osiej, lokalnej wizażystki. Podobno kobieta zgłaszała ten incydent, według niej próbę uprowadzenia, Bernardowi Suskiemu w trakcie śledztwa w dziewięćdziesiątym roku, ale nigdzie w aktach nie znalazłam na ten temat ani słowa.

Maja chwyciła w obie dłonie kubek, po czym marszcząc brwi, zapytała:

– Dlaczego dwóch dziesięciolatków miałoby zabrać nieznajome dziecko z domu handlowego?

– Bo chcieli się z nim pobawić? Albo myśleli, że malec się zgubił i postanowili odprowadzić go do rodziców? A może chodziło o coś mniej szlachetnego. – Na moment zawiesiłam głos. – Nie wiadomo, ale trudno uwierzyć, by skusiwszy dziecko słodczymi, ciągnęli je tak daleko – wskazałam miejsce na mapie, gdzie trzej chłopcy byli widziani razem – nie mając celu.

– Jaki mógł być według ciebie ten cel?

Nabrałam tchu, intensywnie mrugając, by przegonić napływające łzy.

– Obawiam się, że tu otwiera się otchłań, w którą nikt nie chce i nie ma odwagi spoglądać.

Czerwień odplynęła z warg prokurator, a jej oddech przyspieszył. Maja dała znak, bym kontynuowała.

– Na tej kartce zapisałam wszystko, co wiemy o ofiarach, a potem wykreśliłam rzeczy dotyczące Jakuba Babicza. – Położyłam przed nią swoje zapiski. – Lenart i Zieliński pochodzili z trudnych rodzin. W jednym domu dzieci miały trzech różnych ojców, była tam przemoc i alkohol, starsi chłopcy bili młodszych, matka nigdy specjalnie się nimi nie interesowała. W drugim... – Przerwałam na moment, czując narastającą gulę w gardle. – Matka w depresji śpiąca cały dzień na kanapie, brak ojca – wyrzuciłam na jednym tchu, by jak najszybciej mieć to za sobą. – Chłopcy często uciekali ze szkoły, kradli, wybijali szyby. Stróż ze złomowiska wspomniał, że Emila Lenarta chorobliwie ciekawiło, jak umierał tamten pies. Być może interesowały go śmierć i zło w ogóle. Z akt wynika, że regularnie podczytywał miesięcznik „Detektyw”, gdzie opisywane są makabryczne zbrodnie. Natomiast w domu Piotra Zielińskiego oglądano głównie horrory, a pokój, który chłopiec dzielił ze starszymi braćmi, zdobił plakat z filmu *Laleczka Chucky*. Jeśli dodamy do tego fakt, że ubrania dziesięciolatków znalezione na miejscu zbrodni były poplamione krwią Jakuba Babicza, który w ustach miał kamienie, najpewniej skradzione przez starszych chłopców z ogródka Weroniki Kwiatkowskiej tamtego ranka, to...

Ręka prokurator, która właśnie dolewała kawy do kubka, zaczęła się mocno trząść. Dzbanek zadzwonił o ceramikę, a czarny napój przelał się na obrus, z którego powoli zaczynał skapywać na podłogę. W końcu Miksa wrzasnęła dziko i rzuciła dzbankiem o ścianę. Naczynie rozpadło się na wiele drobnych kawałków, a kawa zostawiła na tapecie pokaźną plamę. Ta pierwotna reakcja sprawiła, że podskoczyłam na krześle.

Maja jeszcze przez jakiś czas starała się uspokoić oddech. Dygocząc, na moment zacisnęła mocno powieki, a jej dłonie zwinęły

się w pięści.

– To Emil Lenart i Piotr Zieliński uprowadzili, a później zabili syna Babiczów – wyszeptała zmienionym głosem, ze wzrokiem utkwionym w przestrzeni.

Skinęłam głową, bo właśnie do takiego wniosku doszłam kilka godzin wcześniej.

– Nie dopuściłabym do siebie tej myśli, gdyby nie listy Małgorzaty Lenart wysyłane do rodziny, do których udało mi się dotrzeć. – Nieco nagięłam fakty, ukrywając, że to ja byłam adresatką korespondencji. – W jednym z nich napisała: *On nie był zły, nie wierz, jeśli ktoś ci to powie. Oni się mylą, to był dobry chłopiec.*

W salonie zapadła cisza, w której słyszeć było jedynie tłumione odgłosy z sąsiednich mieszkań. Zamilkłam, obawiając się kolejnego wybuchu prokurator, której klatka piersiowa nadal falowała, a twarz nabiegła czerwienią. Miksa sięgnęła po nowego papierosa, ale nie potrafiła go nawet umieścić w lufce, tak bardzo drżały jej dłonie. W końcu, wzburzona, połamała go na drobne kawałki i rzuciła wściekle na podłogę, a wreszcie oparła głowę na rękach i zaczęła płakać.

– Dlaczego dwóch chłopców zadało innemu dziecku tyle obrażeń? Przecież musieli widzieć, że go to boli? – rozważała głośno, gdy pierwszy szok powoli ustępował.

– Zastanawiasz się, czy dziesięciolatkowie mogli zabić z zimną krwią? Czy potrafili odróżnić dobro od zła? Chyba nigdy się tego nie dowiemy. Może jeszcze nie nabyli tej umiejętności, a może brakowało im empatii. – Dyskretnie otarłam oczy, bo myśli o bracie szarpały trzewia. – Psychologia mówi, że agresywne zachowania u dzieci biorą się najczęściej z braku poczucia, że są kimś wartościowym dla osób, które kochają.

– Proszę cię.

– Wiem, brzmi jak proste usprawiedliwienie, ale dzieci, które krzywdzą, wcześniej często same doznawały agresji i były dręczone. Przekraczanie granic było więc dla nich normą – przytaczałam słowa

lekarki, której zadałam podobne pytanie. – W domach takich dzieci szacunek dostaje ten, kto jest silny, kto ma władzę, więc by poczuć się kimś ważnym, samemu trzeba stać się twardym. Przemoc była dla tamtych chłopców codziennością, dlatego nie widzieli nic złego w robieniu krzywdy innym. – Westchnęłam. – Możliwe też, że ich rozwój emocjonalny był zaburzony. Mogli potraktować to jak kolejny dziecięcy eksperyment, na zasadzie: a co się stanie, jeśli kogoś zabijemy. Do tego dochodziła fascynacja śmiercią. Nakręcili się, być może postrzegali śmierć jako coś odwracalnego, wierzyli, że człowieka da się naprawić jak zepsutą zabawkę. Nie rozumieli, że nie można jej cofnąć.

– Wystarczy! – przerwała mi.

Patrzyłam, jak wyciąga z paczki kolejnego papierosa. Tym razem nawet nie próbowała zatknąć go w lufce, tylko od razu włożyła do ust, po czym podała mi zapalniczkę. Przekręciłam srebrne kółeczko, wyczarowując pomarańczowy płomień, a po chwili nad stołem zaczęły tańczyć smugi dymu.

– Kto w takim razie zabił dziesięciolatków? – spytała.

– Według mnie ten, który najbardziej oszalał z rozpacz, a w dniu pogrzebu napisał na ścianie kościoła swój manifest: ŻYCIE ZA ŻYCIE. Jakby tłumaczył, dlaczego to zrobił.

– O kim, do cholery, mówisz!?

Miksa nie spuszczała ze mnie wzroku.

– O Romku Babiczu – powiedziałam, a następnie znów przysunęłam bliżej mapę. – Jego klient kłamał, mechanik skończył pracę już przed czternastą, a zatem nie było go w domu przez dwie godziny. Wsiadł na rower i pojechał do sklepu motoryzacyjnego tutaj.

– Wskazałam punkt na mapie. – Było gorąco, może postanowił skrócić sobie drogę, jadąc przez łąki, jak według jego byłej żony zwykł robić, albo chciał się wykąpać w rzece. Tędy – narysowałam długopisem kreskę – wiedzie piaskowa ścieżka, która kończy się prawie pod domem Babiczów i przebiega nieopodal zagajnika. Tam

musiał się na nich natknąć, a później sprawy potoczyły się dynamicznie.

– Zbrodnie w afekcie – zauważyła Maja, wpatrując się w stół nieobecny wzrokiem. – Ale dlaczego dziesięciolatkowie nie uciekli? Albo chociaż jeden z nich?

– Mogli być w szoku. Romek pewnie wpadł w furię, zaatakował pierwszego z nich metalową rurą, którą dzieciaki zwinęły wcześniej ze złomowiska i zaciągnęły do zagajnika. Drugi chłopiec stał zaś obok sparaliżowany ze strachu. Może nawet próbował uciekać, ale raczej nie miał szans z silnym, wysportowanym mężczyzną.

Prokurator w zadumie zmarszczyła brwi. Sprawiała wrażenie odległej, jakby próbowała wyobrazić sobie to, co zaszło wiele lat temu.

– Jak na to wpadłaś? – spytała wreszcie.

– Natknęłam się na pewną nieścisłość w zeznaniach, a Jerzy Babicz w końcu potwierdził, że jego syn wyszedł z domu wcześniej. Do tego doszły niczym nieuzasadniona pogarda Romka dla Lenart i Zielińskiej oraz fakt, że mechanik od dwudziestu pięciu lat omija miejsce zbrodni, jakby za bardzo przypominało mu o tym, czego się dopuścił.

– A jeśli się mylisz? Może nie odwiedza zagajnika, bo wtedy wraca do niego obraz zabitego syna? – Miksa szukała wyjaśnień. – Poza tym nadal trudno mi uwierzyć, że miałby dokonać tego sam. I dlaczego nie poszedł na policję? Mógł przecież zeznać, co widział, i sprawcy zostaliby skazani. Nie musiał ich zabijać.

– Zakładam, że nie myślał jasno. Działał impulsywnie, a później, gdy zrozumiał, co się stało, pojechał do domu i czekał na najgorszy telefon w swoim życiu. Miał dwadzieścia cztery lata, nie chciał spędzić reszty swoich dni w więzieniu. Poza tym zrobił to, czego oczekiwali wszyscy, odebrał życie za życie. Zemścił się i wymierzył sprawiedliwość.

Maja oparła głowę na rękach, ze świstem wypuszczając powietrze z płuc. Jej wzrok błędził po dokumentach leżących na stole.

– Ciekawe, czy gdyby ci wszyscy ludzie wiedzieli, że mordercami były dzieci, równie mocno domagaliby się kary śmierci albo publicznego linczu – myślała głośno. – Sytuacja, w której mordercą okazuje się dziecko, całkowicie zaburza ustalony porządek, szokuje, bo przecież natura dziecka z gruntu jest niewinna i dobra. Nie spodziewamy się po nim takiego okrucieństwa.

– Moim zdaniem mieszkańcy miasta chcieliby dopaść Piotra i Emila, wykonać na nich samosąd, by zapanować nad tym, co wymknęło się spod kontroli. Zdeptać pleniące się zło, a potem zapomnieć, że kiedykolwiek do tego dopuścili.

Prokurator w zamyśleniu zaciągała się papierosem.

– Zostaw mnie z tym na trochę, muszę ochłonąć – powiedziała w końcu. – Jeśli potwierdzę twoją hipotezę, pojedę z tym prosto do prokuratury i pogadam z Woźniakiem, by jeszcze dzisiaj wystawił nakaz aresztowania. – Strząsnęła popiół do popielniczki.

Skinęłam potwierdzająco, po czym zaczęłam zbierać się do wyjścia. Wprawdzie nie oczekiwałam podziękowań, ale brak jakiegokolwiek słowa docenienia dla pracy, którą wykonałam, lekko mnie dotknął.

– Zuzanno! – zawołała Miksa, gdy byłam już przy drzwiach. – Matka byłaby z ciebie dumna – rzuciła, dając mi do zrozumienia, że od początku wiedziała.

Chciałam na to zareagować, ale żal pozbawił mnie tchu. Poczułam, że muszę biec. Jak najszybciej, jak najdalej i bez zatrzymywania, żeby zapomnieć o tej przeszłości, której wcale nie pragnęłam poznać. Uciec przed nią do miejsca, w którym nie będzie mogła mnie dogonić. Jeśli prawdą było to, że przeszłość nas tworzy, to jaką mnie stworzyła ta historia? Nie potrafiłam już nawet określić, kim jestem. Czy we mnie też siedziało to, co pchnęło Emila do zabójstwa? Czy gdyby to się nie stało i ojciec mnie nie zabrał, skończyłabym jak matka?

Wybiegłam z budynku Mai bez pożegnania. Gnałam przed siebie, a piekące łzy spływały po mojej twarzy. Zatrzymałam się dopiero na

końcu ślepej ulicy przed betonową ścianą śmietnika i zaczęłam tłuc w nią pięściami. Mocniej i mocniej, by bolało bardziej niż to, co od wewnątrz rozrywało mnie na strzępy. Nie zważając na spojrzenia zaniepokojonych przechodniów, usiadłam na chodniku i płakałam.

A kiedy skończyły mi się łzy, włożyłam dłoń do torebki, natrafiając na zimną rękojeść pistoletu. Nie byłam pewna, czy potrafiłabym go użyć, wiedziałam jednak, co muszę zrobić i że tam, dokąd pójde, glock będzie mi potrzebny.

1990

*

Tomasza Atmana obudziło łomotanie do drzwi. Niechętnie wygrzebał się spod koca, po czym na wpół przytomny puknął palcem w szybkę nakręcanego zegarka i zauważył, że wskazówka pokazywała godzinę drugą w nocy. Jęknął, a następnie, szeroko ziewając, ociężale ruszył w stronę wejścia, skąd dochodziło czyjeś wołanie. Nim otworzył, przezornie wyjrzał zza firanki, ale gdy w bladym świetle ulicznej latarni dostrzegł drobną kobiecą sylwetkę, jego niepokój zelżał.

– Czy coś się stało? – zapytał, wychodząc na próg.

Kobieta sprawiała wrażenie przelęknionej, skulona patrzyła na swoje buty, a rękoma obejmowała ciało. Dopiero gdy uniosła wzrok, matematyk zarejestrował w nim jakąś niespójność z postawą nieznaną.

– Bardzo dużo się stało – odparła, a później uśmiechnęła się w sposób, od którego ciałem Atmana wstrząsnął dreszcz.

W ułamku sekundy Tomasz zrozumiał, że otwierając drzwi, popełnił błąd, nie zdążył już jednak zareagować, bo nagle z mroku wyłoniło się kilku mężczyzn, którzy narzucili mu na głowę jutowy worek, a potem powalili go na ziemię i zaczęli kopać oraz okładać kijami. Wszystko wydarzyło się błyskawicznie, matematyk zdołał

zarejestrować tylko jedną z twarzy napastników, która z jakiegoś powodu wydawała mu się znajoma.

Atman usiłował osłonić twarz rękoma, krzyczał i błagał, by agresorzy przestali, lecz żaden z nich go nie słuchał.

– My tylko odbieramy sprawiedliwość, panie Atman – wyjaśnił ktoś, dysząc. – Za Piotra, Emila i Kubusia. Jest zbrodnia, musi być i kara.

Tomasz kulił się pod gradem ciosów, wył z bólu i żebrał o życie.

– Nic nie zrobiłem! – wrzeszczał.

– Zrobił pan – odezwał się kobiecy głos. – My to wiemy.

W końcu matematyk przestał skamleć. Leżał bez ruchu, gdy mężczyźni nadal go kopali.

– Już dość! – odezwał się ktoś, kto do tej pory był cicho. – Dość, mówię! Zabijecie go.

– Na to zasłużył – rzucił hardo jeden z mężczyzn.

– Czyżby, Bernard? Na pewno on?

Po tych słowach zapadła cisza, zakłócana jedynie dźwiękiem niespokojnych oddechów. W końcu Atman usłyszał, jak odchodzą. Odgłos ich kroków cichnął i rozpląwał się w nocy. Miał wrażenie, że umiera. Cały stał się bólem, który rozsadał jego ciało. Nie mogąc nawet drgnąć, leżał na ziemi pod domem, w ustach czując metaliczny smak krwi. Z jego oczu popłynęły łzy, a on pomyślał, że to wszystko za karę, za to, co zrobił i do czego nigdy się nie przyznał. Za odebranie życia, które do niego nie należało.

Powoli odpływał, gdy dobiegł go chrzęst piasku pod czyimiś stopami. Instynktownie zacisnął powieki, ale nagle poczuł, że ten ktoś zdejmuje mu worek z głowy. Po chwili wyraźnie ujrzał twarz, którą znał z gazet, pochmurne oblicze Romka Babicza.

– Da pan radę wstać? – zapytał ojciec zabitego chłopca, a matematyk zdał sobie sprawę, że wcześniej, gdy był bity, słyszał już głos mężczyzny. To on nakazał napastnikom przestać.

Atman nieznacznie kiwnął głową i z pomocą mechanika podniósł się. Babicz zaprowadził go do samochodu, ułożył na tylnej kanapie poloneza, sam zaś usiadł za kierownicą.

– Dlaczego? – wycharczał Tomasz, którego napuchnięta twarz bolała przy każdym najdrobniejszym ruchu.

Romek długo nie odpowiadał, w końcu odchrząknął i dziwnym, zmienionym głosem powiedział:

– Nigdy nie może pan wrócić do tego miasta. Nigdy.

Zuzanna, 2015

*

Nie powinnam była tego robić, wiedziałam o tym, ale zbyt długo wybierałam w życiu to, co trzeba, i w końcu postanowiłam sięgnąć po coś, czego po prostu chciałam.

Romek pracował w warsztacie, przez szparę w drzwiach wylewała się smuga światła, a moich uszu dobiegały dźwięki grającego radia. Schowałam się za słupem po drugiej stronie ulicy, by móc z bezpiecznej odległości obserwować dom, a kiedy Jerzy Babicz wyszedł z siatką, w której brzęczały puste butelki po piwie, i skręcił za róg, najpewniej do mieszczących się tam delikatesów Stokrotka, wyszłam z ukrycia.

Czując przyspieszające tętno, przecięłam ulicę, po czym wemknęłam się przez uchyloną furtkę, by wreszcie niepostrzeżenie wejść do domu. Jerzy nie zamknął drzwi na klucz, co znacznie ułatwiło sprawę. Zapewne założył, że wróci za chwilę, ponadto jego syn był na posesji, więc domostwo wydawało się bezpieczne. Wewnątrz panowała duchota, w powietrzu unosił się zapach czegoś smażonego, w tle bębnił zaś niewyłączony telewizor, skąd wybrzmiewał właśnie dźwięki rozpoczynających się na Jedynce „Wiadomości”.

Uderzenia mojego serca przypominały galop koni podczas gonitwy. Skradałam się ostrożnie, na wypadek gdybym miała

napotkać jakiegoś niespodziewanego gościa, ale z tego, co ustaliłam, Romek po rozstaniu z Elą nigdy się nie ożenił, a jego ojciec od lat był wdowcem. Może z tego powodu wystrój prezentował typowo męski charakter. Ciemne meble, zero ozdób czy kwiatów, żadnych pledów ani poduszek, tylko bałagan. Sterty ubrań na krzesłach, zgniecione puszki po piwie i chylące się wieże nieumytych naczyń. Wygląd wnętrza – kolory zasłon, kanapy w salonie i drewniana meblościanka – sprawiał wrażenie żywcem wyjętego z lat dziewięćdziesiątych.

Nasłuchując, otwierałam drzwi do kolejnych pomieszczeń, aż dotarłam do pokoju, który musiał być sypialnią Romana. Na nocnym stoliku stało rodzinne zdjęcie z Jakubem i Elą oraz nieco mniejsze samego Kuby. W rogu znajdowała się szafa na ubrania, regał oraz niewielkie biurko z lampką. To miejsce miało smutną aurę, wyczuwalna w nim pustka zdawała się podkreślać samotniczy tryb życia, który wybrał mechanik. W cieniu, z dala od oczu obserwujących. Teraz, gdy rozumiałam już, co się wydarzyło, ten wybór nabierał sensu.

Przysiadłam na dużym fotelu, ustawionym bokiem do drzwi, w miejscu, gdzie nie padało światło z korytarza. Pistolet w dłoni ciążył mi, dlatego oparłam go o kolano i na ułamek sekundy przymknęłam oczy.

Obudziło mnie wibrowanie telefonu w kieszeni, na który właśnie przyszedł krótki SMS od Mai Miksy, o treści „Woźniak wyda nakaz”. Ledwie zdążyłam schować komórkę, usłyszałam narastający dźwięk kroków. Klamka się poruszyła, drzwi skrzypnęły i do środka wszedł Roman. Wstrzymałam oddech, zaciskając palce na chłodnej powierzchni broni. Babcz, nie zapaliwszy światła, rzucił się plecami na łóżko, po czym mruknął jak ktoś bardzo zmęczony. W ciemnościach słuchałam jego oddechu, który zwalniał i uspokajał się, jakby męczyzna zapadał w sen. Powoli wyciągnęłam dłoń do włącznika nocnej lampki, a następnie zapaliłam światło.

– Co jest, kurwa? – Mechanik podskoczył na łóżku tak, że od razu znalazł się w pozycji siedzącej, ale gdy dostrzegł broń w moim ręku i palec na ustach sugerujący mu milczenie, uniósł dłonie w obronnym geście. – Co pani wyprawia? – zapytał z przerażeniem w spojrzeniu.

– Jak to było? Rozpacz zmienia ludzi w szaleńców?

– Słucham?

– Myślę, że rozumiem już, co się stało dwadzieścia pięć lat temu. – Wycelowałam w niego broń. – Emil Lenart i Piotr Zieliński porwali Kubę z Kryształu, zabrali go do zagajnika i tam zabili, a pan zabił ich. Wiem, że tamtego dnia skończył pan pracę wcześniej, pański ojciec to potwierdza. Przejeżdżając obok złomowiska, musiał pan natrafić na sprawców i swojego martwego syna. To pewnie był odruch, zadziałał instynkt, a później już się potoczyło, prawda? – Obserwował mnie czujnie, nic nie mówiąc, więc kontynuowałam: – Właściwie jako matka potrafiłabym pana zrozumieć, ale jako siostra zabitego Emila Lenarta mam z tym pewien problem.

Moje wyznanie go nie zaskoczyło. Nie uniósł brwi ani nie wydał z siebie żadnego dźwięku, jakby doskonale wiedział, kim jestem. Przez dłuższy czas mierzyliśmy się wzrokiem, aż w końcu Romek zapytał:

– Czego pani ode mnie chce?

– Muszę się dowiedzieć, czy mój brat żałował tego, co zrobił – wyjaśniłam łamiącym się głosem. – Chcę wierzyć, że nie był potworem, tylko chłopcem, który popełnił błąd. Do niedawna nie wiedziałam nawet o jego istnieniu, a teraz okazuje się... – Urwałam, by przełknąć łzy. – Poza pamięcią nic mi po nim nie zostało, rozumie pan?

Babicz pocierał swoje dłonie, unikając mojego spojrzenia, a gdy podniósł wzrok, nie miał w sobie już buntu, tylko rezygnację.

– Nie znam odpowiedzi na pani pytania – odparł. – Kiedy ich zobaczyłem, rzucali w głowę Kubusia kamieniami. Mój syn już nie

żył, a oni nadal tłukli. Dziko, raz za razem. – Schował twarz w dłonie. Jego ciałem wstrząsnął szloch.

Nienawidziłam go, a jednocześnie bardzo mu współczułam. Romek otarł rękawem twarz i powoli wypuścił powietrze z płuc.

– Nawet się nie zastanawiałem – powiedział. – Z rykiem pchnąłem jednego z nich. Upadł głową na kamienie i przestał się ruszać.

– Czy to był Emil?

– Nie. Pani brat zaczął płakać i powtarzać „my nie chcieliśmy, to była tylko taka zabawa”, a później poprosił, żebym się nie złościł, bo na pewno naprawią go w szpitalu. – Pokręcił głową, płacząc. – Wtedy coś we mnie pękło, chwyciłem metalową rurę, która tam leżała, i go uderzyłem.

Przez chwilę płakaliśmy oboje, jakby to, co nas dzieliło, w jakiś sposób również mogło łączyć.

– Dlaczego nie poszedł pan z tym na policję? – zapytałam z wyrzutem.

– Bo co by im zrobili? – odparł. – Zamknęli na kilka lat w poprawczaku? Tam, gdzie wychodzi się na przepustki do kina i wesołego miasteczka, dostaje kieszonkowe, a na co dzień spędza czas na oglądaniu telewizji? Jak ktokolwiek miałby w tej sytuacji wymierzyć sprawiedliwość? Jaką dobrać karę? Nie da się zadośćuczynić czemuś takiemu.

– I dlatego zemsta stała się pana sprawiedliwością?

Babicz prychnął.

– Zemsta niczego nie naprawia – rzucił. – Nie niesie ze sobą żadnego oczyszczenia. To tylko chwilowa ulga, która zamienia się później w niekończące się piekło. Zrozumiałem to o wiele za późno.

– Zacisnął palce w pięści. – Nie ma dnia, by nie prześladował mnie zapach tych chłopców, widok ich twarzy i jęk pani brata, gdy błagał o życie. To jest jak koszmar, który nigdy nie mija, więc może już czas... – Zawiesił głos.

– Na co?

– By z tym skończyć.

Odniosłam wrażenie, jakby twarz Romka po tych słowach nieco się rozpogodziła.

– To pan zostawił mi tę kartę w hotelu? „Wyjedź stąd”? – drażylałam.
– Chciał mnie pan nastraszyć?

– Miałem nadzieję, że jeszcze zdołam się pani pozbyć. Poznałem panią po oczach. Tamten dzieciak miał takie same zarożumiałe spojrzenie, a kiedy zgodziło się imię i wiek, zyskałem pewność, kim pani jest.

– Mówi pan o Emilu z taką pogardą... A to był tylko chłopiec. Nienawidził pan mojej matki i Zielińskiej, bo obwiniął je pan o śmierć Kuby?

– Nie bardziej niż siebie samego – odparł. – Tamtego dnia umarłem razem z nimi, dlatego jeśli chce mnie pani zastrzelić, proszę bardzo. – Podniósł ręce. – Właściwie wyświadczy mi pani przysługę.

Rozdygotana uniosłam broń, wycelowałam w Babicza i położyłam palec na spuście. Przez ułamek sekundy czułam się jak Bóg, który decyduje o życiu lub śmierci, ale wiedziałam, że nigdy nie udźwignęłabym odpowiedzialności tego wyboru. Przetykając tży, odłożyłam pistolet.

– Co stało się z moją matką? – spytałam.

– Przyszła tu po ucieczce ze szpitala. W jakiś sposób domyśliła się, że to ja. Wrzeszczała, zaczęła mnie szarpać, a potem ją związałem i zamknąłem na strychu.

– Ten napis na plecach to nie było ostrzeżenie dla mordercy, prawda? Tylko pańskie usprawiedliwienie.

– To była odpowiedź, gdy po stokroć pytała, dlaczego zabiłem jej syna.

– Jest pan potworem.

– Zgadza się. I dlatego chcę, żeby mnie pani zabiła. – W jego wzroku dostrzegłam błaganie.

Oboje usłyszeliśmy silnik parkującego samochodu, a zaraz po nim kroki i mocne uderzenia w drzwi.

– Zabiją pana wyrzuty sumienia. W więzieniu będzie pan miał na nie mnóstwo czasu – powiedziałam, a następnie podniosłam się z fotela i schowawszy broń do torebki, ruszyłam do wyjścia.

W korytarzu natknęłam się na Bernarda Suskiego wraz z towarzyszącym mu funkcjonariuszem. Ich dudniące kroki odbijały się echem od ścian, a miny wyrażały srogość. Kiedy napotkałam lodowate spojrzenie komendanta, wstrzymałam oddech, a po moich plecach przeszły ciarki. Patrzył na mnie wściekle, nie jak ktoś, kto po latach wreszcie może wyjaśnić dręczącą wszystkich zagadkę, lecz raczej jak człowiek, którego rozjuszyło moje odkrycie.

– Zadowolona? Znalazła pani swojego mordercę? – zapytał szeptem, z niechęcią w głosie, gdy mijaliśmy się w przejściu.

Przyspieszyłam kroku, by jak najszybciej oddalić się od tego mężczyzny. Jednak chwilę później ciekawość zwyciężyła. Przystanęłam w cieniu korytarza i z bijącym sercem nasłuchiwałam.

– Pójdiesz z nami, Romek, mamy nakaz – oznajmił Suski, po czym moich uszu dobiegł dźwięk zatraskiwanych kajdanek.

– Nie tak to sobie wyobrażaliśmy, Bernard, co nie? – rzucił Babicz z rezygnacją.

To mnie zaintrygowało, ale zanim zdążyłam się nad tym zastanowić, w korytarzu pojawił się Jerzy, z palcem wyciągniętym przed siebie i twarzą ściągniętą gniewem.

– Nie mogła mi go pani zostawić? Chociaż jego?! – ryknął.

W głosie mężczyzny pobrzmiwała pretensja, a po starej, zmęczonej twarzy płynęły łzy. Gdy zdałam sobie sprawę, że kolejny raz ktoś z rodziny Lenartów pozbawia go bliskich, skazując na umieranie w samotności, wybąkałam nieśmiało „przepraszam” i uciekłam.

Wydaje nam się, że jeśli zrobimy to, co należy, pocujemy się lepiej, ale wcale nie musi tak być. Czasami zamiast ulgi przychodzi niepokój. A na miejscu pewności pojawia się wątpliwość. Tak jakby

ta gra nigdy nie miała końca i gdy rozwiązujemy supeł na jednym krańcu nitki, pięć innych węzłów powstaje na drugim.

Po opuszczeniu domu Babiczów czułam się brudna. Swędziało mnie całe ciało, sprawiając, że pragnęłam zedrzeć z siebie skórę. Cichość hotelowego lobby jedynie pogłębiała rozdrażnienie. Wbiegłam po schodach, z satysfakcją trzasnęłam drzwiami pokoju i natychmiast wyciągnęłam z minibaru dwusetkę gorzkiej żołądkowej. Smakowała cierpko, jej chłód powoli wypełniał moje ciało.

Siedziałam na podłodze, w ciemności, oparta o ścianę, gdy niespodziewanie ktoś załomotał do drzwi. Moja ręka drgnęła w przestkach, rozlewając resztę alkoholu na wykładzinę. Zaniepokojona wstałam. Serce podeszło mi do gardła, a palce gorączkowo usiłowały namacać włącznik światła. Kiedy wreszcie żarówka rozbliłyła, otworzyłam drzwi i ujrzałam Mieczysława Kąkółę w kaszkiecie, płaszczu i kaloszach oraz butelką alkoholu w dłoni.

– Co pan odpierdala?! – zaatakowałam. – Mówiłam jasno, że ma się pan nawet nie zbliżać do mojego pokoju. Idę po Gutkowskiego.

– Nie ma go, wyjechał. – Powstrzymał mnie, gdy ruszyłam w stronę schodów. – Dlatego przyszedłem, chcę porozmawiać.

Odwróciłam się, dysząc wściekle. W tym człowieku było coś nieprzyjemnego. A może po prostu patrząc w jego mętne, pijane oczy, dostrzegałam to, czego nie akceptowałam w sobie? Słabość i uległość wobec nałogu, do którego nie chciałam się przyznać? Ta myśl uderzyła mnie w splot słoneczny niczym pięść, wywołując mdłości.

– Nie mamy sobie nic do powiedzenia – warknęłam i chciałam zamknąć drzwi, ale zablokował je stopą.

– Wiem, że nie przyjechała tu pani tylko z powodu samobójstwa Małgorzaty Lenart. Tak naprawdę interesuje panią tamta zbrodnia sprzed lat. Myślę, że mogę pomóc.

Oddychałam ciężko, mierząc się ze swoimi wątpliwościami, ale w końcu uległam.

– Dam panu pięć minut, potem nie chcę pana więcej widzieć na oczy. Jasne?

Dozorca skinął głową, wszedł do pokoju, wyjął z kieszeni duży, zdobiony męski krzyżyk ze złota, położył go na stole i usiadł. Zadrżałam. Jakaś część mnie chciała się rzucić na ten przedmiot, inna wietrzyła w zachowaniu stróża podstęp.

– Wygląda dokładnie jak ten, który ma pani w portfelu, prawda? Widziałem, gdy szperałem tutaj ostatnio. Skąd wzięła pani ten rysunek?

Szum pompowanej w szalonym tempie krwi niemal rozsądzał mi bębenki. Nie potrafiłam trzeźwo ocenić, czy Mieczysław Kąkol wciąga mnie w swoją pułapkę i jest wrogiem, czy jednak sprzymierzeńcem. Usiłowałam wyrównać oddech, okiełznać rozbiegane myśli. Pokój nagle sprawiał wrażenie niezwykle dusznego, zbyt ciasnego dla naszej dwójki. Pomyślałam o broni, którą dozorca poprzednio zostawił w szafie, choć przecież mógł zabrać. To ostatecznie mnie przekonało, by wyznać mu prawdę.

– Zrobiła go Małgorzata Lenart – wyjaśniłam. – Był ukryty w szczelinie ramy łóżka w szpitalu psychiatrycznym. Pielęgniarka uznała, że powinnam go zabrać, w końcu należał do mojej matki.

Mężczyzna pobladł, dłonią złapał się za głowę, a następnie zsunął z niej czapkę, którą przytulił do piersi.

– O Jezusie! Dlaczego pani nic nie powiedziała?

Wzruszyłam ramionami.

– I tak mam wystarczająco dużo wrogów w tym mieście.

Kąkol nadal z niedowierzaniem kręcił głową, wpatrując się we mnie z rozdziawionymi ustami.

– Ten krzyżyk – zaczął tłumaczyć drżącym głosem. – Widziałem, jak Leszek Suski, dawny komendant, zakopywał go w zagajniku. Zakradłem się tam i go wzięłem. Pokazałem go pani matce, gdy do mnie przyszła, pewnie dlatego go narysowała. Mówiła mi, że wcześniej na komendzie ten sam krzyżyk wypadł Suskiemu z kieszeni, dokładnie w noc odnalezienia ciała. Był brudny od ziemi.

– Co to znaczy?

– Nie wiem. Może wpierw go zabrał, a potem się przestraszył i odniósł? – Wzruszył ramionami. – Widzi pani, ja wtedy, gdy tych chłopaków zabili, spałem napruty przed telewizorem w swojej stróżówce, ale usłyszałem, jak ktoś krzyczy „Zatrzymaj go! Złap go!”. Dałbym się pokroić, że to był głos Leszka Suskiego, dlatego cały czas go podejrzewałem. Tyle że się pomyliłem. Zrozumiałem to dopiero po latach. Bo to musiał być jego syn.

– Skąd taki pomysł?

– Bo jak Bernard krzyczał, to brzmiał dokładnie jak ojciec, nie inaczej – oznajmił z satysfakcją. – On tam przyjechał później, do zagajnika, już jak stary Suski leżał w szpitalu. Zjawił się wieczorem, z latarką i grabiami, ale niczego nie znalazł, bo go przechytryłem. – Zachichotał, uderzając się pięścią w klatkę piersiową, i wskazując na krzyżyk, dodał: – Na moje to tego szukał.

Ściągnęłam brwi, przypominając sobie słowa Romana Babicza, które wypowiedział w trakcie aresztowania: „Nie tak to sobie wyobrażaliśmy”, a później jeszcze te, gdy Ela posądziła go o romans: „W końcu wszyscy się o nas dowiedzą”. Czy to znaczyło, że obaj mężczyźni byli w zagajniku razem? Ale dlaczego ojciec Jakuba miałby się poświęcać, biorąc na siebie winę? Który z nich tak naprawdę zabił?

Miałam wrażenie, że błędzę w labiryncie, gdy w kieszeni kurtki zawibrowała komórka.

– Słuchaj, coś jest nie tak – wypaliła prokurator Miksa bez zbędnych wstępów. – Romek Babicz na pewno był na miejscu zbrodni, nie ma co do tego wątpliwości. Przesłuchiwała go policjantka, z którą kiedyś... – Ucięła, po czym odchrząknęła. – Dawna znajoma, która jest mi winna przysługę. Mówi, że ojciec Kubusia zna wszystkie szczegóły, dokładne urazy ofiar, ale jest jeden szkopuł. Nie miał pojęcia o breloku Emila, a jeśli to nie Roman go wziął, to znaczy, że na miejscu musiał być jeszcze ktoś inny, kto później podrzucił brelok do domu nauczyciela, Tomasza Atmana,

chcąc skierować na niego podejrzenia. Według mnie Babicz kogoś kryje.

Myśli w mojej głowie eksplodowały jak fajerwerki w sylwestrową noc.

– Kto wiedział o tym, że brelok zaginął po morderstwie? – spytałam.

– Małgorzata Lenart zgłosiła to na policję, a później wszyscy, którzy mieli dostęp do akt, mogli o tym przeczytać.

– Czyli Bernard Suski też?

Mruknęła twierdząco.

– Uważasz, że podrzucił dowód do domu podejrzanego? – Zamilkła, jakby potrzebowała chwili na refleksję. – Właściwie może coś w tym jest. Zawsze zastanawiało mnie, dlaczego ten brelok wisiał na widoku, a teraz zaczynam myśleć, że chodziło o to, bym go zobaczyła. Cholera! – Słyszałam, jak uderza w coś dłonią. – Mógł też umieścić broń w starej budzie dla psa na posesji, żeby poprzeć swoją teorię o sprawcy trzymającym dzieci na muszce. Ostatecznie to on sprawdzał potem pochodzenie broni, nikt tego po nim nie weryfikował. Ale jaki miałby motyw?

– Nie wiem – odparłam, czując, jak moja głowa puchnie, po czym streściłam jej swoją wizytę u Babicza oraz słowa Kąkola. – Zdaję sobie sprawę, że to niewiele i właściwie nic na Bernarda Suskiego nie mamy. Może poza tym, że zignorował doniesienie Diany Osiej o usiłowaniu porwania jej synka, które mogło być kluczowym tropem.

– To i tak tylko poszlaki, w dodatku nie muszą o niczym świadczyć. – Westchnęła. – Nie widzę powodu, dla którego Romek by go krył. Jeśli dotychczas bał się, że Suski wszystkiego się wyprze, wykorzysta swoją władzę i obarczy go winą, to dlaczego teraz tak ochoczo brałby wszystko na siebie? Oni nie byli przyjaciółmi, nie mieli wobec siebie żadnych zobowiązań ani długów wdzięczności. Chyba że coś nam umknęło.

Zapatrzyłam się w czerń za oknem, zdając sobie nagle sprawę, że Mieczysław Kąkol nadal siedzi przy stole i przysłuchuje się naszej

rozmowie.

– Jest późno, zostawmy to do jutra – zaproponowałam, choć pewne było, że żadna z nas nie zmruży oka, dopóki nie znajdziemy odpowiedzi. – To był cholernie długi dzień.

Każde słowo wypowiadałam coraz wolniej, jakby moje ciało nie mogło już nadążyć za myślami. Maja mruknęła na znak zgody. W jej głosie również słychać było zmęczenie.

– Z Suskim póki co niewiele zrobimy. Obawiam się, że nawet gdybyś miała rację, co wcale nie jest pewne, to on i tak wyjdzie z tego suchą stopą. Chyba że znajdziemy to, co łączy tych dwóch, Romka i Bernarda. Może tam jest odpowiedź.

– Może – odparłam i nagle przypomniałam sobie o słowach kobiety sprzedającej kwiaty. – Byłabym zapomniała, Rosa z kwiaciarni kazała ci przekazać, że nic się nie zmieniło, cokolwiek to znaczy. Ona uważa, że to była zbrodnia z miłości.

Prokurator Miksa zaśmiała się.

– Jeśli ją jeszcze spotkasz, możesz jej powiedzieć, że z mojej strony też nic się nie zmieniło.

Kiedy odłożyłam telefon, Mieczysław Kąkol zdążył już wstać od stołu i właśnie otwierał drzwi, ale spojrzał na mnie raz jeszcze, mówiąc:

– Romek Babicz nikogo by nie zabił. Nigdy. – Oczy stróża zaszklily się, jakby w tym oskarżeniu odczytał niesprawiedliwość. – Nie znam człowieka o bardziej złotym sercu od niego. On dla swojej rodziny zrobiłby wszystko, ale nie coś takiego.

Gdy wyszedł, położyłam się na łóżku i patrzyłam w sufit, a potem nagle coś mnie tknęło. Wyciągnęłam z torby skserowane kartki dziennika, który oglądała moja matka przed ucieczką ze szpitala. Ze zdziwieniem odkryłam, że jednej z nich brakuje.

Niegdyś lubiłam poranki. Noc zmazywała wszystkie złe emocje, ciężkie myśli gdzieś ulatywały, świat po przebudzeniu zdawał się zaś bardziej znośny. Jakbym naprawdę otwierała nową, czystą kartkę

w notesie, bez kleksów czy bazgrołów. Uwielbiałam ten moment tuż po przebudzeniu, gdy skóra aż świerzbiała z ciekawości tego, co przyniesie nowy dzień, a ja potrafiłam się uśmiechać z błahych powodów. Dziś tak nie było.

Dręczona koszmarami, ocknęłam się przed piątą. Za oknem nadal panowała ciemność, a pokój wypełniała martwa cisza. Zaparzyłam herbatę, z jakiegoś powodu myśląc o Jerzym Babiczu, ojcu Romka, i nagle poczułam dojmującą samotność. Łzy zaczęły skapywać z moich policzków do czarnego napoju, czyniąc go jeszcze bardziej gorzkim. Nie miałam już siły dalej walczyć. Tęskniłam za Ignasem i ojcem, który odszedł, a mój organizm odreagowywał stres minionych dni. Gonitwa za cieniami z przeszłości uświadomiła mi, że muszę coś zmienić w swoim życiu, zanim podzielę los matki i sięgnę dna. Skoro potrafiłam stanąć oko w oko z jej demonami, nadszedł czas, bym spotkała się również z własnymi.

Brakujący element historii morderstwa sprzed lat męczył mnie jak rzęsa zawinięta gdzieś pod powieką. Prokurator miała rację, poza luźnymi poszlakami nie istniały żadne podstawy do oskarżenia Bernarda Suskiego, a wzięcie na siebie winy przez Romka właściwie zamykało dalsze poszukiwania. Czułam, jakbyśmy dobrnęły do ślepego, mrocznego zaułka, bez nadziei na światło. Moje serce drgnęło więc, gdy zauważyłam numer Miksy na wyświetlaczu.

– Coś nowego? – Rozpaczliwie chciałam wiedzieć.

– Roman Babicz nie przetrzymywał twojej matki na strychu – oznajmiła. – Najpierw szedł w zaparte, ale gdy przeszukanie wykazało, że byłoby to mało prawdopodobne, bo na tamto poddasze nikt nie zaglądał od dobrych kilku lat, w końcu się przyznał, że kłamał.

– Czyli nadal aktualne pozostaje sokratejskie: wiemy, że nic nie wiemy.

– Nieustannie, ale posłuchaj tego. – Nabrała tchu. – W domu Babicza policjanci znaleźli listy ze słowami „Życie za życie”. Przychodziły co roku piętnastego czerwca, w rocznicę śmierci

chłopców, ale dopiero teraz będzie najciekawsze... – Zawiesiła na moment głos. – Przypuszczam, że nadawał je sam Babicz. W jego szafce leżało kilka paczek nierozpakowanych kopert, identycznych z tymi, w których przychodziły listy.

– Dziwne. Co on na to?

– Stosuje twoją taktykę.

– To znaczy?

– Udaje głuchoniemego.

Uśmiechnęłam się do siebie, gdy tymczasem Miksa powiedziała, że musi lecieć.

Kiedy zeszłam na śniadanie, jęknęłam, zdając sobie sprawę, że mój samochód nadal stoi na posesji Babiczów. Z jadalni dolatywał zapach tych samych parówek i jajecznicy, którymi raczyłam się przez minione dni, co skutecznie pozbawiło mnie apetytu. Przy jednym ze stolików siedziała rachityczna para po pięćdziesiątce; on nałożył na talerz tyle jedzenia, że gubił je po drodze, ona grzebała widelcem w sałatce, jakby szukała w niej skarbów. Na mój widok podnieśli głowy niczym surykatki, co ostatecznie przypieczętowało decyzję, by tego dnia zrezygnować z porannego posiłku.

– Widziałam, jak uciekłaś z jadalni, nie próbuj się wymigiwać. – Klara przyłapała mnie z błyskiem w oku, gdy dotarłam już do schodów.

– Poddaję się. – Uniosłam dłonie. – Wybacz, ale nie mogę już tego jeść. To chyba znak, że najwyższa pora wracać do domu.

– A to ty nie jesteś stąd? Słyszałam, jak mama z tatą rozmawiali, że pochodzisz z okolicy – paplała, sprawdzając coś w komputerze, i nim zdążyłam zareagować, dodała: – Swoją drogą mogłabyś do nich zajrzeć, na pewno się ucieszą. Kiedy wyjeżdżałam, szykowali na śniadanie naleśniki z czekoladą i jajka po benedyktyńsku. – Mruknęła z rozmarzeniem. – Przy okazji oszczędzisz mi odwożenia samochodu matce, spieszę się i kompletnie nie będą miała na to czasu. Trzymaj. – Położyła na ladzie kluczyki. – Czarna insignia, zaparkowałam niedaleko wejścia. Pomożesz?

– Serio? Mam pojechać waszym autem? Czym sobie na to zasłużyłam?

– Nie narzekałaś na nasze fatalne jedzenie. – Puściła do mnie oko.

– To wystarczający powód?

– Czy ja wiem...

– Ufam ci, mama mówiła, że się poznałyście i że jesteś w porządku, a ja naprawdę nie mam kiedy tego zrobić.

– No dobrze – odparłam.

Coś w jej uśmiechu przyciągnęło moją uwagę. To, jak odchyliła głowę i lekko wysunęła podbródek, kogoś mi przypomniało, ale nie mogąc wyłowić skojarzenia z mgły, uznałam je za nieważne. Klara zapisała mi na kartce adres.

– To takie osiedle białych domków pod lasem, znajdziesz bez problemu – rzuciła, po czym pobiegła na wezwanie kobiety, która chciała wiedzieć, czy do konfitury dodano konserwantów.

W drodze pomyślałam, że powinnam uprzedzić Lidkę o swojej wizycie, ale kiedy włożyłam dłoń do torebki, nie znalazłam w niej telefonu, który zapewne został w pokoju, podłączony do ładowarki. Moje palce natrafiły natomiast na twardą i chłodną powierzchnię glocka. Ukryłam go głębiej, a chwilę później zatrzymałam się z piskiem opon przed witryną kiosku z gazetami, gdzie z okładki lokalnego dziennika uśmiechał się Bernard Suski. Artykuł informował o akcji „Mój przyjaciel – policjant”, w ramach której komendant odwiedził miejscowe przedszkole. Nie bacząc na trąbiące samochody, wyskoczyłam z auta, a następnie dłonią zakryłam górną część jego twarzy i wtedy to zobaczyłam. Klara Gutkowska miała podbródek i uśmiech komendanta. Nie podobny czy zbliżony, lecz dokładnie taki sam.

Pukając do drzwi Lidki, zastanawiałam się, w jaki sposób delikatnie wybadać, czy Klara rzeczywiście może być córką Suskiego. Mój zmęczony brakiem snu i nadmiarem wrażeń umysł gubił się w obliczeniach, gdy po chwili w progu stanął znajomy chłopiec.

– Ariel? – nie kryłam zaskoczenia. – Znamy się z parku, pamiętasz?

Chłopak kiwnął głową i natychmiast poczerwieniał.

– Coś się stało? Narozrabiałem? – zapytał, ściszej głos.

– Nie. Przyszłam do twojej mamy, poznałyśmy się w Szpilce. Nie wiedziałam, że jesteś jej synem.

– Aha – rzucił tylko, nadal błędząc wzrokiem w okolicy moich kolan, po czym chwycił z podłogi deskorolkę i oznajmił, że musi iść na trening.

Ze środka docierał do mnie zapach świeżych naleśników oraz odgłosy rozmowy. Rozmarzyłam się, lecz gdy Ariel uniósł ręce, by zdjąć kurtkę z wieszaka, dostrzegłam brelok zaczepiony o szlufkę džinsów. Stary, metalowy wisiołek z pozdieraną gdzieś farbą, w kształcie koniczyny.

– Skąd to masz?

Przestraszony odsunął się ode mnie i poprawił szybko bluzę.

– Znalazłem w piwnicy u rodziców – wydukał.

– Zuza? Co ty tu robisz? – usłyszałam głos Lidki, która najwyraźniej zwabiona dźwiękami rozmowy, niespodziewanie znalazła się obok nas. – Masz nosa, już prawie skończyliśmy śniadanie, ale naleśniki nadal się smażą, zapraszam.

Nim zamknęła drzwi, obserwowałam oddalającego się Ariela. Chłopiec na moment przystanął na chodniku i spojrzał na mnie smutno, z głową przekrzywioną na bok. Wydawało mi się, że jego dziecięce wargi wyszeptały słowo „przepraszam”, ale zrzuciłam to na karb osłabienia.

– Kawa? – zapytała Lidka, kiedy znalazłyśmy się w kuchni, gdzie Mateusz przewracał właśnie lekko nadpalonego naleśnika.

Skinęłam głową, a on pomachał do mnie, starając się zręcznym ruchem patelni uratować swój kulinarny honor.

– Klara poprosiła, by podrzucić wam auto. – Oddałam kluczyki Lidce, a kiedy ona zajęła się obsługą ekspresu, mój wzrok dyskretnie

lustrował zdjęcia oraz wiadomości zapisane na żółtych karteczkach i poprzyklejane magnesami do lodówki.

Na jednej z fotografii moją uwagę zwrócił tort w kształcie Ciasteczkowego Potwora z *Ulicy Sezamkowej*, cały ozdobiony niebieską cukrową posypką. Taką samą, jaką Artur Fiołek z zakładu pogrzebowego Hades wyjął z ucha mojej matki.

– Nie polecam – wyjaśniła Lidka, stawiając przede mną kubek z kawą. – Zrobiłam go niedawno na jedenaste urodziny Ariela, ale to niebieskie dziadostwo wszędzie się obsypywało. Do dziś sprzątam piwnicę.

Poczułam, jak krew tężeje mi w żyłach, ale uspokoiliłam oddech, by nie wzbudzać niepotrzebnych podejrzeń.

– Trzymałaś tort w piwnicy? – udałam zaciekawienie.

– Mam tam sporo miejsca, jest chłodno, a poza tym młody naoglądał się za dużo horrorów i nie lubi do niej schodzić. Wiedziałam, że nie natknie się na niespodziankę.

Mateusz podsunął mi fantazyjnie złożonego naleśnika z sosem truskawkowym oraz bitą śmietaną, ale zamiast apetytu poczułam, jak z niepokoju ściska mi się żołądek. W końcu to on dwadzieścia pięć lat wcześniej znalazł chłopców na łąkach, a Lidka zapewniła mu alibi. Przełknęłam ślinę, udając, że to z powodu jedzenia. Krzesło zaskrzypiało pode mną, gdy sięgałam po sztucę. Specjalnie przeciągałam każdą czynność, rozważając, czy nie dosypali mi czegoś do posiłku. Czas zdawał się niemiłosiernie rozwlekać, a ja powoli traciłam pomysły, w jaki sposób grać na zwłokę.

– Muszę skorzystać z toalety – powiedziałam w końcu, lecz zanim zdążyłam złapać torebkę, Mateusz wziął mnie pod rękę i zaprowadził do łazienki.

Dopiero kiedy zostałam sama, mogłam odetchnąć. Moje ręce się trzęsły, a serce uderzało tak głośno, że z dużym prawdopodobieństwem oboje słyszeli, jak bije. Odkręciłam wodę, po czym ochlapałam spoconą twarz.

Myśl, myśl, do cholery jasnej, powtarzałam w duchu, chodząc po łazience w tę i we w tę, gdy z mgły powoli wyłaniał się coraz bardziej wyraźny obraz.

Brakującym ogniwem łączącym Bernarda Suskiego i Romka Babicza mogła być Lidka. Była ukochaną siostrzenicą mechanika, a jednocześnie kochanką policjanta. Jako piętnastolatka musiała zająć w ciążę nie z Gutkowskim, ale z obecnym komendantem. Dlatego jej córka miała jego podbródek, a Lidka darzyła Bernarda nieskrywaną nienawiścią. Wszystko nabierało sensu. Tylko co z tego? Nie rozumiałam, dokąd miałyby mnie to zaprowadzić.

Bezszelestnie wymknęłam się z toalety, by zajrzeć do pokoi na piętrze. Wmawiałam sobie, że niebieska posypka i brelok Ariela to tylko zbiegi okoliczności, a ja panikuję, ale musiałam to sprawdzić. Z nerwów dygotałam, a moje plecy pokryły się zimnym potem. Zaczęłam od sypialni, gdzie przejrzałam komodę i nocne szafki, cały czas nasłuchując dźwięków dochodzących z parteru, później zaś weszłam do gabinetu. W szklanej witrynie stały stare albumy ze zdjęciami. Przeglądałam je pospiesznie, ale nie mogąc opanować drżenia dłoni, w końcu to sobie odpuściłam. Na podłodze stała skórzana aktówka Mateusza, którą wcześniej widywałam w hotelu. Odblokowałam zamek, po czym zachłannie przedzierałam się przez faktury i nic nieznaczące dokumenty, aż natrafiłam na brakującą skserowaną stronę z lokalnego dziennika. Tę, która zniknęła z mojego pokoju w hotelu.

Publikacja dotyczyła wspomnienia zmarłego aktora, który niegdyś odwiedził miejscowy zespół szkół zawodowych. Czytałam artykuł już wcześniej, ale teraz uważniej przyjrzałam się zdjęciom pochodzącym z czternastego czerwca, przedednia tragedii w zagajniku. Dopiero za drugim razem zauważyłam na jednej z fotografii Lidkę, a właściwie jej młodszą wersję. Na szyi miała ledwie wyraźny na ziarnistej odbitce krzyżyk, zawieszony na cienkim łańcuszku, takim jak ten, który zgodnie z raportem patologa mój brat ścisnął w dłoni.

– Zuza, wszystko w porządku? – dobiegło mnie wołanie z dołu.

– Tak, zaraz do was dołączę!

Ciężko dysząc, raz jeszcze sięgnęłam po albumy, po czym gorączkowo zaczęłam przerzucać strony, aż odnalazłam fotografię z pogrzebu Kubusia. Gdy mój wzrok wyłowił wśród żałobników Lidkę, zerknęłam na szyję nastolatki. Ani łańcuszka, ani krzyżyka na niej nie było.

Album z emocji wysunął mi się z rąk, z hukiem uderzając o podłogę, a kiedy kucnęłam, by go podnieść, usłyszałam za sobą odgłos czyichś kroków.

– Co tu robisz? – Lidka przyglądała mi się z oburzeniem.

– Chciałam tylko... – zaczęłam, ale żadne z wyjaśnień, które przychodziły mi do głowy, nie brzmiało wiarygodnie. – Przepraszam, nie powinnam była tu wchodzić.

– Zdecydowanie. A ta kartka, którą trzymasz w ręku? Co to takiego?

Pokazałam Lidce skserowaną stronę z gazety.

– To ty, prawda? – zapytałam, wskazując palcem uśmiechniętą piętnastolatkę.

– Tak, dawno temu. Dlaczego cię to interesuje?

Wzruszyłam ramionami.

– Ładny krzyżyk – powiedziałam. – Masz go jeszcze?

– O co ci chodzi?

Z nerwów mój żołądek zacisnął się w kamień.

– To zdjęcie zrobiono w dzień przed morderstwem dzieci, a kilka dni później na pogrzebie Kubusia już nie nosiłaś krzyżyka.

Lidka uniosła brwi.

– Pewnie go zdjęłam.

– A może zgubiłaś w zagajniku? Policja znalazła tam złoty łańcuszek. Jedna z ofiar trzymała go w dłoni.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz. Nie było mnie tam.

– Doprawdy? Alibi, które dałaś wtedy Mateuszowi, świadczy o czymś innym. Powiedziałaś wtedy, że pływaliście w zakolu rzeki, a to niedaleko złomowiska.

Do gabinetu wszedł Mateusz. Wyczuwając panujące napięcie, stanął tuż za żoną, nic nie mówiąc. Lidka spojrzała na mnie z wyższością, a potem uśmiechnęła się w sposób, od którego ogarnął mnie chłód.

– Nie potrafiłaś przestać, co? Musiałaś węszyć – rzuciła, sięgając za siebie i wyjmując zza paska mojego glocka. Przeładowała go, a następnie wymierzyła prosto we mnie. – Zwiąż ją – zażądała, podając mężowi opaskę zaciskową, którą wyjęła z kieszeni.

W oczach Gutkowskiego dostrzegłam wahanie, ale mimo to mężczyzna posłusznie wykonał polecenie żony, krępując moje ręce za plecami.

– Nie wystarczyło ci, że Romek wziął to na siebie? – ciągnęła Lidka. – Dobry, poczciwy wujek, poszedłby za mnie do piekła. Tak bardzo mnie kochał, że przez tyle lat milczał. Nie chciał, by jego ulubiona siostrzenica, która spodziewała się dziecka, trafiła za kratki.

– Najwyraźniej jego uczucia do ciebie się zmieniły. Dzisiaj rano cię wydał – blefowałam. – Za chwilę będzie tu policja.

Kobieta skrzywiła się dziko, a po chwili podcięła mnie nogą tak, że upadłam z łoskotem na plecy, w locie zawadzając głową o krawędź blatu. Ból rozszedł się po całej czaszce. Zacisnęłam zęby, łudząc się, że to było tylko porządne uderzenie.

– I po co ci to było? – sarknęła Lidka. – Jak będziesz cicho, pójdzie szybciej, a tak zapaskudzisz mi całą podłogę.

Rzeczywiście czułam, jakby w okolicy ucha sączył mi się ciepły, lepki płyn, ale wiedziałam, że jeśli tylko zacznę o nim myśleć, stracę najpierw przytomność, a później swoją ostatnią szansę.

– Wystrzał z tej broni zaalarmuje sąsiadów – ostrzegłam, czując delikatne zawroty głowy.

– Zamknij się! – ryknęła. – Jesteś z siebie dumna? Rozgryzłaś mnie?

– Nie. Wygrałaś. Wiem tylko, że Klara jest córką Suskiego i że tamtego dnia miałaś na szyi krzyżyk.

– To nie masz o niczym pojęcia. Ten krzyżyk był prezentem od Bernarda, należał wcześniej do niego. W dniu zabójstwa Kuby spotkaliśmy się nad rzeką. Chciałam powiedzieć Suskiemu o ciąży, ale gdy to zrobiłam, on zażądał skrobanki. Wpadłam w szal i okładałam go pięściami, a wtedy pojawił się wujek na rowerze – mówiła z nieobecny wzrokiem, jakby przywoływała we wspomnieniach tamte chwile. – Romek słyszał naszą kłótnię, chciał mnie tylko zaprowadzić do matki, a potem rozmówić się z Bernardem, ale po drodze zobaczyliśmy jakieś dzieciaki bawiące się za złomowiskiem.

– Tyle że one wcale się nie bawiły – podsunęłam, starając się oddychać, byle nie zemdleć.

– Nie, one katowały mojego maleńkiego kuzyna. A wiesz dlaczego? Bo były ciekawe, jak to jest kogoś zabić. – Pokręciła głową z niedowierzaniem, a pilnujący mnie Mateusz spuścił wzrok. – Romek oszalał z rozpacz, ale nie potrafił nic zrobić, był za miękki. To Bernard złapał jednego z nich za szyję i zaczął nim potrząsać. Przestraszyłam się, że zabije tego dzieciaka, błagałam, by przestał, bo chłopak się dusił, ale on mnie nie słyszał. Szczeniak zaczął się robić siny, oczy wyszły mu na wierzch, więc popchnęłam Suskiego. Upadli razem na kamienie, młody uderzył czaszką i z tyłu jego głowy zaczęła wypływać krew.

– To był mój brat, wiesz? – Przełykałam łzy, czując się coraz słabsza.

Lidka zamrugnęła oszołomiona.

– O czym ty mówisz?

– Emil Lenart był moim bratem – powtórzyłam. – A Małgorzata Lenart matką. Byli moją rodziną.

Trzymająca mnie na muszce kobieta pobladła, opuściła dłoń z bronią, po czym ze wzdrgnięciem syknęła:

– Byli śmieciami, nikim więcej.

Przed oczyma zaczynały mi wirować szare plamki, a głos Lidki brzmiał, jakby dochodził z odległego pomieszczenia.

– Jak zginął drugi chłopiec? – dopytywałam, bo każda kolejna sekunda rozmowy oddalała wizję strzału.

– Uderzyłam go metalową rurą, którą wcześniej katował Kubusia – wyznała. – Wiedziałam, że jeśli go wypuścimy, wygada się, a my będziemy skończeni. – Przygryzła wargę. – Zrobiłam to dla Bernarda. Byłam pewna, że udusił tamtego chłopca. Nie mogłam pozwolić, by ojciec mojego dziecka trafił do więzienia, za bardzo go kochałam. – Jej oczy zaszły wilgocią.

Chciałam zapytać jeszcze o matkę, ale nie byłam w stanie nawet otworzyć ust. Powoli przestawałam słyszeć głos Lidki, a obraz przed moimi oczyma ściemniał się, by w końcu całkowicie zgasnąć.

Nim straciłam przytomność, wydawało mi się, że gdzieś z oddali dobiegały jakieś hałasy oraz dźwięki szybkich kroków i czyjś krzyk. Przed oczyma mignęła mi przerażona twarz Lidki, która po chwili się rozmyła. Odniosłam wrażenie, że zamiast niej widzę Emila i matkę wyciągających do mnie ramiona, z czyjejś piersi wyrwał się zwierzęcy ryk, a później cały świat zatonął w ciszy.

Obudziłam się obolała. Z całych sił próbowałam unieść powieki, ale wydawały się okrutnie ciężkie. Z wysiłku zacisnęłam zęby i wreszcie powoli udało mi się otworzyć oczy. Światło zaatakowało, kłując źrenice, dlatego podniosłam dłoń i osłoniłam nią twarz. Promienie słońca wpadające przez uchylone żaluzje kładły się na ścianach, tworząc mozaikę cieni, a pościel na łóżku była szorstka, jakby niedawno ktoś ją wymienił. Z trudem obróciłam głowę, by rozejrzeć się po pokoju – i wtedy zobaczyłam ją.

Prokurator Maja Miksa przysypiała w fotelu, pod czerwonym kocem z frędzlami, który zsunął się na podłogę. Jej ziemista cera i pomiętolone, nieświeże ubranie świadczyły o tym, że ona również miała za sobą ciężkie chwile. Jakby czując mój wzrok, poruszyła się, a po chwili otworzyła oczy.

– Dzień dobry – powiedziała.

Uchyliłam wargi, ale suchość w nich uniemożliwiła mi powiedzenie czegokolwiek. Obok łóżka stały monitory, z których dochodziły miarowe piknięcia, a na ekranie można było obserwować wykres pracy mojego serca. Chciałam zadać milion pytań, lecz nie potrafiłam wydobyć z siebie głosu. Patrzyłam tylko na cienkie rurki i kable wychodzące z komputerów i podłączone do moich wychudzonych rąk oraz do zapadniętej klatki piersiowej.

– Nie ruszaj się – poprosiła Maja. – Miałaś poważną operację, ale powinnaś się z tego wylizać.

– Jak? – zdołałam wykrztusić.

– Jak cię znaleźliśmy? Mateusz Gutkowski zadzwonił na policję po tym, jak Lidka wzięła z twojej torebki broń i poszła na górę. Bał się, że jego żona cię zabije. Wiedział, do czego jest zdolna.

– Ale on...

– Wszystko wskazuje na to, że nie miał nic wspólnego ze zbrodnią sprzed lat – weszła mi w słowo. – Jego zeznania z dziewięćdziesiątego były prawdziwe. Zataił tylko, że z miejsca zbrodni zabrał brelok z koniczyną. Dziś nie potrafi wyjaśnić, dlaczego to zrobił. – Uśmiechnęła się z pobłażliwością. – Trudno uwierzyć, ale on chyba nigdy nawet nie podejrzewał Lidki, kochał ją do szaleństwa. Tak bardzo, że był gotów wychowywać córkę Suskiego, bo niemal od początku wiedział, że sam nie jest jej ojcem.

– A moja matka?

– Musiała zrozumieć, że to Lidka zgubiła krzyżyk, kiedy zobaczyła tamto zdjęcie sprzed lat w lokalnym dzienniku. Przyszła do Gutkowskiej, by się z nią skonfrontować, a ta zamknęła ją w piwnicy. Dopiero wtedy Mateusz poznał prawdę. Tak przynajmniej twierdzi. Zeznał, że gdy wrócił z wyjazdu służbowego, żona poprosiła go o pomoc w rozwiązaniu problemu i pokazała mu przetrzymywaną Małgorzatę, a później opowiedziała o zdarzeniach sprzed lat.

Przypomniałam sobie wahanie mężczyzny, gdy Lidka zażądała, by mnie związał.

– Gutkowski był w szoku. Nie wiedział, co zrobić, bił się z myślami i gdy tamtej nocy przewracał się w łóżku z boku na bok, Ariel, jego syn, zszedł z latarką do piwnicy poszukać ukrytych prezentów urodzinowych i niechcący natknął się na twoją matkę. – Znacząco pokiwała głową. – Kiedy ją zobaczył, przestraszył się. W końcu zdjął jej knebel, a ona ubłagała go, by ją uwolnił. – Maja nabrała tchu. – Lidka, która usłyszała hałasy, kazała Mateuszowi biec za Małgorzatą, a sama wymusiła na Arielu obietnicę, że nikomu, nawet siostrze, nie powie o tym, co widział, bo wtedy mama z tatą pójdą do więzienia.

– Suka – syknęłam.

– Dobrze prawisz – zaśmiała się. – Twoja matka skoczyła z wiaduktu w panice, uciekając przed Gutkowskim, który wcale nie zamierzał jej skrzywdzić. Po wszystkim czuł się winny, ale Lidka manipulowała nim, przez co nikomu nie wyjawiał tego, co wiedział. Zrehabilitował się dopiero, pomagając tobie.

– Dlaczego wycięła jej ten napis?

– W ramach odwetu. Przez lata ona, Bernard i Romek dostawali te listy. Lidka była przekonana, że wysyłała je twoja matka, by ich zadręczać, ale nadawcą okazał się Babicz. Po tym, jak dowiedział się, co zaszło w domu Gutkowskich, w końcu wyznał, że chciał, by sprawcy czuli się szantażowani i myśleli, że ktoś mógł widzieć całą ich trójkę wtedy na łąkach. Dlatego listy wysyłał również sobie. To miało sprawić, że Lidka i Suski wreszcie pękną i przyznają się do winy.

Zamknęłam na moment oczy, nabierając głęboko tchu. Gdzie i kiedy się to wszystko zaczęło? – myślałam. W mojej głowie kłębiło się jeszcze wiele pytań, łącznie z tym, jak długo leżę w szpitalu i kto opiekuje się Ignasiem pod moją nieobecność, ale do pokoju niespodziewanie weszła pielęgniarka z lekarzem.

– Pani prokurator, dlaczego nas pani nie zawołała? – rzuciła z przyganą kobieta w białym kitlu. – Trzeba było powiedzieć, że pacjentka się obudziła.

Miksa uniosła dłonie przepaszająco.

– Przyznaję się do winy – powiedziała, po czym zwróciła się do mnie: – Zostawię cię, musisz wypoczywać. Będziemy miały jeszcze dużo czasu na rozmowy. Jedyne, co musisz teraz wiedzieć, to to, że wszyscy czworo, łącznie z Gutkowskim, staną przed sądem. Odpowiedzą za to, co zrobili tamtym dzieciom, twojej matce i tobie.

Stukot kół pociągu i widok pejzaży zmieniających się za oknem uspokajały mnie. Po kolejnym tygodniu spędzonym w szpitalu wreszcie wracałam do domu. Na samą myśl o tym, że niebawem uściskam syna, kąciki ust unosiły się do uśmiechu, a we wnętrzu rozlewało się przyjemne ciepło.

Pogładziłam dłonią gazetę leżącą na moich kolanach. Pachniała świeżą farbą drukarską. Na pierwszej stronie dziennika widniał artykuł o tytule *Sprawiedliwość się nie przedawnia*, który wyjaśniał zagadkę śmierci Jakuba Babicza, Piotra Zielińskiego i Emila Lenarta.

Z satysfakcją spojrzałam na zdjęcie przedstawiające skutą Lidkę Gutkowską z czarnym paskiem na oczach. Wprawdzie nie mogła odpowiadać za morderstwo z dziewięćdziesiątego roku, ponieważ ówczesny Kodeks karny nie przewidywał odpowiedzialności karnej, jeśli nieletni sprawca w dniu popełnienia przestępstwa nie ukończył szesnastu lat, ale przed konsekwencjami uwięzienia mojej matki nie była już w stanie uciec. Znajomy karnista twierdził, że za pozbawienie wolności ze szczególnym udręczeniem, jak zostało zakwalifikowane to, czego się dopuściła, dostanie od roku do dziesięciu lat. Kołyszając się w wagonie TLK, pomyślałam, że wcale nie byłoby mi przykro, gdyby dostała najwyższy wymiar kary.

Jeśli chodzi o Bernarda Suskiego, wszystko zależało od tego, co wydarzy się w sądzie i jak będzie zeznawała Lidka, jednak prokuratura zapowiadała w artykule, że będzie domagać się dwudziestu pięciu lat pozbawienia wolności. Najmniejszy wyrok, bo maksymalnie pięciu lat, groził Romanowi Babiczowi, który miał odpowiadać za składanie fałszywych zeznań. Nie wiedziałam, co

czuję w związku z tym, ale gdy nocą, nie mogąc zasnąć, pytałam samą siebie, co zrobiłabym wtedy na jego miejscu, nie znajdowałam prostych odpowiedzi.

Wypiłam duszkiem kilka łyków wody mineralnej, a później delikatnie dotknęłam dłonią opatrunku na głowie. Rana niekiedy odzywała się ostrym bólem, nie mówiąc o częstych nudnościach, ale lekarze powtarzali, że miałam dużo szczęścia i nie doszło do uszkodzenia tkanek miękkich. W szpitalu otoczono mnie wyjątkową opieką. Jedynym wyzwaniem był fakt, iż musiałam ukrywać przed medykami laptopa przemyconego przez Maję Miksę. Ze względu na operację, którą przeszłam, pielęgniarki zabraniały mi pracy z komputerem, ale i to zdołałam obejść, chowając się w składziku na szczołki. W końcu czego nie robi się dla swojego pierwszego po długiej przerwie artykułu.

Wspomnienie prokurator Miksy natchnęło mnie do tego, by zapytać ją o jeden dręczący mnie szczegół. Sięgnęłam po komórkę, a kiedy Maja odebrała, usłyszałam w tle kobiecy głos.

– Czyżbym przeszkadzała? – spytałam, uśmiechając się znacząco.

– Nie, skądże. Poza tym Rosa prosi, żeby cię pozdrowić. Jak się czujesz?

– W moim stanie to dziwnie zabrzmiało, ale chyba nigdy nie było lepiej – stwierdziłam. – Zastanawiałam się nad pewną rzeczą. Pamiętasz ten brelok w kształcie koniczyny znaleziony w domu Atmana? Skąd się tam wziął, skoro przez cały czas miał go Gutkowski?

– Od początku istniały dwa takie same breloki. Jeden twoja matka nosiła przy portfelu, drugi Emil przy plecaku. Nie mam stuprocentowej pewności, ale według mnie Bernard Suski po prostu ukradł torebkę Małgorzaty, by podrzucić dowód. Sprytne, nie powiem – skomentowała. – Twój ojciec twierdził, że torba zniknęła w niewyjaśnionych okolicznościach, co mogłoby dopełniać moją teorię.

– A jeśli chodzi o Tomasza Atmana... – zaczęłam.

– Wiem, że go odwiedziłaś – przerwała mi. – Został całkowicie skreślony z listy podejrzanych. Oczywiście posiedzi jeszcze trzy lata w Białej Podlaskiej za oszustwa podatkowe, ale myślę, że nauczy go to pokory. – Zaciągnęła się papierosem. – Swoją drogą nie wiem, co mu zrobiłaś, ale po twojej wizycie wyznał, że dwadzieścia pięć lat temu w naszym miasteczku uderzył samochodem bezdomnego alkoholika. Dokładnie wtedy, gdy wracał ze złomowiska. Zaciągnął faceta do lasu, ukrył go w jamie i przykrył gałęziami. Był przekonany, że zabił tego człowieka, i spanikował, ale się mylił. Alkohol i amfetamina namieszały mu w głowie. Bezdomny oczywiście już dawno nie żyje, ale umarł na marskość wątroby, nie z powodu wypadku. Krótco po tamtym incydencie odnaleźli go jacyś grzybiarze i uratowali mu życie.

Uśmiechnęłam się spokojna, że wszystko miało swój sprawiedliwy finał. Pociąg zwalniał, a konduktor zapowiedział przez głośniki stację Warszawa Centralna. Pożegnałam się z Mają, raz jeszcze dziękując jej za zaufanie, którym mnie obdarzyła.

Kiedy wjechaliśmy do tunelu, w przedziale zrobiło się niemal całkowicie ciemno i tylko wątle światło jarzeniówki z korytarza rozpraszało mrok. Serce dudniło mi w piersi. Poczułam motyle tańczące w brzuchu, a gdy wreszcie moim oczom ukazał się peron, z niecierpliwością badałam wzrokiem twarze osób za szybą w poszukiwaniu tej jednej najważniejszej dla mnie.

Twarzy mojego syna.

Posłowie

*

Drogi Czytelniku, za moment opowiem, jak doszło do powstania tej książki, ale jeśli jesteś jeszcze przed lekturą, proszę, nie czytaj posłowia teraz, odłóż je na później, gdy poznasz już losy bohaterów tej historii, ponieważ to, co znajdziesz dalej, może naprowadzić Cię na pewne tropy, a to zepsułoby radość z rozwiązywania zagadki kryminalnej.

Myśl o *Niewybaczalnym* tliła się we mnie latami po tym, jak poznałam historię trzyletniego Jamesa Bulgera. To wtedy przyszły do mnie pytania, które uporczywie domagały się uwagi: Czy są rzeczy, których nie da się wybaczyć? Czym właściwie jest wybaczenie? I czy „przebaczyć” oznacza „zapomnieć”? Losy Jamesa stały się więc punktem wyjścia do napisania historii o przebaczeniu, zemście i nienawiści. O drogach bez powrotu albo tych prowadzących do zatracenia.

Podczas pracy nad książką w rozmowach z psychologami starałam się zgłębić temat zbrodni popełnianej przez dziecko, które z założenia uznawane jest przecież za niewinne, a nie okrutne. Obok tego niezwykle ciekawiły mnie reakcje społeczne na potworne czyny, których dokonywały dzieci. Przerażenie, agresja oraz żądza odwetu czy publicznego linczu wydawały się w wielu przypadkach silniejsze, gdy

chodziło o sprawcę będącego dzieckiem, niż gdy odpowiedzialnymi za nawet najbardziej bestialskie zbrodnie były osoby dorosłe. Dlaczego tak się dzieje? Pozwolę, byś, Drogi Czytelniku, sam mógł znaleźć odpowiedź na to pytanie. Z góry jednak uprzedzę, że niekiedy w życiu nie ma prostych, czarno-białych odpowiedzi.

Z ogromną wdzięcznością kłaniam się ekspertom, którzy konsultowali poszczególne wątki książki:

- jedynej i niepowtarzalnej J., cenionej kryminalistyk, która nieustająco zachwyca mnie swoją wiedzą, mądrością i empatią, a do tego odbiera telefony o najdziwniejszych godzinach i ma wobec mnie niebywałą cierpliwość;

- dr Ewie Wach, biegłej psycholog Instytutu Ekspertyz Sądowych w Krakowie oraz biegłej sądowej Polskiego Towarzystwa Psychologicznego;

- Pani Renacie Kałuckiej, psycholog i psychoterapeutce należącej do Polskiego Towarzystwa Psychologicznego;

- Panu Grzegorzowi Cieślikowi, adwokatowi specjalizującemu się w prowadzeniu spraw karnych, a także w prawie cywilnym.

Jeśli popełniłam błędy merytoryczne, zbłądziłam i dokonałam przeinaczeń, to tylko i wyłącznie moja odpowiedzialność.

Dziękuję także cichym bohaterom, którzy dają z siebie wszystko przy każdej z książek i towarzyszą im, na długo zanim trafią w czytelnicze ręce, a są nimi moi redaktorzy: Adrian Tomczyk oraz Karolina Borowiec-Pieniak.

Moc wdzięczności ślę również wiernym czytelnikom określającym siebie jako #teamjaniszewska. Niezmiennie dodajecie mi skrzydeł!

I wreszcie dziękuję Tobie, drogi Czytelniku, za to, że spędziłeś ze mną ten czas i pozwoliłeś zabrać się na wyprawę w nieznaną. Do zobaczenia!

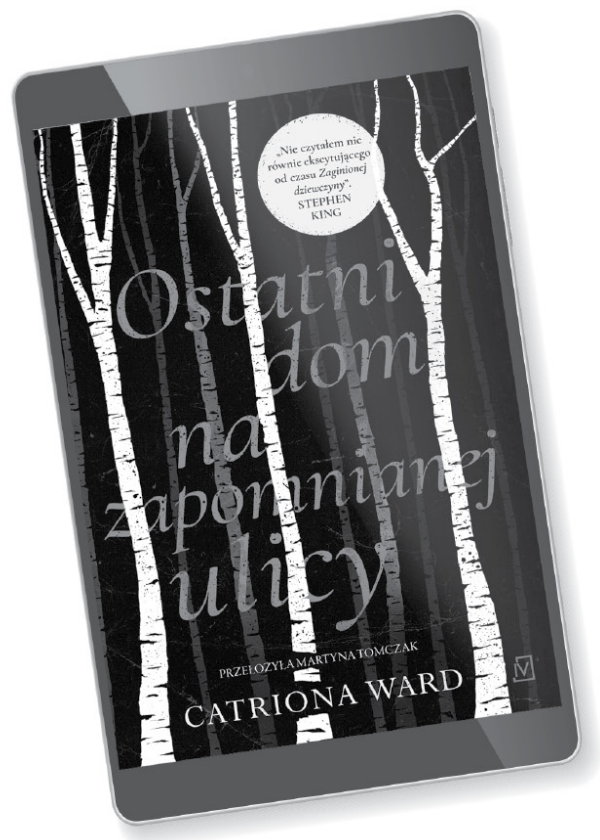
Izabela Janiszewska
Warszawa, lipiec 2021



**KSIĄŻKI, E-BOOKI, GADŻETY
I MNÓSTWO OKAZJI ZNAJDZIESZ NA:**

WWW.WYDAJENAMSIE.PL





**KSIĄŻKI, E-BOOKI, GADŻETY
I MNÓSTWO OKAZJI ZNAJDZIESZ NA:**

WWW.WYDAJENAMSIE.PL



Spis treści

*

Tamta noc

Zuzanna, 2015

1990

Zuzanna, 2015

1990

Zuzanna, 2015

1990

Zuzanna, 2015

1990

Zuzanna, 2015

1990

Zuzanna, 2015

1990

Zuzanna, 2015

1990

Zuzanna, 2015

1990

Zuzanna, 2015

1990

[Zuzanna, 2015](#)

[1990](#)

[Zuzanna, 2015](#)

[1990](#)

[Zuzanna, 2015](#)

[1990](#)

[Zuzanna, 2015](#)

[1990](#)

[Zuzanna, 2015](#)

[1990](#)

[Zuzanna, 2015](#)

[1990](#)

[Zuzanna, 2015](#)

[1990](#)

[Zuzanna, 2015](#)

[1990](#)

[Zuzanna, 2015](#)

[1990](#)

[Zuzanna, 2015](#)

[Postowie](#)